

„Mam przekłętę polskie serce
i nie potrafię go z siebie wyrwać”

Niemka

OPOWIEŚĆ O POLSKIEJ NIEMCE,
KTÓRA MUSIAŁA DOKONAĆ OSTATECZNEGO WYBORU

WOJCIECH DUTKA

LIRA
WYDAWNICTWO

WOJCIECH DUTKA

Niemka

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2024

ISBN: 9788367915960

Spis treści

Prolog

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział I. Absolwentki

Rozdział II. Wróżba

Rozdział III. Kamnitzerplatte

Rozdział IV. Obłężenie

Rozdział V. Ludzie i podludzie

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział VI. Pogrzeb

Rozdział VII. Nowe miasto Warschau

Rozdział VIII. Wizyta

Rozdział IX. Okup

Rozdział X. W służbie podziemia

CZĘŚĆ TRZECIA

Rozdział XI. Przysięga

Rozdział XII. Po drugiej stronie lustra

Rozdział XIII. Instynkt przetrwania

Rozdział XIV. Uwikłanie

Rozdział XV. Himmlerland

Rozdział XVI. Egzekutor

CZĘŚĆ CZWARTA

Rozdział XVII. Berlin

Rozdział XVIII. W matni

Rozdział XIX. Więzienie Plötzensee

Rozdział XX. Ostatnia lekcja

Rozdział XXI. Powrót

Rozdział XXII. To nie jest kraj dla ciebie

Rozdział XXIII. Ostatnia krawędź

Epilog

O Autorze

Przypisy.

PROLOG

BERLIN, WIĘZIENIE PLÖTZENSEE, GRUDZIEŃ 1944

Do więzienia Plötzensee latem tysiąc 1944 roku przyjechała w więźniarce kobieta, którą aresztowano w Berlinie za domniemany udział w zamachu z 20 lipca. Pochodziła z Litzmannstadt, czyli polskiej Łodzi, zaanektowanej przez Niemcy na początku wojny. Kobietę uznano za wyjątkowo groźną zdrajczynię — *die Verräterin*. Jej sprawę miał wkrótce rozpatrzyć sąd ludowy — *der Volksgerichtshof*, jedno z najbardziej brutalnych narzędzi reżimu hitlerowskiego do rozprawiania się z wrogami wewnętrznymi, nieliczną niemiecką opozycją, zarówno cywilną, jak i wojskową, szczególnie po nieudanym zamachu na Adolfa H. w lipcu tego roku.

Kobieta trafiła tu w wyniku głębokiego i szeroko zakrojonego śledztwa łódzkiego Gestapo, które wpadło na ślad jej zdradzieckiej działalności już w 1941 roku, ale przez lata nie miało żadnych podstaw, by wytoczyć sprawę wzorowej — jak się wydawało — niemieckiej kobiecie i obywatelce Rzeszy. W więzieniu przetrzymywano ją w izolacji, aby nie mogła się z nikim kontaktować. Jej męża stracono już wcześniej za udział w spisku Stauffenberga — od tamtej pory była pod ścisłą obserwacją Gestapo. W akcie oskarżenia podano zdradę Führera i niemieckiej ojczyzny, ale — co najgorsze — wskazano także na jej kontakty z polskim podziemiem. Właśnie to — oprócz głównego zarzutu, zdrady Adolfa H. — stało się powodem szczególnie zajadłych ataków osławionego sędziego Freislera podczas publicznych przesłuchań.

Zdumienie u najkrwawszego sędziego Führera wywołał protest kobiety przeciwko lżeniu jej przez niego. Do wściekłości natomiast — do szewskiej pasji niemal — doprowadziła go oskarżona odpowiedzią na pytanie, czy zdradziła niemiecką ojczyznę. Otóż oświadczyła ona, że nie, gdyż zawsze uważała się za Polkę, a więc w myśl nazistowskiej ideologii istotę niższą rasowo od Niemców. Sędzia Freisler dodał zatem do aktu oskarżenia wyparcie się niemieckiej narodowości i krwi niemieckiej, co równało się zbrodni obrazy czci niemieckiej. Na to kobieta w najczystszy niemieckim rzuciła mu w twarz:

— Pierwsze słyszę, żeby sędzia w praworządnym państwie sam uzupełniał akt oskarżenia, który ma być dziełem prokuratora. Łącząc funkcję sędziego i prokuratora, udowadnia pan, że nie jest żadnym sędzią, a to zgromadzenie nie jest sądem.

— Dość!!! Przekłeta zdrajczyni!!! — wrzasnął Freisler.

Postępowanie miało się toczyć dalej bez obecności oskarżonej, którą sędzia wykluczył z udziału w jej własnym procesie. Jednak z niewiadomych powodów spodziewany wyrok śmierci nie zapadł. Oskarżona została natomiast wysłana do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück jako polska więźniarka polityczna. Niemka stawała się Polką — a może już wcześniej nią była?

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ I
Absolwentki

WARSZAWA, MAJ 1938

Nadszedł czas matur. Magdzie Pohl kwitnące kasztanowce zawsze wydawały się niedoścignionym wzorem piękna. Kwiat był nietrwały, ale pachniał niezwykle. Dziewczyna kończyła dwuletnie liceum ogólnokształcące¹ im. Królowej Jadwigi i w klasie miała dwie najserdeczniejsze przyjaciółki — Wandzię Brychczyńską i Lidkę Rosenman. Były siostrzanymi duszami i czas im upływał nie tylko na nauce — prestiżowe liceum było bardzo wymagającą szkołą żeńską — ale także na lekturze. Czytały powieści romantyczne z poprzedniego wieku: dzieła sióstr Brontë oraz powieści Jane Austen. Sięgały też po klasykę powieści grozy — uwielbiały powieści Edgara Alana Poe. Kiedyś Lidka przyniosła też zakupioną przez jej rodziców w Paryżu powieść Brama Stokera o wampirze². Przekomarzając się o sens tej klasycznej opowieści, rozważały, czy miłość jest potężniejsza od śmierci oraz czy istoty złe potrafią kochać.

Magdalena Pohl nie była z urodzenia warszawianką. Pochodziła z Łodzi, ze znakomitej mieszczańskiej rodziny niemieckiej, osiadłej w tym mieście i prowadzącej tam interesy. Uwielbiała powieść Reymonta *Ziemia obiecana*, ale nie odpowiadał jej robotniczy charakter miasta. Z tego też powodu jej ojciec, Alois Pohl, łódzki przedsiębiorca tekstylny, właściciel fabryki, pozwolił córce pojechać do warszawskiego liceum. Magdalena uważała, że dwa lata w Warszawie były do tej pory najlepszymi w jej życiu. Znalazła tu przyjaźń — Wandzia i Lidka miały podobny gust, a tutejsze teatry i rewie, na które dziewczyny nie skąpiły sobie pieniędzy, dostarczały rozrywki na najwyższym poziomie intelektualnym. Teraz żałowała, że wspólny czas tak szybko przeminął.

*

Tego majowego dnia 1938 roku przyjaciółki umówiły się w eleganckiej kawiarni u Bliklego na Nowym Świecie. Były już wszystkie po egzaminach. Magdalena bardzo lubiła to miejsce — podawano tu najlepsze w całym mieście pączki i kawę. W kątach, w wielkich donicach, rosły duże paprocie i drzewka cytrusowe, a w kryształowych lustrach od braci Łopieńskich odbijały się tapety od Franaszka i jej postać — blondynki średniego wzrostu, z włosami spiętymi w kok. Zawsze była pierwsza, obojętnie, czy umawiała się w kinie,

teatrze czy restauracji. Wynikało to z wpojonej jej przez rodziców punktualności. Magdalena weszła do Bliklego i upewniła się, że mają wolny stolik na trzy osoby. Usiadła obok wielkiej paproci, przy otwartym oknie, gdyż dzień był bardzo ciepły, i zamyśliła się.

Wszystkie trzy szalenie się zaprzyjaźniły w czasie nauki w liceum. Były razem w klasie profesorki Wandy Łempickiej, której sława nie wynikała bynajmniej z nazwiska jakże podobnego do słynnej Tamary. Łempicka była niezwykle wymagającą matematyczką, przygotowała je do trudnego polskiego egzaminu z tego przedmiotu. „Wymagam od was tyle, ile wymagałabym, ucząc w liceum męskim”, powtarzała, jednak jako wychowawczyni nie była aż tak surowa. Dziewczęta bardzo sobie ceniły jej wyrozumiałość i sprawiedliwość. Dla Magdy była kimś w rodzaju przewodnika po wiedzy. To Łempicka pokazała jej, że matematyka jest sztuką, z której utkana jest rzeczywistość otaczającej nas materii. Razem przeszły przez ułamki, rachunek prawdopodobieństwa, geometrię, potem trygonometrię i elementy matematyki wyższej — rachunki różniczkowy i całkowy.

— Dziękuję pani profesor za wszystko — powiedziała jej podczas pożegnania Magdalena Pohl. — Była pani mistrzynią. To dzięki pani pójdę na architekturę.

Profesor Łempicka uśmiechnęła się.

— Magdo, jesteś bardzo zdolna, tylko czasy mamy nieciekawe. Mam nadzieję, że w dalekiej Szwajcarii zrobisz wiele dobrego i przysporzysz mi dumy.

— Dobra nauczycielka jest na wieczność. — Mówiąc to, Magdalena nie wiedziała jeszcze, że spotka swoją profesorkę w zgoła innych okolicznościach i wówczas całki i różniczki będą stanowiły abstrakcję zupełnie nieprzystającą do rzeczywistości.

Trzy dziewczyny połączyła nieco może dziwna przyjaźń — tak bardzo się różniły i tak odmienne miały uzdolnienia. Magdalena wybierała się na architekturę. Wandzia Brychczyńska chciała być lekarzem, celowała w kierunek lekarski w Warszawie. Natomiast Lidka Rosenman — humanistka, która wiele wycierpiała na lekcjach matematyki u Łempickiej, ale na koniec dostała jednak dostateczny, co było dużą sztuką — chciała studiować malarstwo we Lwowie w tamtejszej Akademii Sztuk Pięknych. Tak z grubsza prezentowały się plany dziewczyn na studia. Wszystkie pochodziły w dobrych domów i miały spore ambicje.

Prawie punktualnie — zmieścili się w kwadransie akademickim — przybyły Wanda i Lidka.

— Jesteście! — ucieszyła się Magdalena. — Zamówiłam kawę i pączki.

— Jeszcze kilka takich pączków od Bliklego i nie zmieszczę się w sukienkę — zauważyła Wanda.

— Twoje obawy są stanowczo na wyrost — uspokoiła ją Lidka.

Zaśmiały się radośnie. Ich uroda przykuła uwagę męskiej części gości kawiarni Bliklego. Może starsi panowie przypomnieli sobie siebie samych z czasów, gdy Blikle otwierał tę

kawiarnię, jeszcze w czasie zaboru rosyjskiego? Jednak trzy młode kobiety skupione były na sobie.

— Matura poszła nam dobrze — zaczęła Magdalena — i chciałabym wam coś powiedzieć.

— Zabrzmiało to jak „żegnamy się na dłużej”. — Wanda popatrzyła na nią z niepokojem.

— No wiesz?

— Tak to zabrzmiało — odpowiedziała Lidka.

Magdalena poczuła się trochę skonfundowana domyślnością przyjaciółek.

— Miałam wam powiedzieć w Łodzi... W ogóle od tego zacznę. Zapraszam was do mnie, do Łodzi, z okazji moich urodzin. I tak, wyjeżdżam na studia. Za granicę.

— Pewnie do Niemiec — powiedziała Wandzia Brychczyńska.

— Nie wierzę! Magdalena będzie studiowała poprawną rasowo architekturę w Niemczech! — odparowała Lidka.

Dziewczyny doskonale wiedziały, że Magdalena pochodziła z jednej z najbardziej szanowanych niemieckich rodzin w Łodzi. Jej przodkowie osiedlili się tam w latach sześćdziesiątych XIX wieku, już po powstaniu styczniowym, i szybko pięli się w górę bankiersko-fabrykanckiej elity miasta. Ojciec Magdy był właścicielem dużej fabryki tekstylnej, produkującej sukno na eksport oraz na potrzeby krajowe, również wojska polskiego. Jego zakład zatrudniał pięciuset ludzi, głównie kobiet ze sfer robotniczych Łodzi. Magdalena nigdy zatem nie narzekała na brak pieniędzy.

— Masz rację, Lidko — powiedziała teraz, wywołana niemal jak do tablicy. — Nie mogłabym pojechać do Niemiec, choć jeśli chodzi o język, nie miałabym żadnych problemów. Wybrałam Szwajcarię, politechnikę w Zurychu.

— To pięknie. — Lidka się uśmiechnęła. — Idziesz w ślady prezydenta Narutowicza.

Rzeczywiście — pierwszy wybrany przez Zgromadzenie Narodowe prezydent Polski był kiedyś profesorem politechniki w Zurychu. Ale jego śmierć w grudniu 1922 roku nie miała już dla dziewczyn znaczenia sentymentalnego.

— Nie ujęłabym tak tego, ale owszem, jesienią jadę do Szwajcarii. Tak się składa, że w następną niedzielę będziemy obchodzić moje urodziny i chciałabym świętować je z wami, w Łodzi.

— To wspaniale! — Wanda szczerze się ucieszyła.

Brychczyńska i Rosenmanówna nie pochodziły z aż tak bogatych domów, więc perspektywa odwiedzin u Magdy była dla nich bardzo kusząca. To popołudnie przegadały o wszystkim i o niczym. Prawie dwie godziny poświęciły na dywagacje o kabarecie Qui Pro Quo oraz o *Skleпах cynamonowych* Brunona Schulza, który — wypromowany przez Zofię Nałkowską — stał się pisarzem poczytnym, analizowanym i omawianym. Jednak to nie był jeszcze koniec niespodzianek na ten wieczór.

W pewnej chwili, gdy już nasyciły się kawą i pączkami, Magdalena rzuciła:

— Wasi braci też są zaproszeni.

Rzeczywiście — Wandzia Brychczyńska miała brata bliźniaka, Stefana, który chodził do równoległej klasy w znakomitym warszawskim Liceum im. Stefana Batorego. A Lidki brat, Poldek, chodził do klasy ze Stefanem. Tak się ułożyło, że obie jej przyjaciółki miały braci w równym wieku. Wszyscy więc zdawali maturę w maju 1938 roku.

— Dobrze, przekażemy — powiedziała Wanda.

Ona wiedziała, że pomiędzy Magdą i Stefanem zaczęło się to nieokreślone „coś”, co nie jest jeszcze w żadnym wypadku zakochaniem, ale tym, co Lidka nazwała „przedzakochaniem”. W tym stanie niepokój i zaintrygowanie wywołuje każda informacja o obiekcie zainteresowania. Wandzia tymczasem cieszyła się z tego zaproszenia, ponieważ ów osobliwy stan udzielił się także jej. Widziała kilka razy brata Lidki, Poldka. Byli razem na jakiejś prywatce w willi na Ochocie kilka miesięcy temu i od tego czasu Magdalena powracała myślami do Stefana Brychczyńskiego, a Wandzia — do Poldka. Dziewczyny nie potrafiły nazwać tego, czego pragnęły. W ich świecie, gdzie wciąż liczyły się konwenanse i fasada relacji, nie mogły sobie pozwolić na to, na co pozwalali sobie Nałkowska czy aktorzy warszawskich teatrów. Mieszczańskie pochodzenie — mieszczańskie zasady. Zasada to fasada. Dokładnie tak jak w *Granicy* Nałkowskiej, powieści, o którą o mały włos się poważnie nie pokłóciły. Bo takie to było pokolenie, które potrafiło się poróżnić o książki albo o rolę Dymyzy, pośpiewać piosenki Hanki Ordonówny, upić się na umór jarzębiakiem nad Wisłą na plaży i kochać do szaleństwa tylko dlatego, że raz jeden ktoś na kogoś popatrzył. Trzy dziewczyny, pochodzące z trzech różnych gałęzi, które najpewniej nigdy się ze sobą nie zetknęły — a jednak były częścią tego samego drzewa.

*

Po spotkaniu z przyjaciółkami Magdalena miała pewność, że niedługo je ujrzy w towarzystwie ich braci. Nazajutrz przyjechał do Warszawy szofer ojca i zabrał ją do Łodzi. Zawsze miała ambiwalentne uczucia, gdy wracała do domu. Była jedynaczką, a to zwykle sprawia, że więź z rodzicami jest albo bardzo silna, albo wprost przeciwnie — niezwykle słaba. Dziewczyna dość wcześnie straciła matkę. Urodziła się w roku odzyskania przez Polskę niepodległości, jednak szalała wtedy grypa hiszpanka i sześć miesięcy po jej przyjsciu na świat kobieta zmarła. Yvonne pochodziła ze szwajcarskiego kantonu Neuchâtel. Podobno była tancerką, ale ojciec nie lubił jej wspominać. Zawsze tłumaczył, że to dla niego zbyt bolesne. Kiedy Magdalena miała dziesięć lat, ożenił się po raz drugi — z Jadwigą, warszawską aktorką. Chyba niezbyt dobrą, bo nie grała za często, ale za to całe dnie spędzała na przeglądaniu prasy kobiecej albo u fryzjera. Jednak stała się dla Magdy przyjaciółką. Umiała słuchać i można się było przy niej wygadać. Natomiast z papą, jak

mówiła o ojcu Magdalena, można było się dogadać — nie umiał niczego córce odmówić. Jednak dziewczynie wydawało się, że mimo poprawnych, a nawet serdecznych relacji ojciec w gruncie rzeczy zawsze był sam. Niby istniał, jego obecność wyciskała piętno na pałacu Pohlów w Łodzi, ale Magdalena wewnętrznie nie czuła, że go naprawdę spotkała jako człowieka. Miała też wrażenie, że jej problemy go nie interesują. Pochłaniały go przede wszystkim interesy, a ostatnie dziesięć lat pojawiał się w domu głównie w niedzielę.

— Kryzys, córeczko, kryzys. Muszę dbać o ciebie, ptaszynko — mawiał.

— Co to ma wspólnego ze mną, że nie ma cię w domu przez całe dni?

— Papa pracuje — tłumaczył Alois. — Muszę dbać o interesy. Kłócę się z głównym technologiem włókiennictwa, Szlajerem, o nowe materiały, w tym jutę, którą sprowadzano do niedawna z Chin. Ale tam trwa wojna z Japończykami.

— Co mnie to obchodzi, papo! Nie ma cię przy mnie — odpowiadała niezadowolona.

Magdzie obijało się wprawdzie o uszy, że papa jeździł w interesach do Niemiec, ale co tam robił, z kim się spotykał — nie chciała wiedzieć. Miała naście lat i czuła się samotna, dlatego z wielką radością przyjęła informację, że będzie mogła uczęszczać do liceum w Warszawie. To oznaczało wyjazd z domu, gdzie wiało nudą — i życie na stacji! Dlatego gdy dwuletni pobyt w stolicy się skończył, poczuła, że coś straciła. Lubiła samodzielne życie. Nie musiała się przejmować pieniędzmi, bo papa o nią dbał. Tysiąc złotych w tę czy w tamtą stronę nie robiło różnicy.

A teraz nieodwołalnie Magdalena wracała do domu.

*

ŁÓDŹ, MAJ 1938

Na parkingu przed willą Pohlów w Łodzi do auta podszedł osiemnastoletni Romek Popiołek. Pracował u nich jako sprzątac, wynosił śmieci, pucował okna, meble — w zamian za kąpiel do spania. Jego matka była kucharką u Pohlów od zakończenia wielkiej wojny w 1918 roku. Mieszkała w pokoju za kuchnią, a ponieważ chłopak wyrósł i miejsca u matki zrobiło się mało, przeniósł się do pokoiku obok składu z węglem. Zimą było tam przytulnie, gdyż obok znajdowała się kotłownia.

Romek sprawnie otworzył drzwi auta.

— Witamy panienkę Magdalenę w domu — powiedział uprzejmie.

— Dziękuję — odparła, zupełnie nie zauważając, jak się w nią wpatruje. Miała głowę zajęętą planowaniem przyjęcia pożegnalnego, na którym wreszcie zdobędzie serce Stefana Brychczyńskiego i zachwyci przyjaciółki. A potem wyjedzie na studia do Szwajcarii. — Niech Romek zanieś moje rzeczy do pokoju.

Zachowanie Magdy było typowe dla jej sfery, bardzo bogatego mieszczaństwa. W domu Pohlów obowiązywała zasada, że działanie dobrej służby ma być widoczne, podczas gdy

ona sama — niekoniecznie. Romek patrzył na nią jak na bóstwo, gdyż dla takiego chłopaka dziewczyna jej pokroju tym właśnie była: boginią gracji, szyku, smaku i seksapilu. Wykonał więc to, czego oczekiwała, bez słowa, ale z tłumionym pragnieniem jednego ludzkiego gestu, prostego i nic niekosztującego słowa „dziękuję”. Istniał gdzieś obok niej, w świecie zapomnianych i zużywanych przedmiotów, przyblakłych kolorów, resztek z pańskiego stołu, pokoiku obok składu węgla.

Magdalena poszła do swojego pokoju. Było jeszcze przed południem, więc to oczywiste, że ojciec przebywał w fabryce, która była jego właściwym życiem, małżeńskim łóżem i zarazem najukochańszym dzieckiem. Jadwiga pewnie wyruszyła gdzieś na miasto, by zebrać najświeższe ploteczki, więc dziewczyna udała się do łazienki, by się wykąpać po podróży — tego dnia było znów niezwykle upalnie. A ona zawsze dbała o siebie.

Romek Popiołek skorzystał z okazji, że tego dnia ani pana, ani pani Jadwigi nie było w domu. Zawsze bardzo mu się podobał przestronny i ze smakiem urządzony pałac Pohlów. Uważał, że wiele z tego dobra powinno się należeć jego matce za tyle lat ciężkiej pracy. Ale tego dnia, idąc bardzo cicho korytarzem w stronę łazienki, gdzie brała kąpiel panienka, mniej zastanawiał się nad aspektami materialnymi. Sama myśl o tym, że ona tam jest — i to naga! — sprawiła, że poczuł potężną i nieokiełznaną siłę, dotąd spokojnie w nim drzemącą. W umyśle i sercu chłopaka narastał powoli bunt. Ośmielił się marzyć, że to wszystko — te wspaniałości z ich domu — będzie jego, a nade wszystko ubzdurał sobie, że sama panienka będzie jego. Wiele razy sobie wyobrażał, że widzi ją nagą i skrępowaną powrozem, ale nigdy się nie odważył zajrzeć do łazienki, gdy się kąpała.

Zażywająca relaksu w wodzie Magda Pohl nie miała zupełnie świadomości, że pod dachem jej domu czai się mrok ukryty w sercu prostego służącego. Nic dziwnego — w tej epoce Popiołek znaczył tyle co krzesło. A nawet mniej.

*

Gdy Magdalena była dzieckiem, uwielbiała spotkania z papą. Rozpieszczał ją, przez lata cieszyła się wszystkimi tymi czułymi słówkami i prezentami. Jednak z czasem ojciec zgorzkniał i zdystansował się. Dzięki wyjazdowi do Warszawy zrozumiała, że jego prawdziwym domem była fabryka, do domu zaglądał rzadko i od niechcienia. Kiedy przebrała się po kąpieli, poszła do jego gabinetu, gdyż wydawało się jej, że poczuła charakterystyczny zapach wody kolońskiej ojca i dobrych włoskich cygaretek, które namiętnie palił. Zastała go w gabinecie pochylonego nad papierami. Nawet nie zauważył, że stanęła w drzwiach.

— Zastanawiam się, papo, kiedy zarejestrujesz, że wróciłam do domu na moje urodziny — odezwała się w końcu.

Alois Pohl podniósł wzrok. Uśmiechnął się natychmiast.

— Och, przepraszam, córeczko, wiesz, że fabryka jest moim życiem...

— Ale ja też jestem twoim życiem. I Jadwiga — zaproponowała Magdalena.

Ojciec podszedł i czule ją przytulił.

— Wybacz mi, córeczko... Czy miałaś dobrą podróż?

— Jak zawsze. Luksusową.

— Pamiętaj, córcia, że szofer jest do twojej dyspozycji cały czas. Gdybyś miała ochotę gdzieś sobie pojechać, korzystaj.

— Dziękuję, papo, ale zabrzmiało to tak, jakbyś miał mnie dość już teraz. A jestem w domu po raz pierwszy od dwóch lat. — Magdalena nie spodziewała się, że powie coś takiego ojcu, ale uznała, że teraz jest na to najlepszy moment, zanim wyjedzie na dobre na studia do Szwajcarii.

— Nie miałem tego na myśli. Cieszę się, że jesteś. Owszem, poświęcam za dużo czasu na pracę, ale jak wiesz, w Niemczech zaszły głębokie zmiany.

— Co nas to obchodzi?

— Zdziwiasz mnie, moja droga. Jesteśmy Niemcami. To nasze korzenie.

— To prawda, ale nasza rodzina mieszka w Łodzi od siedemdziesięciu lat — skontrolowała Magdalena. — Nie bardzo rozumiem, co mamy wspólnego z Niemcami Hitlera?

Ojciec utkwiał w córce badawcze spojrzenie. Może staremu lisowi przebiegło przez myśl, że rozmija się z nią nie tylko w sprawach bycia w domu, odczuwania, wspólnoty myśli, ale nawet w kwestii identyfikacji narodowej.

— Tak, córeczko, jesteśmy obywatelami Polski. Jednak fakty są takie, że Niemcy Hitlera są naszym sąsiadem, czy tego chcemy, czy nie. Mamy tam interesy.

Magdalena poczuła, że coś jest nie tak jak kiedyś.

— My? — zapytała. — Nie, ojcze. Tylko ty masz tam interesy. Ja nie mam żadnych i nie chcę ich mieć. Jestem dorosła.

Alois Pohl nie spodziewał się takiej postawy u córki. Nie zamierzał jednak się kłócić. Na niedzielę przyjeżdżało wiele ważnych osobistości, w tym niemiecki ambasador w Polsce, Hans-Adolf von Moltke, oraz koledzy i koleżanki córki. Stary Pohl uznał więc, że korzystniej będzie załagodzić spór, zwłaszcza że Magdalena była przecież w wieku powszechnie uznawanym za buntowniczy.

— Owszem, jesteś dorosła — odparł, cedząc każde słowo. — Obiad o piętnastej. Będzie Jadwiga. Nie spóźnij się. Porozmawiamy potem. Jestem pewny, że twoje urodziny udadzą się wspaniale. Zjedzie się trochę gości, jak zawsze, ale pamiętaj, że papa przygotował też dla ciebie coś specjalnego.

I wrócił do swoich papierów.

— Oczywiście — odparła i zniknęła w przestronnym korytarzu.

*

— Dlaczego ojciec się tak zachowuje? — zapytała Magdalena drugą żonę swego taty, Jadwigę.

— To próżność. — Jadwiga paliła cienkiego, mentolowego papierosa w długiej szklanej lufce.

— Co proszę?

— Twój ojciec lubi się przeglądać w odbiciu swej władzy nad ludźmi. Dlatego wybiera zawsze fabrykę, potęgę i budowanie sieci kontaktów.

— Dlaczegoż więc za niego wyszłaś?

Jadwiga Pohl z domu Bielańska wstała z fotela i podeszła do Magdy.

— Bo kiedyś był innym człowiekiem. Nie wiem, na czym polega defekt jego serca. Staralam się, jak mogłam. Chciałam nawet urodzić mu dziecko, choć pewnie nie byłabyś z tego kontenta. Przyrodnie rodzeństwo jest takie trudne, Magdo. Ale on oddalił się ode mnie.

Słowa Jadwigi zastanowiły dziewczynę. Po chwili doszła do wniosku, że to niemożliwe, żeby ojciec przestał je kochać. Możliwe natomiast, że jego miłość własna wzięła górę nad wszystkim innym. Po chwili postanowiła zapytać o coś, co ją naprawdę niepokoiło.

— Czy tata ma kontakty z Niemcami?

Jadwiga parsknęła śmiechem.

— Pytanie! Przecież jesteście łódzkimi Niemcami.

— Nie chodzi mi o język ani o kulturę.

— O partię Hitlera? — zapytała zaskoczona Jadwiga. — Jeśli o to pytasz... Nie wiem. Twój ojciec nie spowiada mi się z żadnych swoich interesów. Czy wiesz, że jutro przyjedzie ambasador niemiecki Hans-Adolf, graf von Moltke?

— Tak, papa wspominał. — Magdalena uśmiechnęła się złośliwie.

Jadwiga wyczuła, że dziewczyna ma dystans do hitlerowskich Niemiec. Może to i dobrze, pomyślała.

— Czy ktoś przyjeżdża do ciebie, Magdo? — zapytała po chwili.

Dziewczyna uśmiechnęła się na samą myśl, że spotka się z tymi, na których naprawdę jej zależy. Ojciec stał się taki zimny i odległy.

— Oczywiście. Wandzia Brychczyńska z bratem Stefanem i moja druga koleżanka, Lidka Rosenman, i jej brat Poldek. To moi przyjaciele. Chcę spędzić z nimi trochę czasu, zanim wyjadę do Szwajcarii.

Jadwiga zaciągnęła się papierosem. Palenie w obecności maturzystki w dobrym domu uchodziłoby za nietakt, ale ona miała liberalne nastawienie. Zresztą — Magdalena także. Nie stanowiło to kłopotu.

— Nad czymś się zastanawiasz?

— Czy ta Lidka i Poldek to Żydzi? — zapytała Jadwiga.

— A czy to dla ciebie jakiś problem? — odpowiedziała pytaniem na pytanie Magdalena.

— Wiesz przecież, że nie. Ale myślę, że dla twojego ojca... W świetle tego, że...

— ...przyjeżdża ten okropny ambasador — dopowiedziała i westchnęła. — Na szczęście to moje urodziny i mogę zaprosić, kogo chcę. Papa wspomniał o niespodziance. Powiedz mi, proszę, co to, bo okropnie się denerwuję.

— Nie mogę. Trzyma to w tajemnicy. — Jadwiga rozłożyła ręce.

Przegadały resztę czasu do obiadu.

ROZDZIAŁ II

Wróżba

ŁÓDŹ, KONIEC MAJA 1938

Magdalena Pohl nie mogła się doczekać przyjaciół. Wanda i jej brat Stefan, a także Lidka i Poldek przyjechali do Łodzi pociągiem z Warszawy. Magda kupiła dla nich bilety w klasie pierwszej, żeby podróż była naprawdę luksusowa, a szofer wyruszył po gości na dworzec.

Dziewczyna czekała z niepokojem, więc gdy renault vivasport model 1935 w imponującej wersji z dachem zajechał w końcu na wybrukowany dziedziniec przed pałacem Pohlów, poczuła ulgę. Zaraz go zobaczę, westchnęła w duchu.

Cały czas myślała o Stefanie Brychczyńskim, bracie Wandy. Zbiegła na dół przez wielką klatkę schodową. Ujrzał ją wtedy Romek Popiołek, tego dnia przebrany w liberię lokaja, i pomyślał, że panienska Magdalena jest najpiękniejszą kobietą, jaką było mu dane widzieć. I że kiedyś nadejdzie dzień, w którym córka jaśnie państwa będzie jego, choć dziś stanowiła dla niego nieosiągalny poziom.

Magdalena tymczasem wyszła przywitać przyjaciółki. Wanda i Lidka wyglądały na bardzo zadowolone z zaproszenia i podziwiały piękno i ogrom pałacu Pohlów. Dziewczyny uściskały się bardzo serdecznie. W końcu jednak wzrok Magdy spoczął na Stefanie Brychczyńskim, wysokim, młodym człowieku, którego twarz przypominała jej młodego mężczyznę z obrazu Sandra Boticellego. Stefan miał przyjemną powierzchowność, nienaganne maniery i pewną dozę nieśmiałości, która tak pociąga kobiety.

— Czuję się prawie jak Karol Borowiecki przed pałacem Hermana Bucholca — rzekł.

— A ja mógłbym się poczuć jak Moryc Welt — dorzucił Poldek Rosenman, który umizgiwał się do Magdy na wszystkich prywatkach, na których widywali się w Warszawie.

— Cieszę się, że was widzę, choć Łódź to nie ziemia obiecana, a mój dom to nie pałac — powiedziała nieco zakłopotana Magdalena.

Uważała się za dziewczynę idącą z duchem Nałkowskiej, jak mówiono w kręgach warszawskich, wyzwolonych z mieszczańskiej moralności, ale w obecności Stefana Brychczyńskiego zupełnie traciła pewność siebie. Nawet dotyk jego dłoni podczas powitania elektryzował. Jednak starała się bardzo ukryć swoje uczucia, co jednak nie uszło uwadze Lidki, której Brychczyński też się podobał.

Po przywitaniu Magdalena zaprosiła ich do salonu na kawę i truskawki ze śmietaną, a milczący i pogodzony ze swoim losem Romek Popiołek zataszczył toboły do pokoi. Bez słowa. Żadna z tych radosnych, młodych osób nie zwróciła tego dnia uwagi na służącego.

*

Po truskawkach przyszedł czas na drzemkę, ale po południu zelektryzowała wszystkich wiadomość, że do rezydencji Pohlów przyjechał najstłynniejszy Szwajcar w Polsce — Eugeniusz Bodo. Przybył oczywiście własnym samochodem — choć z szoferem, sam nie prowadził — z wielkim dogiem arlekinem wabiącym się Sambo. Alois Pohl zrobił córce przyjemność — specjalnie dla niej Bodo miał w ogrodzie różanym zaśpiewać kilka swoich szlagierów podczas przyjęcia urodzinowego. Cóż, bogactwo przyciąga sławę. To truizm, ale w II Rzeczypospolitej była to prawda równa tej, że sława mijała szybciej od letniej burzy.

Młodzież oczywiście natychmiast otoczyła aktora.

— Kiedy doprowadzi pan wreszcie Dymśkę do wariatkowa i zrobi kolejny wielki film? — zapytał Poldek Rosenman gwiazdora jedzącego zupę na szyjkach rakowych.

— Ja się bardzo staram, ale jest równie prawdopodobne, że to Adolf mnie wykończy — powiedział Bodo i zrobił śmieszoną minę.

— Zwłaszcza że za miedzą drugi Adolf — zauważył przytomnie Stefan Brychczyński. Bodo spoważniał. Przyłożył palec do ust.

— Cicho, chłopcze, cicho, bo z tym drugim Adolfem nie chcemy mieć nic wspólnego.

— Żeby pan wiedział — rzekł Stefan.

— Macie okazję zobaczyć mnie w moim najnowszym filmie.

Bodo przyjechał bowiem do Łodzi nie tylko dlatego, że występował tu za pieniądze, i to niemałe, ale także dlatego, że zbierał środki na swój własny film, który chciał wyreżyserować. A ojciec Magdy Pohl był... bogaty.

— A co to za film? — zapytała Wanda Brychczyńska.

Aktor znów zrobił minę w swoim stylu i odpowiedział kobiecym głosem:

— Skłamałam.

— Kto skłamał?

— Tak się nazywa film. „Skłamałam”. To dramat i gram w nim czarny charakter. Myślę, że dają go jeszcze w kinie.

Młodzież pogwarzyła z Bodo, pożartowała z nim, a Poldek stoczył ze słynnym aktorem pojedynek na miny, co chyba odpowiadało lekkości majowego wieczoru i czasu, w jakim wówczas żyli. Magdalena nie dostrzegала, że byli na krawędzi wulkanu, łudząc się, że nic strasznego nie może przyjść na ziemię obiecaną. Dla nich Łódź była niebem, ale dla większości robotników i ich rodzin — piekłem.

*

Piątka przyjaciół poszła zatem na wieczorny seans dramatu „Skłamałam” do Grand Kina na Piotrkowskiej. Ale nie wszyscy po filmie byli zadowoleni.

— Mnie się bardzo podobało — stwierdził Poldek Rosenman.

— Nie zgadzam się — zaproponował młody Brychczyński. — Nie grali przekonująco.

Dziewczyny słuchały z zainteresowaniem.

— Ale przyznasz, że oglądało się lekko. Poza tym Bodo jest aktorem naturszczykiem — nie dawał za wygraną Poldek.

— A ile takich filmów już widzieliśmy? Smosarska jak zwykle na dobrym poziomie, ale po prostu wynudziłem się pod koniec.

— Chodźmy do Grandki — zaproponowała Magdalena. W końcu znała Łódź najlepiej.

W restauracji Grand można było poszaleć za nieźle pieniądze. I choć papa nie dawał siebie samego, to nie skąpił jedynej córce pieniędzy w wigilię jej urodzin. W Grandce, jak zdrobniale nazywali ją łodzianie, nie było ulicznych zakapiorów. Tego wieczoru można było posłuchać naprawdę nieźłej muzyki klezmerskiej, bo społeczność łódzkich Żydów była zżyta z miastem. Przy skocznych dźwiękach trąbki, klawesynu, skrzypiec i akordeonów młodzież omówiła film, oplotkowała Bodo i jego psa — przy czym Stefan stwierdził, że nigdy w życiu nie widział większego bydłęcia — i po prostu napiła się wódeczki. O wiek nikt ich nie pytał.

Magdalena bardzo się starała być blisko Stefana Brychczyńskiego, jak najbliżej tylko mogła. Między Wandą Brychczyńską i Poldkiem też jakby zaiskrzyło. Brat Lidki mógł się podobać — szczupły, śniady, ale o pięknej aszkenazyjskiej twarzy, ciemnych oczach i pięknych palcach. Wódka, dobrze zmrożona, tego wieczoru też nadzwyczaj dobrze się piła! W pewnej chwili jednak, kiedy dźwięczał jeszcze głos klezmerskiej trąbki, podeszła do nich Romka.

— Powróżyć młodym państwu?

Wszyscy mieli już nieźle w czubie, toteż nikt jej nie odgonił. Zresztą Lidka Rosemnan stanowczo by się sprzeciwiła.

— Powróż nam wszystkim, a nie każdemu z osobna.

Na te słowa wróżbiarka jak gdyby się złąkla. Patrzenie w przyszłość dla wielu osób przychodziło jej z trudem. Ale banknot dwudziestozłotowy z Kościuszką szybko ją przekonał.

— Pokażcie mi dłonie. Z nich popatrzę w waszą przyszłość.

— Sama nie wierzę, że to robimy — powiedziała Magdalena do Stefana.

Po raz pierwszy popatrzyli sobie głęboko w oczy. Siedzieli obok siebie. Dziewczyna czuła ciepło jego ciała. Stefan pachniał dobrą wodą kolońską. Pragnęła go bardziej niż kiedykolwiek, ale on, będąc dżentelmenem, nie próbował wykorzystać sytuacji.

— To zabawne, ale może ona coś zobaczy — zażartował Poldek.

— Może nawet poznamy naszą przyszłość — podchwycił temat Stefan.

— Młody człowieku — rzekła poważnie romska kobieta. — Nie powinieneś drwić z moich umiejętności.

— O tak, twoje umiejętności kosztują pewnie drogo, zważywszy na to miejsce — dodał chłopak.

Cała piątka wpatrywała się w tę dziwną kobietę, która zjawiała się w — co tu dużo mówić — ekskluzywnej restauracji nie wiadomo skąd. Emanowała z niej jakaś siła, której źródła nie potrafili odgadnąć. Spoglądała na nich jak ktoś, kto ma swój honor i niepojętą dla nich logikę, i dzięki niej widzi to, czego nie można zobaczyć.

— Obrażacie mnie, jednak ja wam powiem, jaka będzie wasza przyszłość. Jesteście przyjaciółmi, wiem to. Wiem też, że łączą was więzy uczuć jeszcze nienazwanych i niewypowiedzianych, ukrytych w waszych spojrzeniach.

Gdy wróżbiarka to powiedziała, natychmiast wszelkie żarty, docinki i drwiny zakończyły się w jednej chwili. Zapadła cisza. A ona czekała.

— W takim razie pokaż, co wiesz z linii życia — odezwała się w końcu Magdalena.

— Sami w to nie wierzycie — odpowiedziała kobieta.

— To powiedz, co nas czeka — zaproponował Poldek.

Kobieta spojrzała na nich raz jeszcze.

— Tylko jedno z was przeżyje następne dziesięć lat.

Stefan parsknął śmiechem, ale szybko się opanował, bo zarówno jego siostra, jak i Magdalena z Lidką pozostały poważne. Nikomu nie było do śmiechu. Mniej było ważne, co kobieta powiedziała, a bardziej — jak to zrobiła.

— Kto? — Magdalena nie wytrzymała napięcia.

Romka spojrzała na nią, ale nie odpowiedziała. Dziewczyna uznała, że chodzi o nią.

— Jak umrzemy w takim razie? — zapytała Wanda.

— Nagle i w sposób nieoczekiwany. Nie widzę dokładnie, ale wiem, że tylko jedno z was za dziesięć lat będzie żywe.

Zrobiło się dziwnie. Wódka szumiała im w głowach. Nie chcieli rozmawiać o śmierci, bo nie zakosztowali jeszcze w pełni życia. Magda wręczyła romskiej kobiecie banknot, żeby nie przedłużać tej niekomfortowej sytuacji. Kobieta szybko się ulotniła, jak gdyby nigdy jej tu nie było.

— Co za absurd — powiedział w końcu Poldek, który słynął z racjonalistycznych zapatrywań i z tego powodu na zajęciach z religii mojżeszowej często klócił się z rabinem.

— Chodźmy — zaproponowała Magdalena, widząc, że Wanda trochę za dużo wypila. — Czas się wyspać, bo jutro należy do mnie.

Poszli zatem do pałacu Pohlów. Każdemu z nich słowa Romki utkwiły jednak głęboko w duszy.

*

Na następny dzień zostało zaplanowane przyjęcie, na którym specjalnie dla Magdaleny miał zaśpiewać Bodo. Oprócz tego na gości czekały wspaniałe dania i najlepsze wina. Dziewczyna dobrze знаła swego ojca, ale całe to niezwykle przedsięwzięcie wydawało jej się nieprawdopodobne — papa nigdy wcześniej czegoś podobnego nie zrobił.

Zwierzyla się ze swoich myśli Jadwidze, a ta odrzekła:

— Więc to jest ten pierwszy raz. Kocha cię. Ma ciebie jedną. Jedyną. Docień to.

Magdalena wzruszyła ramionami. Nie żeby nie doceniała gestu ojca, który wydał mnóstwo pieniędzy w czasie, gdy wszyscy wciąż odmieniali przez wszystkie przypadki słowo „kryzys”. W Polsce kryzys po krachu na Wall Street z 1929 roku z całą mocą dał o sobie znać w latach następnych. Alois Pohl dokonywał rzeczy niewyobrażalnych, żeby utrzymać się na powierzchni. Przez te wszystkie lata Magda dobrze się uczyła, miewała co rok urodziny, ale nigdy nie było takiej fety. Teraz wyczuwała, że kryło się pod tym coś jeszcze. Co takiego? — zastanawiała się.

— Czy naprawdę przyjeżdża ten ambasador z Niemiec?

— Tak — odpowiedziała Jadwiga. — Ojcu zależy, żebyś dobrze się zaprezentowała. Mówił mi wczoraj wieczorem przed pójściem spać, że jesteś jego klejnotem.

Magdalena nie miała ochoty pytać, o czym jeszcze małżonkowie rozmawiali przed zaśnięciem — uważała się za dobrze wychowaną dziewczynę. Słowa Jadwigi świadczyły jednak o tym, że wizyta niemieckiego ambasadora nie była przypadkowa.

*

Hans-Adolf von Moltke, pochodzący ze znanej pruskiej rodziny, przybył koło południa. Nie był sam — delegacja niemiecka przyjechała dwoma samochodami. Magdę to mocno zdziwiło, ale teraz miała pewność, że pod pretekstem jej urodzin papa spotykał się z jakimiś figurami z Rzeszy lub z przedstawicielami niemieckiej mniejszości na Śląsku. Aby pokazać ojcu, że nie podoba jej się takie traktowanie, postanowiła ubiec Jadwigę i wyszła do nich jako pani domu. Jako córka Aloisa Pohla mogła sobie na to pozwolić. Powitała ich po niemiecku, gdy wchodzili do wielkiego salonu, wszyscy nienagannie ubrani. Scenę obserwował Romek Popiołek — ubrany w liberię był niewidoczny, a po niemiecku nie rozumiał ani słowa.

— Miło mi, że panowie przyjechali na moje urodziny, choć chyba nie mieliśmy nigdy przyjemności się poznać.

Mężczyźni byli wyraźnie zaskoczeni. Dopiero po chwili pojawił się Alois Pohl.

— Poznajcie moją córkę — rzekł, po czym przywitał się z ambasadorem.

Co za wyniosły typ, pomyślała Magdalena.

— Miło mi poznać panienkę. — Hans-Adolf von Moltke skinął głową. — Mam nadzieję, że tak jak ojciec będzie panienka działać na rzecz naszej ojczyzny, Rzeszy Niemieckiej.

— Jesteśmy w polskim mieście i w Polsce — odpowiedziała Magdalena. — To jest mój kraj.

Jej akcent nie pozostawiał jednak wątpliwości, że jest też Niemką. O to jej chodziło. Widziała, że ojciec jest wściekły. Gdyby była młodsza, bez wątpienia by jej przyłał. Ale teraz nie mógł nic zrobić. Nie przy tych ludziach.

Ambasador, przekonany, że będzie przyjęty w niemieckim domu, wyraźnie czuł się niezręcznie.

— Rozumiem, że panienka mieszka w Polsce. To naturalne. Jednak jest panienka Niemką i służba Rzeszy nie przyniesie jej ujemy na honorze — rzekł.

Trochę wybrnął z poprzedniej niezręczności, ale nie do końca.

— Papo, czy przedstawiś mi panów, skoro przyjechali na moje urodziny? — zapytała nagle Magdalena. Kolejny udany cios.

Alois przyjął wyzwanie i tak jego córka poznała kilku czołowych niemieckich działaczy związkowych w Polsce. Trzech przyjechało ze Śląska, a jeden z Bydgoszczy, gdzie mieszkała spora mniejszość niemiecka. Pozostali mężczyźni byli obstawą ambasadora.

— A teraz zapraszam do stołu — oznajmiła.

*

Na obiedzie pojawił się także Eugeniusz Bodo, który szybko ściągnął na siebie całą uwagę, przybyli również krewni Jadwigi, oczywiście Polacy, oraz zaprzyjaźnione rodziny fabrykantów z Łodzi. Magdalena pamiętała ich z dzieciństwa — uczestników obowiązkowych rautów odbywających się według scenariusza „raz u nas, raz u was”. Obiad podano na werandzie pałacu, między rozstawionymi wielkimi donicami z palmami, które zamówiono we Włoszech wiosną. Teraz rzucały przyjemny cień, choć dzień był upalny i duszny. Wciąż nie mogła się pogodzić z tym, że ojciec zaprosił na jej urodziny tamtych ludzi. Najważniejsze jednak dla niej było to, że w tym niezwykłym dniu miała przy sobie przyjaciół. I to oni zasiedli koło niej — Stefan Brychczyński z siostrą po prawej, a Poldek z Lidką po lewej. Wniesiono czerninę, świetnie doprawioną pieprzem, a potem szczupaki po litewsku, gotowane w czerwonym barszczu, i karasie, i liny w śmietanie. Do tego miód pitny.

Dobór dań nieco zaskoczył Magdalenę. Zerknęła na Niemców — jedli, ale jakoś tak niespecjalnie z apetytem.

— Nie smakują panu polskie dania rybne? Polacy mają wyjątkowe przepisy na ryby słodkowodne — zagadnęła po niemiecku ambasadora.

— Lubię tradycyjne niemieckie dania.

— Zawsze można spróbować czegoś innego. Jadł pan karpia po żydowsku?

Na te słowa Magdy Poldek uśmiechnął się. Nałożył sobie właśnie sporą porcję szczupaka i jadł ze smakiem. Wymienił spojrzenia ze Stefanem — obaj wiedzieli, że zaraz nastąpi zwarecie.

— Przepraszam, nie dosłyszałem. — Ambasador próbował uniknąć konfrontacji.

— Karpia po żydowsku — powtórzyła przesadnie wyraźnie. — Karp to taka ryba słodkowodna, bardzo w Polsce popularna. Polscy Żydzi mają oryginalną kuchnię, której powinien pan skosztować.

— Nie wiem, czy chciałbym o tym rozmawiać.

— Nie lubi pan jeść?

— Lubię — odparł von Moltke. — Ale preferuję niemieckie potrawy.

— To może jakieś charakterystyczne dania kuchni aszkenazyjskiej? Czulent na przykład — rzekła Magdalena przekonująco. — Aszkenazyjczycy to przecież Niemcy.

— Chyba nie polubiłbym tej potrawy, młoda damo. — Ambasador był coraz wyraźniej zirytowany.

— Dlaczego? To przecież bardzo smaczne. Jadamy na święta Bożego Narodzenia. — Dziewczyna nie ustępowała. — Wprawdzie smak jest dość oryginalny, ale warto spróbować.

Wtedy do rozmowy włączył się Alois Pohl.

— Magdo, pan ambasador nie jada potraw żydowskich z oczywistych powodów.

To miało uciąć niewygodną dla Niemca dyskusję, ale całą rzecz usłyszał zajądający obiad Bodo. Jego wielki pies chodził wokół stołu i żebrał o jakiś smaczny kawałek dla siebie.

— Ja tu jestem oczywiście gościem ze względu na młodą damę — rzekł aktor i puścił oko do Magdy. — Ale widzi mi się, że rozmowa o kuchni ustępuje rozmowie o narodowościach, a to jest już niebezpieczne.

— Dlaczego? — podchwyciła temat Jadwiga, która po cichu wspierała Magdę w jej walce z akolitami nazistowskich Niemiec.

— Bo zaraz się okaże, że taki ktoś jak ja — ciągnął Bodo — zostanie uznany za niebezpiecznego. Moja mama jest Polką, urodziłem się w Polsce, ale tato świętej pamięci był Szwajcarem. Mam też zresztą obywatelstwo szwajcarskie. Jestem więc mieszaneem, czyż nie?

Ktoś przetłumaczył ambasadorowi słowa aktora, który — choć mówił doskonale po niemiecku — nie chciał w tym momencie używać tego języka.

— Nie wiedziałem — rzekł von Moltke. — W takim razie mam nadzieję, że wystąpi pan w jakimś solidnym niemieckim kinie.

— To jest propozycja? Proszę wybaczyć, ale w Polsce mam nadmiar filmowych propozycji.

Rozmowa zupełnie się nie kleiła. Alois Pohl zamierzał przejść już z wysłannikami Rzeszy do omówienia swoich projektów, jednak na przeszkodzie znów stanęła Magdalena.

— Lidka, opowiedz, jak przyrządzacie karpia po żydowsku w waszym domu — zwróciła się po niemiecku do przyjaciółki.

Zanim zaskoczona Lidka zdołała zdradzić sekrety kulinarne, ambasador nagle wstał.

— Widzę, że nie jestem szanowany w pańskim domu, panie Pohl.

Tego Magdalena już nie wytrzymała. Postanowiła postawić wszystko na jedną kartę.

— Przeciwnie. Wszyscy w tym domu, zarówno ja, jak i moi przyjaciele, okazaliśmy panu szacunek, siadając z panem do stołu. Nie wiem, z jakiego powodu uważa pan, że został u nas źle potraktowany.

— Nie chciałem, żeby pani tak to odebrała. — Von Moltke poczuł, że się zagalopował, i spróbował uspokoić sytuację.

— Ja lubię karpia po żydowsku i wszystkie inne potrawy naszej kuchni. Oczywiście koszerne, bo jakże inaczej — oświadczył w końcu Poldek, dla którego postawa ambasadora także była nie do przyjęcia.

— Pan jest Żydem? — zapytał nieśmiało von Moltke.

— Owszem. Nie rozpoznał mnie pan rasowo, gdy zasiadał pan do stołu? — ironizował Poldek. — O proszę, mam żydowski nos.

Bodo podchwycił żart.

— A ja mam szwajcarski nochal. I bardzo mi się przez niego smarkać chce!

Wanda i Magdalena, a także Jadwiga, siedząca obok swego męża, wybuchły śmiechem. Tymczasem Bodo z Poldkiem omówili po kolei wszystkie części swoich twarzy i doszli do wniosku, że muszą być Żydami wymieszanymi ze Szwajcarami. Niemiecki ambasador z trudem to znosił — bardzo nie podobało mu się zasiadanie do jednego stołu z Żydem.

— W Rzeszy to byłoby niemożliwe — rzekł po cichu jeden ze Ślżaków.

— Ale tutaj jest na szczęście Polska — sparowała natychmiast Magdalena i mężczyzna natychmiast się uciszył, grzebał już tylko widelcem w talerzu.

Poldek Rosenman uśmiechnął się. Niemiecki ambasador musiał przełknąć to, że siedzi przy jednym stole z Żydami.

Gdy już się najedli, przyszedł czas na występ Bodo. Recital skupił wszystkich zaproszonych. Artysta akompaniował sobie na fortepianie³ i zaśpiewał część swoich piosenek z kabaretu Qui Pro Quo oraz z filmów muzycznych, co wszystkim bardzo się podobało. Rozległy się oklaski, a uczestnicy urodzin Magdy zachęcali aktora do bisów. Ta część wieczoru była bardzo udana.

*

Było już późno, może koło dwudziestej trzeciej, gdy Alois Pohl pożegnał swoich niemieckich gości. Rozmawiał z nimi kilka godzin od obiadu, podczas gdy Magdalena i jej przyjaciele spędzili wspaniały wieczór w towarzystwie Eugeniusza Bodo. Aktor wziął za ten występ na pewno kilka tysięcy złotych.

Teraz Magdalena czekała na ojca. Usiadła w jego salonie, wciąż jeszcze wypełnionym przenikliwym zapachem z wypalonych cygar. Po odprawieniu gości zawołał ją na rozmowę. Musiało do niej dojść.

— Próbowałaś mnie dziś zdyskredytować. Co to za idiotyczne pytania skierowane do naszego gościa? Myślałem, że zdałaś maturę i zmądrzałaś. Spodziewałem się, że pokażesz, jak dobrze znasz kulturę niemiecką. Ambasador mógł ci napisać list polecający na jakiś niemiecki uniwersytet...

— Co według ciebie miałabym studiować w Niemczech? — Magdalena nieoczekiwanie przerwała ojcu. — Może doktrynę polityczną Hitlera? A może uwolnioną od Żydów architekturę?

— To byłoby dobre dla rodziny!

— Żebyś mógł, papo, sprowadzać tutaj, do naszego domu, tych ludzi? — zapytała ironicznie. — Nigdy się na to nie zgodzę i wątpię, czy mama, gdyby jeszcze żyła, by się na to godziła.

Wspomnienie zmarłej zabolalo ojca. Córka doskonale o tym wiedziała.

— Czy mogłabym wiedzieć, w jakim celu to zrobiłeś? Czemu posłużyłeś się moimi urodzinami, żeby to przykryć? Bo takie właśnie mam wrażenie.

— Moje interesy nie są twoją sprawą — rzekł twardo Alois Pohl. — To, co robię, robię dla dobra rodziny. Przyjdzie czas, że to docenisz. Tylko ze względu na ciebie tolerowałem tutaj tego Żyda i jego siostrę. Więcej ich tu nie zaprosisz.

— Będziesz więc tu mieszkał sam.

— Mam Jadwigę, nie jestem sam. A ty, moja droga, wyjeżdżasz do Szwajcarii. Niemiecka kultura dobrze ci robi. Masz być w Zurychu za dwa tygodnie. A teraz możesz iść do siebie.

Magdalena uznała, że dalsza rozmowa nie ma sensu. Ojciec oddalił się od niej, znajdował się na jakimś niedostępnym dla niej łądzie. Chciało się jej płakać, ale powstrzymała się. Pozwoliła sobie na łzy dopiero wtedy, kiedy usiadła na łóżku w swoim pokoju. Ten dzień kosztował ją wiele emocji.

Po chwili usłyszała, że ktoś puka do drzwi. Zdziwiła się — było już dobrze po północy. Otarła łzy chustką i otworzyła. W korytarzu stał Poldek Rosenman. Nie spodziewała się go. W głębi serca liczyła na to, że przyjdzie Stefan Brychczyński, ale cóż — chłopak wypił dziś dużo wina i głównie żartował z Eugeniuszem Bodo.

— Czy możemy porozmawiać? — zapytał brat Lidki.

— Wanda i Lidka już śpią? — zapytała idiotycznie Magdalena.

— Tak, ale ja przyszedłem tutaj dla ciebie.

Dziewczyna przesunęła się i Poldek wszedł do pokoju. Zamknęli drzwi.

— Dla mnie?

— Tak, Magdo, dla ciebie. Byłem dziś bardzo dumny, że przeciwstawiłaś się tej hitlerowskiej świni.

— Bardzo cię przepraszam, ale mój ojciec...

— Nie musisz przeproszać. Postawiłaś się temu ambasadorowi i swojemu ojcu. To dla mnie najważniejsze.

Usiedli obok siebie na skraju jej łóżka.

— Co będzie dalej z nami? — zapytał Poldek.

Dopiero teraz zauważyła, że mógł się podobać. Dopiero teraz dostrzegła, że zajęta wcześniej fantazjowaniem o Stefanie zupełnie go przegapiła.

— A jesteśmy „my”? — zapytała.

— Bardzo chciałbym, żeby tak się stało — odparł Poldek.

— Ale ja wyjeżdżam do Szwajcarii i nie chciałabym cierpieć.

— Wiem, ale teraz jesteśmy tutaj razem i jeszcze przez kilka dni możemy udawać, że nie wyjedziesz.

Chciała tego. Czym innym jest mówić o inicjacji miłosnej, a czym innym ją przeżyć. Położyła dłoń na jego dłoni. Pomyślała, że być może będzie tego żałować, ale poddała się chwili. Pchnęła go na łóżko. Zdołała jeszcze zgasić lampę naftową na stoliku obok. I tak jej ciało zlało się z innym ciałem, stworzyły jedno. Noc wypełniła się dla nich miłością po raz pierwszy. Nie zdawali sobie jednak sprawy z tego, że mieli świadka — Romek Popiołek lubił podsłuchiwać i podpatrywać. A teraz stał na tarasie i przez otwarte drzwi widział wszystko.

Kochał Magdę Pohl — i jednocześnie jej nienawidził.

*

Kiedy już Romek Popiołek zobaczył to, co powinno być dla wzroku innych ludzi zakryte, i sam zaspokoił się pokątnie i w największej skrytości, zszedł na dół do pomieszczenia, gdzie mieszkała matka — kucharka i gospodyni. Do miednicy, obitej, ale nieprzeciekającej, stara Popiołkowa naląła nieco ciepłej wody. Większość zużyła wcześniej do mycia naczyń, ale tę resztkę postanowiła wykorzystać dla siebie — była już starsza i puchły jej nogi. Cierpiała po cichu, ale bóle były coraz częstsze. Romek miał tylko ją. Jego ojciec, miejscowy szalawita, pił, szalał, aż wreszcie poszedł w świat wiele lat temu i zostawił ją samą z dzieckiem. Pohlowie zlitowali się i pozwolili jej zostać u nich w małym pokoiku. W ramach obowiązków gotowała, dbała o porządek, pucowała wielkie korytarze. Syn

skończył tylko cztery klasy szkoły powszechnej i poszedł do pracy, by pomagać matce. Sprzątał, wynosił wiadra z nieczystościami. Żywili się tym, co zostało z pańskiego stołu.

— Myj się i idziemy spać — rzekła teraz, bardzo zmęczona.

— Mama źle wygląda. — Romek przyglądał się jej z zatroskaniem.

— Umęczyłam się dziś tym zmywaniem.

— Mama ciągle musi zmywać gary tym... Szwabom. Widziała mama tego niemieckiego pośła dzisiaj?

Jako służący nie powinien się tym interesować, ale polska ulica, polska knajpa, polska opinia bulwarowa, z której Romek czerpał pełnymi garściami, była zażarcie przeciwna Niemcom.

— Co ty gadasz, Pohlowie dobre ludzie są. Możemy tu mieszkać, jeść mamy za darmo...

— Jeść? — oburzył się Romek. — Resztki z ich stołu jemy, mam!

Maria Popiołkowa miała już pięćdziesiąt lat. Życie jej nie rozpieszczało. Jakie miała wyjście? Wychowywała samotnie dzieciaka. Jeśli będzie się stawiać, powie coś nieuprzejmego Pohlom, to wyląduje na ulicy. W Łodzi żyły i gnieździły się w byle norach tysiące robotniczych rodzin, które miały gorzej niż oni. Pamiętała, że jak w 1930 roku w Polsce szalał kryzys, to z tych resztek ze stołu Pohlów najadali się nie tylko oni, ale też rodzina jej siostry. Tamci stracili pracę w przemyśle włókienniczym. Dopiero niedawno przenieśli się do Stalowej Woli. Za pracą.

— Żebyś wiedział, ile ludzi chciałoby tak jeść.

— To są ochłapy! — zaprotestował Romek. — A ja mam dziś urodziny, mam!

— Całkiem zapomniałam! — Popiołkowa uśmiechnęła się przepraszająco. — Wszystkiego najlepszego, synu. Ale woda stygnie w miednicy. Nogi po tobie chciałam sobie wymoczyć.

— Bolą cię?

Dopiero teraz zauważył, że były opuchnięte. Matka nie mogła tak ciężko pracować. Musi o tym powiedzieć panu Aloisowi.

— Cicho, synek, cicho. Pan Pohl nie może nic wiedzieć, bo mnie zwolni. I co wtedy z nami będzie? Nie masz tu źle.

Romek poczuł wściekłość. Nie na matkę, bo tę kochał, ale na Pohlów — na tych skurwysynów, które wysysały z klasy robotniczej każdą kroplę krwi, każde tchnienie życia i zamieniały je w swoje bogactwo. Zaciśnął zęby. Woda była ciepła. Umył matce nogi szarym mydłem. Potem sam się umył w tej wodzie. Zjedli resztki ze stołu. Nawet smaczne. Jak zawsze. Ale Romek tego właśnie dnia przysięgł sobie, że to wszystko będzie kiedyś jego. I Magdalena Pohl, ta wyniosła, dumna niemiecka dziewczyna — też będzie jego

własnością. Nadejdzie zemsta na te wszystkie krezusy łódzkie czy warszawskie, cholera ich jedna. O tak, nastanie taki dzień, kiedy Romek Popiołek się zemści. Był tego pewien.

WARSZAWA, DWA TYGODNIE PÓŹNIEJ

Dwa tygodnie od przyjęcia w pałacu Pohlów w Łodzi upłynęły Magdzie jak sen. Była szczęśliwa jak nigdy. Nie chciała zostawać w domu ojca, udała się więc z przyjaciółmi do Warszawy. Cieszyła się, że do Szwajcarii przez Wiedeń pojedzie z dworca kolejowego w stolicy. Miała przy tym wygodny pretekst, żeby pobyć z Poldkiem. Nigdy by nie przypuszczała, że miłość może — jak się jej wydawało — narodzić się między ludźmi pochodzącymi z tak różnych światów. Przez te dwa tygodnie przygotowywała się do wyjazdu, ale też chodziła z Poldkiem na każdy nowy film, wystawę i wydarzenie kulturalne.

Pewnego dnia chłopak oznajmił:

— Zabieram cię na Pragę.

— No co ty!

Dla panienki z dobrego domu prawobrzeżna część Warszawy była jak ziemia nieznaną — ojczyzna zakapiorów i szemranych spelun. Ale Poldek miał inny pomysł — chciał, aby zapamiętała Warszawę jako miasto żywych ludzi, kontrastowe, żywe, wspaniałe i... brudne. Zabrał ją na koncert muzyki chodnikowej. Stali wśród ludzi, którzy klaskali grupie warszawskich muzykantów ulicznych. Leciały same szlagiery: „Tango grajcie mi”, a potem „Panna Andzia ma wychodne”, „W tramwaju” czy „U państwa Blajów”. Magdalena zobaczyła dzisiaj innego Poldka niż tego, którego widziała na przyjęciu u siebie w Łodzi — zwykłego, żydowskiego chłopaka, który jednak nade wszystko był i czuł się warszawiakiem. W pewnej chwili ścisnęła go silniej za dłoń, a on poczuł ten dotyk i uśmiechnął się do niej.

Było czarownie i niepowtarzalnie, dopóki ktoś za nimi nie powiedział:

— Co panienka tego Żydka tak obściskuje?

Magdalena i Poldek natychmiast się odwrócili. Stał tam jakiś gość z krótko podciętym wąsem, w lichym palcie, z papierosem w dłoni.

— Co to pana obchodzi? — zapytała Magdalena.

— Bo widać, że panienka z dobrego domu.

— Jestem warszawiakiem — rzekł dotknięty Poldek.

— Kto jest, a kto nie jest warszawiak, to się pan nie wtrącaj. Żydek jesteś, i już. Idźcie stąd, pókim dobry.

Słyszało to kilkoro ludzi. Ktoś powiedział do dziada, żeby się zamknął, bo muzycy grają bisy. Facet się uciszył, ale dalej patrzył nieprzyjemnie na młodych zakochanych.

— Chodźmy stąd — zaproponowała Magda.

Pojechali z powrotem przez most Kierbedzia tramwajem na lewy brzeg Wisły. Magdalena miała ochotę na pączki od Bliklego, ale postanowiła zabrać Poldka gdzie indziej,

do niewielkiej, znakomitej warszawskiej kawiarni — Małej Ziemiańskiej, na ulicy Mazowieckiej 12, blisko placu Napoleona. Tam zamówili rurki z bitą śmietaną i kawę, cały dzbanek.

— Przepraszam, że naraziłem cię na nieprzyjemności — odezwał się Poldek.

— Nie przepraszaj nigdy za coś takiego. Tamten facet to był prostak.

Kawa była wyborna, ale Magda czuła, że to będzie ważna rozmowa, bo dotycząca jej i jego — ich romansu, który ledwo się zaczął, a już miał się skończyć z powodu jej wyjazdu na studia.

— Prostak nie prostak, to dziś powszechne zachowanie. — Poldek z rezygnacją pochylił głowę. — Gdybym poszedł na studia na Uniwersytet Warszawski... Przecież wiesz, że tam jest getto ławkowe.

Słyszała o tym. To smutne, ale jednak działo się w Polsce 1938 roku. W tym właśnie roku zaczęło obowiązywać na Uniwersytecie Warszawskim getto ławkowe. Szef Obozu Zjednoczenia Narodowego, zwanego Ozonem, pułkownik Adam Koc — a więc szcucha w świecie sanacyjnej polityki — szukał kontaktu z endecją, która była przecież zawsze przeciwna polityce piłsudczyków. Marszałek nie żył już od trzech lat i nie zanosilo się, żeby ktokolwiek mógł go zastąpić. Ulica się radykalizowała. Zdarzało się coraz więcej antyżydowskich hucp, choć może nie było tego tak bardzo widać w Warszawie. Polska to jednak przede wszystkim prowincja. Dziś doświadczyli tego na Pradze.

— Polska nigdy nie będzie tym, czym stały się Niemcy — powiedziała Magdalena. — Wiem, co mówię.

— A czym się stały?

— Monstrum. Nie wiem, ile ten świat wytrzyma. Ja za chwilę wyjadę do bezpiecznej i sytej Szwajcarii, a ty, mój kochany, tu zostaniesz...

Poldek chwycił jej dłoń i pocałował ją delikatnie. Nikt nie zwracał na nich uwagi i nikt nie żądał nikczemnie, by opuścili kawiarnię.

— Co będziesz robił? — spytała ze smutkiem w oczach dziewczyna.

— Muszę pomóc ojcu. Rozważamy wyjazd do Ameryki, ale nie wiem, czy będzie nas stać na kupienie biletów. Poza tym... Warszawa to moje miasto — odrzekł Poldek.

Rurki ze śmietaną też były pyszne. Kawiarnia miała swój klimat, niepowtarzalny i urokliwy. Tutaj spotykali się skamandryci. Tutaj Wierzyński chodził z Lechoniem i Leśmianem, a teraz Magdalena rozmawiała ze swoim pierwszym chłopakiem, czułym i kochającym, o tym, że za chwilę ich drogi się rozejdą, bo świat zaczyna się walić.

— W Ameryce niechętnie przyjmują Żydów. Słyszałam, jak wielkie problemy mają ci, którzy chcą opuścić Niemcy. Poldek, ja nie zakochuję się łatwo...

— A zakochałaś się we mnie?

— Zależy mi na tobie — odparła dziewczyna. — Będziesz do mnie pisać?

— Oczywiście. Długie sążniste listy w stylu Abelarda i Heloizy. Tak długie, że będziesz mnie miała dość w tej dalekiej Szwajcarii. Poznasz jakiegoś Szwajcara jak Bodo i zapomnisz o mnie.

— Nie drocz się ze mną!

Tak, to był ich dzień. Poldek zostawił jej swój adres i obiecał, że przyjdzie na dworzec, kiedy będzie odjeżdżał pociąg. Wanda Brychczyńska i jej brat też obiecali się zjawić. Magdalena spędzała ostatnie chwile w stolicy, ale wierzyła, że to tylko krótkie rozstanie i że niedługo będą z Poldkiem szczęśliwi. Jednak jej racjonalna strona szeptała, że związek polskiej Niemki z polskim Żydem jest niemożliwy.

*

Do Łodzi Magdalena wróciła tylko na chwilę, żeby się spakować. Nieocenioną pomoc okazała jej macocha. Przygotowały wszystko sprawnie w niecały dzień. Bagaże pojechały wcześniej do Warszawy. Alois i Jadwiga postanowili, że odwiozą ją na dworzec. Ojciec w czasie podróży samochodem żartował, wprost sypał dowcipami. Magdalena zastanawiała się, czy to jej wyjazd sprawił, że papa ma taki dobry humor.

Na dworcu czekała już na nią Wandzia Brychczyńska z bratem. Stefan najwyraźniej dowiedział się, że Magdalena związała się z Poldkiem, i trochę się boczył. Dziewczyna pomyślała, że wreszcie jest o nią zazdrosny, ale zaraz skarciła się w duchu za tę próżność. Poldka i Lidki wciąż nie było.

— Co będziesz robić? — zagadnęła Stefana.

— Wybieram się do wojska. Nie chciałaś mnie, więc się zaciągnę.

— Nie żartuj sobie!

— On jest śmiertelnie poważny — wtrąciła Wanda. — Rodzice chcą, żeby szykował się na prawo, ale znasz go... Jak sobie coś wbije do głowy, to koniec.

Magdalena gawędziła z nimi, gdy rozległ się gwizdek. Trzeba wsiadać. Nerwowo szukała wzrokiem Poldka. Nie mogła uwierzyć, że nie przyszedł. Jak mógł jej to zrobić! Gdy już wsiadła do pociągu, chłopak dobiegł, zdyszany, z jakimiś kwiatkami.

— Przepraszam, miałem spięcie rodzinne — tłumaczył.

Tuż za nim zjawiła się Lidka, smutna i zapłakana.

— Co się stało?

— Ojciec się o nas dowiedział. Nie dał mi zgody, żebym był z tobą — rzekł Poldek. — Ale mam to gdzieś. Kocham cię.

Na to czekała! To takie romantyczne...

— Ja ciebie też.

Pociąg drgnął.

— Będę pisać!

Dotknęła jeszcze jego dłoni na pożegnanie.

ROZDZIAŁ III
Kamnitzerplatte

BIELSKO, 14 SIERPNI 1939

Magdalena Pohl przez ostatni rok była wzorową i pilną studentką architektury na politechnice w Zurychu. Miała bardzo dobre wyniki i profesorowie ją chwalili. Spotkała także tych, którzy przed dwudziestu laty wykładali z Gabrielem Narutowiczem. Z Wandą i Stefanem Brychczyńskimi pisała listy. Stefan po zdaniu matury w 1938 roku na fali patriotycznego zaangażowania, chcąc wykazać się przed klasą — inaczej chłopcy uznaliby go tchórza — rzeczywiście trafił do wojska, zgodnie z polityką władz sanacyjnych i szybko postępującej militaryzacji polskiego społeczeństwa. Służył w 1. Pułku Piechoty Legionów i z poczty wojskowej przychodziły do Magdy na jej szwajcarski adres listy. Wanda zaś pomagała matce w prowadzeniu galerii — jej matka orzekła, że na studia dziewczyna idzie, jak nie może znaleźć kandydata na męża. Protesty na nic się nie zdały.

Lidka Rosenman wyjechała do Lwowa na studia malarskie, a Poldek, który jako Żyd nie był mile widziany w wojsku, został w Warszawie. I ku własnemu i Magdy zaskoczeniu — jak poinformował w liście — zapisał się na ekonomię. Kantor Szmul Rosenman, jego ojciec, chętnie na to przystał. Ta żydowska rodzina miała fantazję — córka mogła realizować marzenia artystyczne, ale syn miał zdobyć zawód praktyczny i wygodny dla rodziny. Ekonomia to było to, czego oczekiwał sumienny żydowski ojciec, a na co posłuszny żydowski syn się zgadzał.

Nie wiadomo już, kto wpadł na pomysł, żeby na przełomie lipca i sierpnia tego roku spotkać się w Bielsku, drugim co do wielkości ośrodku włókienniczym w Polsce, najbogatszym mieście II Rzeczypospolitej. Może Magdalena? Pamiętała, że ojciec miał tam interesy. W każdym razie cała piątka postanowiła się tam spotkać. Przynętą okazały się Beskidy, wielce o tej porze roku urokliwe.

*

Secesyjny dworzec w Bielsku, oddany do użytku w 1890 roku, zbudowany według projektu znakomitego architekta Karola Korna, bardzo się Magdzie spodobał. Tego dnia wszyscy mieli dojechać różnymi połączeniami do miasta. Dziewczyna wyszła na plac przed dworcem i skierowała się do hotelu mieszczącego się przy ulicy cesarza Franciszka Józefa I pod

numerem 39⁴. Z domu rodzinnego w Łodzi zabrała plecak — w końcu mieli się spotkać z przyjaciółmi w górach. Z zameldowaniem nie było problemu. Zaskoczyło ją jednak, że w hotelu wszyscy mówili biegle po niemiecku.

— To niemieckie miasto — wyjaśnił mężczyzna w recepcji. — Po plecaku wnioskuję, że panienska przyjechała tu na wypoczynek.

— Tak, czekam na przybycie przyjaciół i chciałabym zapłacić za całą rezerwację. Dwa pokoje, jeden dwu-, a drugi trzyosobowy.

— Bardzo proszę.

Zapłaciła świeżutkimi banknotami stułotowymi z podobizną księcia Józefa Poniatowskiego. Recepcjonista już wiedział, że Magdalena jest majątną osobą.

— Skoro przyjechała panienska w góry, to polecam folder Beskidenverein⁵. Po akcencie poznaję, że język niemiecki jest dla panienski ojczysty, czyż nie?

— Tak, jestem córką Aloisa Pohla.

— Tego fabrykanta z Łodzi?

— Tego samego.

— To nasz donator. W takim razie zwrócę pani połowę ceny. Pan Alois Pohl pomaga niemieckim organizacjom w Polsce, takim jest Beskidenverein. Miło mi, że będzie pani u nas gościć.

— Rozumiem, że w hotelu przyjmujecie tylko Niemców — zauważyła Magdalena.

Na twarzy mężczyzny pojawiło się zakłopotanie.

— Na razie wszystkich, choć Polacy raczej się u nas nie zatrzymują. Bielsko jest niemieckie, a Biała, po drugiej stronie rzeki, jest bardziej polska. Choć niedługo, jak sądzę, te ziemie także powrócą do Rzeszy.

Magdalena nic na to nie odpowiedziała. Może rok wcześniej wypaliłaby coś ostrego, konfrontacyjnego, ale nie teraz. Od wiosny 1939 roku narastał konflikt z Niemcami. Nasłuchiwała się tej agitki od ojca w domu i naprawdę miała nadzieję, że w górach od tego ucieknie, ale jak widać — próżne były to nadzieje. Pozostało jej czekać na przybycie rodzeństwa Rosenmanów i Brychczyńskich.

*

Pod wieczór przyjechali pociągiem z Krakowa przez Chrzanów inni uczestnicy wyprawy w Beskidy — Poldek z siostrą oraz rodzeństwo Brychczyńskich. Stefan zjawił się w mundurze Wojska Polskiego, gdyż od roku służył w armii. Nie było to rzeczą dziwną — szkoła w II Rzeczypospolitej wychowywała młodzież w duchu neoromantycznym, przekazywała wzorzec niepodległości, który stanowił podstawową matrycę aksjologiczną. Zresztą ich rodzice byli przecież świadkami walki o niepodległość lub sami o nią walczyli. Po krótkim, trzydniowym urlopie, który udało mu się dostać za wzorową służbę w 1. Pułku

Piechoty Legionów, miał się stawić w jednostce przebywającej na letnich manewrach w Klimontowie w Świętokrzyskiem.

Magdalena bardzo cieszyła się na to spotkanie — nie widzieli się przecież od roku. Wymieniali listy, ale one przecież nie zastępują żywych osób. Przyjaciele przybyli, zmęczeni, pod wieczór i byli mile zaskoczeni, że Magda już opłaciła im hotel. Mogli więc zaraz wyjść na miasto, którego nie znali zbyt dobrze.

Dziewczyna poprowadziła ich do centrum Bielska dzięki przewodnikowi Beskidenverein. Gdy szli w stronę placu Chrobrego — z okazałym podzamczem, pełnym kramów i sklepików — mijali czerwoną elewację gminy żydowskiej i nagle ich oczom ukazała się wspaniała bielska synagoga. Poziomem architektury dorównywała tej warszawskiej na ulicy Tłomackie, ale przewyższała ją detalami i obecnością stylu orientalnego, widocznego w zdobieniach obydwu wież. Perła żydowskiej architektury sakralnej w skali Polski, a może nawet Europy Środkowej. Magdalena obeszała i obejrzała ją z każdej strony. Niestety, nie mogli wejść do środka — synagoga była zamknięta.

— Coś wspaniałego! — powtarzała.

Poldek i Lidka także wpatrywali się w budowlę z zachwytem. Byli chyba dumni, że są częścią świata polskich Żydów. Po chwili po twarzy Poldka przemknął cień.

— To może niedługo zniknąć. Wiesz o tym, tak jak ja.

Magdalena była niezadowolona. Nie chciała rozmawiać teraz o ciemności, która nadciągała tak szybko. Od wiosny 1939 roku, kiedy Hitler wypowiedział pakt o nieagresji z Polską, sytuacja międzynarodowa pogarszała się z miesiąca na miesiąc. Co jednak miały te chmury do piątki młodych ludzi, którzy kochali się, śmiali lub sobie zazdrościli? Przecież przyjechali do tego miasta na wakacyjny oddech, a tymczasem nawet w słowach, które wypowiadali do siebie, czaiła się zmora nadciągającej wojny.

— A ja w żadną wojnę nie wierzę — powiedziała z pewnością w głosie Wanda Brychczyńska. — Głodna się zrobiłam po tej podróży.

Ruszyli więc do Mimosy, dobrej restauracji usytuowanej na placu Chrobrego, w której oczywiście — jak na klasę lokalu przystało — przygrywał gościom muzyk na fortepianie. Na ścianie wisiał portret cesarza Franciszka Józefa I.

— No tak, to był przecież zabór austriacki — szepnął Stefan Brychczyński, który nigdy wcześniej nie był w Bielsku.

— Co zamawiamy? — zapytała Magdalena.

Zdali się na kelnera, który zaproponował pstrągi smażone na klarowanym maśle, z połówką cytryny, chlebem i małym bielskim ciemnym, mocno chmielonym piwem. To był dobry wybór. Skóra pstrągów smakowała jak skwarek — tak była świetnie spieczona. Szybko jednak wrócili do rozmowy o nadciągającym końcu wszystkiego, mimo obiekcji Wandy i przerażeniu Lidki.

— Kiedy wybuchnie wojna? — zapytał Poldek.

— Po co się zadręczać? — westchnęła Magdalena. — Przecież jesteśmy silni, zwarci i gotowi...

— Gdybym cię nie znała, powiedziałabym, że ironizujesz. A to nie na miejscu — zauważyła Lidka Rosenman.

Magdalena nie miała do niej żalu. Była przecież Niemką, ale ich — oswojoną, zaprzyjaźnioną, dobrze znaną. W jednej chwili zdała sobie sprawę z tego, że wszystko naprawdę może runąć, zmienić się, przedzierzgnąć, gdyby rzeczywiście...

— Nawet jeśli dojdzie do wojny — rzekł Stefan Brychczyński — to będzie krótka. Mamy najpotężniejszych sprzymierzeńców, Anglię i Francję, a oni dysponują większą liczbą żołnierzy, czołgów, okrętów i samolotów niż Hitler. My stawimy zaciekły opór, wytrzymamy tyle, ile trzeba, a alianci przyjdą nam z pomocą.

To było proste wyjaśnienie. Stefan w ostatnim roku stał się dla nich autorytetem. Jego opinię wzięto więc za pewnik. Atmosfera przy stole od razu stała się lekka, zabawna i ulotna jak letni wieczór. Nikt przecież nie uwierzyłby w taki piękny dzień, że to wszystko, co powiedział Stefan, było fantasmagorią.

*

Następnego dnia, w święto Matki Bożej Zielnej, cała piątka pojechała tramwajem bielskim do Lasu Cygańskiego⁶, skąd zaczynały się szlaki. Ich celem był szczyt zwany po niemiecku Kamnitzerplatte, a po polsku — Szyndzielnią. Kupili wydaną przez Beskidenverein mapę z narysowanymi szlakami i rozpoczęli wędrowkę. Chłopcy z pewnością weszliby na szczyt w godzinę, może półtorej, ale dziewczynom daleko było do wielkiej formy. Poza tym nie miały ochoty się forsować, gdyż beskidzki las był piękny — i wreszcie mogły się wygadać za cały rok.

Do schroniska, wybudowanego w 1897 roku według projektu znakomitego bielskiego architekta Karla Korna — murowanego, z wieżyczką w stylu alpejskim — dotarli bardzo znużeni. Na szczęście oferowało ono nie tylko pokoje na nocleg, ale także dobrą lokalną kuchnię. Weszli do środka. Dzierżawca ze strony Beskidenverein, bielski Niemiec Eugen Kutscher, spojrzął z niechęcią na Stefana, który nosił mundur polskiego żołnierza. Zaskoczyła go Magdalena Pohl, która zamówiła pokój dla siebie i dziewczyn i osobny dla chłopaków w najczystszej niemieckiej — żeby nie było wątpliwości, że to Niemka korzysta z dobrodziejstwa Beskidenverein.

— Na jedną noc? — zapytał Kutscher.

— Na kilka nocy, ale zamawiam też solidną kolację dziś i śniadanie jutro.

Pokoje były czyste i schludne, ale w nocy, po kolacji, dopadło ich znów przecucie zbliżającego się konfliktu.

— Ten niemiecki właściciel patrzył na mnie nieprzyjaźnie, ale nic nie powiedział — rzekł Stefan. — Magdo, wybaczone, ale muszę zadać ci pytanie.

— Cała zamieniam się w słuch — odparła żartobliwie. Wiedziała, że dziewczyny też czekały na tę rozmowę.

— Jeśli zacznie się wojna... Jak się zachowasz?

Stefan utkwił w niej spojrzenie, a jej po raz pierwszy się zdawało, że nie jest już jej przyjacielem, chłopakiem, w którym się podkochiwała, zanim nie związała się z Poldkiem, ale kimś obcym. Niby byli wciąż paczką przyjaciół, ale wkradała się między nich obcość. Magdalena nigdy dotąd nie definiowała Poldka i Lidki jako Żydów, a teraz wyczuła w pytaniu Stefana, że ona jest dla niego Niemką — nie dziewczyną czy przyjaciółką. Najistotniejsza okazała się jej narodowość.

Przez chwilę była zła, ale uznała, że musi odpowiedzieć na to pytanie. Kochała ich wszystkich miłością *caritas* — oddaniem, lojalnością i przyjaźnią. Więzy ciała i serca łączyły ją tylko z Poldkiem.

— Rozumiem twoje pytanie. Jeśli Niemcy zaatakują Polskę, jestem z wami.

— Na serio?

— Tak. To prawda, mam niemieckie pochodzenie, ale to Polska jest moim domem. Dla mnie to wy jesteście Polską.

Nagle Stefan Brychczyński wyciągnął dłoń, a ona ją chwyciła. Po chwili swoje dłonie położyli Wanda, Lidka i Poldek. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Hasło z Dumasa dla nich stało się kwintesencją przyjaźni, która ich połączyła. To była długa noc, pełna dyskusji o literaturze, o koncepcji stosunków społecznych Floriana Znanieckiego — wszak ich pokolenie potrafiło kłócić się o to, co przeczytało. Do stwierdzenia stosunków społecznych potrzebna jest relacja dwóch osób, a przecież ich przyjaźń dotyczyła piątki. Ale to była ich ostatnia noc spędzona wspólnie, noc ludzi wolnych i nieświadomych tego, co nadchodziło.

*

Następnego dnia zjedli na śniadanie wielką jajecznicę ze świeżym chlebem, upieczonym w nocy przez Kutscherów. W pewnej chwili dzierżawca poprosił na bok Stefana, co niezmiernie ich zdziwiło.

— Proszę nie paradować w okolicach w tym mundurze — rzekł Kutscher.

— Jak pan śmie?! — zdenerwował się Brychczyński. — Przecież jesteśmy w Polsce!

— Uspokój się, młody człowieku — syknął dzierżawca schroniska. — Nie mówię tego, by panu dopiec, ale by ostrzec. Ja jestem Niemiec, z dziada pradziada mieszkaliśmy w Bielsku, ale nie wszyscy tutejsi z radością przyjąłoby pana w tym mundurze. Proszę więc na siebie uważać.

Stefana to zaskoczyło. I tak nie miał już zresztą czasu, gdyż z nadzwyczajnego urlopu musiał wrócić, zanim dobiegnie on końca. Powściągnął gniew. Kończył się ich świat, i to uczucie ścisnęło mu serce z trwogi — nawet tutaj, w górach, dopadał ich strach.

Poszedł więc do dziewczyn i Poldka, aby się pożegnać.

— Muszę już iść.

Nie wiedzieli, czy i kiedy znów się zobaczą. Wandzie wyraźnie zbierało się na płacz, ale Stefan ją uspokoił.

— Zostań, siostró, baw się i wypoczywaj, póki jest jeszcze na to czas.

Pożegnanie z Lidką i Magdą było nie mniej czułe. Stefan uściśnął dłoń Poldkowi.

— Opiekuj się dziewczynami.

Zszedł z góry i tam gospodarz z Mikuszowic, jadący furmanką do Bielska, podwiózł go na dworzec. Stamtąd Stefan nadał telegram do jednostki wojskowej, że jest w drodze. W międzyczasie na dworcu w Bielsku pojawiło się wielu poborowych lub żołnierzy wracających z urlopu w trybie alarmowym do jednostek. Było popołudnie 16 sierpnia 1939 roku.

*

Pozostali uczestnicy wycieczki znajdowali się w tym beskidzkim lesie jak gdyby w zawieszeniu, poza realnie istniejącym światem, który brutalnie dopominał się ich obecności. Magdalena wreszcie mogła w drodze na Klimczok spokojnie porozmawiać z Poldkiem. W zeszłym roku zbliżyła ich nagła namiętność, ale oboje czuli, że oprócz fantastycznej, upajającej bliskości jest między nimi jakaś niebotycznie wielka góra o stromych i oblodzonych szczytach, która rozdzielała ich coraz bardziej.

— Magdo — zaczął Poldek. — Nie wiem, co nas czeka, ale chciałem ci powiedzieć, że nie możemy być razem, tak jak by tego chciała część mnie.

— Nie rozumiem... — Zrobiło jej się przykro. — Jak to możliwe, że „jakaś część ciebie” nie chce tego, co razem przeżyliśmy?

— Nie rozumiesz — westchnął Poldek. — Jestem Żydem, za chwilę możemy nie poznać kraju, w którym żyjemy.

— Zdumiewasz mnie. Getto ławkowe na Uniwersytecie Warszawskim, dziadowie spod budki z piwem wołający do ciebie: „Ty parchu”... A ty w to uwierzyłeś, mój kochany. Jak możesz mi coś takiego mówić?

— Sama wiesz, jak jest.

— Nazwij to, proszę.

— To prawda, że polska ulica jest antysemitka. Ale my żyjemy z Polakami i wielu spośród nas czuje się Polakami. Ja na przykład określiłbym siebie jako żydowskiego Polaka.

— To trochę jak ja — odparła Magdalena z uśmiechem, choć wcale nie było jej do śmiechu. — Jestem niemiecką Polką. — Zamyśliła się na chwilę. — Albo polską Niemką.

Poldek przystanął na szlaku.

— Bardzo boimy się tego, co nadchodzi. Ja i Lidka obstawaliśmy za tym, by jednak sprzedać wszystko i wyjechać do Ameryki. Ojciec ma tam brata, który wyemigrował po wielkiej wojnie. Próbowałem go przekonać, ale nie jest łatwo skłonić do takiej decyzji człowieka, który całe życie spędził w Warszawie, dla którego to jest jego miasto, mimo że na nas plują i jednego dnia wyzywają nas od parchów, a drugiego przychodzą i mówią: „Panie Rosenman, chcemy kupić u pana krzesła”. Bo meble mamy dobre, z Kalwarii Zebrzydowskiej woziliśmy.

— I wyjedziecie? To nie byłby zły pomysł, biorąc pod uwagę okoliczności — zauważyła Magda.

— Nie, skąd. Ojciec się nie zgadza. Uważa, że wojny nie będzie. Ale teraz już sam nie wiem... Boję się.

Dziewczyna przystanęła. Popatrzyła mu w oczy. Zwykły, dobry chłopak. Cieszyła się, że to on był jej pierwszym mężczyzną. Nie miała o nic żalu. Przeżyli piękną, choć krótką przygodę, która nie rani i nie zostawia blizn. W dalszym ciągu byli przyjaciółmi.

— Wierzę, że Hitler blefuje. Nie zaatakuje. Musiałby walczyć z Anglią i Francją.

— To jest argument! Do końca wycieczki ani słowa o wojnie!

Tak też zrobili. Magdalena zapamiętała ten dzień na Klimczoku jako jeden z najlepszych w swoim życiu. Wystarczy przecież powiedzieć sobie, że to, czego się boimy, nie istnieje, i rzeczywiście przestaje istnieć. Bo przecież istnieć, to być postrzeganym, a oni we czwórkę przestali postrzegać w ten wspaniały sierpniowy dzień wojnę jako coś realnego.

BIELSKO, DWORZEC, W DRODZE DO KRAKOWA, 30 SIERPNI 1939

Dwa tygodnie z przyjaciółmi, z daleka od cywilizacji, w leśnej beskidzkiej głuszy, pozwoliły Magdzie zapomnieć o świecie, z jakiego się wywodziła. Pomieszkowali to w schronisku, to u okolicznych gospodarzy w Szczyrku. Ale cywilizacja z jej nieuchronnym kolapsem upominała się o nich. Tego dnia na bielskim dworcu roіło się od wojskowych lub tych, którzy udawali się do jednostek z rozkazem powołania.

— Co się stało? — zapytał Poldek kolejarza.

— Jak to? Nie wiecie? Mobilizacja!

To słowo uderzyło ich jak grom z jasnego nieba. Jedyna droga wiodła szlakiem kolei warszawsko-wiedeńskiej do Krakowa, do którego tego dnia młodzi chcieli się dostać. Magdzie udało się kupić za dwa razy wyższą cenę bilety do dawnej stolicy nad Wisłą od kobiety, której troje dzieci rozhisteryzowało się na dworcu. W wagonie panował jednak taki

ścisk, że nikt nie sprawdzał biletów. Po pięciu godzinach stania — Wandzia i Lidka były ledwo żywe — dotarli do Krakowa. W tym upale wszystkim strasznie chciało się pić.

Na miejscu Magdalena, widząc gorączkowe przemieszczanie się wojska ku granicy, zdała sobie sprawę z tego, że tym razem to nie przelewki. Udzielił się jej strach — świdrował od środka, ścisnął żołądek i serce, nie pozwalał oddychać. Nagle się rozpląkała. Po chwili już i Wanda płakała — z tęsknoty za bratem. Wszyscy poczuli nieuchronność wojny.

W Krakowie przyjęła ich na nocleg ciotka Poldka i Lidki, Miriam. Magdzie było bardzo miło poznać tych inteligentnych, przedsiębiorczych ludzi — prowadzili aptekę — i zadała sobie pytanie, co się z nimi stanie. Miała przecież świadomość, co Niemcy robili z Żydami u siebie.

— Jak pani sądzi, czy będzie wojna? — zapytała ją Miriam.

Magdalena wiedziała, że jej przyjaciele nie powiedzieli ciotce o jej niemieckim pochodzeniu i nie chciała robić uroczej starszej damie przykrości. Postać Miriam Rosenman, kobiety o długich, już wysrebrzonych włosach, zdawała się dziewczynie piękna. Magda rozejrzała się po mieszkaniu. Sporo eleganckich obrazów, wśród których poznała Boznańską i Łempicką, ale uwagę przykuwał też piękny siedmioramienny świecznik — menora, symbol żydowskiej kultury. Słowa ugrzęzły jej w gardle.

— Nie unikniemy jej.

— A panienka skąd pochodzi?

— Z Łodzi, ale chodziłam do szkoły w Warszawie, do klasy z Lidką.

— Ona jest taka zdolna — powiedziała starsza pani. — Chciałabym, żeby przeżyła, ona i Poldek. Moje ukochane bratanki...

To przecież nie zależy ode mnie, pomyślała Magdalena, ale popatrzyła Miriam w oczy, łagodne i dobre. Ta kobieta wiedziała to, czego dziewczyna nie potrafiła o sobie powiedzieć otwarcie.

— Proszę się nimi opiekować, gdy to się zacznie — poprosiła Miriam. — Coś pani opowiem. To się zdarzyło w poprzedniej wojnie, którą nazywamy wielką. Ja i mąż uciekliśmy ze Lwowa, który jesienią tysiąc dziewięćset czternastego roku zajęli Rosjanie. Zawędrowaliśmy aż do Poznania, który wtedy był częścią kajzerowskich Niemiec. Wówczas niemieccy żołnierze wydawali się cywilizowani i chronili nas, Żydów, uciekających przed Kozakami, którzy nas bili, lżyli i okradali. Ja mam dobre mniemanie o Niemcach z poprzedniej wojny.

Magdalena zebrała się na odwagę.

— Proszę na to nie liczyć teraz — powiedziała. — Hitler i jego ludzie zniszczą wszystko, co znaliśmy.

Starsza pani się zasmuciła.

— A ty, moje dziecko, co wybierzesz? Co ci podpowiada serce?

Kolejna osoba w tak krótkim czasie zadała jej to samo pytanie.

— Moje serce jest polskie. Jestem Polką, ponieważ chodziłam do polskiej szkoły, mam i kocham polskich przyjaciół i mówię teraz do starej Żydówki po polsku, choć przecież mogłybyśmy rozmawiać w języku moich rodaków, którzy za chwilę tu przyjdą. Nawet nie wie pani, jak bardzo się tego wstydzę...

— Współczuję ci — rzekła Miriam Rosenman. — Ja tej nowej wojny nie przeżyję. Wiem to. Nazwij to prorocstwem albo jasnowiedzeniem. Ale ty masz w sobie siłę, żeby przetrwać.

— To ja powinnam panią pocieszać...

Miriam machnęła ręką, jakby chciała powiedzieć: „to nieważne”.

— A jak już to wszystko się przewali przez Polskę, i będziesz mogła pomóc Poldkowi i Lidce, bardzo cię proszę, nie zapomnij o nich.

— A pani?

— Ja mam to wspaniałe mieszkanie — rzekła starsza dama. — Mam przedmioty, pieniądze, które jeszcze przez kilka dni będą coś warte. Zamierzam odrobinę pożyć, moja droga! I napić się wina, a potem nalewki na czarnym bzie, i zjeść nie do końca koszerne pasztet z królika, który moja stara kucharka mi upiecze.

Magdalena chciała powiedzieć coś mądrego, ale sytuacja ją przerosła.

— Nie zdradzę moich przyjaciół.

To zdanie miało być jej wyznaniem wiary.

KRAKÓW, W DRODZE DO WARSZAWY, 31 SIERPNIA 1939

Rano Poldek przyniósł informację, że popołudniowy, bardzo opóźniony ekspres do Warszawy z Krakowa odjedzie z pewnością przepelniony, ale udało mu się dostać bilety. Nie było czasu na zastanawianie się. Następną okazją mogła się nie zdarzyć, szlaki komunikacyjne były przeciążone, ludzi opanowała trwoga. Magdalena pożegnała się ze starą Miriam i obiecała jej, że znów ją odwiedzi, jeśli tylko będzie mogła. Na dworcu kupiła popołudniowe wydanie „Kuriera Krakowskiego Ilustrowanego”. A tam same pompatyczne tytuły — „SILNI — ZWARCI — GOTOWI”. Nie była w stanie czytać tych bzdetów. Jednak Wandzia i Lidka uczeły się tej płońskiej nadziei, którą dawała gazeta.

Jakoś przedarli się przez tłum, który chciał się dostać do pociągu. Żandarmeria wojskowa przepuszczała tylko tych z biletami. Nagle Magdalena pomyślała, że ten mały prostokąt z tektury stał się przepustką do lepszego świata. Tak się przynajmniej wydawało. Dziewczyna nie miała wątpliwości, że lepiej pojechać do Warszawy i ściągnąć tam szofera papy z Łodzi. Wiele razy pokonywał już dla niej tę drogę, teraz też nie powinno to stanowić problemu.

Podróż tym pociągiem była koszmarem rodem z kolei w Indiach. Skład przeładowany, płaczące dzieci, mdlejący z braku dostępu do powietrza ludzie. Przy tym wszystkim miejsca na korytarzu, przy oknie — uchylonym dzięki sile Poldka — to był czysty luksus, tyle że na stojąco. W końcu dowlekli się do Warszawy. Magdalena miała na Ochocie mieszkanie, w którym przebywała w czasie, gdy chodziła do szkoły. Nie zabrała wprawdzie kluczy, ale stróż powinien dysponować zapasowymi. Po raz kolejny korzystała z uprzywilejowania, jakie zapewnił jej ojciec.

Zmęczeni przyjaciele rozstali się. Wydawało się, że na krótko. Rosenmanowie pojechali tramwajem do rodziców na Pragę, a Wandzia poszła do siebie — na Bielańską, z dworca kolei warszawsko-wiedeńskiej miała niedaleko. Magdalena zasnęła w swoim mieszkaniu na Ochocie kamiennym snem. Miała się obudzić w zupełnie innym świecie.

ROZDZIAŁ IV

Oblężenie

WARSZAWA, 1 WRZEŚNIA 1939

Pierwsze bombardowanie stolicy Polski miało miejsce po piątej rano, ale eskadry dronierów Do 17 zostały rozproszone przez warszawską Brygadę Pościgową. Kilka bomb spadło w okolicach Okęcia. Huk jednego z wybuchów był tak potężny, że Magdalena, śpiąca do tej pory snem sprawiedliwego, zerwała się na równe nogi. Nie miała wątpliwości, że to wojna.

A zatem ziścił się najczarniejszy scenariusz — ten, który próbowała wyrugować bezskutecznie ze swojej głowy. Bardzo się bała, podejrzewała też, że może zabraknąć wody. Nagrzała jej zatem w kuchni i wykapała się, następnie napełniła wszystkie garnki, które znalazła. Najgorsze, że nie było nic do jedzenia. Wyprowadziła się rok wcześniej i od tamtej pory mieszkanie, dwa pokoje z kuchnią na rogu Świętokrzyskiej i Zielnej, stało puste. W barku znalazła tylko niedopitą butelkę koniaku — najwyraźniej papa korzystał z lokalu podczas pobytów w Warszawie.

Zadzwoiła do biura numerów, mieszczącego się gmachu PAST-y — Państwowej Spółki Telefonicznej, ale okazało się, że uzyskanie połączenia międzymiastowego jest niemożliwe. Chciała zawiadomić ojca albo Jadwigę, że jest w Warszawie. Jedyne, co przyszło jej do głowy, to pójść na pocztę i nadać telegraf. I liczyć na to, że jakimś cudem wiadomość dotrze do najbliższych. Nie było kolejki — może dlatego, że ludzie mieli tego dnia zupełnie inne rzeczy na głowie niż płacenie rachunków lub wysyłanie listów. Zdołała wysłać telegram. W drzwiach do budynku poczty zderzyła się ze swoją matematyczką — profesorką Wandą Łempicką.

— Co za spotkanie, Magdo! Nie spodziewałam się zobaczyć cię dziś w Warszawie — powiedziała kobieta.

— Ja, pani profesor, samej siebie nie poznaję.

— Nie powinnaś być w Szwajcarii?

— Nie zdążyłam. Miałam wyjechać w drugiej połowie września. Wróciłam z gór, gdzie spędziłam kilka chwil z Lidką i Wandzią. Pamięta je pani profesor?

— Jakże mogłabym zapomnieć — rzekła nauczycielka, która nie pytała i nie osądzała, tylko po prostu była z ludźmi, których znała. — Co u nich?

— Brat Wandy, Stefan, jest w wojsku, a Lidka tutaj, w Warszawie. Miała wyjechać do Lwowa, ale nie wiem, czy to będzie możliwe.

— Wielu ludzi ucieka na wschód, może oni tak daleko nie dojdą — westchnęła Wanda Łempicka. — Gdybyś potrzebowała pomocy, mój adres: Żurawia numer pięć.

Szybko się pożegnały. Tego dnia Magdalenie udało się kupić tylko pół bochenka czarnego chleba. Dostała też kaszę i mleko w proszku.

*

Trzeciego września Magdalena wyszła na ulicę, gdzie zebrały się tłumy na wieść o tym, że Anglia i Francja właśnie wypowiedziały wojnę Niemcom. Około dziesiątej przed południem przyszli po nią Poldek z Lidką i zabrali ją na manifestację. Było mnóstwo polskich flag i morze ludzi, uśmiechniętych i wierzących, że dwaj magiczni sojusznicy z zachodu Europy ruszą, pobiją Niemców i nie będzie żadnej wojny. Magdzie udzielił się nastrój i nawet krzyczała coś pod brytyjską ambasadą. Całe to wydarzenie oraz pompatyczne przemówienie francuskiego ambasadora Noëla — w tym samym czasie na podwórku ambasady palono dokumenty i przygotowywano się do ewakuacji — sprawiły, że trójkę przyjaciół ogarnął zapał do działania. Nie mogli tylko dociec, gdzie podziła się Wanda Brychczyńska, ale uznali, że zapewne wyczekiwała jakiejś wiadomości o bracie.

— Magdo, znasz świetnie języki, zgłoś się do urzędu miasta Warszawy, może tam będą potrzebować tłumacza — rzucił Poldek.

Dziewczyna uznała, że to dobry pomysł. Poszli we troje do wielkiego ratusza na placu Bankowym. W urzędzie panował porządek, co było zasługą perfekcyjnie prowadzonej administracji miasta przez pracowników prezydenta Stefana Starzyńskiego.

Przyjął ich jakiś gryzipiórek.

— W jakiej pracy na rzecz Warszawy chciałaby pani się przydać? Rozumie pani, że w obecnej sytuacji nie prowadzimy naboru na stanowiska urzędnicze.

— Mówię biegle po niemiecku.

Gryzipiórek podniósł głowę znad stosu papierzysk, którymi zavalone było jego biurko.

— Coś jeszcze?

— Po francusku i angielsku. Może będziecie potrzebować tłumacza?

Wszystko zanotował, zapytał o imię i nazwisko oraz adres.

— Magdalena Pohl. I niech pan tak na mnie nie patrzy — poprosiła.

Nazwisko właśnie zaczynało jej ciążyć.

*

Siódmego września, gdy coraz więcej niemieckich samolotów przedzierało się nad walczącą Warszawę, rozeszły się wiadomości o ucieczce rządu, w tym prezydenta

Mościckiego, oraz komisarza rządu na miasto stołeczne Warszawę, nielubianego przez ulicę Władysława Jaroszewicza.

— Rząd ucieka, aż się kurzy — powtarzano.

Kontrastowało to z liczbą uchodźców, którzy próbowali się dostać do miasta od strony Pragi. Magdalena widziała również, że na ulicach wznoszono barykady z ciężarówek, tramwajów, zepsutych i niesprawnych samochodów, teraz już nikomu niepotrzebnych.

Przed południem usłyszała mocne pukanie do drzwi, aż się przestraszyła. Pomyślała, że ktoś doniósł na policję o jej niemieckim pochodzeniu i teraz ją aresztują. Tymczasem przybył goniec z urzędu miasta, piętnastoletni harcerz.

— Proszę pani, wzywają panią do urzędu. Jakiś Amerykanin przyjechał.

— Co takiego?

— Wzywają panią. Podobno tłumaczka potrzebna.

Magdalena ubrała się szybko, narzuciła lekką jesionkę i poszła za harcerzem. Droga z mieszkania na plac Bankowy okazała się dłuższa, niż się spodziewała. Od strony zachodniej dochodziły odgłosy walk, nasilające się z każdą godziną. W powietrzu czuć było smród rozgrzanej blachy i betonu, coraz wyraźniejszy. Idąc za harcerzem, słyszała z oddali pomruk artylerii. Ten charakterystyczny dźwięk miał już odtąd zawsze kojarzyć się jej ze zbliżającym się frontem.

Tego dnia zobaczyła też po raz pierwszy w życiu trupa. W okolicach ogrodu Saskiego zauważyła rozbitą furmankę i zwałiste truchło konia, który padł chyba od odłamka. Kilka metrów dalej, przykryte gazetą, leżały zwłoki mężczyzny. Widok ludzkiego ciała jej nie przeraził. Dobił ją inny obraz. Otóż kilka osób, być może mieszkających niedaleko, postanowiło skorzystać z okazji. Jakiś facet z piłą do drewna rznął udziec koński na mięso — bez skrępowania, bez żenady. Wokół niego czekało kilka kobiet.

— Niech pan i mnie ukroi, panie Zdziśku — powiedziała któraś.

Magdalena wzdrygnęła się z obrzydzenia. Przyśpieszyła kroku. Musieli po drodze ominąć jeszcze jedną barykadę, posterunek żandarmerii, na którym dokładnie wypytano ją o wszystko. Musiała też przeliterować nazwisko, ale dopiero inwokacja z *Pana Tadeusza* przekonała młodego żołnierza, że naprawdę jest Polką.

W końcu doszli do placu Bankowego i urzędu. I tam czekała na nią niespodzianka.

*

W ratuszu Magdalenę przywitał ten sam gryziپیórek, który przyjmował jej zgłoszenie do bezpłatnej pomocy miastu.

— Myślę, że będziemy mieć dla pani pracę, oczywiście bezpłatną.

— Zamieniam się w słuch.

— Przyjechał właśnie do Warszawy ciekawy Amerykanin, który spędził trochę czasu w Europie Środkowej. Tuż przed niemieckim atakiem był na Słowacji i przekroczył granicę. Ma najnowszą kamerę z filmem kolorowym. Jest dziennikarzem. Chce filmować Warszawę teraz, w czasie walk, i potrzebuje kogoś, kto będzie mu tłumaczył.

— Mówię po angielsku, niemiecku i polsku — przypomniała dziewczyna.

— Właśnie o to nam chodzi! To musi być ktoś spoza urzędników, żeby nie było oskarżeń wobec dziennikarza, że ktokolwiek z naszego rządu na niego wpływał. Nazywa się Julien Bryan i chętnie się z panią spotka. Ambasada amerykańska udostępniła mu pokój, proszę być w Hotelu Europejskim o czternastej.

— Właśnie o czymś takim marzyłam — odparła Magdalena.

Powrót pod ostrzałem do mieszkania był bardzo trudny. Jednak spotkanie z Amerykaninem mogło się okazać szansą, na którą czekała. Z tą myślą wyruszyła do Europejskiego. Mimo tłumy zagranicznych gości, pracowników ambasad, które przygotowywały się do ewakuacji, i wojskowych, szybko odnalazła Amerykanina. Był to facet około czterdziestki, doskonale ubrany. Magdalena wychowywała się w luksusowym domu, więc z łatwością poznała mężczyznę w garniturze szytym na miarę.

— Witaj — zwrócił się do niej bezpośrednio, wstając. — Nazywam się Julien Bryan i jestem amerykańskim dziennikarzem.

— Magdalena Pohl. Przekazano mi informację o spotkaniu z panem w urzędzie miasta Warszawy.

Usiedli przy stoliku.

— Prawdę mówiąc, spodziewałem się kogoś innego jako mojego asystenta.

— A kogo mianowicie? — Magdalena uśmiechnęła się.

— No... myślałem, że to będzie mężczyzna.

— Wszyscy zdolni są na froncie — odparła szybko.

Po krótkiej rozmowie Amerykanin ją zaakceptował. Zrobiło na nim wrażenie, że studiowała w Szwajcarii i doskonale mówiła po angielsku, co zawdzięczała przecież świetnym nauczycielom z liceum. Potwierdził też informację, którą usłyszała od urzędnika warszawskiego ratusza, że prezydent Warszawy oddał do dyspozycji amerykańskiego dziennikarza auto.

— Będę panu towarzyszyć — zapewniła.

*

Nazajutrz, ósmego września, mijał tydzień od wybuchu wojny. Wojska niemieckie podchodziły pod Warszawę. Poprzedniego dnia, po przełamaniu frontu pod Piotrkowem Trybunalskim i Tomaszowem Mazowieckim, Niemcy zajęli lotnisko Okęcie i znaleźli się bardzo blisko polskich linii obronnych stolicy. Magdalena obserwowała od kilku dni

intensywne budowanie okopów. Julien Bryan miał podjechać po nią samochodem, by wspólnie wyruszyć i dokumentować to, co jeszcze dwa tygodnie wcześniej było niewyobrażalne.

Dziewczyna nie spała dobrze tej nocy. Bała się śmiertelnie, że zaśnie i zginie pod gruzami w zawalonym budynku. Niemieckie samoloty po tygodniu zjadłych walk w powietrzu coraz skuteczniej przedzierały się nad polską stolicę. Huk wybuchających bomb skłonił Magdę do instynktownego szukania schronienia w piwnicy. Tam, wśród płaczących ludzi, krzyków dzieci, smrodu fekaliiów — nikt nie pomyślał o czymś takim jak wiadro — czekała całą noc. Nad ranem, wyczerpana, wyszła do mieszkania. Woda jeszcze była, więc zdołała się umyć i jakoś przygotować na przyjazd Amerykanina. Niezależnie od okoliczności kobieta chce przecież dobrze wyglądać.

Bryan przyjechał dość punktualnie, tylko z kierowcą, gdyż jego współpracownik pełnił dyżur w amerykańskiej ambasadzie. Po wyjeździe ambasadora w dniu piątego września na miejscu zostało jeszcze kilku urzędników.

Udali się w rejon, gdzie — jak im się wydawało — wciąż unosiły się kłęby dymu ze spalonych mieszkań. Strażacy dogaszali pożar, a miejscowy policjant w granatowym mundurze zatrzymał pojazd do kontroli. Magdalena wysiadła i wytłumaczyła, że amerykański dziennikarz musi zobaczyć ofiary i zniszczenia. Policjant, na którym dziewczyna i jej śmiałość zrobiły niemałe wrażenie, przepuścił ich. To, co zobaczyli, przeszło ich najśmielsze oczekiwania. Nawet gdyby śniła nadzwyczaj okrutne koszmary, nie byłaby w stanie tego wymyślić. Strażacy wyciągnęli już kilka ciał z gruzowiska. Śmierć zaskoczyła tych ludzi w nocy. Młoda kobieta udusiła się pod zawałem, jej sztywne ciało pokrywał pył, który był wszędzie — we włosach, w zmierzwionym ubraniu, w którym spała. Obok leżało ciało innej kobiety, bez głowy, pozbawione też nóg poniżej kolan, z wiszącymi ścięgnami i białą kości. Magdę natychmiast zemdlilo i z wymiotowała. Drugi Amerykanin, który robił tego dnia za kierowcę, podał jej własną chustkę do nosa, elegancko złożoną i pachnącą wodą kolońską.

Wzdłuż ulicy Żelaznej leżało kilka zwalonych domów, gdyż bomby spadały akurat w to miejsce jedna po drugiej. Nieopodal znajdował się budynek, gdzie zginęło kilkunastu mieszkańców. Strażacy, przechodnie i policjanci zdołali wydobyć spod gruzów żywą starszą kobietę i jej pieska, ale również kilka fragmentów ciał tych, którzy nie mieli szczęścia i zginęli. Na kocu na chodniku układano części ciał — czyjaś rękę, nogę, korpus bez głowy i rąk w piżamie, okrwawionej i brudnej, oraz głowę. Gdy uratowana starsza kobieta podniosła się, krzyknęła strasznie:

— To mój syn!!!

Rozpacz w jej głosie przeszła wszystkich. Bryan wykazał się dużą odpornością psychiczną — bez przerwy robił zdjęcia. Coś takiego nie mieściło się w głowie człowieka

przywyczajonego do cywilizacji, wartości humanistycznych i prawa. Zebrali tego dnia mnóstwo materiałów, a potem pojechali na Pragę, gdzie Bryan fotografował Żydów budujących okopy i polskie wojsko w przemarszu przez most Kierbedzia na lewy brzeg miasta. Po południu znów ruszyła nawała artyleryjska na miasto i kilka pocisków rozerwało się w Wiśle, co Magdalena i Amerykanie obserwowali z prawego brzegu. W górę wytrysnęły fontanny wody, jednak żaden pocisk nie trafił w most.

Taki był pierwszy dzień Magdy jako asystentki amerykańskiego fotoreportera.

*

Kolejne dni były niesłychanie intensywne. Magdalena jeszcze w swoim życiu nie doświadczyła czegoś takiego. Mnóstwo zdjęć — w tym chłopca z kanarkiem czy dziewczyny rozpaczającej nad ciałem swojej zabitej siostry — uznała po prostu za porażające. Ósmego września zaczął się niemiecki atak siłami dwóch dywizji pancernych na Warszawę od strony Woli. Dowódcy Wehrmachtu postanowili zająć stolicę Polski z marszu — według nich ten plan miał szansę powodzenia. Srodze się jednak zawiedli. Straty atakujących były tak znaczne, że w nocy z ósmego na dziewiątego września wstrzymano natarcie i znów nad Warszawą dał się słyszeć pomruk artylerii. Walki na Woli kosztowały Niemców nie tylko sporo zabitych i rannych, ale także wziętych do niewoli. I właśnie z nimi Julien Bryan postanowił się skonfrontować.

Tego dnia niezmiernie pomocna miała się okazać Magdalena. Dla dziewczyny był to wstrząs, gdyż wprawdzie podała Amerykaninowi swoje nazwisko, ale on do tej pory nie skojarzył, że ona formalnie jest Niemką, choć polską obywatelką.

— Czy pani wie, gdzie jest Pawiak? — zapytał, kiedy dostał informację, że niemieccy jeńcy wzięci do niewoli w bitwie o Warszawę mieli znajdować się w tym miejscu.

— To więzienie — odparła Magdalena. — Oczywiście, zaprowadzę pana.

Trochę źle się czuła, nie dojadła od kilku dni i była wyraźnie słabsza niż na wypadzie w góry przed miesiącem. Tamten czas kojarzył się jej teraz z wyprawą na księżyc albo na jakiś inny tajemniczy ląd.

— Pani niedobrze się czuje? — zapytał spostrzegawczy Amerykanin.

Magdalena po raz pierwszy w życiu była upokorzona sytuacją, w jakiej się znalazła.

— Jestem głodna — przyznała.

Nigdy dotąd nie była głodna, choć miała świadomość, że kiedy ona chodziła do renomowanego liceum w Warszawie i jej życie wypełniały nauka i umizgi do Stefana Brychczyńskiego, wśród młodzieży robotniczej wielu chłopaków i dziewczyn nie dość, że musiało już ciężko pracować, to jeszcze codziennie nie dojadła. Polska przed wrześniem tego roku nie była krajem mlekiem i miodem płynącym dla szerokich mas, ale jedynie dla wybranych.

— Bardzo mi przykro... — Julien Bryan posmutniał. — Zapraszam panią do Hotelu Europejskiego, jak tylko nagramy tych Niemców.

— Bardzo dziękuję.

Co za wstyd, pomyślała.

Pawiak był olbrzymim carskim więzieniem, oddanym do użytku w 1835 roku. Magdalena zupełnie nie była zaskoczona, że największe inwestycje w Warszawie za czasów rosyjskich to więzienia — jak to, do którego zmierzali — lub twierdze — jak cytadela. Miała wrażenie, że już niedługo Niemcy wykorzystają je w swoisty dla siebie sposób.

Przed wejściem sprawdzono dokumenty dziennikarzy.

— A ta młoda dama? — zapytał Bryana naczelnik Pawiaka.

— To moja tłumaczka.

We wrześniu 1939 roku na Pawiaku przetrzymywano około stu niemieckich jeńców. Julien Bryan poszedł na spotkanie z nimi. Zorganizowano je w stołówce więziennej. Przedstawił się jako dziennikarz i wskazał na Magdę jako tłumaczkę. Młodzi niemieccy żołnierze z odpiętymi oznakami stopni wojskowych popatrzyli na nią z zaciekawieniem. Taka młoda i tłumaczka, musiała się nauczyć niemieckiego w szkole, pomyśleli zapewne.

— Jak jesteście traktowani? — zapytał Julien Bryan. — Czy dobrze was karmią?

Magdalena przełożyła jego słowa niemal symultanicznie. Młody niemiecki oficer w okularach, siedzący w drugim rzędzie, wymienił się spojrzeniami z kolegami.

— Bardzo dobrze — odparł w imieniu pozostałych. — Karmią nas chlebem i zupą, dość niewyszukaną, ale zdajemy sobie sprawę, że jest wojna. Papierosy też mamy. Jest dobrze.

I znów błyskawiczne tłumaczenie. Julien Bryan opowiedział Niemcom, co widział. O rozerwanych kobietach, o ludziach bez głów, o ofiarach barbarzyńskich nalotów, dzieciach, które wyszły z domu do kolegi i nie miały już do czego wracać, gdyż niemieckie bomby obróciły ich domy, rodziców i rodzeństwo w perzynę. Wywód Amerykanina był dość długi, ale Magdalena mistrzowsko wszystko przekładała i niemieccy żołnierze nie mieli żadnych wątpliwości, że oto przed nimi nie stoi polska uczennica czy studentka, ale ich rodaczka. Pytania Bryana pokazywały im jasno, komu służą, ale jedno z nich sprawiło, że żaden nie śmiał się odezwać.

— Dlaczego jesteście tak okrutni?

Wreszcie odezwał się jakiś prosty żołnierz — wyrzekł prawdę, która była przecież dla nich wszystkich bardzo, ale to bardzo kłopotliwa.

— Bo nam każą.

Magdalena od razu zwróciła na tę odpowiedź uwagę i pojęła, co stanowiło istotę niemieckości — podporządkowanie bez zadawania pytań. Każdy przecież może powiedzieć, że coś mu kazano uczynić. Julien Bryan też to rozumiał.

— Wiele mi wyjaśniła ta odpowiedź — rzekł.

Pożegnał się, ale zrezygnował z wręczenia jeńcom kilku paczek amerykańskich papierosów. Oddał je służbie więziennej. Gdy już mieli wychodzić, niespodziewanie Magdę zagadnął niemiecki oficer.

— Porucznik Johann von Dohnányi. Skąd się pani tu wzięła? Też panią wzięto do niewoli?

Dla młodego Niemca był to logiczny wniosek. Po akcencie i płynności języka, znajomości idiomów i sposobie mówienia poznał, że jest Niemką, i tylko takie wytłumaczenie przyszło mu do głowy.

Magdalena spojrzała mu w oczy.

— Jestem Niemką urodzoną w Polsce. Napadliście na mój kraj. Panu powinno być wstyd. Rozumie pan? Wstyd!

Tyle tylko mu powiedziała, bo musiała już wyjść. Nie przypuszczała, jak wielkie wrażenie na nim zrobiła.

*

— Mówi pani świetnie po niemiecku. Jestem pod wrażeniem — pochwalił ją Julien Bryan.

Nie ucieszył jej ten komplement. Musiała mu powiedzieć prawdę.

— Mam niemieckie pochodzenie. W Polsce mieszkają różni ludzie, Niemcy też.

Mężczyzna uważnie się jej przypatrzył.

— Z pani zachowania wnioskuję, że nie podziela pani poglądów ani nie pochwała tego, co robią pani rodacy.

Bryan użył słowa *countryman*, ale ona się z tym nie zgadzała. To nie byli w żadnym wypadku jej rodacy. Tak czuła w tej chwili i nie mogła tego zmienić.

— To nie są moi rodacy.

Julien Bryan był człowiekiem, który w lot pojmował meandry i rozterki moralne ludzi, których spotykał. Jako dziennikarz robił nietuzinkowe reporterskie fotografie, i to w czasie, gdy ta sztuka wciąż się rozwijała. Ufał tej dziewczynie.

— Nie zazdrozczę ci wyboru, którego będziesz musiała dokonać, gdy oni zajmą to miasto — powiedział.

A ona doskonale to rozumiała.

*

Siedemnastego września, niedziela. Warszawa wciąż była oblegana, trwały bombardowania. Gdy Magdalena rano wyruszyła, by towarzyszyć Julienowi Bryanowi, Zamek Królewski zajął się od bomby zapalającej. Bomba spadła również na kamienicę, w której ojciec kupił jej mieszkanie, więc nie miała już po południu do czego wracać. Stróżowi, który zmiatał chodnik z kawałków gruzu, powiedziała, że gdyby pytał o nią ktoś

z rodziny, to będzie na Bielańskiej. Zamierzała poprosić o pomoc Wandę Brychczyńską. Miała tylko jedno ubranie i parę złotych w kieszeni i była świadoma, że życie w Warszawie stało się nie do zniesienia.

Tymczasem Amerykanin przygotowywał się do wyjazdu. Zamierzał zmontować film dokumentalny pokazujący amerykańskiej publiczności okropieństwa oblężenia Warszawy.

— Jak pan to wywiezie?

— Nie martw się. Dam sobie radę. Wyjadę za kilka dni wraz z transportem obcokrajowców różnych państw neutralnych, którzy przebywali w mieście. Polskie władze porozumiały się z niemieckim dowództwem w tej sprawie. Chciałem ci podziękować za to, co dla mnie zrobiłaś.

— Zrobiłam to dla miasta, w którym chodziłam do szkoły.

— Wiem, ale chciałem ci też powiedzieć, że ze względu na twoje pochodzenie... Nie wyrzekaj się tego, kim jesteś.

— Mam być zdrajczynią? Tego pan mi życzy?

— Wręcz przeciwnie, Magdo — rzekł Amerykanin. — Oboje wiemy, że upadek Warszawy to już kwestia dni. Nie masz, jak mi się wydaje, powodów do obaw. Potraktują cię jak swoją i myślę, że będzie ci łatwiej żyć. Będąc Niemką, możesz wciąż pracować dla Polski i Polaków. Na pewno powstanie tutaj opór. Poznałem to miasto i wiem, że jego mieszkańcy nie poddadzą się nigdy, przynajmniej ci świątli i myślący.

Słowa Julienu Bryana były dla Magdy bardzo ważne, niemal przełomowe. Nie myślała o sobie do tej pory w takich kategoriach. Musi to rozważyć.

— Dziękuję za radę.

— Mam dla ciebie coś, co pomoże ci przetrwać do wejścia wojska niemieckiego do miasta.

— Ale ja tak nie mogę...

— Możesz. — Bryan po prostu wcisnął jej w dłoń zwitek dolarów. — Musisz przetrwać.

— Dziękuję.

— Jesteś odważną kobietą, Magdo. Nie wiesz nawet, jak bardzo.

Takie było ich pożegnanie. Schowała zwitek dolarów do kieszeni wraz z zaciśniętą dłonią. Nie miała gdzie się podziać, ona — córka bogatego łódzkiego przedsiębiorcy. Nie miała nic. Jedyne miejsce, jakie przyszło jej do głowy, to adres Brychczyńskich. Była pewna, że Wanda jej nie odrąci.

*

Stefan Brychczyński obudził się tego samego dnia po dwugodzinnej drzemce na leśnej polanie. Po bitwie pod Tomaszowem Lubelskim widział śmierć wielu swoich towarzyszy

broni z pułku pokierowanego poważnie w czasie walk. Od trzech dni nie jadł, ponieważ zapasy sucharów się skończyły. Wody też zostało niewiele.

— Wstawać! — krzyknął kapitan Tadeusz Żenczykowski².

Po walkach pod Tomaszowem część wojska odeszła na wschód, w rejon walk Grupy Operacyjnej „Polesie”, a mniejsze grupy przebijały się do Warszawy, żeby wspomóc obronę stolicy. Do jednej z nich dołączył Brychczyński. Był straszliwie zmęczony, a głód czuł całym sobą. Chyba tylko siłą woli zwał się z wrzosowiska, na którym uciął sobie drzemkę.

— Czy to prawda, że weszły Sowiety? — zapytał kapitana.

Ten wziął go na bok.

— Nie odpowiadałbym na takie pytania, ale nasza sytuacja jest bardzo trudna i nie ma sensu tego ukrywać. Tak, weszli. Jest rozkaz naczelnego wodza, żeby z nimi nie walczyć.

To nie mieściło się w głowie młodego człowieka. Jak można nie walczyć z wrogiem? Przecież Sowietci byli wrogiem takim samym jak Niemcy!

— Nie wiem, czy zdążymy do Warszawy — wyznał kapitan. — Mamy kilka dni drogi nieużytkami. Idziemy pieszo, a ranni pojedą na wozach ciągniętych przez konie. Stolica jest ciężko bombardowana.

Stefan Brychczyński pomyślał o swojej siostrze, rodzicach, Lidce i Poldku, a także Magdzie. Co teraz robią? Czy przeżyli oblężenie miasta? Czy kamienica, gdzie mieszkali, jeszcze stoi? Tyle pytań i znikąd odpowiedzi.

— Panie kapitanie... — zaczął. — Co będzie dalej?

Nie chodziło mu o sens kampanii, która była już przegrana. Zverbalizował to, co odczuwała większość żołnierzy. Bili się, zrobili to, co mogli — i zostali pokonani. Dla żołnierza nie sama przegrana jest najgorsza, ale brak sensu tego wszystkiego. Żenczykowski nie należał do tych, którzy łatwo się poddają. Był zdecydowany przeprowadzić grupę do Warszawy.

Stefan czuł, że dowódca go nie zawiedzie.

— Jak to co? Dalsza walka, ale już bez munduru.

— Jak to: bez munduru? — zapytał Stefan, trochę jak uczeń na lekcji.

— Nie wiem jeszcze jak, ale to się stanie. Jestem pewny, że walka będzie kontynuowana, ale inaczej.

I poszli na pomoc walczącej Warszawie.

*

Magdalena po pożegnaniu się z Julienem Bryanem powędrowała do Brychczyńskich. Szła ulicą Bielańską, zawałoną jakimiś spalonymi samochodami dostawczymi, przewróconą furmanką i zabitym koniem. Okoliczna ludność, kryjąca się nocami w piwnicach, obrała martwe zwierzę z mięsa do tego stopnia, że pozostał z niego jedynie szkielet z wielkim

łbem, który opanowały szaro-czarne wrony i sroki. Smród był przejmujący. W domu u Brychczyńskich nie zastała nikogo.

Czyżby uciekli z miasta? Na początku września było to jeszcze możliwe, ale nie teraz. Zamknięte drzwi ją dobiły. Nie miała już nic poza zwitkiem dolarów w kieszeni. Uspokoila się jednak i postanowiła zaczekać. Warto było — pół godziny później ujrzała Wandę i jej matkę, Zofię, właścicielkę galerii sztuki. Dźwigały zdobyte gdzieś ziemniaki — prawdziwy skarb! A Magdalena była bardzo głodna. W pewnej chwili zauważyła ją Wanda.

— Magdo, czy to ty? — zapytała przyjaciółka.

— Nie mam dokąd iść... Moje mieszkanie zniszczone...

Magdalena obawiała się tej chwili. Wprawdzie Wanda była jej bliską przyjaciółką, ale ten trudny czas nie takie przyjaźnie wystawiał na próbę.

— Możesz zostać z nami — rzuciła bez namysłu Wanda, ale w tym momencie spojrzała na matkę.

Na twarzy pani Brychczyńskiej nie było entuzjazmu. Jeszcze jedna gęba do wykarmienia, mówiąc brutalnie. Wojna zmieniała ludzi w egoistyczne, zamknięte w sobie jednostki. Zaraz jednak kobieta skinęła głową na znak, że się zgadza. Magda pomogła im zatachać ziemniaki na górę.

— Możesz spać w pokoju Stefana — powiedziała Wanda.

Dziewczyna przede wszystkim potrzebowała chwili dla siebie. Od tygodnia się nie myła, bo wody w jej starym mieszkaniu zabrakło w nocy z siedemnastego na osiemnasty września. Wanda dała jej własną bieliznę, pozwoliła się umyć w miednicy. Wodę nosiły z matką na zmianę z ujęcia miejskiego, co też było niebezpieczne z uwagi na pociski artyleryjskie. Dzięki pomocy przyjaciółki Magdalena poczuła się znacznie lepiej.

Już przy posiłku doszło do konfrontacji z milczącą do tej pory matką Wandy. Jadły gotowane ziemniaki w mundurkach. Na nic lepszego nie można było liczyć. Oblężone miasto od prawie miesiąca nie miało stałego zaopatrzenia, nie mówiąc już o dostępie do leków. Szpitale, przepełnione rannymi żołnierzami i cywilami, stały się przedsionkiem piekła na ziemi i trzymały się tylko dzięki postawie lekarzy i pielęgniarek, którzy nie opuszczali pacjentów i ginęli razem z nimi pod niemieckimi bombami.

— Dziękuję, że zgodziła się pani mnie przyjąć — powiedziała Magdalena. — Odwdzięczę się, jak tylko będę mogła. Nie przewidziała, że jej słowa wywołają taką furję.

— Jak pani śmie! Ja widzę codziennie tę waszą niemiecką wdzięczność!!! I pomyśleć, że Stefan tyle razy mi o pani mówił, że mu się pani podobała. Ale ja Bogu dziękuję, że mój syn nie ma dziewczyny Niemki!!!

Wandzie w oczach stanęły łzy. Magdzie zaś serce biło jak oszalone. Mało kto w normalnych warunkach wytrzymałby taką zniewagę. Ale warunki były nienormalne. Wytrzymała atak pani Zofii i spokojnie odpowiedziała:

— Wiem, co pani czuje. Od dwóch tygodni jeździłam z amerykańskim dziennikarzem po Warszawie. Nie wiem, ile widziałam trupów z głowami, a ile bez. Nie umiałabym zliczyć. Cierpię głębiej, niż się pani wydaje, i moje pochodzenie nie ma, wbrew temu, co pani teraz do mnie mówi, żadnego znaczenia. To jest mój kraj, tak samo jak pani.

Tej wyważonej odpowiedzi Brychczyńska nie wytrzymała, rozplakała się. Wanda też nie potrafiła ukryć emocji. Obie z wielką nadzieją, ale i strachem, który ścinał krew w żyłach, czekały na ojca rodziny i Stefana. Obaj poszli do wojska, ale pan Brychczyński dostał powołanie dopiero w drugiej połowie sierpnia. Miał stacjonować w Baranowiczach i od wyjazdu nie dał znaku życia. To zdążyła jej powiedzieć przed obiadem Wandzia.

— Przepraszam, nie powinnam była tak mówić. Jest pani przyjaciółką moich dzieci. Może pani u nas zostać tyle, ile pani potrzebuje — powiedziała pani Zofia, gdy już się nieco uspokoiła.

I tak minęło straszne późne lato trzydziestego dziewiątego roku. Warszawiacy po prawie miesiącu walk nie poznawali miasta. Nie było już Zamku Królewskiego, zbiorów Biblioteki Narodowej w pałacu Raczyńskich, setek urokliwych miejsc, w których zamiast wesołego gwaru wczesnej jesieni unosił się zapach spalenizny i trupów. Na placu Zamkowym dwudziestego ósmego września Magdalena i Wanda zobaczyły kolumnę Zygmunta III Wazy, która stała samotnie obok wypalonych zgliszcz.

— Wygląda to groteskowo — powiedziawszy to, Wanda aż się wzdygnęła.

Tego samego dnia na mocy porozumienia wojskowego dowódcy obrony Warszawy generała Juliusza Rómmla i dowódcy niemieckiej 8. Armii atakującej Warszawę, generała Johannesa Blaskowitza, oddziały polskie broniące stolicy złożyły broń. Pierwsze niemieckie jednostki miały od razu wejść do miasta. Wanda i Magdalena zobaczyły kilka niemieckich motocykli w okolicach placu Zamkowego. Jeden z żołnierzy zapytał o drogę na Pawiak, gdyż Niemcy wiedzieli, gdzie znajdują się ich jeńcy. Ale Magda odparła po polsku:

— Nie znam waszego języka. Nie rozumiem.

Po czym wróciły na Bielańską. Zaczął się pierwszy dzień niemieckiej okupacji w Warszawie.

ROZDZIAŁ V
Ludzie i podludzie

ŁÓDŹ, 1 PAŹDZIERNIKA 1939

Jadwiga Pohl nie poznawała swojego męża, odkąd Niemcy 9 września zajęli miasto. Wehrmacht wkraczał do Łodzi przy asyście wiwatujących łódzkich Niemców, którzy witali oddziały niemieckie wzniesionymi prawymi rękoma. Powiedziała wtedy mężowi, że został utworzony komitet obywatelski miasta Łodzi, który chce pomóc w administrowaniu miastem i rozwiązywaniu bieżących spraw.

— Polacy, moja droga, nie nadają się do administrowania, tylko do ciężkiej roboty!

Alois Pohl w ciągu miesiąca przeistoczył się w krwiście prawdziwego narodowego socjalistę. We wszystkich garniturach miał wpięte znaczki ze swastyką. Gdy szesnastego września do Łodzi przybył z Rzeszy niemiecki komisarz miasta, doktor prawa Ludwig Leister, Alois wybrał się do niego na rozmowę ze wspaniałą paczką złożoną z wybornych czekolad szwajcarskich oraz koniaków francuskich.

— Muszę zdobyć nowych przyjaciół. Tak się właśnie załatwia interesy! — oznajmił żonie z dumą przed wyjściem.

— Nie pójdę kochanie, mam migrenę — odparła Jadwiga.

Nie stać jej było w tym momencie na otwartą konfrontację. Ale w głębi duszy gardziła człowiekiem, którym stał się jej mąż. Do tego dochodziła sprawa Magdy, która w sierpniu wybrała się w góry z przyjaciółmi, chyba tymi samymi, którzy zaszczycili ich podczas sławetnej kolacji półtora roku temu.

— Czy nie interesuje cię, co się stało z twoją córką? — zapytała w końcu, szczerze i głęboko zmartwiona niepewnym losem pasierbicy.

— Na pewno jest w Bielsku. To porządne niemieckie miasto. Nasze wojska zajęły je trzeciego września, jak słyszałem. Moja córka jest rozsądna i na pewno tam została. Jak tylko skończy się ta Polska, zapanuje tu porządek.

Cóż mogła rzec? Zmilczała. W czasie gdy Alois załatwiał swoje interesy z nowymi władzami miasta, Jadwiga postanowiła się dowiedzieć, co się stało z Magdaleną. Wreszcie — z wielkim opóźnieniem, ale jednak — dotarła dwuzdaniowa wiadomość z oblężonej Warszawy. Dziewczyna napisała, że przebywa w tamtejszym mieszkaniu i że

potrzebuje pomocy, gdyż Warszawa jest już odcięta i oblężona. Miała nie mieć już wcale pieniędzy.

Z tą informacją Jadwiga poszła do męża. Ten rozmawiał właśnie w salonie z jakimś niemieckim oficerem SS.

— Kochanie, pozwól, że ci przedstawię... — Alois Pohl wstał z sofy.

Niemiec również wstał. Był wyniosły, wysoki, w mundurze.

— Obersturmführer Georg Fleishmann z pionu śledczego naszego Gestapo. Wyobraź sobie, że policja Führera będzie mieściła się na ulicy Karola Anstadta pod numerem siódmym — dokończył Pohl.

— Mieścimy się w budynku dawnej żydowskiej szkoły, ale porządnie wysprzątałyśmy i nic nie czuć — rzekł esesman.

Alois Pohl rubasznie się roześmiał, jak gdyby był to pierwszorzędny dowcip jakiejś przedwojennej rewii z Dymszą.

— To świetnie — rzekła Jadwiga po niemiecku, którym władała dość płynnie. — Może zatem Gestapo zajmie się poszukiwaniem twojej córki, Alois?

Wręczyła zbaraniałemu mężowi kartkę z telegraficzną depeszą. Nie było wątpliwości, że Magdalena napisała ją z Warszawy, gdzie trwały wówczas zaciekle walki. Alois zbladł, bo kłamstwo, które wyprodukował jego próżny umysł, żeby nie przejmować się nieobecnością córki, nagle przysło. Nie było jej w Bielsku, tylko w Warszawie — w samym centrum cyklonu.

— Moja córka jest w Warszawie...

Tego samego dnia w towarzystwie poznanego esesmana pojechał do stolicy. Nie wiedział, czy Magdalena przeżyła. W drodze w milczeniu zastanawiał się, czy jeśli zginęła od niemieckiej bomby, to powinien mieć pretensje do swoich nowych przyjaciół?

*

Stefan Brychczyński opadł na ziemię, straszliwie zmęczony. On i jego oddział, dowodzony przez kapitana Tadeusza Żencykowskiego, przedzierał się bez ciężkiej broni bocznymi drogami wzdłuż Wisły na pomoc walczącej Warszawie. Pierwszego października dowiedzieli się, że Warszawa poddała się dwudziestego ósmego września i Niemcy weszli już do stolicy. Oddział był w rozpaczliwym stanie. Rannych musieli zostawić na plebanii jakiegoś kościoła na Mazowszu, ale Stefan był zbyt zmęczony, by przypomnieć sobie nazwę miejscowości.

Dowódca zebrał tych, którzy pozostali — około trzydziestu żołnierzy.

— Warszawa się poddała — oznajmił. — Macie obowiązek przeżyć dla waszych rodzin i dla waszego kraju. Podjąłem decyzję o zakończeniu walki w mundurach. To nie ma już sensu. Jednak pamiętajcie, gdziekolwiek będziecie, że walka trwa dalej. Wiem, że mój

ostatni rozkaz jest dla was bardzo ciężki. Nie traćcie ducha! Zakopcie broń i mundury, może przydadzą się wkrótce.

Nikt nie odezwał się nawet słowem. I to nie z powodu zmęczenia. Żaden z nich nie chciał przyznać, że cała ta krew, trupy kolegów, smród okopów, przedzieranie się przez chaszczę, brak świeżej wody — że to wszystko było na próżno. Żołnierze byli w różnym wieku, znajdowali się wśród nich zarówno dojrzały mężczyźni, jak i młodsi. Nagle rozległ się strzał. To młody podchorąży, dziecko chyba jeszcze, ledwo dwadzieścia lat mający, strzelił sobie w usta. Nie mógł znieść tego, że kapitan rozpuszczał oddział i kazał zdjąć mundury.

— Szkoda dzieciaka — rzucił kapral Kleibert, który przeszedł ze Stefanem Brychczyńskim całą drogę wojenną.

— Powiedz to jego rodzinie — odparł Brychczyński.

— Co zrobisz?

— Pójdę do Warszawy. Muszę wiedzieć, czy matka i siostra przeżyły.

— Zabiorę się z tobą — rzekł kapral.

Stefan go lubił. Konkretny facet, bardzo dobry żołnierz, opanowany, spokojny. Zabił kilku Niemców. Miał podwójną determinację, ponieważ był polskim Żydem. Stefan dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę.

— Nie jest ważne, co ja zrobię, tylko co ty zrobisz, Jurek.

— Jak to co? Zadbam o moich i będę walczył. Tak jak potrafię.

Żołnierze odpoczęli, ale trzeba było jeszcze wykonać ostatni rozkaz. Zabezpieczyli broń, szczególnie tę długą. Zawinęli ją w wojskowe płaszcze i zakopali w piaszczystym miejscu. To pożegnanie było dla Stefana szczególnie bolesne. Oddał też swój pistolet. Gdyby Niemcy złapali go po cywilu z taką bronią... Należało szybko przestawić myślenie na inne tory.

Rozeszli się grupkami w różne strony. Brychczyński i Kleibert ruszyli w kierunku Warszawy. Przenocował ich proboszcz w miejscowości Pilawa. Dał im jeść i zorganizował jakieś w miarę niezłe wyglądające cywilne ciuchy. Zdradzały ich wyłącznie wojskowe skórzane buty z cholewami. Ksiądz przekazał im też nieco informacji o sytuacji w Warszawie, która szczególnie w ostatnim tygodniu oblężenia miała być straszliwie bombardowana. Wszystko to było bardzo przygnębiające, ale po dniu odpoczynku Stefan i Jurek zdecydowali się iść dalej, po życie lub śmierć.

*

Dla Jadwigi Pohl zmiana w zachowaniu męża stanowiła za duże obciążenie, by przejść nad tym wszystkim do porządku dziennego. Lubiła Magdę, cieszyła się, że udało im się zaprzyjaźnić. Ale teraz pasierbica znalazła się w najbardziej niebezpiecznym mieście na

ziemi, ostrzeliwanym i miażdżonym artylerią i lotnictwem — dla Jadwigi to było po prostu zbyt wiele.

Zeszła do kuchni i naląła sobie szklaneczkę szkockiej, która akurat była otwarta w barku. Po chwili zauważyła, że nie jest sama.

— Niech Popiołkowa wyjdzie i nie obawia się.

Gospodyni, która mieszkała w pokoju za kuchnią, też to wszystko przeżywała, tylko inaczej, bo jej syn Roman poszedł do wojska i pewnie bił się gdzieś... Nie wiadomo gdzie.

— Co z panienką?

— Jest w Warszawie.

— Tam przecie...

— Tak, pani Popiołkowa, tam jest strasznie. — Jadwiga dopiero teraz zauważyła, że stara i spracowana gospodyni jest sama. — A gdzie Romek? Nie widziałam go od miesiąca.

— W wojsku, szanowna pani.

— Przepraszam, że nie zapytałam cię o to. Pewnie bardzo to przeżywasz.

Nagle Jadwidze zrobiło się głupio, bo zdała sobie sprawę z tego, że nie zna imienia swojej gospodyni.

— Jak Popiołkowa ma na imię?

— Maria. Dziękuję pani za te słowa. Nie spodziewałam się... Mój syn jest na wojnie. Mam go jednego, poza nim nikogo...

— A ja się cieszę, że nie mam dzieci z moim mężem. — Jadwiga znów naląła sobie do pełna. — I nie zazdrozczę ci tego bycia matką Polką...

Maria Popiołkowa nie miała o to żalu. Była polską matką robotnicą, niezauważaną jak szczołka schowana za szafą, pokorną, która zawsze robiła to, co jej kazano, a i więcej. Ten dom też był przecież na jej głowie. To ona robiła wszystko, żeby funkcjonował. Ale to nieważne. Tak naprawdę martwiła się tylko o syna, który nie dawał znaku życia.

WARSZAWA, PAŹDZIERNIK 1939

W październiku w Warszawie czuć było na każdym kroku atmosferę klęski i upokorzenia. Początkowo mieszkańcy starali się nie patrzeć na Niemców, zasłaniaли oczy gazetą albo książką, ale szybko uświadomili sobie, że to nic nie da. Od pierwszego października okupanci publikowali zarządzenia — z małą złośliwością co dwa tygodnie zmieniali terminy godziny policyjnej. Działo się tak na polecenie władz wojskowych, za wiedzą i akceptacją generała Blaskowitza, który nadzorował zajęte przez niemieckie wojsko polskie ziemie. Raz godzina policyjna zaczynała się od osiemnastej, a potem od siedemnastej — to dezorientowało Polaków. Za nieprzestrzeganie zarządzenia groził areszt, a ta kara często kończyła się pobiciem, kalectwem lub śmiercią.

Dla Poldka i Lidki Rosenmanów oblężenie Warszawy było koszmarem, ale przynajmniej w tym czasie nie byli na ulicach wyzywani od Mośków, rudych i podstępnych, i nie słyszeli hasła typu: „Przez Żydów ta wojna”. Nieszczęście stolicy jak gdyby na chwilę zawiesiło antysemityzm uliczników, ale po wkroczeniu Niemców zapanował w rodzinie Rosenmanów strach o nieznanym obliczu. Od pożegnania z ojcem, który w ostatnim momencie, dwudziestego sierpnia, dostał powołanie do wojska i od tamtej pory nie dawał znaku życia, żyli sami z matką w mieszkaniu na Pradze, na wysokości cerkwi pod wezwaniem Świętej Równej Apostołów Marii Magdaleny. W kamienicy, która na szczęście nie została zbombardowana — prawie sami swoi. Sąsiedzi znali ich i wiedzieli, że Rosenmanowie to „swoje ludziska są”. A to sąsiadka przychodziła pożyczyć cukier, bo zaczęły się z nim problemy, a to sąsiad zajrzał pogadać z Poldkiem.

Jednak kiedyś trzeba było wyjść, zwłaszcza że kończyły się zapasy kaszy, cukru, kawy zbożowej. Poldek wyruszył więc po raz pierwszy na zakupy. Najbliższa piekarnia znajdowała się na Grochowskiej. Na miejscu ustawił się w kolejce. I wtedy się zaczęło.

— Żeby taki w kolejce z normalnymi ludźmi stał — rzuciła jakaś grubawa kobieta przed nim.

Nie zareagował. Miał cel — kupić jeden albo dwa podłużne bochny żytniego chleba. Jak będzie w domu chleb, to już coś. Inni w ogonku się nie odzywali. Wkrótce okazało się, że chleb jest, ale tylko jeden na osobę. Poldek stał dalej. Gdy kolejka posunęła się naprzód, zauważył, że wewnątrz piekarni znajduje się niemiecki żołnierz. W pierwszej chwili się przestraszył, ale uznał, że jest przecież znośnie ubrany, niedawno napisał świetnie maturę i taki Niemiec nie odróżni go od Polaka.

Kobieta, która rzuciła mu wcześniej nieprzyjemny komentarz, odwróciła się do niego.

— Zaraz tu wrócę — powiedziała.

Poldek zauważył, że poszła wprost do niemieckiego żołnierza — widział to wyraźnie przez otwarte drzwi do piekarni. Zapachniało chlebem, a on był taki głodny. Za moment żołnierz z karabinem przewieszonym przez ramię na pasku wyszedł.

— Ty nie możesz tutaj stać — zwrócił się do niego.

— *Warum?*³ — zapytał Poldek.

Niemiec uśmiechnął się i nagle strzelił go ręką w twarz.

— Dlatego.

Policzek mocno piekł. Bardziej jednak bolało, że ta jedna kobieta skutecznie oddzieliła go nie tylko od chleba, ale także od Polaków stojących w kolejce. Jak gdyby on, Poldek, nie był Polakiem! A przecież tak się czuł, tak był wychowany, w głowie szeptał mu Mickiewicz i Słowacki.

— Co ja pani zrobiłem? — zapytał, występując z kolejki.

Na zadane publicznie pytanie kobieta, która zdążyła już wrócić na swoje miejsce, musiała jakoś zareagować. Odwróciła się do niego, jak gdyby nic się nie stało, i powiedziała głośno, by wszyscy wokół usłyszeli:

— Nie dla ciebie ta kolejka, parchu jeden ty. Nie dla psa kiełbasa, a dla kota spyrka.

Nikt się nie roześmiał z tego dowcipu. Ludzie powoli przesuwali się do piekarni. Nikt nie sprzeciwił się chamce, obok której stał niemiecki żołnierz z karabinem. Poldek zduśił w sobie płacz, bo wiedział, że to nic nie da. Może ta kobieta była jedną z klientek ojca, a może po prostu skądinąd wiedziała, że on, Poldek Rosenman, obywatel Polski, był starozakonnym. Odwrócił się i ruszył chodnikiem w stronę ich mieszkania. Jednak Niemiec podszedł do niego zdecydowanie i wskazał mu, że ma iść rynsztokiem.

Właśnie zaczęła padać solidny, pierwszy tej jesieni deszcz.

*

Tymczasem ojciec Magdy pędził do Warszawy, zupełnie nie niepokojony przez liczne patrole niemieckie, które zatrzymywały wszystkie pojazdy. Zawdzięczał to dobremu towarzystwu — jechał z nim dowódca SS i policji z Łodzi, który przy okazji chciał załatwić w mieście jakąś pilną sprawę.

— Warszawa nie będzie już żadną stolicą — rzekł SS-Obersturmführer Fleischmann. — Wolą Führera jest, aby stała się po prostu prowincjonalnym miastem nowego politycznego tworu, jaki zamierzamy utworzyć na terenie tego nikczemnego kraju.

— Co to takiego?

— Generalne Gubernatorstwo lub Generalny Komisariat, nazwa jeszcze nie została ustalona. Stolica będzie w Krakowie, prawdziwym, starym niemieckim mieście — rzekł esesman.

Alois Pohl był co prawda Niemcem, ale mieszkającym od dawna w Polsce. W duszy uśmiechnął się na to, co właśnie usłyszał.

— Żaden z Polaków nigdy tego nie uzna — stwierdził. — Przecież to miasto dawnych polskich królów.

— Które zbudowali Niemcy — uzupełnił jego wypowiedź Fleischmann śmiertelnie poważnie. — Kraków został w połowie XIII wieku założony na prawie niemieckim. Ołtarz Veita Stoßa⁹ jest tego następnym dowodem. To będzie prawdziwe, modelowe niemieckie miasto, niemiecki porządek.

— Kto będzie szefem tego nowego tworu?

— Nie mogę panu powiedzieć, Herr Pohl. Jako lojalny Niemiec wszystkiego dowie się pan w swoim czasie. Tymczasem proszę odnaleźć córkę. To wysoce nieodpowiedzialne zachowanie z jej strony. Wybierać się do Warszawy na początku naszej kampanii!

— Tak, oczywiście. — Pohl energicznie pokiwał głową.

Cóż mógł powiedzieć? Nie po raz pierwszy Magdalena okazała mu brak szacunku, ale koniec z tym. Niech tylko wpadnie mu w ręce, już on z nią zrobi porządek! Prawdziwy porządek, a nie taki na żarty, jak do tej pory.

Podróż upływała szybko, ale im bliżej Warszawy, tym bardziej było widać, jak ciężkie walki toczyły się tutaj od zachodu, przy podejściu do miasta od strony Woli. Mijali spalone samochody, zepchnięte na bok, ale po znakach obramowanego na biało czarnego krzyża Pohl poznał, że wiele z nich należało do niemieckiego wojska.

— Tutaj zginął generał von Fritsch — zwrócił uwagę esesman.

— To straszne — odparł krótko Pohl, który właśnie dowiedział się, że Niemcy stracili wysokiego rangą oficera w natarciu na Warszawę.

Wreszcie kierowca zajechał przed gmach, o który chodziło esesmanowi.

— Tu było ministerstwo edukacji — zauważył Pohl.

Byli na alei Jana Chrystiana Szucha. Samochód się zatrzymał. Wokół kręciło się mnóstwo niemieckich wojskowych.

— Teraz jest tutaj Wehrmacht, ale przejmujemy budynek. Tu będzie główna siedziba Gestapo — mówił Fleischmann, wychodząc z auta. — Dziękuję za podwiezienie. Jeśli nie znajdzie pan szybko córki, my się tym zajmiemy. Niemka mogła paść ofiarą zemsty tego polskiego motłochu, który mamy nadzorować.

— Dziękuję, Herr Obersturmführer. Nie omieszkać się zwrócić o pomoc.

Esesman uniósł prawą rękę w charakterystycznym geście i zniknął za kordonem wojskowym. Pohl polecił kierowcy pojechać do mieszkania Magdy w Warszawie. Trochę to jednak trwało. Mężczyzna znał dobrze Warszawę, gdyż miał tutaj też swoje interesy. Widok zburzonych kamienic go przeraził. Co za piekło! — pomyślał. W jednej chwili przeszła mu złość na córkę. Chciał ją po prostu znów zobaczyć.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział kierowca.

Pohl wysiadł z auta przed stertą gruzu. Nie mógł wydobyć z siebie słowa. W jednej chwili zrozumiał, że przyjechał na próżno. Jego córki już nie było. Zauważył, że rozbite kawałki gruzu sprząta cieć zatrudniony w kamienicy. Raz czy dwa razy chyba go widział, gdy nocował tu wiosną tego roku.

— Przepraszam — zapytał. — Czy nie widzieliście tutaj mojej córki Magdy?

Cieć, prosty człowiek, spojrział spode łba. Strach wpełzł do domów i serc tych warszawiaków, którzy przetrwali oblężenie.

— Tylu ludzi zaginęło, wiesz pan, trudno tak spamiętać wszystkich.

Pohl wyciągnął banknot stułotowy i wręczył go stróżowi. Może sobie przypomni? — pomyślał. Pieniądze i tak zaraz tracą wartość. Dochodziły już do niego plotki o wymianie przygotowywanej przez władze niemieckie.

— Pamiętam przecież pana prezesa — rzekł stróż jakby przytomniej. — Pana córka to przyjechała z końcem sierpnia.

— Kiedy ją widzieliście? — zapytał Alois Pohl.

— Po zburzeniu kamienicy tu była, oglądała... Taka przestraszona...

— A powiedziała panu, gdzie będzie mieszkać, co chce zrobić?

— A chyba na Bielańskiej miała być, coś tak, mi się wydaje, mówiła... — Stróż zauważył znak swastyki wpięty w marynarkę Pohla, gdy ten odstonił fałd płaszcza. — A pan, panie prezecie, to teraz już ich? Tak szybko?

Gdyby nie okoliczności, Pohl uznałby te słowa za obraźliwe. Ale stróż dał mu lekcję poglądową — od Polaków niczego się już nie dowie, mimo że zna ich jak własną kieszeń. Stał się wrogiem. Jednak uzyskana informacja rzeczywiście była warta słów. Nawet więcej. Alois Pohl zdał sobie sprawę z tego, że nie zna kolegów córki, nie wie nic poza tym, że jacyś młodzi ludzie byli u niego rok wcześniej w Łodzi. Poczł się bezradny. Warszawa była pogrążona w chaosie, nie wiadomo, kto dostał się do miasta, a kto z niego wyszedł podczas oblężenia. Jedynym rozwiązaniem był powrót na aleję Szucha.

*

Gdy Alois Pohl wrócił na Szucha, dowiedział się, że przynajmniej do listopada — tak mówili zagadywani Niemcy — miasto miało być w rękach administracji wojskowej. Co oczywiście nie znaczyło, że Gestapo nie działało. Aresztowano właśnie prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego. Pohl znał go z kilku przedwojennych rautów. W pewnym momencie postać prezydenta miasta, wyraźnie pobitego, mignęła mu na korytarzu. Tak, Gestapo szybko brało się do pracy, żeby zetrzeć polskość tej ziemi.

Tymczasem Pohl rozglądał się za kimś kompetentnym. Wreszcie znalazł. Przyjął go oficer w randze porucznika.

— Szukam córki.

— Niestety, nie możemy panu pomóc. Administracja Führera nie zajmuje się zaginionymi dziewczętami — odparł oficer.

— Doprawdy? Jestem Niemcem, jak pan, i jednym z wpływowych ludzi w Łodzi. Zrobiłem dużo, by Niemcy zaczęli tutaj swoje rządy, i oczekuję jedynie pomocy w odnalezieniu niemieckiej dziewczyny, która może być narażona na niebezpieczeństwo.

To zmieniało postać rzeczy — chodziło o Niemkę.

— Dobrze — rzekł porucznik. — Czy ma pan jakieś fotografie córki? Gdzie ona może teraz przebywać?

Alois Pohl wyciągnął z portfela zdjęcie Magdy, które zrobiła jeszcze do szkolnego albumu. Oficer wziął je i od razu wypalił:

— Ależ ja tę dziewczynę znam!

— Żartuje pan chyba!

— Mówię zupełnie poważnie. Była tłumaczką amerykańskiego dziennikarza, który robił z nami nagranie i wywiad.

— Wywiad? — Pohl był coraz bardziej zdumiony.

— Przepraszam, już tłumaczę. — Porucznik poprawił się na krześle. — Nazywam się Johann von Dohnányi i ósmego września, po naszym nie do końca udanym ataku na Warszawę, że tak to ujmę, trafiłem do niewoli. Któregoś dnia pojawił się ten Amerykanin, towarzyszyła mu tłumaczka. To na pewno była właśnie ta — położył palce na zdjęciu — dziewczyna. Zapamiętałem ją, bo mówiła po niemiecku idealnie. Jak berlinianka, a nie jak ktoś, kto nauczył się naszego języka jako obcego. Teraz już rozumiem dlaczego. Więc mówi pan, że zaginęła?

Alois Pohl zrozumiał, że Magdalena celowo nie wróciła do Łodzi zaraz przed pierwszym wrześniem i — co najważniejsze dla starego wygi — jej zachowanie było w istocie opowiedzeniem się po jednej ze stron, bynajmniej nie tej, po której on stał. Ujawnienie tego mogło być niebezpieczne. Pohl flirtował z hitlerowcami od połowy lat trzydziestych, ale nie miał też złudzeń co do charakteru reżimu narodowo-socjalistycznego w Rzeszy. Dla niego najważniejsze było to, że zamówienia wojskowe — na płaszcze, koce, odzież zimową dla armii — napełnią jego kasę reichsmarkami. Sympatyzująca z Polakami córka mogła mu tylko zaszkodzić.

— Dziękuję, panie poruczniku, to naprawdę niezwykle sprzyjająca okoliczność, że pan spotkał moją córkę. Być może przebywa ona w rejonie ulicy Bielańskiej, taką otrzymałem dziś informację.

— W takim razie zarządzę blokadę ulicy i będziemy chodzili od mieszkania do mieszkania, aż ją znajdziemy. Być może władze wojskowe zechcą postawić przed sądem osoby, które ją przetrzymywały.

— Panie poruczniku, proszę o zrozumienie sytuacji... Nie chciałbym rozgłosu.

Porucznik Johann von Dohnányi przypomniał sobie, że córka Pohla kazała mu się wstydzić. Domyślił się, o co tu chodzi. Niemcy dopiero zaczynali swoje panowanie w Warszawie, w jakiś sposób młody niemiecki oficer rozumiał tego człowieka. Formalnie nie miał obowiązku zawiadamiać Gestapo w sprawie rodzinnego zaginięcia. Poza tym był jeszcze jeden czynnik, który wpłynął na jego decyzję, a z którego Pohl nie zdawał sobie sprawy.

Dziewczyna po prostu wpadła Johannowi von Dohnányiemu w oko.

*

Magdalena nie chciała przedłużać swojego pobytu u Wandy Brychczyńskiej i jej matki. Pomagała im, jak umiała, ale z zaopatrzeniem było coraz gorzej. Nastaly dżdżyste dni

smutnej warszawskiej jesieni. Jedzenia zaczynało brakować. Jeśli ktoś nie zrobił wcześniej zapasów, to miał teraz ogromny problem. Matka Wandy kupiła kilka kilogramów pszenicy, co zdziwiło jej córkę, gdyż nie miały jak zmielić jej na mąkę. Kobieta jednak wiedziała, co robi, i kazała dziewczynom przynieść dorodnych żołądzi. Następnie rozbiła je delikatnie i uprażyła z pszenicą w piecu węglowym. Gdy wystygły, zmieliła je w ręcznym młynku do kawy.

— To będzie nasza kawa — powiedziała osłupiałym dziewczynom.

Napój smakował niezłe, prawie jak dobra zbożowa kawa, tylko nieco bardziej gorzka. Za tę gorycz odpowiadały właśnie żołądzie.

Gdy tak rozmawiały przy kawie, rozległo się pukanie do drzwi, dość wyraźne i uporczywe. Zerwały się wszystkie trzy na równe nogi.

— Czy to Niemcy? — Wanda spanikowała.

— Nie mają powodu was niepokoić. Gdyby jednak to byli oni, wytłumaczę wszystko — powiedziała Magdalena, która w tej sytuacji postanowiła zachować zimną krew.

W końcu, gdy pukanie nie ustępowało, podniosła się znad stołu w kuchni pani Brychczyńska i ostrożnie podeszła do drzwi. Uchyliła je, ale nie zdjęła łańcucha zabezpieczającego. Za drzwiami stał jakiś nieznany mężczyzna. Już miała je ze złością zamknąć, gdy usłyszała:

— Mamo, wpuść mnie, proszę...

Dopiero wtedy kobieta poznała, że to jej syn Stefan. Otworzyła drzwi. Chłopak przewrócił się, wpadł przez próg do mieszkania. Nadbiegły Wanda i Magdalena i pomogły go podnieść. Był zupełnie wyczerpany, musiał iść pieszo do Warszawy przez wiele kilometrów. Matka i siostra go rozebrały, w międzyczasie Magda nagrzała wody, żeby go umyć. Miał potwornie okaleczone palce u stóp, paskudny wielki siniak na żebrach, jak gdyby ktoś uderzył go kolbą albo kopnął. A przecież jeszcze niespełna dwa miesiące temu, gdy byli wszyscy razem na wakacjach w Beskidach, wyglądał na dumnego, zadbanego żołnierza.

W domu Brychczyńskich nie było zbyt wiele do jedzenia, ale matka wyjęła z ukrytych zapasów słoik miodu spadziowego, żeby Stefan mógł się posilić. Dopiero teraz wyczerpany chłopak zauważył, że w ich mieszkaniu jest także Magdalena.

— Co ty tutaj robisz? — W jego głosie zabrzmiała podejrzliwość.

— Rzeczywiście, zasiedziałam się u was. — Dziewczyna nie wiedziała, co ma powiedzieć. — Moje mieszkanie zostało zniszczone, nie miałam dokąd pójść.

Stefan tego nie skomentował. Zjadł i dopiero wtedy matka z siostrą zaczęły go wypytywać. Nie chciał zbyt wiele mówić. Wszystko było jeszcze zbyt świeże, zbyt jaskrawe.

— Mogłem przebijać się na Rumunię i Węgry — mówił. — Ale doszły nas słuchy, że Sowieci wyłapują naszych. Nie macie pojęcia, przez co przeszedłem. Nasz oddział, który postanowił iść na Warszawę, został rozbity. Zostałem sam. Co z ojcem?

— Nic nie wiemy — odparła matka.

Magdalena rozumiała, że teraz, gdy Stefan wrócił, ona nie może zostać u Brychczyńskich. Nie tylko przez swoje pochodzenie, ale też ze względu na to, że rodzina nie miała wiele, by przetrwać nadchodzącą zimę. Uznała, że najlepiej będzie oddalić się po cichu. Gdy Brychczyńskie były zajęte rozmową ze Stefanem, zostawiła w książce należącej do Wandy dolary, które dostała od amerykańskiego dziennikarza. Pozostało zaczekać na okazję, by dyskretnie zniknąć.

Rodzinna atmosferę zakłóciło nagle to, co wydarzyło się na zewnątrz. Na Bielańską zajęchały samochody wojskowe i niemieccy żołnierze ruszyli do budynków. Było jasne, że kogoś szukają. Brychczyńscy zza firanki ostrożnie obserwowali rozwój sytuacji. Nie zwrócili uwagi, że Magdalena założyła swoje trzewiki, płaszcz i wyszła z mieszkania.

Niemieccy żołnierze wchodzili już po schodach. Spokojnie do nich podeszła.

— Mnie szukacie. Nie ma powodu do robienia awantury.

Czegoś takiego się nie spodziewali. Niemiecki, jakim się posługiwała, nie pozostawiał wątpliwości co do tego, kim była. Zaprowadzili ją zatem do samochodu, który dobrze знаła. Wiedziała, kim był jego główny pasażer. Ojciec wysiadł w towarzystwie porucznika von Dohnányiego.

— Masz z powrotem swoją niemiecką córkę, ojczce. Jedźmy do domu. — I wsiadła do auta.

CZEŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ VI

Pogrzeb

MAJ 1940

Magdalena Pohl, studentka architektury na politechnice w Zurychu, wracała pociągiem przez wielką Rzeszę Niemiecką do rodzinnego miasta. Wiadomość o śmierci ojca, Aloisa Pohla, zastała ją podczas pełnego słońca pobytu nad Jeziorem Genewskim. Nie była z nim zżyta, choć powinna. Depesza od Jadwigi, która przebywała w Litzmannstadt, dawnej polskiej Łodzi, teraz wcielonej do Rzeszy, przywołała wspomnienia.

*

Po odnalezieniu jej rok wcześniej przez ojca w mieszkaniu na Bielańskiej nie wracała do tego, co przeżyła w Warszawie podczas straszego oblężenia. W aucie milczeli. Awantura wybuchła dopiero po powrocie do Łodzi, czego świadkiem była Jadwiga.

— Mogłaś zginąć! Za co i za kogo? — krzyczał wtedy ojciec. — Miałaś obowiązek wrócić do domu i przeczekać tutaj upadek Polski! Jesteś Niemką, krwią z mojej krwi! Żądam lojalnego wobec mnie i Rzeszy Niemieckiej zachowania!

— Jestem Polką, mam polskich przyjaciół i nie zmieni tego moje pochodzenie!

Usłyszawszy to, ojciec nalał sobie kielicha, żeby ochłonąć. A Magdalena mówiła dalej, jak w transie.

— Mam obowiązek wobec moich przyjaciół, ludzi, których kocham! Którzy są dla mnie ważni. Nie będziesz za mnie wybierał strony w tej wojnie! Może i dobrze, że mama nie żyje i nie widzi, kim się stałeś.

— A kim się stałem? — próbował ironizować.

— Zdrajcą — rzuciła mu bez wahania w twarz córka.

Tego już Alois nie zdzierzył. Podszedł do niej i z całej siły strzelił ją dłonią w twarz. Uderzenie było tak mocne, że Jadwiga, która wówczas stała za drzwiami, aż krzyknęła z wrażenia. Ale Magdalena nawet nie jęknęła, mimo że z rozbitej wargi sączyła się krew. Czuła zresztą jej smak na języku — słodki i mdły.

— Nigdy więcej się do ciebie nie odezwę — wyszeptła.

— I słusznie. Kobiety powinny tylko wykonywać polecenia swoich ojców lub mężów — powiedział Alois Pohl, zadowolony, że okiełznał córkę.

Nie zdawał sobie sprawy z tego, że właśnie bezpowrotnie stracił jej serce.

— Wyjeżdżasz za dwa dni do Szwajcarii. Powinnaś studiować, a nie kręcić się po jakichś polskich czy żydowskich spelunach. Jesteś Niemką i masz zachowywać się jak Niemka — oświadczył i wyszedł.

Za drzwiami spotkał Jadwigę.

— Jak mogłeś jej to zrobić? — zapytała z wyrzutem.

— Mogłem. I tobie też mogę, jak sobie zasłużysz — odparł pan i mąż.

Takich słów się nie zapomina. Tego dnia Jadwiga zwierzyła się pasierbicy, że obawia się jej ojca. Nie był już tym samym człowiekiem, za którego wyszła.

— Współczuję ci, że nie możesz się z nim rozwieść. Ma zbyt szerokie kontakty wśród niemieckich władz, również w Gestapo. Musisz na niego uważać — ostrzegła ją Magdalena. — Ja pojedę do Szwajcarii, żeby sobie wszystko na nowo ułożyć, bo to, co widziałam podczas oblężenia, zostanie we mnie już na zawsze. Nie wyobrażam sobie jednak, by czekać z założonymi rękami na zwycięstwo Hitlera i tej bandy, która zaczęła rządzić w naszym kraju.

Jadwiga inaczej spojrzała na pasierbicę. Jej samej małżeństwo z Aloisem dało życie, którego wcześniej, jako aktorka utrzymująca się ze sztuki, nie miała. Przy nim zyskała stabilność w świecie lat trzydziestych — w czasach recesji i biedy, która wyganiała ludzi na ulice.

— Pozostańmy w kontakcie, Magdo.

*

Telegram od Jadwigi o śmierci ojca przyniósł Magdalenie ulgę zamiast rozpacz. Alois Pohl już od dawna nie był najbliższą jej osobą. Stopniowo stawał się coraz bardziej obcy, a siarczysty policzek, jaki od niego otrzymała, jedynie przyspieszył ten proces. Nie znała przyczyn śmierci ojca, Jadwiga napisała tylko, że zaczeka z pogrzebem na jej przyjazd. Magdalena nie płakała — zastanawiała się nawet, jak może być tak nieczuła.

Szczęście w nieszczęściu, że zdała już wszystkie egzaminy na drugim roku. Choć studia szły jej dobrze, nie wkładała w nie takiej pasji jak na początku. Dobrze sobie wszystko przemyślała i nie zamierzała wracać do Szwajcarii. Chciała być potrzebna w kraju, od ośmiu miesięcy niszczonego i okradanego. Zdała sobie sprawę z tego, że jako członkini rasy panów, mitycznego hitlerowskiego Herrenvolku, i córka bogatego człowieka może ze swego pochodzenia uczynić atut i zrobić coś dla okupowanej Polski, która miała przestać istnieć. Spakowała się i wyruszyła z Zurychu do Monachium pociągiem, i następnego dnia, po krótkim odpoczynku, dalej koleją do Wrocławia.

Był to czas triumfu Niemców — dziesiątego maja, po kilku miesiącach dziwnej wojny, zaatakowali zachodnią Europę, i ta kampania zaskakująco dobrze im się udała. Gdy

Magdalena odbywała swoją podróż do Łodzi, zamienionej przez Niemców na Litzmannstadt, walki na froncie zachodnim wciąż trwały. Skontaktowała się telefonicznie z Jadwigą. Ustaliły, że kierowca przyjedzie po nią do Breslau, dawnego Wrocławia.

*

W końcu się spotkały — córka i żona martwego mężczyzny. Magdalena przyjechała w przeddzień pogrzebu i razem z Jadwigą udała się do kaplicy cmentarnej, by zobaczyć ciało ojca. Alois w trumnie wyglądał inaczej, niż to sobie wyobrażała. Leżał spokojny, z zamkniętymi powiekami, zupełnie niemy i w gruncie rzeczy niegroźny. Bardzo chciała teraz zapłakać, ale wciąż nie potrafiła.

— Czy masz papierosa? — zapytała macochę.

Zaskoczenie Jadwigi było tylko chwilowe. Bez słowa podała jej paczkę francuskich papierosów. Dopiero po chwili spytała:

— Gdzie nauczyłaś się palić?

— Na studiach.

Magdalena zaciągnęła się. Otoczyły ją kłęby dymu. Jadwiga zdawała sobie sprawę z tego, że gdyby teraz ktoś niepowołany wszedł i zobaczył Magdę nad trupem ojca w takim stanie, pasierbica miałaby kłopoty. Dziewczyna wpatrywała się w martwe rysy mężczyzny leżącego w trumnie na katafalku z jakimś ukrytym, tylko jej wiadomym celem. Czy chciała w ten osobliwy sposób się pożegnać?

W końcu dopaliła papierosa i włożyła niedopałek do trumny.

— Niech mu ziemia lekką będzie — powiedziała. — Chodźmy stąd.

Wróciły do domu.

Teraz mogły porozmawiać. Nalały sobie po szkockiej, której kilka butelek zostało jeszcze w barku. Były to przedwojenne zbiory ojca — teraz, w czasie wojny, nie można było nigdzie kupić takiego towaru, nawet w Rzeszy.

— Twoje zachowanie w kaplicy mnie zaskoczyło — zaczęła Jadwiga.

Obie wiedziały, że to będzie ważna rozmowa.

— Moje zachowanie... Tylko w ten sposób mogłam mu pokazać, jak bardzo mnie zawiódł jako ojciec i jako człowiek.

Jadwiga wypila jednym haustem szkocką i nalała sobie jeszcze jedną kolejkę.

— Nie widziałam cię dotąd pijącej — rzekła Magdalena. Siedziała na sofie ojca w dużym salonie ich pustego pałacu, teraz coraz mniej potrzebnego.

— Ostatni rok był... Twój ojciec... On bardzo się zmienił.

— W jakim sensie?

— Stał się w wyjątkowy sposób oddany i służalczy wobec niemieckich władz. Był na każde zawołanie i wydaje mi się... Nie, przepraszam, nie wydaje mi się. Ja jestem pewna,

że był częstym gościem na Gestapo. Zachowywał się wobec mnie bardzo butnie i kilka razy zrobił mi to, co przed rokiem tobie, gdy cię przywiózł z Warszawy.

Magdalena się tego spodziewała. Hitleryzm zadziałał jak wirus, jak bakcyl potężnej i nieznanej choroby, i zamienił kochanego niegdyś człowieka w potwora.

— Ale to nie wszystko. Nie krył się ze swoją bliską znajomością z tym gestapowcem, niejakim Obersturmführerem Fleischmannem. Spotykali się tutaj, ale ponieważ Alois nie traktował mnie poważnie, to i owo usłyszałam. Konstruowali razem listy proskrypcyjne.

— Co takiego? — zdumiała się Magdalena.

— Początkowo też nic mi to nie mówiło. Wiele razy słyszałam, jak powtarzali „AB”. Nie rozumiałam do końca, o czym mówili. Jak wiesz, mówię po niemiecku dość dobrze...

— Ale wyczuwa się polski akcent.

— To rozumiałe, moja droga — rzekła Jadwiga. — Ty masz czysty akcent, wprost z Rzeszy.

— I zamierzam to wykorzystać. — Magdalena patrzyła na nią z powagą.

— Nie bardzo rozumiem.

— W tej wojnie trzeba opowiedzieć się po jednej ze stron — powiedziała z przekonaniem dziewczyna. — Nie można sobie pozwolić na luksus neutralności, powiedzenia sobie i bliźnim, że nic nas to nie obchodzi. Ja się opowiedziałam i dlatego między mną i ojcem nastąpiło zerwanie.

Jadwiga znów pociągnęła dużego łyka ze szklanki.

— Łudziłam się, że małżeństwo z Aloisem odsunie ode mnie konieczność wyboru, ale... Ja też wybrałam.

Coś nowego, pomyślała Magdalena z delikatnym niepokojem.

— Twoją stronę, nie bój się — uspokoiła ją Jadwiga. — Nie jestem święta i nigdy nie byłam. Nie powiedziałam ci jeszcze wszystkiego o twoim ojcu i moim mężu świętej pamięci. Nurtowało mnie, co to znaczy: AB. W rozmowach twojego ojca i z tym esesmanem wiele razy te litery padały. To musiał być zatem akronim jakiejś większej nazwy. Którejś nocy, gdy Alois spał, sprawdziłam w jego notatniku. Miał tam zapisane pod hasłem AB nazwiska księży łódzkich, harcerzy, nauczycieli i swoich kolegów, na przykład dowódcy garnizonu, jego syna i wielu innych.

— Co to znaczy?

— To, że tymi ludźmi interesowało się Gestapo. W kwietniu spotkałam na ulicy żonę jednego z nich. Powiedziała mi, że jej męża zabrali i nie wie dlaczego. — Jadwiga zamilkła. — A ja wiedziałam. Magda, zrozum... Nazwisko tego człowieka, Józefa Szpadlewskiego, dyrektora jednego z łódzkich liceów, było w notesie twojego ojca. Zniszczyłam go zresztą po jego śmierci. On potem długo rozmawiał z tym esesmanem

przez telefon. Mamy dwa aparaty, więc ich podsłuchałam. Tak dowiedziałam się wszystkiego.

— Mianowicie?

— Akcja AB to akronim od niemieckiej nazwy *Außerordentliche Befriedigungsaktion*...

— ...nadzwyczajna akcja pacyfikacyjna — przetłumaczyła sobie Magdalena.

Zatem jej ojciec był w to zaangażowany. Gestapo łódzkie otrzymywało od niego donosy, i to on typował ludzi do aresztowania. Przerazające: jej ojciec zabijał, choć nie bezpośrednio.

— Bardzo to przeżywałam. Wiedziałam, że będę musiała ci to powiedzieć, kiedy przyjedziesz do Łodzi.

Magdalena musiała zadać jeszcze jedno pytanie. Krążyło ono gdzieś dookoła nich tego majowego wieczoru.

— Jak umarł ojciec? — zapytała. — Przecież nie chorował. Miał pięćdziesiąt lat, był okazem zdrowia. Więc?

Jadwiga zapaliła papierosa. Ciężar, jaki nosiła, był ogromny. Pragnęła powiedzieć Magdzie prawdę, ale... To się nie uda, pomyślała. Nie mogła ryzykować.

— Tego dnia wróciłam z kina, bo grali jakąś komedię. Alois pracował do późna w fabryce, jak doskonale wiesz. W ostatnim roku to życie w pracy odbiło się jednak na jego zdrowiu. Nie zjadł ze mną nawet kolacji i poszedł do siebie. Popiołkowa zrobiła mu herbaty z konfiturami malinowymi, jego ulubionymi. Potem długo nie schodził. Coś mnie zaniepokoiło. Poszłam do niego. Leżał na swoim krześle, jego twarz była sina. To musiał być rozległy zawał serca — powiedziała.

Popatrzyła Magdalenie w oczy.

— To był najgorszy dzień w moim życiu. W nocy w ogóle nie spałam. Oczywiście zawiadomiłam policję niemiecką i lekarza. To on, doktor Schmidt, internista i znajomy twojego ojca, przyjechał pierwszy i stwierdził... Jego podpis widnieje na akcie zgonu. — Jadwiga ukryła twarz w dłoniach. Starła się zagrać wiarygodnie.

Magdalena przyjęła jej wyjaśnienia. Sprawa była zamknięta. Przynajmniej na razie.

WARSZAWA, MAJ 1940

Maj w Warszawie zawsze odznaczał się zapachem szalonego, dzikiego bzu — krzaki w ogrodach na Ochocie i Mokotowie pachniały wieczorami upajająco. Ale Rosenmanowie nie byli w nastroju do romantycznych uniesień. Ojciec rodziny, Szmul Rosenman, zmobilizowany jako podoficer do Wojska Polskiego w sierpniu 1939 roku, odnalazł się w niewoli w Związku Radzieckim. Na początku marca na ich adres na Pradze przyszła karta z obozu jenieckiego, dość lakoniczna. Jednak i tak sprawiła im radość.

Pani Rosenmanowa nauczyła się robić pranie wszystkim w kamienicy za jedzenie. Ktoś tam czasem dał trochę ziemniaków. Lidka i Poldek szukali zajęcia, które przynosiłoby rodzinie jakikolwiek dochód. Kto jednak dałby pracę Żydowi lub Żydówce? W marcu Lidka z matką przeżyły szok, kiedy inspirowana przez Niemców młodzież męska, która przed wojną chodziłaby do szkół zawodowych, między dwudziestym drugim i dwudziestym siódmym marca 1940 roku zaatakowała społeczność żydowską¹⁰. Przez kilka dni rozbijano szyby w żydowskich sklepach, napadano na Żydów i ich bito. Matka Rosenmanów dostała wtedy kamieniem w głowę, gdy wracała z dorywczej pracy, i Lidka cudem tylko zdołała ją ściągnąć z ulicy. Poldek bardzo to wszystko przeżył. Wciąż uważał się za Polaka narodowości żydowskiej, ale strasznie go wewnątrz bolało.

— Czy zauważyłeś, że po drugiej stronie ulicy stali umundurowani Niemcy i to wszystko filmowali? — spytała go Lidka.

Nie, Poldek nie mógł na to zwrócić uwagi, gdyż sam napaści na ich mamę nie widział. Sytuacja stawała się coraz trudniejsza. Nie mieli już prawie pieniędzy, bo żywność dla Żydów kosztowała dwa razy więcej. Po uderzeniu kamieniem matka nie mogła pracować. Wszystkie pieniądze, jakie im zostały po interesach ojca, wydali na lekarza. Dobrze, że doktor Prajs nie wziął drogo. Przez kilka dni bali się wychodzić z domu, ale na szczęście rana zaczęła się goić. Trzydziestego marca — jak gdyby zarządzeniem niemieckim — rozruchy się skończyły. Wówczas Lidka widziała, jak na Pradze polska policja granatowa aresztowała kilku wyrostków. Jednak nie to było najgorsze. W maju gruchnęła wiadomość, że w Warszawie ma powstać dzielnica żydowska. Na Muranowie Niemcy zaczęli rękoma Żydów wznosić mur przyszłego getta. Potrzeba było rąk do pracy. Poldek się zgłosił.

— To ciężka, haniebna praca wznosić mur, za którym nas zamkną — zaproponowała matka.

— Ale mają płacić, a my musimy z czegoś żyć, mamo.

Poznał tam kilku ludzi — młodych Żydów o poglądach syjonistycznych. Obiecali, że pomogą jemu i jego rodzinie, gdy Poldek do nich przystanie. Zrobił to bez wahania. Wszyscy byli pod strasznym wrażeniem pogromu wielkanocnego, ale zaskakiwało ich to, że choć podczas budowy muru pilnowali ich niemieccy strażnicy, kilku polskim przechodniom udało się rzucić im chleb.

A mur powstawał, z każdym dniem coraz dłuższy. Wkradał się w miasto jak narośl i nie można było tego powstrzymać.

ŁÓDŹ, MAJ 1940

Pogrzeb Aloisa Pohla odbył się na Starym Cmentarzu, w jego części ewangelickiej. Wzięli w nim udział przedstawiciele niemieckich władz miasta Litzmannstadt. Szef rejencji łódzkiej Kraju Warty i nadburmistrz doktor Mittasch wygłosił mowę. Trumnę okrywała hitlerowska

flaga Litzmannstadt, ze złotą swastyką na ciemnobłękitnym polu. Magdalena wysłuchała przemowy o tym, że to właśnie jej ojciec najgłośniej protestował przeciw pierwotnemu pomysłowi, by miasto stało się częścią Generalnego Gubernatorstwa, i że to właśnie dzięki takim wielkim Niemcom jak jej ojciec „Litzmannstadt zostało przywrócone Rzeszy Niemieckiej”. Następnie pastor odprawił nabożeństwo. Obie z Jadwigą starały się dobrze grać kobiety złamane śmiercią Aloisa. Przywdziały czarne suknie i sprytnie ukryły za woalkami twarze. Potem musiały jeszcze znieść nieznośne kondolencje.

Oczywiście oficer z Gestapo łódzkiego Fleischmann nie omieszkął zapowiedzieć konieczności rozmowy.

— Oczywiście, Herr Obersturmführer. Ja też chcę z panem porozmawiać.

Potem jeszcze podszedł szef NSDAP w mieście i wiele innych lokalnych grubych ryb. Każdy całował ją uniżenie w dłoń, a Magdalena odpowiadała, jak bardzo dziękuje za wsparcie. Prawie na sam koniec zbliżył się młody niemiecki oficer, którego najmniej spodziewała się tego dnia.

— Bardzo mi przykro — powiedział porucznik von Dohnányi.

Od razu go poznała. Miała przeczucie, że to nie był przypadek.

*

Kilka tygodni później Jadwiga Pohl spotkała się potajemnie w domu pastora ewangelickiego z przedstawicielem ZWZ — Związku Walki Zbrojnej. Przekazała zapomogi dla rodzin polskich, które straciły bliskich w wyniku akcji AB, ale — co najważniejsze — wspomogła finansowo polskie podziemie, dla którego każdy grosz był na wagę złota. O tym wsparciu miał się nikt nie dowiedzieć. Jadwiga nie powiedziała nikomu, skąd wzięła pieniądze. Zachowała to w tajemnicy również przed Magdą, bo nie była jeszcze pewna, czy rzeczywiście może ufać pasierbicy. Lubiły się i szanowały, ale w dniu śmierci Aloisa powstała między nimi przepaść, której głębię znała tylko Jadwiga i której nie mogła przed nikim odkryć. Zrobiła coś, czego nikt by nie zrozumiał — nikt przy zdrowych zmysłach, w normalnych czasach.

ROZDZIAŁ VII

Nowe miasto Warschau

WARSZAWA, WRZESIEŃ 1940

Po śmierci ojca trzeba było wiele spraw ułożyć na nowo. Jadwiga miała zarządzać domem Pohlów, a nadzór nad fabryką, która produkowała mundury dla Wehrmachtu, przejęli znajomi ojca, ludzie z organizacji Todta — choć macocha pozostała oficjalnie dyrektorką. Organizacja budowała umocnienia wojskowe w okupowanej przez Niemcy Europie od Francji po Polskę i kraje skandynawskie. Kobiety miały otrzymywać solidny finansowy ekwiwalent i dzielić się nim ze sobą. Było im to na rękę. Magdalena miała bowiem inne plany niż zarządzanie firmą po ojcu i w nich zupełnie nieoczekiwanie pomógł jej gestapowiec Fleischmann.

Do spotkania z nim doszło dwa tygodnie po pogrzebie, w siedzibie łódzkiego Gestapo na ulicy Anstadta pod numerem siódmym¹¹.

— Czy pani ojciec nie zostawił notatnika? — zapytał bez ogródek Obersturmführer Fleischmann.

Magdalena udawała zdziwioną.

— Niestety, nie. Pakowałyśmy rzeczy ojca i żadnego pamiętnika czy też notatnika nie znalazłyśmy. Może jednak zechce pan osobiście sprawdzić, złożyłyśmy te rzeczy w jednym z pokoi naszej willi.

— Jeśli nie miałaby pani nic przeciw temu...

Magdalena patrzyła na tego butnego i okrutnego człowieka bez emocji. Była ciekawa, czy przy tym biurku przesłuchiwał polskich harcerzy.

— Właściwie, Fräulein Pohl, chciałem się spotkać także z innego powodu. Mój przełożony, szef Gestapo w naszym mieście, SS-Sturmbannführer Fritz Liphardt, bardzo dba o politykę bezpieczeństwa Rzeszy.

— Nie bardzo rozumiem... — Magdalena była ciekawa, dokąd zmierza ta rozmowa.

— A ogląda pani filmy? Lubi pani kino?

— To zależy jakie. Muszę się panu przyznać, że uwielbiam niemieckie filmy z Gustafem Gründgensem.

To był najpopularniejszy aktor niemiecki tamtych czasów.

— To oczywiste. Wszyscy Niemcy je lubią. A amerykańskie kino pani lubi?

— A pan nie?

Esesmanowi ta odpowiedź była nie w smak.

— Być może pani nie wie, ale pewien amerykański dziennikarz we wrześniu ubiegłego roku, podczas naszej kampanii w Polsce, zrobił wiele zdjęć oraz nagrywał filmy kolorowe, co było w tym nędznym kraju bardzo nowatorskie. Nazywał się Julien Bryan. I ktoś mu w tym pomagał. To była kobieta.

Magdalena poczuła, że robi jej się gorąco. Jak Gestapo się o tym dowiedziało? Czyżby od tego młodego porucznika? Esesman przypatrywał się jej uważnie. Miała dwa wyjścia — albo zachować się butnie i zaprzeczyć, tym samym dać Gestapo powód do przyjrzenia się jej, albo... potwierdzić i zrobić z siebie ofiarę polskiej intrygi. Musiała to dobrze zagrać, przekonująco. Zrozpaczona niemiecka córka, która pragnie służyć Führerowi i vaterlandowi.

— Rzeczywiście, byłam w Warszawie podczas oblężenia, ale zajmowałam się... Jak by to panu powiedzieć... Przede wszystkim starałam się przeżyć. To było bardzo trudne, a wie pan dlaczego? Bo Polacy uważali mnie za wroga. Wystarczyło popatrzeć w moje dokumenty.

— Rozumiem. — Esesman pokiwał głową. — Przedstawiliśmy pani fotografię dwóm świadkom. Jeden zdecydowanie zaprzeczył, a drugi uznał, że mogła pani być tą osobą.

Magdalena zrozumiała, że nadszedł ten moment. Rozpłakała się. To najlepsza broń kobiety, gdy stawką jest przekonanie mężczyzny do swojej racji.

— Powiem panu prawdę... Jestem zrozpaczona nie tylko śmiercią taty... Ale też wyrzutami sumienia. Tak, Polacy zmusili mnie do tłumaczenia temu amerykańskiemu dziennikarzowi rozmowy z naszymi jeńcami.

Naprawdę grała świetnie — łkała przed nim, zmiażdżona i upokorzona.

— Rozumiem, że przyznaje się pani, że została do tego zmuszona?

— Tak, chcę być szczerą wobec Rzeszy oraz jej przedstawicieli.

Esesman coś tam zapisał w formularzu.

— Sprawa zatem jest zamknięta. Wprawdzie film odegrał pewną rolę w kształtowaniu amerykańskiej opinii publicznej przeciw nam... — urwał i popatrzył na nią uważnie. — Jeszcze chciałbym zapytać, co myśli pani o nagłej śmierci swojego ojca? Był niezwykle zasłużonym działaczem NSDAP.

— Czy pan coś sugeruje?

— Ja niczego nie sugeruję — rzekł esesman. — Pytam tylko, czy ten nagły zgon nie wydał się pani dziwny?

Magdalena ukryła twarz w dłoniach. Musi widzieć, że jest jej ciężko.

— Sama nie wiem... Nie mam żadnych podstaw, by twierdzić, że... Słyszałam, że ojciec ostatnio się przepracowywał. — Znów się rozpłakała. — Jest mi tak bardzo trudno po jego odejściu. Czy to wszystko? Bo chciałabym iść do domu.

Obersturmführer Fleischmann musiał ją puścić. Nic przeciw niej nie mieli. Gestapowca przekonała jej skrucha. Tak, córka Aloisa Pohla była lojalna wobec Führera i wielkiego vaterlandu. Sięgnął do szuflady i wyjął z niej szarą kopertę.

— Jak mówiłem, pani ojciec był bardzo oddany naszej wspólnej sprawie. Uważam, że powinna pani kontynuować jego dzieło. Proszę zgłosić się z tymi dokumentami do władz dystryktu warszawskiego Generalnego Gubernatorstwa. Nie powinna mieć pani problemu z otrzymaniem stosownej pracy. To mój obowiązek względem córki tak bliskiego naszej narodowo-socjalistycznej sprawie przyjaciela.

*

Magdalena postanowiła, że Jadwiga pozostanie w pałacu. W końcu to był też jej dom. Sama wzdygała się przed pozostaniem w tym luksusowym miejscu, pełnym gorzkich wspomnień i niespokojnych duchów. Poza tym miała listy polecające do pracy w Warszawie, a przecież o to jej chodziło.

— A wiesz, to było trochę dziwne. Ten gestapowiec Fleischmann wypytywał mnie o śmierć ojca.

Usłyszawszy to, Jadwiga na chwilę zeszywniała. Ale zaraz się rozluźniła. Pasierbica wróciła z rozmowy, więc nawet jeśli tamci coś podejrzewali, to nie mieli nic konkretnego.

— Nie dziwi mnie to. Stracili wiernego współpracownika — powiedziała ironicznie, po czym szybko zmieniła temat: — Co z twoimi planami? Jedziesz do Warszawy? Przepraszam: do nowego niemieckiego miasta Warschau?

— Tak, z listami polecającymi, od grubych ryb, z którymi pracował ojciec tutaj, w niemieckim mieście Litzmannstadt.

Roześmiały się. Pogawędziły jeszcze chwilę i zaczęły przygotowania do wyjazdu Magdaleny do Warszawy.

*

Magdalena drzemała w pociągu z Łodzi do Warszawy. Po ogólnym paraliżu we wrześniu 1939 roku, do listopada zdołano uaktywnić połączenia i kolej znów stała się krwiobiegami okupowanego kraju. Jechała w wygodnym przedziale „Nur für Deutsche”¹². Polacy — stłamszeni, stłoczeni, zamknięci w wagonach — jeździli na prowincję za kontrabandą. Robili to wszyscy — profesorowie uniwersytetów handlowali wędliną ze wsi, nauczycielki szmuglowały bimber, a młodzi ludzie wyglądali tak, jak gdyby szukali guza. Zwłaszcza mężczyźni, co bardziej świadomi, mieli w głowach tylko jedno: kiedy wreszcie Francja i Anglia zrobią z Hitlerem porządek, choć nie wiedzieli, naiwni, że to zwykłe mrzonki.

Jechała do Warszawy z zamiarem podjęcia pracy w niemieckiej administracji. Listy, które dostała od notablów hitlerowskich z Łodzi do gubernatora Warszawy, Ludwiga Fischera,

były doskonałe. Nie było sensu ukrywać współpracy z Bryanem, skoro Gestapo już o tym wiedziało. Mogła robić to samo dla Niemców — stać się specjalistką od propagandy, taką małą warszawsko-łódzką Leni Riefenstahl, która nakręciła dla Hitlera „Triumf woli”. Bardzo dobry film w bardzo złych czasach dla bardzo złych ludzi.

Wysiadła na dworcu kolei warszawsko-wiedeńskiej. W przedziale dla Niemców jechała sama z jakimś facetem, który wyglądał na tajniaka. Natomiast dworzec roił się od Polaków, niosących różne toboły i starających się szybko zejść z drogi i schować się, gdzie tylko można. Magdalena nie poznawała miasta i jego mieszkańców. Spędziła tutaj dwa wspaniałe lata w liceum, ale teraz wracała tu jako okupantka.

Jakiś młody Polak przecisnął się przed nią w dworcowych drzwiach. Już miała mu coś powiedzieć, gdy nagle...

— Stefan?

Odwrocił się. Na plecach niósł spory plecak. Poznał ją.

— Witaj, nie przypuszczałem, że...

— ...mnie akurat dziś spotkasz — dopowiedziała. — Nie przywitasz się ze mną?

Stefan wyglądał na bardzo zdenerwowanego i zakłopotanego.

— Witaj — powtórzył.

— Jak mama? Siostra? Nie zapomniałam, że uratowały mnie podczas oblężenia. Odwiedzę was...

— Lepiej nie — przerwał jej zdecydowanie. — Proszę.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, że on uważa ją za wroga. Rzeczywiście — przyjechała przecież w przedziale dla Niemców.

— To nie tak...

— A jak? — Utkwił w niej wzrok.

— To skomplikowane. Stefan, proszę, nie osądzaj mnie jeszcze. Chcę się wam przydać.

— Nam? — Mężczyzna parsknął ironicznym śmiechem. — Czy ty w ogóle wiesz, jak tu żyjemy? Czy ty wiesz, co to są łapanki? Czy wiesz, że aby przeżyć, handluję mięsem, które najpierw kupuję na wsi pod Warszawą, potem jadę w przepelnionym pociągu i proszę Boga, by salceson mi się nie zaśmierdział? A wiesz dlaczego? Bo Niemcy zabronili Polakom sprzedawać i kupować mięso. Wiesz, że nasza kuchnia to codziennie ziemniaczanka albo zalewajka? Już nawet nie wspomnę, że Żydom nie dajecie nic.

Magdę zamurowało. Nie wiedziała, co ma powiedzieć, żeby nie wyszło bardziej idiotycznie. Dzielili ich przepaść wielka jak ocean.

— Przepraszam, ale muszę iść. — Stefan poprawił plecak.

— To ja przepraszam. Nie wiedziałam, jak teraz żyjecie. Nic nie wiedziałam, ale proszę, nie wążp we mnie. Ty, twoja siostra i mama macie we mnie przyjaciela, choć jestem teraz Niemką. Rozumiesz, Stefanie, co mówię? Nie wążp we mnie nawet na chwilę.

Brychczyński zawahał się. Nie chciał mieć nic wspólnego z Magdaleną Pohl, ale był nie tylko szmuglerem mięsa. Miał jeszcze jedną funkcję, o której dziewczyna wiedzieć nie mogła. W tej chwili wyrosli za nimi dwaj niemieccy żandarmi, którzy postanowili się przyjrzeć parze, która blokowała przejście na dworcu.

— *Papieren!! Jetzt!*¹³

Ale tym razem nadziali się na Magdę.

— Z jakiego powodu zaczepiacie Niemkę, która rozmawia z kuzynem niosącym jej plecak? — warknęła na nich w czystym *hochdeutsch*.

— To pani plecak?

— Mój. I nic wam do tego.

Pokazała niemieckie dokumenty poświadczające, że jest reichsdeutschką — Niemką z Rzeszy z najwyższym rodzajem uprzywilejowania. Żandarmi mogli skontrolować Niemców na ulicy, ale po sprawdzeniu dokumentów musieli ich zwolnić. Natomiast rewidowanie bagażu urągałoby ich godności rasy panów, pod każdym względem wyższej niż godność Polaków, nie mówiąc już o Żydach — ci dla okupantów nie byli ludźmi, a więc w ich przypadku w ogóle nie było mowy o godności. Strażnicy stuknęli zatem przepisowo obcasami i oddalili się.

Stefan i jego transport wędlin, świńskich golonek, rąbanki, słoniny, kaszanki i co tam jeszcze zdołał na wsi upchnąć do plecaka, byli uratowani.

— Widzisz, że znajomość ze mną nie jest taka zła. — Magdalena uśmiechnęła się. — Nigdy we mnie nie wątp — powtórzyła.

— Dziękuję. — Stefan jakby odrobinę się do niej przekonał. — Muszę iść, żeby rozliczyć się ze współnikami. Z tego żyjemy, bo nie ma dla nas pracy.

— Stefan, ja naprawdę chcę być potrzebna. Chcę walczyć — szepnęła mu na ucho, gdy się z nim żegnała.

Pachniał potem, trudem i... wędzoną słoniną.

— Znajdę cię — powiedziała.

A on zniknął w tłumie na warszawskiej ulicy, pełnej umęczonych, obojętnych ludzi.

*

WARSZAWA, WRZESIEŃ 1940, PAŁAC BRÜHLA, SIEDZIBA WŁADZ DYSTRYKTU WARSZAWSKIEGO GG

Niemiecką policją i SS w dystrykcie warszawskim dowodził SS-Gruppenführer Paul Moder¹⁴, protegowany Himmlera, odpowiedzialny nie tylko za masowe łapanki, aresztowania organizującego się ruchu oporu, ale przede wszystkim za pomysł odgródzenia dzielnic żydowskiej — getta, które szybko miało się stać piekłem o niewyobrażalnych rozmiarach. Magdalena wiedziała, dokąd idzie — wiedziała, że to jądro

zarządzania okupacją. Czekwała grzecznie, jak elegancka Niemka, aż hitlerowski dygnitarz znajdzie czas, by ją przyjąć. Była córką zasłużonego, jak się okazało — co było dla niej raczej niemiłym zaskoczeniem — działacza, a przy tym doskonale знаła język polski. Z Berlina przysły instrukcje, że niemieckie kobiety powinny brać udział w pracach administracji okupacyjnej, żeby „prawdziwie oddać charakter niemieckiej władzy nad Polską”. Nie była w pałacu Brühla przed wojną, gdyż mieściło się tam wówczas polskie MSZ, ale wnętrza zostały błyskawicznie zaadaptowane. Na korytarzu wszędzie znajdowały się flagi ze swastyką. W końcu wyszedł do niej jeden z oficerów.

— Gruppenführer przyjmie panią.

Magdalena wstała i weszła do obszernego gabinetu. Przy biurku siedział szczupły mężczyzna w szarozielonym mundurze SS, z właściwymi dystynkcjami po obu stronach kołnierza. Nagle wstał i wzniósł rękę w hitlerowskim geście. Niezwłocznie uczyniła to samo.

— Witam panią, panno Pohl, naszym niemieckim pozdrowieniem — rzekł dowódca SS i policji w Warszawie. — Proszę spocząć. Ma pani doskonale referencje z Litzmannstadt i jest pani zainteresowana pracą u nas. Zaskoczyła mnie pani. To niespotykane u kobiety, zwłaszcza w pani wieku.

— Myślę, że wiek nie może decydować o tym, czy ktoś nadaje się do tej pracy, czy nie. Chciałabym służyć naszej niemieckiej ojczyźnie najlepiej, jak potrafię.

Słowa te spotkały się z uznaniem niemieckiego dygnitarza.

— Pani zna to miasto? Ten przeklęty kraj? — zapytał.

— Doskonale — odparła Magdalena. — Urodziłam się tutaj, wychowałam, mówię po polsku bez akcentu i z całym szacunkiem, ale znam Polaków lepiej niż pan, Herr Gruppenführer.

— Odważnie się pani wypowiada.

— Wiem, co mówię. I mam osobistą motywację.

— Jaką?

— Śmierć mojego ojca. Zaszedł Polakom w Łodzi za skórę podczas akcji AB.

Dygnitarz zdziwił się jeszcze bardziej.

— Skąd pani to wie?

— Ojciec nie miał przede mną tajemnic. Byliśmy w stałym kontakcie podczas mojego pobytu w Szwajcarii.

— Pani studiowała architekturę?

— Tak, ale przerwałam studia — odparła Magdalena. — Zamierzam je kontynuować w Berlinie, kiedy tylko to będzie możliwe. Poza tym niemieckie kobiety mają teraz inne zadania niż studiowanie.

Moder popatrzył na nią przenikliwie.

— Nie zwykliśmy zatrudniać tak młodych osób w policji bezpieczeństwa Rzeszy, ale mam dla pani inną propozycję. Potrzebuję sekretarki, która ogarnia to miasto, może mi tłumaczyć różne dokumenty z polskiego i na polski, zeznania świadków. Otrzyma pani, oczywiście, służbowe mieszkanie w niemieckiej dzielnicy i odpowiednie wynagrodzenie.

— Dziękuję, Herr Gruppenführer. Kiedy zaczynam?

— Dziś jest piątek, więc najlepiej... — zajrzał w kalendarz — ...w poniedziałek. Jest pani odczytana?

Magdalena uśmiechnęła się.

— Chce pan sprawdzić mój poziom znajomości niemieckiej literatury?

— Nie. Mam dla pani pierwsze zadanie. W tej chwili trwa wielka operacja wysiedlenia ponad stu tysięcy Polaków oraz tyłuż Żydów do nowej dzielnicy, której grodenie ukończyliśmy. Chcę, żeby pani opisała przez dwa dni, tylko dla mnie, jak to wygląda na mieście. Forma może być... bardziej literacka.

— Doskonale, Herr Gruppenführer.

Miała zatem pracę. Pożegnała się niemieckim pozdrowieniem i wyszła.

Rzeczywiście mogła zamieszkać w niemieckiej dzielnicy w Warszawie — *deutsche Viertel in Warschau* — w eleganckim, czteropokojowym mieszkaniu na Litewskiej. Nie sama, oczywiście, gdyż trzy pozostałe pokoje zajmowały inne wybranki nowych panów miasta. Dwie koleżanki były Niemkami, a jedna polską folksdojczką ze Śląska. Ta bez przerwy głądziła coś o ukochanym, który pracował w Gestapo.

Niemiecka kobieta musiała się zachowywać zgodnie z kryteriami moralności narodowo-socjalistycznej, czyli w dużej mierze mieszczańskiej, podlanej hitlerowskim sosem. Do gmachu niemieckiej policji w dawnym polskim ministerstwie oświaty miała ledwo kilkaset metrów. Niedaleko też było do kasyna na dawnym placu na Rozdrożu, niemieckich teatrów, klubów, biblioteki oraz ambulatorium z całodobowym dyżurem lekarskim, oczywiście — tylko dla Niemców.

Zaczynała inne życie.

ROZDZIAŁ VIII

Wizyta

WARSZAWA, PAŹDZIERNIK 1940

Magdalena Pohl wzorowo wywiązała się z zadania, które postawił jej nowy szef. Rzeczywiście — w mieście trwały duże przetasowania ludności. Udała się to zobaczyć z nowo poznaną koleżanką, Niemką z czeskich Pardubic, Yvonne Langer, z którą na razie najlepiej się dogadywała. Z ulicy Litewskiej przeszły do końca alei Policyjnej, czyli Szucha. Za kordonem wsiadły do tramwaju linii zero — tylko dla Niemców — którym dotarły na dawny plac Bankowy. Stamtąd w kierunku Bielańskiej, już w polskiej części miasta. Magdalena pomyślała, że dobrze zna tę ulicę, w końcu tyle tu przeżyła. Westchnęła. Teraz musiała być Niemką i żyć niemiecką tożsamością.

— Właściwie dokąd idziemy? — zapytała Yvonne.

— Mój szef, Gruppenführer Moder, kazał mi opisać Żydów idących do swojej dzielnicy. Trwają wysiedlenia — odparła Magdalena.

— Pracujesz dla samego Modera? — zaciekała się Langer. — Ja pracuję jako sekretarka w Gestapo.

— Który wydział?

— Referat A, zwalczanie polskiego ruchu oporu.

— Ciekawe... — Magdalena pomyślała, że to może być cenna znajomość. Przyda się, gdy przyjdzie na to czas.

Doszły w okolice placu Krasińskich, gdzie stał pałac, wzdłuż którego krawędzi od ulicy Świętojerskiej wznosił się mur getta. Magda stanęła jak wryta. Pośrodku placu zobaczyła dużą grupę Żydów z przepisowo naszytymi na ubraniach gwiazdami Dawida. Od strony Długiej, Wybrzeża Gdańskiego i mającego gdzieś w oddali mostu Kierbedzia szły grupy Żydów z Pragi. Targali swój dobytek na wózkach dziecięcych, naprędce skleconych, zbitych z desek, przyczepionych do kół wehikułach, niektórzy nieśli w rękach walizki czy worki z rzeczami. Na placu znajdowali się także Polacy, ale było ich niewielu, gdyż dzień, dżdżysty i zimny, nie zachęcał do przebywania na zewnątrz. Ci jednak, którzy się tam znaleźli, patrzyli bez słowa, z przejściem, strachem lub pogardą na tych ludzi, którzy jeszcze rok temu byli ich rodakami i współobywatelami.

Nagle Magdalena w tym smętnym tłumie zobaczyła Lidkę i Poldka Rosenmanów, podtrzymujących po obu stronach swą matkę, panią Ryfkę. Pomyślała, że musiała się pomylić, że to nieprawda, co widzi. Ale przecież wiedziała, że to rzeczywistość. W tej chwili chciała wykrzyknąć jego imię i przypomnieć sobie zapach jego włosów, kiedy kochali się u niej w domu w Łodzi. Serca nie da się tak po prostu oszukać. Jednak była teraz wzorową Niemką i choć bardzo ją to bolało, musiała się zachowywać, jak należy.

W pewnym momencie, jak gdyby przyciągnięta wzrokiem Magdy, Lidka Rosenman odwróciła się w jej stronę. Przyjaciółka znajdowała się dwa, może trzy metry od niej. Żadna z nich nie zdobyła się na słowo. Jeszcze nie nadszedł ich czas. W oczach Lidki Magdalena zobaczyła wyrzut. Czemu patrzysz na mnie jak na obcą? Jak na rzecz, na której umieszczono gwiazdę Dawida? Czy stałam ci się nienawistna, Magdo? Jak możesz milczeć? Rosenmanowie wkrótce zniknęli za bramą strzeżoną przez dwóch niemieckich żandarmów oraz polską policję granatową.

— Chodźmy już stąd — zaproponowała Langer.

Mżyło. Na placu Krasińskich zrobiło się pusto. Został tylko mur. Wyznaczał granice dwóch światów, z których jeden miał wkrótce umrzeć, a drugi patrzeć na tę śmierć, dopóki sam nie zostanie unicestwiony.

WARSZAWA, MARZEC 1941

Mijały miesiące. Magdalena przez cały ten czas nie wychodziła poza dzielnicę niemiecką. Wyobrażała sobie, że Stefan lub ktoś z polskiego ruchu oporu zainteresuje się nią jako osobą mogącą mieć dla Polaków znaczenie. Zdawała sobie sprawę z tego, że w tym czasie w mieście narastał strach. Postanowiła więc, że sama odezwie się do Brychczyńskiego, który wydawał się jej jedyną nadzieją na nawiązanie kontaktu z ludźmi z podziemia. Nie wiedziała, jak do nich dotrzeć. To i owo udało się jej podsłuchać w pałacu Brühla i wiedziała już, że polski ruch oporu istnieje, ale dla Niemców wciąż nie stanowi istotnego problemu.

Któregoś dnia, na początku marca, gdy było dość zimno, ale nie padało, Magdalena podjęła decyzję. Koleżankom w mieszkaniu powiedziała, że idzie na spacer mimo niesprzyjającej aury.

— Mam dość pracy biurowej. Muszę się przewietrzyć.

Wyjechała tramwajem z dzielnicy niemieckiej. Z placu Bankowego miała niedaleko na Bielańską. Był już wieczór i wkrótce rozpoczęła się godzina policyjna, ale ona nie musiała się jej obawiać. Ruszyła w stronę mieszkania Brychczyńskich. Zdawało się jej, że przychodzi z innego świata, wciąż jeszcze sytego, butnego i zwycięskiego. Weszła na klatkę schodową. Miejsce, które było dla niej znajome, zdawało się teraz wyspą na końcu świata. Bała się, gdy wyciągała rękę do dzwonka. Jak ją przyjmą? Czy Stefan będzie chciał z nią rozmawiać?

W końcu nacisnęła dzwonek. A potem drugi raz. Cisza. Po dłuższej chwili ktoś podszedł do drzwi. Magdalena usłyszała dźwięk klucza przekręcanego w zamku. Drzwi się uchyliły.

— Kto tam? — zadał pytanie kobiecie głos.

Na korytarzu było ciemno i nie mogła rozpoznać rysów twarzy.

— To ja, Magdalena Pohl. Chciałabym porozmawiać ze Stefanem.

Kobieta jakby przez chwilę się wahała.

— Wejdz, proszę.

Dziewczyna weszła do przedpokoju. Dopiero wtedy rozbłysło światło. Przed nią stała Wanda, zupełnie inna niż we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku. Miała rozczochrane włosy i podkrążone oczy, jak gdyby przez dłuższy czas nie domagała.

— Myślałam, że to wasza mama mi otwiera drzwi. — Magda uśmiechnęła się nieśmiało.

Na te słowa Wanda zaniósła się płaczem.

— Mamy już nie ma — wykrztusiła. — Zabrali ją w łapance.

— Kiedy to się stało?

— W sierpniu zeszłego roku.

Dwunastego sierpnia 1940 roku Niemcy zorganizowali w Warszawie wielką łapankę, podczas której zgarnęli z ulicy kilka tysięcy ludzi. Zakres i charakter tej operacji, przygotowywanej przez dowódcę policji i SS w Warszawie, czyli szefa Magdy, pozostawały do końca w ścisłej tajemnicy. Większość osób zakwalifikowano do robót przymusowych w Rzeszy. Starszych, chorych czy matki z dziećmi skierowano do obozów pracy, a to oznaczało wyrok śmierci.

Przeszły do pokoju.

— Czy zastałam Stefana? Spotkałam go w zeszłym roku na dworcu.

— Nic mi nie mówił. Zaraz będzie. Poszedł do sąsiada... — Wanda się zawahała. Nie była do końca pewna, po której stronie jest dawna przyjaciółka. — Poszedł, bo razem z sąsiadem pędzą bimber. To teraz najlepsza waluta.

Jak to się wszystko zmieniło, pomyślała Magdalena. Stefan Brychczyński, wzorowy uczeń, wzorowy żołnierz, ideał, w którym się podkochiwała... Jakie to idiotyczne!

— Nie mam cię czym poczęstować. — Wanda ogarnęła się resztką sił. — U nas, że tak powiem, skromnie.

— Przecież Stefan handluje mięsem.

— Skąd wiesz?

Magdalena opowiedziała jej o spotkaniu na dworcu.

— No tak, ale my tego prawie nie jemy. Wszystko idzie na sprzedaż.

Zagrzała kawy z palonych żołądź i zboża. Gdy się napiły, usłyszały, że przyszedł Stefan.

— Jak tam, zaśmierdział ci się salceson? — zapytała zamiast powitania.

Uśmiechnął się.

— Ale masz czelność, żeby tu przyjść.

— I co, rycerzu? — Magdalena podjęła rękawicę. — Zrobisz mi teraz wykład o polskim cierpiętnictwie, wyrecytujesz frazes *dulce et decorum est pro patria mori*¹⁵, powiesz mi, ile Niemcy zrobili złego? A wszystko po to, żeby się lepiej poczuć, prawda?

Stefan usiadł na krześle obok Wandy. Z szuflady wyjął trochę suchej kiełbasy i zaczął jeść.

— Chcesz? — zaproponował.

— Nie przyszłam tu jeść. Proszę, żebyś potraktował mnie poważnie.

— Zamieniam się w słuch.

— W zeszłym roku zmarł mój ojciec, poznaliście go przed trzema laty. Był wysoko postawionym dygnitarzem partyjnym, co mnie zaskoczyło. Znał wiele grubych ryb w Łodzi. Dzięki jego koneksjom dostałam rekomendację do pracy na wyższym szczeblu władz niemieckich, czyli tam, gdzie chciałam. Pracuję jako pierwsza sekretarka dowódcy SS i policji w Warszawie, Paula Modera. Rozumiesz, Stefan?

— Co mam nie rozumieć? — burknął. — Oczywiście, że Niemka pracuje u wysoko postawionej niemieckiej świni.

— Pomyśl, jakie to może być ważne... dla was.

— Czyli dla kogo? — zapytał Stefan. — Widzisz tylko dwie sieroty, mnie i moją siostrę. My po prostu próbujemy jakoś przetrwać.

— Ważne dla podziemia.

— Ja nie jestem w żadnym podziemiu. Próbuję przeżyć. — Stefan patrzył jej twardo w oczy.

— Nie wierzę ci. Jesteś polskim patriotą i żołnierzem. I mnie, i ciebie ukształtowała polska szkoła. Nie próbuj mnie okłamywać. Zamelduj przełożonym, że masz kontakt w pałacu Brühla. Powiedziałam ci na stacji, żebyś we mnie nie wątpił. Nigdy!

Stefan zaniemówił. Miała rację. Grał swój teatrzyk, ale notował w umyśle każde jej słowo. Po chwili zaskoczył ją po raz pierwszy tego wieczoru.

— Dobrze, przekażę to, co mi powiedziałaś, dalej. Jednak nie przychodź tu więcej. Ściągniesz ogon albo sąsiedzi się zwiędzą, że przychodzi tu Niemka — powiedział.

— Dziękuję. — Długo czekała na te słowa.

Upiła łyk kawy zbożowej. Była cierpka od żołądki.

— Widziałam Poldka i Lidkę — powiedziała. — W październiku zeszłego roku, na placu Krasieńskich. Szli w kierunku getta.

Zauważyła, że temat ich przyjaciół trafił w pustkę.

— Nie obchodzi was to? Bo mnie nie daje to spokoju. Wyglądali strasznie.

— Nie możemy dla nich nic zrobić, Magdo — powiedział Stefan. — Mur oddzielił nas całkowicie. Wszyscy się boją trzymać Żydów po mieszkaniach, bo to oznacza wyrok śmierci

nie tylko dla tych, którzy ukrywają, ale dla całej kamienicy. Rozumiesz?

Magdę to zaskoczyło. Nie zdawała sobie do tej pory sprawy ze skali niemieckiej odpowiedzialności zbiorowej. Teraz zaczynała rozumieć, że w dzielnicy niemieckiej żyje się pod kloszem, ale jeśli ma się wystarczająco dużo odwagi cywilnej, można zobaczyć świat poza nim. Wydało jej się teraz, że oto w okupowanej Warszawie istnieją dwa kręgi piekła. Brychczyńscy byli w tym polskim, gdzie drzwi przytrzaśnięto, ale Rosenmanowie znajdowali się w piekle zamkniętym, z którego nie było już wyjścia.

— Staram się zrozumieć, Stefanie — powiedziała. — Pójdę już. Wasi sąsiedzi nie powinni widzieć u was Niemki, a moje współlokatorki nie powinny wiedzieć, że bywam u Polaków.

— Masz współlokatorki? — zapytała Wanda.

— Tak, jedna jest Niemką z Czech, i da się z nią żyć normalnie, ale druga to folksdojczka ze Śląska. Idealem kobiety jest dla niej Magdalena Goebbels.

— Co za towarzystwo! — rzuciła z przekąsem Wanda.

— Ona jest folksdojczką? — spytał Stefan.

— Tak, tak mi powiedziała.

— My takie golimy — odparł.

Magdalena wzdrygnęła się. Nie było dla niej odwrotu.

— To ją ogólcie i niech to będzie dowód dla twoich zwierzchników, Stefanie. Numer telefonu, pod którym jestem, to siedemdziesiąt dwa — AD.

Numer na tarczach telefonicznych były podwójne, alfanumeryczne. Stefan zapamiętał ten numer — mógł się przydać.

Dziewczyna wstała, założyła płaszcz i wyszła cicho. Trwała wojna, a ona walczyła świadomie po jednej ze stron.

*

Poldek i Lidka Rosenmanowie patrzyli ze smutkiem na zmagania matki z rzeczywistością. Brak ojca, który nie wrócił z niewoli w Związku Radzieckim i nie dał znaku życia późniejszego niż kartka, która przyszła pocztą na ich adres na Pradze w kwietniu 1940 roku, załamały ją. Całe życie poświęciła mężowi i dzieciom, jak przystało na pobożną żydowską żonę. Z każdym tygodniem robiła się coraz cichsza i coraz słabsza. Rozłąka z ojcem nie była jednak wcale najważniejszym problemem Rosenmanów.

— Jestem taka głodna — mówiła matka.

Zdobywanie jedzenia stawało się z każdym tygodniem coraz trudniejsze. Dopóki mieszkali na Pradze, jakoś dawali sobie radę, ale wyłącznie dzięki własnej pomysłowości. Do wiosny 1940 Rosenmanowa prała dla sąsiadów, ale potem okazało się, że nie bardzo chcieli — lub mogli — jej płacić. Latem Poldek zatrudnił się przy sprzątanii ulic na Pradze,

gdyż żadnej innej pracy Żydowi nie wolno było wykonywać. Ale już Lidka nie chciała iść do jakiegokolwiek pracy — argumentowała, że Żydówce nie wypada zajmować się rzeczami niemoralnymi. Wówczas Poldek nie wytrzymał.

— Przejedliśmy wszystkie oszczędności, które zostały po tacie — powiedział wzburzony. — Nie będziesz malarką czy inną artystką, ponieważ twoja sztuka jest żydowska, rozumiesz? Nikt jej nie chce.

Na te słowa Lidka się rozplakała. Wciąż się łudziła, że jakimś cudem ta kurcząca się przestrzeń, w której żyli, pęknie, że przyjdą Anglicy z generałem Sikorskim i wszystko się ułoży. Poldek wiedział, że to mrzonki. Wydali na jedzenie oszczędności, potem wyprzedawał biżuterię matki, ale wiele razy go oszukano i zaniżono drastycznie wartość przedmiotów. Gdy raz zaprotestował i powiedział, że są markowe i można za nie dostać kilka tysięcy złotych, usłyszał od polskiego właściciela lombardu:

— Przed wojną to mogliście gadać: „wasze ulice, nasze kamienice”, a teraz ja mówię, że za tę kolię to pięćset złotych mogę dać.

— Ale jest warta dziesięć razy tyle!

— To weź ją sobie, Żydku, i ugotuj z niej zupę.

Na te słowa kilku typków w lombardzie zaśmiało się głośno. Ale Poldek wiedział, że nie mają już żadnej gotówki, oszczędności ani nic, co mogliby spieniężyć. Co najważniejsze: matka dała mu tę kolię, by ją sprzedał.

— Proszę, chociaż trzy tysiące...

— Na trzy tysiące to ja muszę pracować trzy miesiące, Żydku — oświadczył właściciel lombardu. — Poza tym ja nie mogę niczego od Żydów przyjmować. Jak się Niemcy dowiedzą, to mnie i moją żonę powieszają na latarni.

Chłopak spojrzał na resztę gości w lombardzie.

— Tu są swoje, praskie chłopaki. Tu nikt Niemcom nie kabluje, Żydku — odezwał się znów właściciel. — Dobra, za tę kolię to mogę ci dać... Siedemset złotych. Dwie stowy ci dorzucę z litości, Żydku, bo ci dobrze z oczy patrzy.

Poldek przełknął wściekłość. Zacisnął pięści. Zgodził się. Pieniądze były na ziemniaki, miały starczyć na długo.

Potem zatrudnił się przy budowie muru getta. Żydom nie płacono za to w gotówce, ale w jedzeniu. Przynosił więc do domu ziemniaki, rzepę... Raz udało się, że dostał pół kapusty i trochę kaszy, to matka ugotowała gołąbki. To było coś, co przypominało ich jedzenie przed wojną, jakąś normalność, która powoli zacierała się w ich pamięci. A jeszcze potem przyszedł nakaz eksmisji.

Na podstawie zarządzenia gubernatora Warszawy, doktora Ludwiga Fischera, wszyscy Żydzi mieli się znaleźć w dzielnicy żydowskiej do końca października 1940 roku. Rosenmanowie bali się tego śmiertelnie. Codzienne oczekiwanie na eksmisję oznaczało

inny, nienotowany dotąd poziom strachu, od którego odechciewało się spać w nocy. Rodzeństwo postanowiło ukryć to przed matką. Kobieta codziennie spędzała dużo czasu na przeglądaniu albumów z fotografiami. Poldek zrozumiał, że nie dociera do niej rzeczywistość, jaka ich otaczała. Albo postanowiła się od niej odgradzić. W swojej bezpiecznej przystani wspomnień mogła być choć na chwilę wolna. Chłopak starał się zatem robić wszystko, co mógł, żeby matka miała codziennie choć parę ziemniaków albo jakąś rzepę.

— Musimy jej powiedzieć — powiedział w końcu do siostry któregoś dnia pod koniec września tysiąc dziewięćset czterdziestego.

Lidka przeżywała to wszystko na swój sposób. Miała wyrzuty, że żeruje na bracie, nie robiąc nic, nie starając się mu pomóc w utrzymaniu rodziny. Przez całą wiosnę i lato siedziała w oknie i patrzyła na ludzi. Czuła, że oddziela ją od nich nie mur, który pomagał budować za jedzenie Poldek, ale jakaś niewidzialna zasłona. Spędzała w swoim bezczelnie żydowskim oknie lato i patrzyła na świat, dla którego stała się obca. Była to osobliwa forma ucieczki.

— Powiedzmy mamie, że idziemy tylko na jakiś czas. I to w przeddzień. Albo najlepiej tego dnia, kiedy mamy odejść. Pomyśl sobie, że nasze mieszkanie, sprzęty, meble, pamiątki... Że to wszystko wezmą ludzie... — Nie chciało jej przejść przez gardło, że zrobią to sąsiedzi.

Lidka wciąż uważała się za Polkę, dla niej polskość była podstawowym odniesieniem. Podobnie czuło wielu polskich Żydów, zwłaszcza tych z domów inteligenckich, mocno zasymilowanych. Dla nich szczególnie bolesne było zsuwanie się w niebyt, umieranie przyjaźni, oddalanie się znajomych, spadek dochodów poniżej poziomu biedy. Umieranie fizyczne zaczynało się dla Żydów od umierania jako obywateli w oczach innych współobywateli.

Tego dnia, kiedy Magdalena spotkała Rosenmanów na placu Krasińskich, Poldek spakował rano ich rzeczy. Chciało mu się płakać. Ale cóż — musieli iść. Przez znajomych z budowy muru załatwił miejsce w pokoju w mieszkaniu na Twardej, niedaleko placu Grzybowskiego, a zatem w części, którą określano jako „małe getto”. Mamie powiedzieli, że muszą się przenieść, ponieważ mieszkanie ma być remontowane i potrwa to długo. Poldek chciał wziąć jak najwięcej ciepłych ubrań, w tym wszystkie swetry, ale Lidka uparła się, że „mama musi mieć albumy ze zdjęciami”. Znowu doszło między nimi do scysji.

— Czy nie widzisz, że ona tylko tym żyje? — zapytała brata.

Milczał. Udało mu się jednak włożyć na wózek niemal wszystkie ciepłe ubrania. Perspektywa kolejnej zimy, na dodatek z dala od ich mieszkania, była dla niego przytłaczająca. Kilka lat temu nie wiedział, jaką męczarnią jest bycie głodnym w zimnym, nieogrzanym mieszkaniu.

To wtedy Magdalena zobaczyła ich na placu Krasieńskich, jak szli wolno w pochodzie ludzi zmierzających do getta. W pewnej chwili Lidka się odwróciła — wydawało się jej, że ta dobrze ubrana dziewczyna to ich przyjaciółka, Magdalena Pohl. Ale nie miała pewności. Głód zmienia percepcję. Twarz kobiety była tak znajoma i tak obca jednocześnie, inna — nie z tego piekła, do którego zmierzali.

ROZDZIAŁ IX

Okup

WARSZAWA, CZERWIEC 1941

Stefan Brychczyński skończył pracę — znów dostarczył dla handlarzy towar w postaci kilku kilogramów kielbasy i kaszanki szmuglowanej z podwarszawskich wsi — i poszedł na spotkanie komórki konspiracyjnej swojej organizacji. Zaraz po powrocie do Warszawy w październiku 1939 roku szukał intensywnie kontaktów z wojska. Dzięki temu znalazł go jego przełożony z wojska, kapitan Tadeusz Żenczykowski. Niech pozostanie tajemnicą, jak udało mu się w wyniszczonym i walczącym o przetrwanie mieście namierzyć podwładnego z kampanii wrześniowej. W każdym razie Żenczykowski zaproponował młodemu Brychczyńskiemu uczestnictwo w pracach prawicowego Związku Odbudowy Rzeczypospolitej. Stefan mu zaufał i dołączył do organizacji. Takich grup powstało sporo i dopiero praca scaleniowa Związku Walki Zbrojnej sprawiła, że organizacja Żenczykowskiego i Brychczyńskiego weszła w skład ZWZ.

Z uwagi na licznych szpicli Gestapo wśród Polaków lub przybyłych ze Śląska folksdojców, wykonujących dla aparatu represji zadania wywiadowcze i policyjne w mieście, władze podziemne kategorycznie nie wyraziły zgody na organizowanie spotkań konspiracyjnych w lokalach ogólnie dostępnych, jak kawiarnie czy restauracje. Stefan pojechał zatem tramwajem na plac Narutowicza, a stamtąd cofnął się na ulicę Barską, gdzie pod numerem szóstym znajdował się konspiracyjny lokal ZWZ. Zatrzymał się, rozejrzał, czy przypadkiem nie wlecze się za nim jakiś ogon — szpicle niemieccy w pierwszym roku okupacji zazwyczaj ubierali się inaczej od przeciętnych warszawiaków. Dopiero gdy był już spokojny, wszedł do klatki schodowej i udał się po schodach do mieszkania pod numerem trzecim. Trzy dzwonki, ostatni dłuższy, potem chwilę odczekał i dwa razy głośno zapukał.

Otworzył jeden z zaprzysiężonych członków ZWZ.

— Wejdz, „Osa”.

To był konspiracyjny pseudonim Stefana Brychczyńskiego. Nie zwracali się do siebie prawdziwymi imionami, żeby w razie wsypy niczego nie powiedzieć na Gestapo. Obowiązywał ich system trójkowy — jeden członek ZWZ mógł znać tylko dwa pseudonimy. I żadnych adresów. Zresztą ludzie często je zmieniali. On też tak zrobił, gdy znalazła go

Magdalena Pohl, co do której nie mógł mieć stuprocentowej pewności, czy nie pracuje dla Gestapo. Serce swoje, a rozum swoje.

Stefan wszedł do sieni, wytarł buty na szmacie i udał się do pokoju. Mieszkanie było roboczym lokalem ZWZ, w razie łapanki można było w nim przeczekać zagrożenie. Kapitan „Kania”, bo taki pseudonim nosił Tadeusz Żenczykowski, siedział za stołem na krześle — mężczyzna trzydziestokilkuletni, o smagłej, pociągłej twarzy, z modnym wówczas wąsem, w znoszonej marynarce. Wyglądał na inteligenta po ciężkich przejściach.

— Wzywałeś mnie, „Osa”, w ważnej sprawie — powiedział, trochę poirytowany.

— Tak, panie kapitanie, ponieważ nie mogłem tego przekazać inaczej niż bezpośrednim meldunkiem.

— O co chodzi? — Dowódca westchnął, jak gdyby z czymś się zmagając, z jakimś ciężarem, który kołatał mu się po głowie.

— Jakiś czas temu odwiedziła mnie w mieszkaniu matki moja znajoma, powiedzmy... dobra przedwojenna przyjaciółka. Naprawdę się przyjaźniłyśmy. Rzecz w tym, że ona jest Niemką.

— Jak to? — zainteresował się „Kania”.

Stefan postanowił powiedzieć wszystko.

— Naszą polską Niemką, że tak powiem. Pochodzi z Łodzi, to córka tamtejszego fabrykanta, który zmarł niedawno i był szczególnie zapalonym funkcjonariuszem hitlerowskim, ale jak ją znam, ona jest inna. Nazywa się Magdalena Pohl. Uratowała mi dupę, gdy spotkałem ją przypadkiem na dworcu. Miałem wtedy kontrabandę z mięsem.

— Znajdź sobie inne zajęcie. To niebezpieczne nie tylko dla ciebie, ale i dla nas.

— Panie kapitanie... — Brychczyński westchnął. — Wszyscy chcą jeść, no nie? Ta moja znajoma przyszła do mnie do mieszkania, gdyż podczas oblężenia Warszawy zatrzymała się u mojej matki i siostry. Powiedziała mi, że jest sekretarką szefa SS i policji Paula Modera. Uznałem po prostu, że to ważne.

Żenczykowski zastanowił się. To mogła być prowokacja Niemców. Przez prawie dwa lata okupacji nie takie rzeczy się już zdarzały.

— Jesteś jej pewien? — zapytał.

Tego Stefan nie wiedział. Serce podpowiadało mu, że Magda nie kłamie, ale zasady konspiracji mówiły mu co innego.

— To była moja najbliższa przyjaciółka. Uważam, że powinniśmy ją sprawdzić, pod każdym względem, szczególnie w Łodzi — powiedział. — Ale jeśli jest po naszej stronie, to proszę zobaczyć, jakie mamy dojście do tego skurwiela Modera.

— Czy to wszystko?

— Tak, panie kapitanie.

— Dwa tygodnie. Ktoś musi pojechać do Łodzi.

— Ja mogę.

— Nie ma mowy. Już samo to, że się z nią przyjaźniłeś, to wyklucza. Za dwa tygodnie w tym samym miejscu i o tej samej godzinie. Jeśli jej intencje są szczerze, wykorzystamy ją jeszcze inaczej, niż myślisz.

Kapitan „Kania” był sprawny i nie lubił tracić czasu. Wyszedł, a za nim jeden chłopak z obstawy. Stefan miał opuścić mieszkanie dopiero po półgodzinie.

*

Czerwiec, mimo upalnej pogody, a może właśnie przez nią, był w getcie straszny. Problemem stawał się nie tylko dostęp do jedzenia, ale przede wszystkim do czystej wody. Jednak ten dzień był dla Poldeka i Lidki Rosenman podwójnie ciężki. Rano, gdy obudzili się po nocy w mieszkaniu, gdzie oprócz nich przebywał jeszcze tuzin ludzi, okazało się, że Rosenmanowa nie żyje. Musiała umrzeć we śnie. Pierwsza zauważyła to Lidka, która natychmiast obudziła brata. Był to dla nich straszny szok. Teraz trzeba było matkę pochować. Jak nakazywał obyczaj, ciało kobiety powinno zostać umyte i przygotowane do pogrzebu. Poldek zastanawiał się, jak zawiadomić kogoś znajomego, by zebrać dziesięciu mężczyzn, w obecności których można odmówić kadisz — modlitwę za zmarłych. Szybko zdał sobie sprawę z tego, że to absurdalny pomysł w sytuacji, w jakiej się znaleźli.

— Skoro umarła wasza mama, niech jej ziemia lekką będzie. Macie jedno wolne miejsce w pokoju — powiedział niemiły współlokator, muzyk bez pracy, gdy tylko się o tym dowiedział.

— Tylu ludzi umiera codziennie — dodał ktoś inny.

Ta obojętność dodatkowo pogłębiała ból rodzeństwa.

Ponieważ nie można było sporządzić trumny i nic innego nie znaleźli, ciało Rosenmanowej zostało zawinięte w starą zasłonę. Z pomocą dwóch ludzi Poldek i Lidka zdołali znieść matkę na ulicę.

— Możecie ją tutaj zostawić. Codziennie wieczorem żydowska policja sprząta ciała — podpowiedział sąsiad o imieniu Chaim, czyli Henryk.

Poldek nie znał jego nazwiska. Lokatorzy często się zmieniali, bo bez przerwy ktoś umierał. Nie było sensu zwracać sobie tym głowy.

— Nigdy czegoś takiego nie zrobimy — zaproponowała gwałtownie Lidka. — Nasza mama zostanie godnie pochowana.

Starszy człowiek, który im pomógł znieść ciało na chodnik przed kamienicą, lekko się zdziwił. Nieczęsto spotykał w getcie kogoś, kto by się przejmował czymś takim.

— Moralność i religia umierają na tych ulicach — rzekł nieco sentencjonalnie, ale zaraz potem racjonalnie zapytał: — Czy nie macie czegoś do jedzenia?

— Nie, nie jedliśmy od dwóch dni — odpowiedział Poldek.

Czy mama przez to umarła? Czy po prostu ciało odmówiło posłuszeństwa? Któż to wie. Pozostawało pytanie: co dalej? Jak wezwać rabina? Gdzie zanieść ciało? Zazwyczaj zmarłych z wyczerpania zostawiano się tu przed kamienicami na chodniku, przykrytych jakimś kocem, pledem. Nędzarze umierali na ulicy.

W tej strasznej chwili podszedł do nich znajomy Poldek z czasów, gdy razem budowali mur tego piekła, Jurek Kleibert, policjant z Żydowskiej Służby Porządkowej. O tę pracę ubiegały się tysiące, może nawet dziesiątki tysięcy mężczyzn, a dostawali ją nieliczni.

— Cześć, Poldek. Co się stało? — zapytał.

Nagle sam zrozumiał. Zasłona, którą Rosenmanowie przykryli ciało matki, nie sięgała do stóp.

— Mama umarła i naprawdę nie wiem, co mam teraz zrobić. — Poldek był zupełnie zrezygnowany.

Jurek Kleibert w 1939 roku był żołnierzem 1. Pułku Piechoty Legionów i walczył nad Bzurą. Do getta dostał się ze względu na rodzinę, której nie chciał zostawić. Nie przeszedł sam do aryjskiej części miasta. Twardy człowiek. Poldek podejrzewał, że kolega jest związany z polskim podziemiem. Miał trzydzieści kilka lat i aparycję zupełnie nietypową dla aszkenazyjskiego chłopaka.

— Masz jakiś wózek?

— Tak. W pokoju — odparł Poldek.

— To przyprowadź go.

Poldek posłusznie to zrobił. Położyli matkę na wózku, Lidka zakryła jej twarz chustką, żeby nikt nie patrzył na jej martwą twarz. Policjant odgonił od nich jakąś oszalałą z głodu nędzarkę, która chciała zabrać Rosenmanowej buty. To były zwykłe, wiązane rzemykami sandały na drewnianej podeszwie, typowe okupacyjne obuwie. Ale nędzarze chodzili boso lub mieli stopy obwiązane szmatami.

Jurek Kleibert był jedynym człowiekiem, który zgodził się uczestniczyć w pochówku ich mamy. Poldek uświadomił sobie nagle, że nie mają w Warszawie rodziny — krewni mieszkali w większości w Ameryce i najpewniej nie zdawali sobie sprawy z tego, co się działo w okupowanej Warszawie. Dowlekli razem wózek z ciałem na ulicę Okopową, na cmentarz żydowski.

Jeszcze jesienią zeszłego roku, gdy ktoś umierał, zachowywano wszystkie zasady judaizmu dotyczące pochówku, w tym obmycia ciała, przygotowania go do złożenia do grobu. Teraz, w czerwcu czterdziestego pierwszego, umierało już codziennie tylu ludzi, że podlegająca Judenratowi administracja cmentarza kopała większe doły. Chowano w nich — lub po prostu wrzucano — zmarłych razem. Teraz też taki dół był wykopany i już prawie zapełniony trupami. Stali nad nim młodzi ludzie, zapewne mąż i żona — nie wiadomo tego

na pewno, Rosenmanowie ich nie znali. Kobieta płakała nad dzieckiem, a mężczyzna stał załamany.

Poldekowi robiło się słabo, wózek ciążył mu niebywale. Nie przypuszczał, że ciało po śmierci tyle waży. Głód ścisnął mu żołądek. Zauważył to policjant żydowski. Sięgnął za pazuchę i wyjął piersiówkę.

— Wypij łyk. Dobrze ci zrobi.

Chłopak pociągnął bimbru. Miał piekący, ostry smak, ale rzeczywiście — postawił go na nogi.

— Jak możesz? — spytała z wyrzutem Lidka. — Mama tu jest.

— I co z tego, proszę panienki? — Jurek Kleibert popatrzył na nią spokojnie. — Zmarli niczego od nas nie chcą i nie obrażają się.

— Gdzie jest rabin? — zapytał Poldek, który po alkoholu odczuwał już przyjemne ciepło w żołądku.

— Przyjdzie później z kilkoma ludźmi z gminy, żeby było ich dziesięciu. Odmówią wtedy modlitwy. — Jurek westchnął. — Ale nie modlitwy nam trzeba, tylko broni.

Poldek popatrzył na niego inaczej. Dostrzegł w koledze jakąś determinację, gotowość do działania, która wydawała mu się sensowna. Ale nie mieściło mu się to w głowie — Żydzi mogą mieć broń?

— Biercie mamę — powiedział Jurek.

Nadeszła ta straszna chwila. Razem chwycili ją z wózka. Lidka nie wytrzymała i rozplakała się jak dziecko. Nogi się pod nią ugięły. Przenieśli ciało najdelikatniej, jak mogli, nad masowy grób. Poldek bardzo się bał, że się zachwieje i wpadnie do dołu, w którym leżało już kilkadziesiąt trupów. Niektóre były owinięte w całuny, a niektóre nędzne, prawie nagie, z półotwartymi martwymi ustami, z pustymi oczyma spoglądającymi w nicość.

Nagle Poldek pomyślał o czymś innym.

— Połóżmy ją na moment.

Serce biło mu mocniej z przejęcia. Mama wciąż miała na palcu obrączkę ślubną. Namacał ją i zdjął. Jurek to zauważył, ale nie potępił go — zbyt wiele już widział w getcie, żeby się dziwić.

— Słusznie. Chciałaby, żebyś ją — powiedział. — Ona już jej nie potrzebuje.

Poldek wstydził się strasznie tego, co zrobił, ale te okropne miesiące w getcie go zmieniły. Jeszcze rok temu potępiłby sam siebie bez wahania, ale dziś... Podnieśli ciało raz jeszcze i wrzucili je do dołu.

To był cały pogrzeb.

Policjant ciężko dyszał, ale Poldek uspokoił się zupełnie. Nic już nie czuł. Zrozumiał, że mama uwolniła się od tego koszmaru i nicości, które ich otaczały każdego dnia w getcie.

Tylko Lidka ciągle płakała. Po śmierci mamy zostawała sama w ciemności. Nie widziała już światła.

*

Tego dnia Stefan Brychczyński nie zastał w domu siostry. Miała iść na Kercelak, popularne warszawskie targowisko położone u zlotu ulic Wolskiej, Chłodnej i Towarowej, żeby zrobić potrzebne zakupy. Brat znikał czasami na dwa, trzy dni, kiedy jechał po towar na sprzedaż do podwarszawskich wsi, a teraz coraz częściej chodził na tajne spotkania zaprzysiężonych żołnierzy ZWZ, gdzie szkolił nowych z obsługi broni, jej budowy, funkcjonowania i zabezpieczenia. Potem nadzorował odwiezienie broni do skrytki. Dziś liczył na to, że siostra pod jego nieobecność ogarnie dom i coś ugotuje. Czekał do godziny policyjnej, ale Wanda się nie zjawiała.

Koło dziesiątej wieczorem, gdy zmęczony zasnął przy stole w kuchni, ktoś zastukał w drzwi. Z sąsiadką, pielęgniarzką ze Szpitala Wolskiego, miał umówiony sygnał i wiedział, że to ona. Ocknął się, wstał i powłókł się, by jej otworzyć.

— Panie Stefanie... — Kobieta stała w korytarzu, zasmucona. — Wandzia dziś wpadła w łapance w rejonie Kercelaka. Wie pan, że tam Niemcy łapią.

Serce podeszło mu do gardła. To mogła być prawda. Każdy warszawiak się z tym liczył. Wszyscy codziennie podejmowali to makabryczne ryzyko. Musieli jakoś żyć z niemieckim terrorem.

— Skąd pani wie?

— Mój Kuba to widział — odparła sąsiadka. — Też by wpadł, ale pana siostra kazała mu stanąć za nią i przedostać się do piwnicy przez małe okno.

— Dziękuję za wiadomość.

— Za takie informacje się nie dziękuje, panie Stefanie.

Nerwowo zaczął się zastanawiać, co robić. W domu, w schowku w podłodze, zostało jeszcze kilkadziesiąt dolarów na czarną godzinę, które Magdalena zostawiła im za ukrycie jej w ich mieszkaniu we wrześniu trzydziestego dziewiątego. Ale Stefan zdawał sobie sprawę z tego, że to za mało. Musi wymyślić coś innego. Stracił już w ten sposób matkę, ona też wpadła w łapance. Wtedy z siostrą też nie wiedzieli, co mają zrobić. Nie mieli nikogo w niemieckiej strefie miasta. Teraz sytuacja była odrobinę lepsza dzięki Magdzie. Choć nawiązanie kontaktu telefonicznego było trudne — ze względu na podsłuchy. Nie było jednak innego wyjścia. Był wieczór i trwała godzina policyjna, więc pójdzie do knajpy, gdzie znajdował się aparat ogólnodostępny, było niewykonalne. Zastanowił się, jak to rozegrać, jak ją zawiadomić. Musi użyć jakiegoś kodu, który byłby zrozumiały tylko dla niej. Jego niemiecki nie był nadzwyczajny, ale dość komunikatywny. Po chwili wiedział już, co ma powiedzieć. Wybrał numer i zaczekał na połączenie.

— Tak, słucham — odezwał się po niemiecku kobiecy głos.

— Czy mógłbym prosić pannę Pohl? — zapytał Stefan w tym samym języku.

— Proszę zaczekać.

Po dłuższej chwili odezwała się Magdalena.

— Magdalena Pohl. Słucham.

— Kuzynka Wanda wyjechała do Niemiec, nagle i nieoczekiwanie.

Zrozumiała.

— Czy wyjechała dzisiaj?

— Tak, przed południem.

— Postaram się coś zrobić. Dziękuję za wiadomość.

Rozmowa się zakończyła. Teraz Stefan mógł liczyć już tylko na nią. Na kobietę, która była jego najbliższą przyjaciółką, choć formalnie — wrogiem. Co za przedziwny paradoks.

*

Magdalena przez swoją koleżankę Yvonne Langer, która pracowała jako sekretarka na Polizei StraÙe, czyli na przedwojennej alei Jana Chrystiana Szucha, ustaliła, gdzie może przebywać Wanda. Ludzie zatrzymani w łapankach od lutego 1941 roku byli zawożeni do obozu przejściowego na ulicy Skaryszewskiej, skąd trafiali najczęściej na roboty przymusowe do Niemiec. Magdalena zdawała sobie sprawę z tego, że uwolnienie kogoś po łapance musi kosztować. Miała przy sobie kilka tysięcy złotych — tak zwanych młynarek, od nazwiska szefa banku emisyjnego w Generalnym Gubernatorstwie — ale to mogło nie wystarczyć. W razie czego zawsze pozostawał telefon do domu, do Jadwigi, żeby przesłała jej szybko z Łodzi gotówkę samochodem. Nie było zbyt wiele czasu — Wanda w każdej chwili mogła zostać wywieziona i wtedy nic nie da się zrobić. W napięciu czekała na wiadomość od Yvonne Langer. W końcu koleżanka zadzwoniła.

— Sześć tysięcy złotych — powiedziała Yvonne. — Masz szczęście, że pracuje tam kolega mojego chłopaka.

Magdalena nie wahała się ani chwili. Tyle miała w mieszkaniu, choć była to duża suma. Została wychowana tak, żeby mieć pieniądze na podorędziu. Ustaliła, jak je przekazać. Miał się po nie zgłosić esesman w Łazienkach Królewskich, które Niemcy całkowicie zamknęli dla ludności polskiej w 1940 roku. Stanowiły one teraz park i miejsce relaksu dla pracujących w niemieckiej dzielnicy urzędasów, gestapowców i członków niemieckich formacji policyjnych. Langer podała jej dokładnie, o którą ławkę chodzi. Przekazanie pieniędzy miało nastąpić o godzinie szesnastej.

Po pracy młoda kobieta pojechała tramwajem zero na końcowy przystanek na placu Unii Lubelskiej, położony na granicy dzielnicy niemieckiej. Stamtąd już pieszo przeszła do parku

i odnalazła właściwą ławkę. Po kilkunastu minutach podszedł do niej gruby esesman w randze Rottenführera.

— Nazywam się Kubichek — odezwał się. — Czy ma pani pieniądze?

Magdalena po akcencie poznała, że to folksdojcz.

— Widzę, że szybko przechodzi pan do interesów — odpowiedziała po niemiecku, a potem nieoczekiwanie zaproponowała: — Pomówmy po polsku. Zgaduję, że ten język nie jest panu obcy.

— Jasna sprawa — rzekł Kubichek. — Jestem z Bytomia.

— Ślązak?

— Tak, a ty, dziolcha, godosz po polsku jak Polka jakaś.

— Tak jak pan.

— Ja jestem Ślązak.

— A ja Niemką z Łodzi. Pieniądze są w gazecie.

Położyła na ławce przed nim dzisiejszy numer „Völkischer Beobachter”, codziennej hitlerowskiej gazety, którą dowożono do głównych urzędów niemieckich z Rzeszy.

— Takie interesy to przyjemność, panienko — wysilił się na niemiecki Kubichek.

Nie było sensu kontynuować tej rozmowy. Załatwili sprawę. Oboje dostali to, czego chcieli. Oczywiście Magdalena nie mogła mieć pewności, czy nie zostanie oszukana, ale w końcu robili uprzejmość Niemce, a nie jakiemuś tam Polakowi. Wstała i elegancko poruszając biodrami, oddaliła się. Czuła na sobie wzrok grubasa.

*

Stefan przez cały następny dzień, pełen niepokoju, czekał na to, co się stanie. Pod wieczór, jeszcze przed godziną policyjną, do mieszkania na Bielańskiej przyszła wycieńczona Wanda. Niemcy wypuścili ją po południu, kiedy Kubichek dał znać, że ma pieniądze. Dosłownie wykopano ją z obozu na Skaryszewskiej. Podwiózł ją jakiś facet na furmance i nie wziął za to grosza. Prości ludzie, ci najbiedniejsi, mieli odruchy ludzkie częściej niż nadziane kasą rekiny warszawskiej, okupacyjnej spekulacji.

Wanda była pewna, że to bratu zawdzięcza ratunek.

— To nie ja — zaprzeczył Stefan. — Nie mamy przecież pieniędzy. Tych dolarów, które mamy schowane, byłoby za mało.

— Więc kto?

Po chwili zrozumią. Dopiero teraz uwierzyli, że Magdalena jest po ich stronie.

ROZDZIAŁ X

W służbie podziemia

22 CZERWCA 1941

Tego dnia w bardzo wczesnych godzinach rannych Niemcy i ich sojusznicy zaatakowali Związek Radziecki na najdłuższym froncie od Litwy aż po Morze Czarne, a Finowie — pozycje sowieckie na dalekiej północy. Niemieckie oddziały pancerne i zmotoryzowane wdzierały się w trzech wielkich kolumnach na obszar imperium Stalina. I warto zaznaczyć, że dla okupowanej przez Sowietów wschodniej Polski oznaczało to zniszczenie tych ziem i ludzi ją zamieszkujących po raz wtóry. Niemieckie natarcie obliczone było na to, że wojna zakończy się po maksymalnie sześciu, może ośmiu tygodniach. Ale hitlerowcy nie docenili Sowietów i ich armii. Latem 1941 roku Wehrmacht miał przewagę technologiczną i już w sierpniu Niemcy rozpoczęli walki o Smoleńsk, a na północy zajęli kraje bałtyckie, gdzie witano ich jak wybawicieli od okrutnej sowieckiej okupacji. Podobne sceny widziano też w Ukrainie, umęczonej bestialskim jarzmem stalinowskim, jednak już wkrótce okrucieństwa Niemców miały dorównać tym sowieckim. W ślad za niemiecką armią szły oddziały egzekucyjne — Einsatzgruppen, które likwidowały ludność żydowską oraz członków partii bolszewickiej i komsomołu.

Ustawione w kilku miejscach w Warszawie megafony — niemieckie tuby ordynarnej i nachalnej propagandy — ogłaszały triumfalnie wieści z frontu. Stefan Brychczyński szedł na spotkanie ze swoim przełożonym, kapitanem „Kanią”. Tym razem miało się ono odbyć nie w zakonspirowanym lokalu, lecz w bocznej kaplicy kolegiaty Świętej Anny w warszawskim Wilanowie. Tutaj, w bocznej ławce, za zgodą proboszcza, który przymykał oczy na eksplozję pobożności u mężczyzn w sile wieku, odbywały się czasem spotkania. Ale niezbyt często.

— Mam decyzję w sprawie twojej znajomej — rzekł „Kania”.

— Cały zamieniam się w słuch.

— Sprawdziliśmy ją na tyle, na ile było to możliwe. Dostała doskonałe referencje, jeśli można tak powiedzieć. Jej nauczycielka ze szkoły ręczy za nią, a jest w tajnym nauczaniu.

— Ja też ręczę. Jest po naszej stronie.

— To dla nas rzeczywiście bardzo cenny kontakt. Mam nadzieję, że nie komunikowałeś się z nią samodzielnie? — Kapitan spojrzał na młodego człowieka.

Stefan poczuł się jak nicpoń złapany na gorącym uczynku.

— Niestety, moja siostra wpadła w łapance na Kercelaku, musiałem ją wyciągnąć z niemieckich łap. Ona mi pomogła.

Przełożony Stefana poczuł nagły przyływ złości.

— Mogłeś ją spalić! — syknął. — Co za nieostrożność!

— Miałem zostawić siostrę? Po tym jak zabrali nam matkę? Proszę mnie zrozumieć...

— Z chwilą, gdy ją do nas zgłosiłeś, przestała być twoją przyjaciółką. Jej możliwości są dla nas bezcenne! Jeszcze jedna taka samowolka i zostaniesz odsunięty, rozumiałeś?

— Tak — odparł cicho Stefan.

— A teraz chcę, żebyś mnie z nią umówił. Sprawa, jaką chcemy jej powierzyć, jest bardzo ważna z perspektywy wojny psychologicznej.

Stefan zdziwił się, bo pierwszy raz słyszał o czymś takim.

— Nasza Komenda Główna chce podsuwać Niemcom różne rzeczy, przez nas doskonale preparowane, żeby podkopywać ich morale i informować o zbrodniach ich rządu — rzekł „Kania”. — Brakuje nam ludzi takich jak ona, znających język niemiecki, obyczaj i właściwie będących Niemcami. Ona jest dla nas w tej operacji bezcenna, Stefan, rozumiesz? Dlatego tak mnie wkurzyłeś.

— Rozumiem.

Ustalili szybko szczegóły spotkania Magdaleny z „Kanią”.

— To tyle, „Osa”, możesz odejść.

Stefan wyszedł pierwszy, a kapitan pół godziny po nim. Po Wilanowie krążyły niemieckie patrole żandarmerii.

*

Tymczasem Magdalena w tę niedzielę miała wolne. Puściła sobie na gramofonie płytę z Édith Piaf, która także bardzo podobała się jej koleżankom z mieszkania. Właśnie słuchała zachwycającego głosu Małego Wróbelka, gdy zadzwonił telefon. Rozmówca przekazał, że w Fotoplastikonie Warszawskim ktoś chce się z nią spotkać. Poznała po głosie Stefana Brychczyńskiego. Wciąż miała do niego pewną słabość. Ale trwała wojna, należeli do dwóch różnych światów, nie tylko nieprzystających do siebie, ale wręcz walczących na śmierć i życie. Zdawała sobie sprawę z tego, że najmniejszy błąd będzie ją kosztował życie.

Przybyła o uzgodnionej porze i kupiła bilet na zdjęcia z basenu Morza Śródziemnego. Tego dnia nie było zbyt wielu chętnych, a ona wybrała celowo miejsce zasłonięte. Powoli przeglądała obrazy. Po chwili — nie miała wątpliwości, że była obserwowana — wszedł mężczyzna w wieku trzydziestu kilku lat i usiadł obok niej.

— Lubi pani fotoplastikon? — zapytał.

— A pan?

— Ja lubię dalekie kraje, choć nie miałem okazji zwiedzić zbyt wielu. — Popatrzyl jej w oczy. — Chciała pani z nami nawiązać kontakt.

— Kim są „my”?

— To na razie nieistotne. Sprawdziliśmy panią dokładnie. Proszę się temu nie dziwić. Pani stanowisko być może da nam pewne korzyści, ale uznaliśmy, że kopiowanie dokumentów w pracy byłoby zbyt niebezpieczne. Musiałaby pani zabierać je do domu. A to podnosi ryzyko dekonspiracji.

— Nie ma szans. Moder zwykle zamyka wszystkie w sejfie. Kopiowanie na miejscu również byłoby trudne. W pałacu Brühla nie ma jednoosobowych gabinetów dla sekretarek, ale w kilka dziewczyn jesteśmy w jednym dużym sekretariacie. Odpowiadam za korespondencję urzędową wyższego dowódcy SS i policji w Warszawie z Głównym Urzędem Bezpieczeństwa Rzeszy. Inne dziewczyny obsługują korespondencję z innymi ministerstwami oraz gubernatorem Hansem Frankiem w Krakowie. Mogę wam przekazywać nowe informacje. Na przykład... Na początku sierpnia do Warszawy przyjedzie z Wrocławia nowy dowódca, Arpad Wigand¹⁶, osoba dla mnie nieznaną. Ale to człowiek Heydricha, więc używa jego metod.

— Rzeźnik Pragi czeskiej. — Mężczyzna westchnął. — Widzę, że doskonale się pani orientuje w niemieckim świecie.

— Jestem Niemką — odparła Magdalena. — Ale mam przekłętą polskie serce i nie umiem go sobie wyrwać.

Nastąpiła chwila ciszy. Kapitana „Kanię” ujęły te słowa. Upewnił się, że ta dziewczyna to cenny kontakt. Jej znajomość niemieckiej kultury, realiów, dostęp do różnych ludzi i miejsc dawały ruchowi oporu w Polsce szansę, którą trzeba było wykorzystać.

— Mam pomysł na walkę psychologiczną z nimi — powiedział. — Chcemy zorganizować komórkę, która będzie tworzyć różne druki, ulotki, gazetki w języku niemieckim, adresowane do niemieckich żołnierzy. Teraz Niemcy uderzyli na Rosję Sowiecką i chwala się błyskawicznym sukcesem, ale Napoleonowi też szło dobrze do Moskwy, a potem przyszła rosyjska zima. Otwarcie frontu wschodniego daje nam nieograniczone możliwości rozsyłania takich gazetek. Gdyby się pani zgodziła... — urwał na moment. — Takie gazetki byłyby nie do wysledzenia. Gdyby na przykład trafiły w ręce Gestapo, jestem przekonany, że nie odróżniliby ich od prawdziwych niemieckich druków. Moglibyśmy im trochę napsuć krwi.

— Zgadzam się.

— W takim razie pozostaje nam wybrać tematy, napisać teksty. Mamy dobrych i złośliwych tekściarzy oraz rysowników. Pani by to tłumaczyła i przekazywała przez naszego wspólnego znajomego.

— Chcę być formalnie członkiem polskiego ruchu oporu — rzekła Magdalena.

— Z tym musimy poczekać. Mamy na razie ograniczone możliwości odebrania od pani przysięgi. Jednak wkrótce to nastąpi. Proszę przyglądać się nowemu szefowi i w razie czego nas informować. Miejsce spotkania tutaj, w Fotoplastikonie, raz na miesiąc. Zostawiam pani aparat fotograficzny do robienia mikrofilmów. Przysłali nam z Londynu.

Mężczyzna przesunął w jej stronę pudełeczko.

— W środku jest film i jedna kapsułka z cyjankiem.

Przerwała oglądanie zdjęć. Nie myślała o tym nigdy w ten sposób — że to takie oczywiste.

— Nie wie pani, co oni robią z ludźmi na Szucha. Proszę się nie dziwić.

— Nie dziwię się. Mam tylko nadzieję, że nie będzie potrzebna.

Mężczyzna zakończył spotkanie. Wewnątrz zaczęli się pojawiać nowi widzowie. Magdalena została sama, z aparatem fotograficznym, cyjankiem i polskim sercem, które biło w niemieckim ciele.

WARSZAWA, LATO 1941

Wiadomość o napaści Niemców na Związek Radziecki wywołała w getcie jeszcze większe przygnębienie. Wydawało się, że kolejny triumf Hitlera będzie oznaczał zagładę następnych Żydów. Tu liczyło się tylko jedzenie — tak straszliwy i powszechny był głód.

Po śmierci matki drogi rodzeństwa Rosenmanów zaczęły się rozchodzić. Poldek nie chciał dłużej utrzymywać siostry, uważał, że dziewczyna musi znaleźć sobie w końcu jakieś zajęcie. Poszedł z tą sprawą do Jurka Kleiberta, który odpowiedział mu w jidysz:

— Jediną szansą dla twojej siostry jest jej uroda.

— Nie rozumiem, co mówisz — odparł Poldek zniecierpliwiony. — Rzadko używałem tego języka.

— A powinieneś częściej — rzekł po polsku Jurek Kleibert. — Ona musi wyjść z getta, dopóki to do załatwienia. Oczywiście, jeśli masz pieniądze.

— Nie mamy prawie nic.

— Jesteście oboje młodzi i wciąż w miarę sprawni. Przyłączcie się do nas.

— To znaczy do kogo?

— Mamy tu w getcie grupę chłopaków, którzy byli w Wojsku Polskim przed wojną. Chcemy zrobić organizację wojskową, sprowadzić od podziemia polskiego broń i działać tutaj, w getcie, żeby nas nie wytłukli wszystkich.

Poldek nie myślał do tej pory w takich kategoriach. Jurek Kleibert był twardym człowiekiem, zdeterminowanym i spokojnym. Widział, co się działo na ulicach, jak ludzie umierali z głodu. Nie godził się na to, wołał walczyć. To miało sens.

— Chcę walczyć.

— To dobrze — odparł Jurek. — Przyjdź na spotkanie. Wpadnę po ciebie.

Ta rozmowa dała Poldkowi jakąś mglistą formę nadziei. W mieszkaniu, w którym było tak dużo osób, zauważył, że Lidka stała się po śmierci matki jakaś nieswoja, milcząca i wyobcowana. Chciał ją zarazić entuzjazmem, na przekór wszystkiemu, ale siostra jak gdyby nie słyszała tego, co mówił.

Od kilku dni pracowała w małym zakładzie tekstylnym, szyjącym dla bardzo nielicznej bogatej klienteli eleganckie ciuchy. W tym morzu nieszczęścia i ludzkiej nędzy, którą było warszawskie getto, działały nieliczne lokale, gdzie serwowano dobre dania, wykwinny alkohol, a gościom towarzyszył dyskretny akompaniament znanych muzyków. Taką kawiarnią była Sztuka na ulicy Leszno, ale Poldek nigdy by tam nie poszedł. Brzydził się tymi nuworyszami. On miał inny cel: chciał walczyć. Jeśli to getto ma być końcem warszawskich Żydów, to niech przynajmniej będzie on wart zapamiętania. Chodził więc na tajne spotkania, na których prelegenci wygłaszali płomienne mowy przesycone poglądami Aleksandra Żabotyńskiego, działacza syjonistycznego, zmarłego w roku 1940, który przed wojną miał dobre relacje z sanacyjnymi kręgami wojskowymi w Polsce. To on zaczął organizować szkolenia wojskowe dla młodych polskich Żydów, uczył ich obchodzenia się z bronią i technik walki piechoty. Żabotyński marzył o państwie żydowskim, które powinno powstać w Palestynie. Miał liczne grono zwolenników — i do nich właśnie trafił Poldek. Dostał sporo broszur, ale musiał sobie odświeżyć jidysz, żeby sprawnie to wszystko czytać. Udało mu się także znaleźć dość dobrą pracę urzędnika w Judenracie. Otrzymywał też niewielki przydział chleba, który stanowił całe jego pożywienie.

Lidka inaczej znosiła długie miesiące jesieni 1941 roku. Zapadła się w sobie, rzadko rozmawiała z bratem. Często za to wspominała matkę — mówiła o niej tak, jakby Rosenmanowa wciąż żyła.

— Ty mówisz do matki? — zapytał ją któregoś dnia Poldek.

— Tak — odparła, ożywiona myślą, że brat wreszcie ją zrozumiał. — Mama jest przy mnie. Rozmawiamy codziennie.

Poldkowi udało się załatwić dla Lidki drobny przydział chleba, czarnego i czerstwego, ale dało się go jeść. Jednak zauważył, że to nie była tylko kwestia głodu — głodni chodzili w getcie wszyscy, nie sposób było od tego uciec. W listopadzie 1941 roku Lidka już rzadko rozmawiała z bratem. Straciła pracę, ponieważ przestała przychodzić do zakładu. Poldek musiał teraz pilnować, żeby zjadła choć trochę chleba z jego porcji urzędniczej, ale któregoś dnia siostra po prostu zniknęła. Gdy wrócił z pracy, nie zastał jej w pokoju, który musieli dzielić z jeszcze dwiema osobami. Zrozpaczony poszedł do Jurka Kleiberta, żeby ten pomógł ją odnaleźć. Ustalono rysopis oraz w co Lidka mogła być ubrana. Szukali jej dwa dni i w końcu znaleźli. Dziewczyna chodziła po getcie i zaczęła przechodniów:

— Czy łaskawy pan nie widział mojej mamy? A pani? Nie widziała pani może mojej mamy?

Miała ze sobą zdjęcie matki, zrobione przed wojną — eleganckiej, pięknej i zadbanej kobiety. W jej umyśle ona wciąż żyła, więc dziewczyna postanowiła ją odszukać w świecie realnym, który był tak straszny, że wewnętrzny świat wyobraźni wziął nad nim górę. Poldek zabrał siostrę do pokoju, w którym mieszkali, ale współlokatorzy wcale się nie ucieszyli.

Próbował jeszcze ją ratować, zdobył nawet skądś suchary i cukier, ale wszystko na nic. Lidka zmarła trzydziestego listopada 1941 roku. Przyczyną było silne wyczerpanie, psychiczne i fizyczne. Poldek stracił najbliższą po mamie osobę z rodziny. Zbyt późno zrozumiał, że siostra była istotą nadzwyczaj kruchą, delikatną jak mimoza, która nie przetrwała piekła getta. Nie spełniła swych marzeń, nie została malarką, artystką... Tego samego dnia Poldek zawiózł na wózku na cmentarz ciało siostry, zawinięte w zdjętą z okna, ostatnią zasłonę z ich mieszkania. Kiedy wrzucił je do masowego grobu, nie poczuł nic. Nie zapłakał.

Szok po śmierci Lidki trwał kilka dni. Wreszcie Poldek uznał, że musi coś ze sobą zrobić. Zdecydował, że dołączy do chłopaków Żabotyńskiego. Tylko w ten sposób był w stanie nadać tej śmierci sens. To nie miała być walka o życie, bo na to już nie liczył, ale o godność.

ZWIĄZEK RADZIECKI, KUJBYSZEWO

Romek Popiołek, syn Marii Popiołkowej, która pracowała w domu Pohlów w Łodzi, od końca września 1939 roku przebywał w sowieckiej niewoli. Był zwykłym szeregowcem, miał dziewiętnaście lat. Potem Sowieci zaczęli zwalniać żołnierzy o pochodzeniu robotniczo-chłopskim — uważali, że są oni elementem podatnym na propagandę. A Popiołek nie chciał wracać do Łodzi, do niemieckiej strefy okupacyjnej zamordowanego państwa polskiego. Od wielu lat dojrzewał w nim bunt wobec tego, że matka musiała służyć bogatym Szwabom, jak mawiał, oraz dojadać resztki z ich stołu. Chciał innego życia. Chciał, żeby Polska należała do ludu pracującego, takiego jak on. Dla niego zatem współpraca z władzami radzieckimi była możliwa i realna.

Dlatego właśnie Romek sam zgłosił się na NKWD i został dokładnie sprawdzony. Gdy okazało się, że jest tym, za kogo się podaje, przeszedł kilkutygodniowe ideologiczne szkolenie w okupowanym przez Sowieców Lwowie, a następnie jako „kapral wojska polskiego” został wysłany na przesłuchania do obozu polskich oficerów w Ostaszkowie. Tam przebywał do wiosny 1940 roku, kiedy zaczęła się akcja likwidacyjna. Miał tam swojego oficera prowadzącego. Jego usługi uznano za cenne, choć nie udało mu się przeciągnąć na stronę sowiecką żadnego polskiego oficera. NKWD uznało wówczas, że agent Popiołek jest za mało wykształcony i że brakuje mu ogłady. Odznaczał się jednak bezwzględnością,

służalczą lojalnością. Skierowano go zatem do Związku Radzieckiego do pracy w fabryce, wprawdzie nie jako więźnia, ale pod przymusem pracy.

Tak więc Popiołek pracował w Kujbyszewie. Poznawał codzienność robotnika w Związku Radzieckim, wcale niewesołą, ale był też aktywnym uczestnikiem życia politycznego. Chodził na lekcje języka rosyjskiego i wszystkie odczyty, spotkania partyjne, i coraz bardziej zachłystywał się ideologią komunistyczną. Żył nią. W końcu poznał dziewczynę, Nadię, sierotę i komsomołkę. Zostali parą, ale nic tu nie było przypadkiem, o czym Popiołek nie wiedział. Nadia była prowokatorką nasłaną przez NKWD, które chciało sprawdzić materiał na agenta w każdy możliwy sposób. W końcu oboje dostali rozkaz:

— Macie na siebie złożyć donos.

Zrobili to bez wahania. Dla NKWD miarą i gwarancją lojalności było dokonanie zdrady najbliższej osoby, zadenuncjowanie jej, bo tylko tak można było zabić od środka człowieka i jego indywidualny świat, uczucia. Wszystko miało być podporządkowane partii i jej zabójczemu ramieniu NKWD. Po zdanym teście na wiosnę 1941 roku Popiołek, po wstępnym uformowaniu ideologicznym, został skierowany do szkoły NKWD w Kujbyszewie, gdzie miał przejść przez wszystkie szczeble — fizyczny, ideologiczny, intelektualny — by stać się pełnoetatowym enkawudzistą, człowiekiem bezpieczeństwa, lojalnym tylko wobec Stalina.

Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej został skierowany jesienią 1941 roku jako wyszkolony agent NKWD do formującej się polskiej armii pod dowództwem generała Andersa. Tam wśród polskich żołnierzy miał śledzić sytuację, pisać raporty. Jego pracę oceniano dobrze, choć rezultaty były niewielkie. Powodem tego było negatywne nastawienie do Związku Radzieckiego większości Polaków przybywających do armii Andersa. Ale Romek Popiołek czekał na swój czas.

CZĘŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ XI

Przysięga

WARSZAWA, STYCZEŃ 1942

Po pół roku zaciętych walk na froncie wschodnim i początkowych sukcesach niemiecka maszyna wojenna została zatrzymana pod Moskwą. Do Warszawy, która stała się zapleczem logistycznym i szpitalnym, zaczęli trafiać ranni niemieccy żołnierze. Tego mroźnego dnia Magdalena Pohl, która pracowała jako sekretarka nowego szefa policji i SS na dystrykt warszawski, Arpada Wiganda, otrzymała telefon.

— Magdo, do ciebie. Z naszego szpitala wojskowego.

Zdziwiła się, bo czego ktoś ze szpitala wojskowego mógłby od niej chcieć? Podniosła jednak słuchawkę aparatu.

— Słucham?

— Czy pani Magdalena Pohl?

— Tak, przy telefonie.

— Mamy tutaj rannego niemieckiego oficera — powiedział męski głos. — Przybył z frontu wschodniego kilka tygodni temu i stanowczo domaga się spotkania z panią. Chciałbym poinformować, że odwiedziny są możliwe.

— Ja... jestem zaskoczona. Jak ten oficer się nazywa?

— Johann von Dohnányi. Jest porucznikiem piechoty.

Magdalena skojarzyła niemieckiego oficera, którego poznała we wrześniu 1939 roku w Warszawie i porządnie wtedy zbesztła. O ile pamięć jej nie zawodziła, widziała go również na pogrzebie ojca. Nie miała możliwości, aby wymówić się od spotkania. Poza tym pamiętała cały czas o swojej tajnej roli, o swoim polskim sercu. Tym bardziej zatem musiała się uwiarygodnić wobec Niemców.

Szpital dla niemieckich żołnierzy położony był wewnątrz niemieckiej dzielnicy. Przed budynkiem zobaczyła sporo samochodów ciężarowych z rannymi żołnierzami. Pod Moskwą chyba nie jest kolorowo, pomyślała. Nie wiedziała, jak blisko była prawdy.

Johann von Dohnányi leżał na sali z kilkoma innymi niemieckimi żołnierzami. Gdy weszła do środka w białym fartuchu narzuconym na ramiona, w maseczce na twarzy, żołnierze zaczęli gwizdać i cmokać, co oczywiście nie było eleganckim zachowaniem wobec kobiety, ale mieściło się w kodzie żołnierskiego języka.

— Gdzie jest porucznik von Dohnányi?

— Ty szczęściarzu! — odezwały się głosy i gwizdy.

Młody człowiek leżący na łóżku ocknął się z drzemki. Może przysłuchiwał się kolegom, ale było jasne, że nie poznał Magdy Pohl w tym białym fartuchu i w maseczce na twarzy. Zorientował się, że to ona, dopiero gdy podeszła bliżej. Próbował wstać, ale nie bardzo mu to szło. Koledzy tymczasem się uspokoili, każdy zajął się sobą — przeglądali gazety lub po prostu patrzyli w sufit i błagali Niebo, żeby nie musieli wracać na front do Rosji.

— Zaskoczył mnie pan — powiedziała.

— Ja sam siebie zaskoczyłem.

Johann von Dohnányi pochodził ze świetnej niemieckiej rodziny, ale raczej to ukrywał. Spotkanie z Magdą należało do jego największych marzeń od czasu, kiedy go publicznie zrugala przy kolegach jeńcach.

— Jak pańskie rany?

— Bola. — Oficer chwycił dwie kule. — Obyło się bez amputacji, więc mogę się uważać za szczęściarza. I jestem nim. — Popatrzył na nią znacząco. — Bo pani do mnie przyszła.

Magdalena poczuła zakłopotanie. Zauważyła, że Johann radzi sobie z chodzeniem o kulach.

— Przejdźmy się — zaproponowała. Czowała się nieswojo w obecności innych żołnierzy, typiących na nią łakomymi oczyma.

— Przepraszam, że panią tutaj tak ściągnąłem — rzekł niemiecki oficer. — Ale nie mogę zapomnieć o naszym pierwszym spotkaniu.

— W obecnych okolicznościach to może być niebezpieczne.

— Proszę się mnie nie obawiać. Pani słowa wypowiedziane podczas oblężenia tego miasta zmusiły mnie do zadania sobie pytań o to wszystko.

Przeszli się korytarzem szpitala i zauważyli, że jedna z ławek była wolna. Usiedli. Magdalena przytrzymała mu kule. Miał problem z lewą nogą, najwidoczniej mocno zranioną.

— Co pan ma na myśli?

— Rzuciła mi pani wtedy w twarz oskarżenie i dzisiaj już rozumiem, że miała pani rację. To, co zobaczyłem od naszej inwazji na Rosję, to najgorszy koszmar, jaki tylko mogłaby pani sobie wyobrazić.

— A co pan widział? — Magdalena zdawała sobie sprawę z tego, że informacje pozyskane podczas tej rozmowy mogą mieć wielkie znaczenie.

— Nie mogę o tym mówić teraz i tutaj. Musielibyśmy się spotkać w jakimś innym miejscu, gdy tylko stąd wyjdę.

— A jeśli wróci pan na front?

— Z taką nogą? Wątpię. — Johann von Dohnányi potrząsnął głową. — Będę kulał do końca życia na lewą. Jednak chciałbym mieć nadzieję, że nie odmówi mi pani następnego spotkania.

— Czy to propozycja?

Mężczyzna parsknął śmiechem, choć czas i okoliczności temu nie sprzyjały. Ale przecież życie okrężało ich, wciągało w taniec, rumiane i przenikliwie krwawe jak rzeźnia o poranku.

— A jeśli tak, to obrazi się pani? — zapytał, zaglądając jej w oczy.

Nie musiała odpowiadać. Rozmawiała z człowiekiem na poziomie. Trzeba go lepiej poznać, wy badać, czy rzeczywiście można mu zaufać, pomyślała. Niemiecki oficer, mający dostęp do kolegów na froncie lub do innych oficerów krytycznie nastawionych do reżimu — to mogłoby bardzo pomóc w kolportażu materiałów propagandowych przygotowywanych przez polskie podziemie.

— Oczywiście, że się nie obrażę. Kiedy pan wychodzi ze szpitala?

— Myślę, że pod koniec stycznia. Zabawię trochę w Warszawie, a potem pojedę do rodziny. Nie widzieli mnie od ponad roku.

Magdalena uśmiechnęła się. Ten oficer się jej podobał, musiała przyznać. Jednak zobowiązała się do czegoś, co stało w sprzeczności z tą znajomością. Oto stanęła przed kolejnym dylematem moralnym.

*

Wanda Brychczyńska od czasu, gdy wpadła w łapance, też chciała należeć do organizacji podziemnej. Brat początkowo się wściekał, odmawiał, tłumaczył, że walka zbrojna nie jest dla kobiet, ale wtedy siostra przywołała go do porządku.

— A gdzie byś był, gdyby nie mama? A Emilia Plater to według ciebie kim była?

— A ty chcesz być jak ona?

— Tak, chcę walczyć, pomścić mamę i wszystkich ludzi, których oni chwycili w łapankach!

Kiedy byli dziećmi, zaciekle kłócili się o zabawki albo o uwagę rodziców. Teraz jednak mieli po dwadzieścia kilka lat i musieli szybko wy dorosnąć. Pokolenie pozbawione normalnej młodości.

— Wanda, proszę, pomyśl... Ja też mogę wpaść w każdej chwili. Jeśli będziemy we dwójkę w mieście, zwiększymy tylko ryzyko, że któreś z nas nie przeżyje i będzie patrzyło na śmierć drugiego. A może byś pojechała do Łodzi?

— Do Łodzi?

— Tak, poproszę Magdę. Ona ma tam dom, w którym będziesz mogła pracować i przeczekać to wszystko. Nie opieraj się...

Wanda dała się jakoś udobruchać. Tymczasem Stefan uznał, że ich mieszkanie na Bielańskiej nadaje się świetnie na punkt kontaktowy dla podziemia. Było przecież tylu ludzi, którzy potrzebowali noclegu na kilka dni, gdyż przemieszczali się po okupowanym kraju z bibułą albo rozkazami. Zapadła więc decyzja o rozdzieleniu się rodzeństwa.

*

Magdalena Pohl potrafiła zaskarbić sobie sympatię nowego szefa SS i policji na dystrykt warszawski SS-Oberführera Arpada Wiganda. Ten brutalny funkcjonariusz hitlerowski objął stanowisko dowódcy w Warszawie w sierpniu 1941 roku i zaczął intensyfikować pełne brutalności łapanki i rozstrzeliwania zakładników oraz przygotowywać powolną zagładę getta. Dziewczyna miała świadomość tych bestialstw, ale przychodziła codziennie do pracy z kamienną twarzą, nie dając nic po sobie poznać. Szefa podeszła inteligencją, seksapilem i pozornym, choć manifestowanym oddaniem.

Od dawna już nie była w Łodzi, a przecież musiała pilnować też interesów rodzinnych. Zastanawiała się nad tym od dłuższego czasu, a dyskretne spotkania z kapitanem „Kanią” w sprawie projektu „N”, jak nazwał cały proces tworzenia, pisania i rysowania ulotek, broszur i miniplakatów ośmieszających III Rzeszę i jej politykę rasistowską, utwierdziły ją w przekonaniu, że sukces operacji zagwarantuje tylko wyprowadzenie głównego ośrodka drukarskiego poza Warszawę. Magdalena miała możliwości finansowe, żeby to zrobić, i zapewniła „Kanię” o swojej pomocy w tej materii. W tym celu musiałaby się jednak przenieść do Łodzi. Warszawa, jako centrum polskiego oporu przeciwko okupacji, choć zdegradowana do roli stolicy dystryktu, wciąż pozostawała centrum polskiej myśli i kultury. Podczas pracy w niemieckiej administracji okupacyjnej oraz wykonując zadania dla polskiego podziemia w ramach akcji „N”, dużo się nauczyła. Jej spostrzeżenia zostały przez kapitana „Kanię” uznane za trafne. Musiała zatem znaleźć teraz kontakty, dzięki którym ulotki i odezwy, pisane tak, jak gdyby tworzyła je jakaś fikcyjna niemiecka opozycja, mogłyby się rozejść po Rzeszy.

Tego dnia została poproszona na rozmowę do szefa. Nie wiedziała, czego ma się spodziewać, ale była spokojna — mężczyzna ją lubił.

— Fräulein Magdalena, pani się tutaj marnuje jako moja sekretarka. Ma pani talent organizacyjny, inteligencję, którą rozpoznaję nieodzownie u wybitnych jednostek niemieckich.

— Miło mi, że zalicza mnie pan, Herr Oberführer, do tej kategorii osób. — Odpowiedź Magdy była niemal automatyczna.

— Zazwyczaj się nie mylę co do ludzi — rzekł Wigand. — Wojna na Wschodzie przyniosła nam sporo wyzwań, a jednym z nich jest obowiązek zapewnienia wszystkim

Niemcom i osobom krwi niemieckiej szansy na życie w Rzeszy. Czy pani wie, czym zajmuje się Komisariat Rzeszy do spraw Umacniania Niemczyzny¹⁷?

— Niestety, nie.

Wigand wyjaśnił jej obowiązki urzędu. Zwrócił uwagę na kwestię polityki kolonizacyjnej, na przesiedlenia ludności związane z oczyszczaniem „przestrzeni życiowej” z Żydów i Cyganów, oraz sprawę, która szczególnie leżała mu na sercu, czyli przywracanie dzieciom właściwego wychowania wynikającego z prawa krwi.

— Potrzebujemy zatem osoby, która będzie koordynować przesyłanie rozkazów o przesiedleniach oraz pozyskiwanie prawdziwych rasowo dzieci, które mogą zostać pozyskane dla Rzeszy przez uratowanie ich niemieckiej krwi na terenie Europy. To stanowisko pracy jest w pani rodzinnym Litzmannstadt, w tamtejszym Komisariacie Rzeszy do spraw Umacniania Niemczyzny.

Magdalena uśmiechnęła się. Zastanawiała się, jak skutecznie czmychnąć z Warszawy do Łodzi, a tymczasem dzieje się coś takiego!

— Kiedy mogłabym wyjechać?

— A kiedy była pani na urlopie?

— Nie byłam — wyznała z doskonale udawanym zawstydzeniem.

— W takim razie ma pani dwa tygodnie zaległego urlopu. Proszę to załatwić w kadrach. A potem: Litzmannstadt. Będzie pani w rozjazdach. To stanowisko wymaga podróży. Trwa wojna i może być niebezpiecznie... — Wigand coś jeszcze mówił, ale dla Magdy nie miało to już znaczenia.

— O niczym innym nie marzyłam, Herr Oberführer!

WARSZAWA, KOŚCIÓŁ WIZYTEK

Magdalena siedziała z rękoma złożonymi do modlitwy. Obok niej kapitan „Kania”. Akcja „N” nabierała rozpędu. Powstały już pierwsze gazetki, ulotki, broszury. Czasami powstawały w drukarniach podziemia, ale dowództwo ZWZ dążyło do tego, aby wyglądały jak najbardziej wiarygodnie.

— Przez pana nabiorą podejrzeń co do mojej religijności. Ja jestem ewangeliczką, a pan zawsze na nasze spotkania wybiera kościoły katolickie — upomniała delikatnie „Kanię” Magdalena.

— Cóż, robimy za to anielską akcję, w której pani protestantyzm nie przeszkadza. Pisze pani świetne teksty. Ale do rzeczy. Wezwała mnie pani nagle. O co chodzi?

— Przenoszą mnie do Łodzi. Do urzędu do spraw przesiedleń i kolonizacji. To się wiąże z podróżami po Europie i Polsce.

— Świetnie! Będzie pani mogła wozić nasze ulotki. Zaczęliśmy wykorzystywać poustawiane w większych miastach skrzynki na czasopisma i książki po niemiecku dla

żołnierzy walczących na froncie, a także pocztę — wyszeptał kapitan.

Oboje wpatrywali się w ołtarz, jak gdyby się modlili.

— Mam pomysł na bardzo dobry kontakt w niemieckim wojsku, ale muszę mieć pana zgodę.

— Kto to taki?

— Porucznik Wehrmachtu z dobrze sytuowanej rodziny.

— Domyśla się czegoś?

— Ani trochę. Ma możliwość wysyłania tego pocztą polową do niemieckich jednostek na froncie. Jak pan wie, do żołnierzy rodziny mogą pisać listy tylko do alfanumerycznej skrzynki poczty polowej, która następnie przekazuje je dalej.

— A cenzura?

— Działa wybiórczo. Nie wszystkie przesyłki są kontrolowane. Na przykład te z urzędu do spraw germanizacji nie. To urząd najwyższego zaufania, że tak to ujmę.

Popatrzyli na siebie. O to chodziło — o jak największą koordynację działań.

— Dobrze. Stefan będzie łącznikiem między mną i panią. Czy może mu pani załatwić przepustkę do wielokrotnego przekraczania granicy Generalnego Gubernatorstwa?

— Pomyślałam o tym. Znajdzie ją pan w wydrażonej książeczce do nabożeństwa, niech mi niebiosa wybaczą tę profanację — wyszeptła Magdalena.

— Kiedy pani jedzie?

— Za dwa tygodnie.

— Jeszcze jeden szczegół, a właściwie obowiązek. Przez te miesiące oddała pani usługi podziemi. Cenimy panią, ale z przyczyn oczywistych wiedzą o pani tylko komendant główny, szef Kedywu i ja. Musimy dopełnić obowiązku złożenia przez panią przysięgi żołnierza ZWZ. Niestety, tylko ja będę świadkiem, jako pani dowódca.

Magdzie zabiło szybciej serce. Marzyła o tym. Jeśli prosiła Boga o cokolwiek, to o przeżycie czegoś takiego. Zamknęła oczy. To nie dzieje się naprawdę, pomyślała.

— Proszę to odczytać po cichu, żebym słyszał. Nadaliśmy pani pseudonim „Marta”.

Magdalena wzięła do ręki karteczkę. Ręce jej drżały jak na egzaminie. Zaczęła cicho:

— „W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Marii Panny Królowej Korony Polskiej, kładę swe ręce na ten święty Krzyż, znak męki i Zbawienia. Przysięgam być wiernym Ojczyźnie mej, Rzeczypospolitej Polskiej, stać nieugięcie na straży Jej honoru i o wyzwolenie Jej z niewoli walczyć ze wszystkich sił, aż do ofiary mego życia. Prezydentowi Rzeczypospolitej i rozkazom Naczelnego Wodza oraz wyznaczonemu przezeń dowódcy Armii Krajowej będę bezwzględnie posłuszny, a tajemnicy dochowam niezłomnie cokolwiek by mnie spotkać miało”.

Po chwili usłyszała szept kapitana „Kani”:

— „Przyjmuję Cię w szeregi Armii Polskiej walczącej z wrogiem w konspiracji o wyzwolenie Ojczyzny. Twym obowiązkiem będzie walczyć z bronią w ręku. Zwycięstwo będzie Twoją nagrodą. Zdrada karana jest śmiercią”.

— Amen — odpowiedziała Magdalena.

Wyszła z kościoła.

Będzie pamiętała tę chwilę jako najważniejszą w życiu.

*

Poldek zdał sobie sprawę z tego, że dalej tak nie może żyć. Getto było piekłem gorszym niż wszystkie kręgi wymyślone przez Dantego. Codziennie patrzył na ludzi umierających na ulicy, na śmierć, która wkradała się wszędzie, na ludzi oszalałych z głodu. Sam też był bardzo głodny. Ale chciał żyć. Tak bardzo chciał żyć! Z tego wszystkiego zwierzył się kiedyś Jurkowi Kleibertowi, który jako policjant też nie miał lekko, ale przynajmniej nie chodził głodny.

— Pomóż mi. Jak się stąd wydostać?

Jurek jako żołnierz Wojska Polskiego zawsze brał wszystko na serio.

— Przejście jest bardzo trudne, ale nie niemożliwe — rzekł. — Jednak zaraz za gettem są szmalcownicy.

— Kto?

— Mendy ludzkie i część folksdojczów z Warszawy, którzy niby chcą pomóc, ale tak naprawdę złupić cię i wydać w ręce Niemców. Masz kogoś naprawdę pewnego po stronie aryjskiej? — zapytał.

On sam nie chciał iść na drugą stronę, ponieważ oznaczałoby to wyrok śmierci na rodzinę w getcie. Poza tym jako policjant nie chodził głodny. Boże, czy ja mam kogoś pewnego po stronie aryjskiej? — zastanowił się Poldek. Przyszły mu na myśl chwile, kiedy ostatnio był szczęśliwy — pobyt w Bielsku, tuż przed wojną, z Magdą, Brychczyńskimi i Lidką, jego cudowną, piękną siostrą, której już nie było.

— Mam kolegę ze szkoły. Nazywa się Stefan Brychczyński. Jestem pewien, że mi pomoże.

Jurek Kleibert zamrugnął oczyma, jakby usłyszał znajome nazwisko.

— Kogo znasz?

Poldek powtórzył. Kleibert się uśmiechnął. Stary, dobry kolega z wojska.

— Jesteś w czepku urodzony. Znamy się ze Stefanem. Postaram się przez naszych ludzi, przechodzących regularnie z getta na stronę aryjską, dowiedzieć czegoś. Dam ci znać. Pamiętaj, że po tamtej stronie wrogiem są Niemcy, ale też każdy, kto cię wyda. Polacy też.

*

Z pseudonimu Stefana Brychczyńskiego — „Osa” — trochę się w organizacji naśmiewano. „Kiedy cię ostatnio ugryzła osa w tyłek?” — słyszał dosyć często. Oczywiście rozwścieczało go to. Z jednym z chłopaków, który robił bez przerwy kawały o osie, o mało się nie pobił. Usłyszał wtedy, że musi wyluzować. W terrorze okupacyjnym ludzie zapominali często, że mimo wszystko trzeba normalnie — tak, to paradoks — żyć. Śmiech też był potrzebny.

W ten mroźny dzień w styczniu 1942 roku Stefan poszedł na spotkanie komórki ZWZ. Nie wiedział, czego będzie dotyczyło. Na miejscu, w zakonspirowanym mieszkaniu na ulicy Leszno, niedaleko północnej krawędzi Kercelaka, kapitan „Kania” umówił się z jeszcze dwoma członkami Kedywu. Przedstawili się jako porucznik „Lalek” i chorąży „Siwy”¹⁸. Stefan nigdy wcześniej ich nie widział, to musieli być ludzie od mokrej roboty. Najprawdopodobniej komórka zajmująca się likwidowaniem zdrajców czy innych mętów, takich jak szmalcownicy lub szczególnie zajadli niemieccy funkcjonariusze. Jako pierwszego zastrzelono aktora zdrajcę, Igo Syma, w początkach 1941 roku.

— Jest sprawa, panowie — zaczął „Lalek”. — Komenda Główna kazała nam poszerzyć skład grupy, która będzie się kontaktowała z ruchem oporu w getcie. Idziemy w czwórkę na akcję dziś. Nie należy zadawać pytań.

Długo trwało, nim dotarli na miejsce. Brychczyński zorientował się po dwóch godzinach, że znajdowali się chyba na Stawkach. Mieściły się tu Miejskie Zakłady Zaopatrywania Warszawy¹⁹. Prowadzili obserwację na wysokości ulicy Dziekiej. Polscy policjanci granatowi, którzy patrolowali ten rejon getta, zniknęli za rogiem. Zrobiło się cicho. Budynki przykrywał gruby śnieg. Stefan czuł ten mróz. Dopiero po chwili „Lalek” dał znak, żeby przejść do jednego z domów, gdzie czekali ludzie z getta. Jak zdołali wyjść za mur? Racja, miało nie być pytań, pomyślał Stefan.

Stali tak w ciemności. Wreszcie ktoś wpadł na pomysł, żeby zapalić dwie lampy karbidowe. Zaczęli się widzieć.

— Dostaliśmy wiadomość od Komendy Głównej, która nadała spotkaniu z wami priorytet. Jestem „Lalek” i mogę mówić z upoważnienia komendanta ZWZ.

Oficer łącznikowy Komendy Głównej, ważny, pomyślał Stefan.

— To są: kapitan „Kowalik”...

Brychczyński zrozumiał, że „Kowalik” to drugi pseudonim jego dowódcy, „Kani”.

— ...sierżant „Siwy” i kapral „Osa”.

Ludzi z getta było dwóch, przy czym jeden wyglądał na funkcjonariusza żydowskiej służby porządkowej. Właśnie ten człowiek w świetle karbidówek, które spalały niebieskim płomieniem acetylen, wydał się Brychczyńskiemu dziwnie znajomy.

— Nazywam się Paweł Frenkel²⁰, a to jest mój druh z Bejtara²¹, kapral Wojska Polskiego Jurek Kleibert.

Teraz młody Brychczyński nie miał wątpliwości. Musiał zamienić z kolegą z wojska choćby słowo. Niech tylko te ważniaki skończą, pomyślał.

— Komenda Główna troszczy się o naszych obywateli w getcie — rzekł „Lalek”, ale Paweł Frenkel natychmiast mu przerwał.

— Proszę, darujmy sobie te bzdury — rzucił. — Wszyscy wiemy, że Komenda Główna nie ma wpływu na getto ani na to, kogo po waszej stronie muru Niemcy złapią w łapankach. Nasz lud umiera z głodu i patrzymy na to codziennie. Głód zabija nas za murem bardziej niż Niemcy. Podejrzewamy, że Niemcy wkrótce wezmą się za getto. Chcemy być na to przygotowani. Chcemy, żeby wiosną tego roku z ludzi Bejtara i tych naszych chłopaków, którzy byli w Wojsku Polskim...

Teraz to „Lalek” przerwał Frenklowi.

— Proszę wybaczyć, ale oni wciąż są w Wojsku Polskim.

— To tylko słowa, panie „Lalek”. Żydzi umierają z głodu i potrzebują pomocy. Skoro nie możecie dać nam jedzenia ani lekarstw, to dajcie nam broń. To jest nasza prośba. Dajcie nam broń.

— Dla jakiej organizacji? — zapytał kapitan „Kowalik”.

— Organizacja powstanie wiosną, zapewniam panów. Chciałbym, żeby nazywała się Żydowski Związek Wojskowy.

— Ile broni? — zapytał „Lalek”.

— Na początek ze dwa pistolety maszynowe, kilkanaście sztuk broni krótkiej, przydadzą się też karabiny, amunicja, granaty...

— Mówi pan tak, jakbyśmy dysponowali arsenałem armii — rzekł skonfundowany „Lalek”. — Będę z panem szczerzy: broni od nas, dobrej i sprawdzonej, starczyłoby może na dwa bataliony w całej Warszawie. Są co prawda możliwości sprowadzenia czegoś z Londynu, mam na myśli skoczków stamtąd, ale organizacja transportu, miejsca zrzutu, zabezpieczenie, rozładowanie, transport w małych partiach, bo przecież wszędzie na patrolach są Niemcy... To trwałoby tygodniami.

— Nie mamy tyle czasu.

— Przekażemy waszą prośbę do Komendy Głównej. Postaramy się zorganizować tyle broni, ile to będzie możliwe — powiedział „Lalek”.

Oficerowie z Komendy Głównej rzeczywiście nie wyobrażali sobie, z czym muszą się mierzyć za murem Żydzi. Stefan pomyślał, że mur getta to tak naprawdę granica innej planety — potwornej, gdzie rządziły głód, wszy i śmierć.

— Są jeszcze zakopane magazyny z września trzydziestego dziewiątego — rzucił po chwili Jurek Kleibert.

„Osa” nie mógł już dłużej milczeć.

— To prawda. Byliśmy świadkami zakopania takiego magazynu.

„Lalek” popatrzył na młodego człowieka.

— To wy się znacie? — zapytał.

— Razem służyli w moim oddziale we wrześniu — odparł kapitan. — Jest taki magazyn, kilka kilometrów od Pilawy, w lesie.

Dotąd po obu stronach panowała trudna do opisania nieufność, ale kiedy okazało się, że „Osa” zna Kleiberta, lody udało się przełamać. A to już miało niebagatelne znaczenie dla kontaktów ZWZ z raczkującym dopiero zbrojnym podziemiem żydowskim w getcie. Kapitan „Kowalik” vel „Kania” wyjął zza pazuchy kożucha piersiówkę z koniakiem — prawdziwym, francuskim, przechowującym moc i słońce sprzed dziesięciu lat, kiedy nie śniły się nikomu w najgorszych koszmarach mur getta, obozy i ta kurwa niemiecka Adolf, ta wampiryczna wesz, która z nich wysysa krew... Sześciu facetów przepiło po łyku. Tak zrobiono pierwszy krok do współpracy ponad i pod murem.

Mieli się już rozchodzić, gdy Jurek Kleibert podszedł i uściskał młodego Brychczyńskiego.

— Proszę, teraz kapral! — rzekł Jurek.

— Ty żyjesz! — Stefan mimo ciemności zobaczył noc w oczach druha.

— Stefan, zrozum, potrzebujemy tej broni, żeby bronić naszych ludzi przed tym niemieckim gównem. Ale czekaj, ktoś jeszcze potrzebuje twojej pomocy teraz, za kilka dni może być za późno, nie wiem, czy wyżyje. Jest skrajnie załamany.

— Kto to taki?

— Mówił mi, że go znasz. Poldek Rosenman.

Brychczyński zbladł. Mój Boże, zupełnie o nim i jego siostrze nie myślałem, skarcił się w myślach.

— Czy możesz go ukryć po tej stronie muru?

To było najważniejsze pytanie, jakie mu postawiono podczas tej wojny. Właściwie mogłoby brzmieć: czy jesteś człowiekiem, czy nie?

— W każdej chwili. Czy możesz go tutaj przyprowadzić... powiedzmy za trzy dni?

Jurek potwierdził skinieniem głowy.

— Dostaniesz tę broń — przyrzekł Stefan.

Musieli się rozejść. Zbyt długie spotkania nie były bezpieczne.

ROZDZIAŁ XII

Po drugiej stronie lustra

ŁÓDŹ, POCZĄTEK LUTEGO 1942

Samochód rodziny Pohlów mknął ośnieżoną szosą do Litzmannstadt — sama nazwa budziła niesmak Magdy — wioząc ją oraz jej nowego przyjaciela, porucznika von Dohnányiego, który wciąż kurował się po ciężkiej ranie z frontu wschodniego. Magdalena zaprosiła go na trochę do rodzinnego domu, co z jednej strony było miłym gestem wobec człowieka, który jej się podobał, ale z drugiej — jego obecność usprawiedliwiała większy bagaż. A ona miała do zabrania dużo materiałów z akcji „N”. Na nim zamierzała sprawdzić, jak ta propaganda będzie działać na niemieckich żołnierzy.

W domu rodzinnym, w którym nie była od czasu śmierci ojca, zaszły spore zmiany. Stara Popiołkowa nie dawała już rady sprzątać i gotować jak przed laty, ale Jadwiga dobrze ją traktowała. Na zaproszenie Magdy — do której wcześniej w tej sprawie zwrócił się Stefan — tydzień wcześniej do pałacu przybyła Wanda Brychczyńska. Przyjaciółka dostała oficjalnie posadę służącej — ważne było poświadczenie z niemieckiego Arbeitsamtu. Dziś macocha przyjęła ich gościnnie, ale Magdalena wyczuwała, że radosne powitanie przykrywa jakąś ryseń, której charakteru nie umiała dostrzec.

— A więc wróciłaś — rzekła Jadwiga, gdy po początkowym zamieszaniu miały wreszcie chwilę spokoju.

— Jakżeż bym nie mogła wrócić... — Dziewczyna westchnęła. — Przecież to mój dom.

Jadwiga spodziewała się takiej odpowiedzi.

— Co zamierzasz?

Magdalena zrozumiała podwójne znaczenie tego pytania. To oczywiste, że Jadwidze podobało się być dyrektorką w fabryce podporządkowanej niemieckiemu wysiłkowi zbrojnemu. Dobrze było mieć pieniądze. Nie zamierzała jej tego odbierać.

— W każdym razie nie interesuje mnie fabryka ojca.

— Czym się zatem zajmiesz?

— Będę pracowała w łódzkiej filii Komisariatu Rzeszy do spraw Umocnienia Niemczyzny — odparła Magdalena bez wahania.

Jadwiga wyglądała na szczerze zaskoczoną.

— Myślałam, że twoje zaangażowanie jest czysto formalne.

— Myliłaś się — odparła Magda. Nie miała zamiaru wtajemniczać macochy w swoje plany. — Jednak mam do ciebie prośbę. Będę potrzebowała trochę miejsca na tyłach fabryki.

— Czy mogłabym wiedzieć na co?

— Czy na wszystkie pytania mam udzielić szczerzej i głębszej odpowiedzi? — Dziewczyna uniosła pytająco brwi. — To także moja fabryka, Jadziu.

Nie mogła i nie chciała nic więcej powiedzieć. Jadwiga zaś, nie do końca pogodzona z tym, że przybrana córka będzie znów mieszkała w Łodzi, musiała jakoś sobie z tym poradzić. Bez słów porozumiały się co do tego, że na razie pewne kwestie pozostaną nierozstrzygnięte. Obie jednak wiedziały, że stoi między nimi jakieś niewyjaśnione, nienazwane „coś”.

*

Po kolacji, na której nie brakowało niczego, choć przecież okrutna wojna trwała już trzeci rok, Magdalena po raz pierwszy na poważnie rozważyła, co stanie się z tym domem, gdy zapanuje pokój. Nie sposób było przewidzieć, jak sprawy się ułożą w przyszłości. Niemcy zostali wprawdzie odparci pod Moskwą, ale wciąż kontrolowali ogromny obszar na wschodzie, a na zachodzie sięgali aż po Pireneje i Atlantyk. Zdawała sobie sprawę z wagi wydarzenia, z którym mało kto wówczas się liczył. Otóż 11 grudnia 1941 roku Adolf H. wypowiedział wojnę Stanom Zjednoczonym, co jej zdaniem działało na korzyść aliantów. To była szaleńcza decyzja. Dziewczyna utwierdziła się w przekonaniu, że Niemcy tę wojnę przegrają.

Uznała, że nadszedł czas na podjęcie pewnych decyzji. Udała się do swojego pokoju, gdzie Wanda Brychczyńska zaniósła jej bagaż. Przy okazji mogła wreszcie wyściskać koleżankę i przeprosić ją za długie miesiące, w których nie mogła jej wspierać.

— Jak ci tutaj jest, Wanda? Tylko szczerze, proszę.

— Wielki ten twój dom, ale to już widziałam w trzydziestym ósmym. A pracuje mi się w porządku. Jadwiga jest dla mnie miła.

— Spróbowałyby nie być — zażartowała Magdalena. — Dobrze, że Stefan zdecydował się wysłać cię do mnie. Jesteś tu bezpieczna.

Raz jeszcze uściskały się serdecznie. Wanda zaraz ją przeprosiła i poszła do starej Popiołkowej, której nogi puchły już tak, że nie mogła chodzić. Dziewczyna pomagała jej się ogarnąć przed snem.

Przez chwilę Magdalena miała wrażenie, że wszystko wróciło do starego porządku. Wiedziała jednak, że to życie na kredyt. Poszła do Johanna von Dohnányiego, który dostał pokój po jej ojcu. Zapukała. W dłoni trzymała zawiązaną na sznurek białą teczkę.

— Proszę wejść — usłyszała głos młodego oficera.

— Jak się czujesz? — zapytała.

Już jakiś czas temu przeszli na ty.

— Bardzo dobrze. Chciałbym, Magdo, jeśli pozwolisz... — zaczął niemiecki oficer. — Chciałbym powiedzieć, że... Nie umiem i nie chcę dłużej udawać, nie tak zostałem wychowany. Ja ciebie... Kocham.

Dziewczyna uśmiechnęła się. Prawie przez łzy.

— Zaskoczyłeś mnie, Johann. To bardzo miłe, ale... Z różnych powodów, o których trochę za chwilę ci opowiem, między nami nic się nie może wydarzyć. Przynajmniej dopóki trwa wojna. A wiesz dobrze, że do jej końca jeszcze daleko...

Podeszła i usiadła obok niego na skraju tapczanu. Widziała, że wyznanie i przyjęcie — w pewnym sensie — odrzucenia wiele go kosztowało.

— Czy mógłbym mieć jednak nadzieję?

Jeszcze kilka tygodni wcześniej to wszystko wydawało się jej takie proste. Czuła się dojrzała jako kobieta, rozumiała swoje wybory, znała swoje ciało. Dokładnie przeanalizowała swoje doświadczenia. Pierwszy raz przeżyła z Poldkiem, który teraz znajdował się w piekle getta — już samo to wspomnienie było dla niej bolesne. Kochała się — przynajmniej tak się jej wówczas wydawało — w Stefanie Brychczyńskim, ale zbyt wiele ich dzieliło. A teraz spotkała jego — człowieka, który był jej wrogiem, a mimo to w jakiś sposób stał się jej bliski. I nie chciała tego zniszczyć.

— Wiem, że to dla ciebie trudne — powiedziała cicho. — Dla mnie też. Skłamałabym, mówiąc, że nie stałeś się dla mnie bliski. Ale na razie nic więcej między nami nie będzie.

Johann dotknął jej dłoni. Tylko na tyle mogli sobie pozwolić w tej sytuacji.

Magdalena otworzyła teczkę. Przyszła tu przecież po to, by pokazać mu jej zawartość. Ryzykowała, ale po prostu musiała znaleźć w niemieckiej armii kogoś, kto pomoże jej rozprowadzać te materiały.

— Czy wiesz, co to jest?

Podala mu gazetki oraz broszurę o zbrodniach Wehrmachtu i SS na froncie wschodnim i w Polsce. Johann pochłaniał treść, wyraźnie przejęty, z trzęsącymi się rękoma.

— To jest świetne — powiedział bez wahania. — Kto to robi?

— Nie uwierzyłybyś.

— Niesamowite, to sama esencja tego, co widziałem tam, na froncie, w Rosji. — Magdzie zdawało się, że Johann odczuł ulgę. Wreszcie mógł szczerze mówić o tym, czego doświadczył, co zobaczył, i nie być oskarżonym o zdradę.

— A co widziałeś?

— Masowe rozstrzeliwania Żydów na froncie wschodnim, przez całe lato i jesień czterdziestego pierwszego roku. Mój pluton miał zostać skierowany do takich zadań policyjnych, ale stanowczo odmówiłem. Wiem też, że mój pułkownik Helmuth Groscurth

usiłował nie dopuścić do strasznego mordu na dzieciach żydowskich w Białej Cerkwi. Ale on był wyjątkiem. Mam kuzyna, który służy w 11. Armii pod dowództwem Mansteina na Krymie, i tam zabijanie Żydów jest na porządku dziennym armii. Armii, rozumiesz? Nie SS.

Wyrzucił to z siebie po cichu, ale zdawało się, że krzyczy.

— Większość żołnierzy i oficerów bierze udział w tych rozstrzeliwaniach. Prowadzimy wojnę z Żydami i bolszewikami, więc zabijanie żołnierzy Armii Czerwonej i zabijanie Żydów uważane są za wymienne pojęcia. Nie masz pojęcia, jak się ucieszyłem, kiedy dostałem pod Wiaźmą ten postrzał w nogę.

Popatrzył jej w oczy.

— Teraz wiesz wszystko. Masz tego więcej?

Magda po tym dziwnym wyznaniu postanowiła mu zaufać.

— Oczywiście. Chcę tutaj otworzyć drukarnię ruchu oporu, która będzie to wydawać... To i wiele innych rzeczy, zabawnych, prześmiewczych, ostrych jak brzytwa. A potem będziemy to rozsyłać do niemieckiej armii. Pomożesz mi?

WARSZAWA, KONIEC STYCZNIA 1942

W czasie, gdy Magdalena zmagala się z pytaniami egzystencjalnymi i pracowała nad pozyskaniem do współpracy myślącego Niemca, w Warszawie rozgrywał się dramat Poldka. Chłopak czuł, że słabnie z każdym dniem i jeśli zostanie w getcie dłużej, podzieli los matki i siostry. Jurek Kleibert przekonał się ostatecznie, że Poldek nie przeżyje i że nie nadaje się na żołnierza podziemia żydowskiego. Było mu go żal. Tylu młodych umierało z głodu i wyczerpania. Jeśli Poldek przetrwa wojnę dzięki Brychczyńskiemu i być może zechce pojechać do Palestyny, to też będzie zysk, pomyślał. Jak każde uratowane żydowskie istnienie. Jurek był pewny, że Stefan nie wyda przyjaciela. Jednak niebezpieczeństwo tkwiło w samym Poldku. Był zbyt wyczerpany na dłuższą akcję. W rejonie Stawek organizujący się bojowcy od Żabotyńskiego rzeczywiście mieli tajną możliwość przejścia na drugą stronę muru. Poldek będzie musiał przemieścić się kanałem bardzo sprawnie i mimo strasznego mrozu wydostać się z niego o własnych siłach. To było ryzyko. Jurek musiał to wyjaśnić Brychczyńskiemu.

Stefan zdecydował, że sam odbierze Poldka.

— Tam bez przerwy kręcą się szmalcownicy — zauważył Kleibert.

— A ja mam dla nich to. — Brychczyński pokazał swojego visa.

— Musisz uważać, bo wpadniecie obaj. Oni nie mają sumienia ani litości. Mnóstwo naszych wpadło po tamtej stronie muru. Uważam, że powinniście coś z tym zrobić.

— Z czym?

— Ze szmalcownikami, z tymi kurwami — powiedział bez ogródek Kleibert. — Nasi ludzie przygotowali dla Komendy Głównej ZWZ raport.

— Masz go przy sobie?

— Oczywiście. — Jurek pokazał przyszytą do wewnętrznej części płaszcza skórzaną kieszeń. Odpruł ją syczorykiem. — To jest analiza tego, co według nas dzieje się za murem. Szmalcownicy są dla nas zagrożeniem większym niż niemieccy żandarmi, którzy nie zapuszczają się głęboko do getta. — Uśmiechnął się ponuro. — Boją się tyfusu.

Stefan był gotów zameldować o tym wyżej. Uważał, że powinna powstać specjalna komórka likwidacyjna ZWZ, która będzie zabijać szmalcowników, obojętnie, kimkolwiek by byli. Umówili się z Jurkiem, że to on przeprowadzi kanałem umierającego Poldka drugiego lutego 1942 roku, czyli już za kilka dni. Brychczyński w międzyczasie złożył obszerny meldunek o szmalcownikach kapitanowi „Kani”. Ten z kolei oddał analizę przekazaną przez Jurka Kleiberta porucznikowi „Lalkowi”, a od niego trafiła ona już do samego „Grota”. Raporty dzienne, które Komenda Główna ZWZ wysyłała rządowi w Londynie, zwracały uwagę na obojętność polskiej ulicy wobec umierających Żydów w różnych gettach. Bo te raporty obejmowały cały kraj okupowany przez Niemców. Powstanie komórki likwidacyjnej było tylko kwestią czasu — podziemie szukało już kogoś do tej strasznej pracy. Podobno generał „Grot” powiedział „Lalkowi”:

— Znajdźcie mi odpowiedniego cyngla, który będzie strzelał do szmalcowników.

ŁÓDŹ, LUTY 1942

Jadwiga Pohl wciąż dźwigała sama swoją tajemnicę. Nie mogła jej wyjawić nikomu, a już na pewno nie Magdzie. Kilka miesięcy po śmierci Aloisa Pohla została zaproszona przez łódzkie Gestapo na rozmowę do cieszącego się złą sławą budynku przy alei Karola Anstadta pod numerem siódmym. Wezwanie przysłało jej pocztą i kobieta, która zdołała już poznać niemiecki biurokratyczny styl, poczuła zaniepokojenie. Komu jednak mogła się zwierzyć? Była teraz samotną wdową z wielkim majątkiem, liczoną w milionach reichsmarek. Zwracała tym na siebie uwagę. Chcąc nie chcąc, poszła na spotkanie.

Gmaszysko jak zawsze zrobiło na niej niekorzystne wrażenie. Przedstawiła się i pokazała dokumenty. Oficjalnie przez małżeństwo z Aloisem Pohlem nabyła status folksdojczki. Służbista przyjął dokumenty i sporządził wpis w księdze wejść do budynku.

— Pokój dwadzieścia sześć, pierwsze piętro.

— Dziękuję — odparła drżącym głosem Jadwiga. Nie wiedziała, czego ma się spodziewać.

Poszła wolno na piętro. Mijali ją cywilni i umundurowani funkcjonariusze Gestapo. W budynku pracowało około stu osób. Zatrzymała się na chwilę przed pokojem dwadzieścia sześć. Zapukała. Rozległy się kroki i drzwi się otworzyły. Jadwiga odetchnęła — to był znajomy Aloisa, Fleischmann. Nie miała pamięci do tych przydługawych niemieckich stopni

u esesmanów. Ten człowiek zawsze budził w niej lęk, zwłaszcza sposób, w jaki się jej przypatrywał, gdy odwiedzał niegdyś Aloisa.

— Ach, to pani, Frau Pohl — rzekł Obersturmführer Fleischmann. — Proszę wejść. Porozmawiamy sobie.

— Mówiąc szczerze, jestem zaskoczona. Czy jestem o coś podejrzana? — zapytała. Fleischmann uśmiechnął się dobrotliwie.

— A czy powinna pani być podejrzana? Jest coś, co sprawiłoby, że uzyskałaby pani taki status na Gestapo?

— No właśnie nie ma i dlatego zastanawiałam się...

— Niech pani siada, Frau Pohl. Zaprosiłem panią, gdyż jako wytrawnemu policjantowi nie zgadza mi się kilka faktów. A przyzna pani, że tylko fakty są ciekawe.

Jadwiga poczuła przyływ adrenaliny. Strach — to było uczucie, którego nie lubiła. W końcu się przemogła:

— A jakie fakty się panu nie zgadzają?

— O, i to jest dobre pytanie.

Wyjął z szuflady w biurku teczkę, pełną papierów, z gotyckim nadrukiem „Kripo”²².

— Pani mąż był Niemcem ważnym dla lokalnej społeczności — rzekł esesman. — Jego nagły i niespodziewany zgon był szokiem dla wielu. Zbadaliśmy dokładnie jego kartę medyczną. O, widzi pani... Nie przyjmował żadnych leków nasercowych.

Wskazał jej kartkę.

— Mąż pił. — Jadwiga postanowiła przejść do ataku.

— O, nieładnie tak kłaść pamięć małżonka — odparł Fleischmann. — Mnie jednak, jako policjanta, zastanowiło co innego. Otóż mąż pani był ubezpieczony na całkiem sporą sumkę, prawie trzysta tysięcy marek, w jednym z berlińskich towarzystw ubezpieczeniowych. Dokładnie sprawdziliśmy. Mamy zeznania pracowników tego towarzystwa. Opisałi kobietę, która przyjechała tego dnia, tu mamy datę, proszę zobaczyć... do Berlina i zgłosiła zgon Aloisa Pohla.

Spojrzeni sobie w oczy. Jadwiga jakoś się wciąż trzymała, ale była blisko osunięcia się w otchłań. Tymczasem Fleischmann kontynuował.

— Tak... Sprowadziliśmy te papiery tutaj, do Litzmannstadt. Podpisała je Magdalena Pohl, co oznaczałoby, że córka zmarłego pojechała do Berlina, żeby podjąć pieniądze z polisy, ale w tym czasie, co dokładnie sprawdziliśmy w dzienniku wejść do siedziby dystryktu warszawskiego SS i policji, gdzie pracowała jako sekretarka, przebywała na pewno w Warszawie. Jak pani sądzi, kim była ta kobieta? — Fleischmann utkwiał w Jadwidze swoje nieprzyjemne spojrzenie.

— Nie wiem — odparła. Nerwowo ścisnęła w dłoni torebkę.

Wyglądało to niezbyt przekonująco.

— Pozwoli pani zatem, że pomogę — ciągnął Fleischmann. — Pracownicy berlińskiej centrali towarzystwa ubezpieczeniowego opisali tę osobę i na podstawie ich zeznań w Kripo przygotowano portret pamięciowy tej kobiety.

Wyjął kolejną kartkę. Spojrzała — osoba na rysunku wyglądała jak ona.

— Czy przyznaje się pani do oszustwa?

Jadwiga sięgnęła po ostateczną broń kobiety: płacz. Zanim poznała Aloisa, była aktorką, więc umiała przekonująco płakać. Nie liczyła jednak na kindersztubę Fleischmanna i nie oczekiwała chusteczki. Musiała szybko kalkulować. Do czego on zmierzał? Nagle w jej umyśle zaświtała nadzieja — oszustwo to nie to samo co morderstwo.

— Czy mogłabym się jakoś uratować? — zapytała przez łyż.

— To zależy tylko od pani — odparł esesman.

Jadwiga wiedziała, że stawką w tej grze było jej życie. Nie wzięła tych pieniędzy dla siebie, nie potrzebowała ich. Miała dom, pensję w fabryce, własne oszczędności, biżuterię. Fleischmann nie może się dowiedzieć, na co poszły środki z polisy. Wielu ludzi mogłoby za to zapłacić. A tego nie chciała.

— Czy mogłabym na przykład zrobić coś, co byłoby przyjemne dla mnie i dla pana? — Już kończąc pytanie, wiedziała, że trafiła.

Fleischmann wstał. Mało kto by nie uległ takiej pokusie.

— Znajdę ustronny hotel. Zadzwonię.

*

Magdalena tymczasem szykowała miejsce na tyłach fabryki — pomniejszy magazyn — na drukarnię dla podziemia. I nie wiedziała o tym, że jej macocha od kilku miesięcy spotyka się z Obersturmführerem Fleischmannem. Ten romans — początkowo seks za milczenie — przerodził się stopniowo w coś, czego Jadwiga nie umiała nazwać. I mając w pamięci dobre relacje z pasierbicą w minionych latach, szukała sposobu, by jej o tym opowiedzieć.

— Przystojny ten niemiecki porucznik, który u nas mieszka — zauważyła któregoś wieczoru.

— Nad wyraz celne określenie, ale to tylko przyjaciel, nic więcej.

— Nie musisz się przede mną tłumaczyć — odpowiedziała uspokajająco Jadwiga. — To byłoby dobrze widziane, gdybyś się związała z Niemcem.

Troska Jadwigi nigdy nie była bezinteresowna. Magda doskonale o tym wiedziała.

— A co u ciebie, moja droga? — Popatrzyła na macochę z zaciekawieniem.

— W jakim sensie?

— Ktoś cię czasem odwozi, czasem sama gdzieś wychodzisz. Wyglądasz jak kobieta zadowolona z życia.

Jadwiga zaciągnęła się papierosem.

— Czy ty coś sugerujesz, moja droga?

— Niczego nie sugeruję. Stwierdzam tylko, że jesteś dorosła i nie powinnaś mieć żadnych wyrzutów sumienia, gdybyś chciała się z kimś spotykać. Przecież Alois nie żyje.

Jadwiga poczuła się złapana. Nie zaprzeczyła.

— To nic poważnego — stwierdziła niezbyt przekonująco.

— Masz prawo do szczęścia — rzekła Magdalena. — Na twoim miejscu nie komplikowałabym sobie jednak życia. Samochód, który cię odwiózł, był na rejestracjach SS. Nie wiedziałam, że masz takich przyjaciół.

Macocho próbowała zachować spokój.

— To nie jest twoja sprawa.

— Oczywiście. Nie denerwuj się.

Czyli jednak romans, pomyślała Magdalena. Zdała sobie sprawę z tego, że przestrzeń na pracę konspiracyjną w Łodzi robi się niebezpiecznie wąska. Będzie musiała poprosić podziemie o sprawdzenie Jadwigi, bo golenie głowy już jej się należało. Nie zamierzała tego robić osobie, która przez lata była dla niej serdeczna, ale musiała się strzec — ze względu na to, po której stronie walczyła w tej wojnie.

WARSZAWA, 2 LUTEGO 1942

Nadszedł dzień, w którym Poldek miał przejść mur. W oznaczonym miejscu, na placu Muranowskim, pojawił się zgodnie z umową około siedemnastej. W towarzystwie żydowskiego policjanta udał się w kierunku Stawek do lokalu wykorzystywanego przez chłopaków od Żabotyńskiego. Po zmroku trzeba było zejść do piwnicy i stamtąd przekopem dotrzeć do kanału, który wychodził po stronie aryjskiej w rejonie ulicy Dzikiej. Tam miało nastąpić przekazanie Poldka pod opiekę Stefana.

— Ja nie idę. Zawsze, jak tam wchodzę, strasznie potem śmierdzę, a nikt nie powinien mnie łączyć z chodzeniem po kanałach. Zapal lampkę karbidową. Nie zapomnij jej zgasić, jak będziesz po drugiej stronie — powiedział Jurek Kleibert.

Poldek, mimo wyczerpania, musiał przejść kanałem sam. Co będzie, jak się pomyli i skręci nie tam, gdzie trzeba? Spore ryzyko. Ale pragnienie wyjścia z getta było zbyt silne. Szedł więc przez piwnicę, a potem przez przekop na kolanach, w zimnie i ciemności, a jedynym jego światłem była lampka karbidowa, która źle paliła z powodu słabej dostępności powietrza. W pewnej chwili chłopak poczuł z przodu powiew mroźnego powietrza. Było to wyjście już w rejonie Miejskich Zakładów Zaopatrywania Warszawy, zamaskowane, ukryte w baraku. Zgasił lampkę karbidową, odczekał i po pewnym czasie znalazł się na zewnątrz.

Była mroźna noc. Wciągnął zimne powietrze, aż zakłuło go w płucach. Młody mężczyzna ucieszył się tym pierwszym powiewem wolności. Nie do końca zdawał sobie sprawę

z niebezpieczeństw, które czyhały na niego poza gettem. Gdzieś tu musi być Stefan, pomyślał Poldek i ruszył w ulicę Dzika. Nagle usłyszał za sobą kroki, ale nie będąc pewnym, kto za nim idzie, przyspieszył. Co dziwne — ta osoba uczyniła to samo.

— Proszę stać! — usłyszał.

Serce zabiło mu szybciej. Ta nieznośna adrenalina nie daje żyć w takich momentach, przemknęło mu przez myśl. Musiał się zatrzymać.

— Odwróć się do mnie powoli — powiedział człowiek za jego plecami.

Poldek posłusznie wykonał polecenie. Zobaczył przed sobą mężczyznę koło trzydziestki, ubranego w zimowe palto, w futrzanej czapce na głowie. Człowiek ten trzymał w ręku nóż. Czy byłbym w stanie uciec? — pomyślał chłopak. Przy tym zmęczeniu, głodzie, osłabieniu nie miał szans. Mógł się tylko wykupić, ale przecież nie miał już nic.

— A gdzie to się chodzi w nocy?

— Do kolegi — odparł Poldek.

— A gdzie ten kolega mieszka?

Poldek zawahał się. Pamiętał tylko adres Brychczyńskich.

— No słucham! — niecierpliwiał się szmalcownik.

— Na Bielańskiej.

— To daleko stąd. Czy przypadkiem pan szanowny nie zgubił drogi? A może wyszedł... — uśmiechnął się krzywo — ...zza muru?

— No co pan! Do kolegi idę.

— Nazwisko tego kolegi. Szybko, bo nie mam czasu. Czas to pieniąż! Ja muszę zarabiać.

Odpowiedziało mu tylko milczenie.

— No to pójdziemy razem do tego kolegi, panie Szlangbaum, Sraubaum czy Apfelbaum — syknął szmalcownik.

Uszli parę kroków. Ulica Dzika wygięła się, mur getta został za nimi, a oni zaczęli się zbliżać w mroku do Okopowej, dalej znajdował się już cmentarz Powązkowski. Wtedy zdarzyło się coś niezwykłego. Poldek zobaczył, że z naprzeciwka ktoś szybko zmierza w ich stronę. Szmalcownik przyłożył mu nóż do pleców.

— Ani słowa, Żydku pierdolony, bo cię przebiję, jak Boga kocham.

Była szansa, że gdy ten człowiek ich minie, jego prześladowca na moment straci czujność — dla Poldeka była to jedyna szansa na ucieczkę. Gdy już oswoił się z tą myślą, zbliżająca się sylwetka wydała mu się znajoma. Po chwili był pewny — to Stefan Brychczyński. Czy mnie pozna? — myślał Poldek.

— Pyskaj na bok!

Usłyszawszy to, Poldek rzucił się w prawo, a Stefan wycelował w szmalcownika broń.

— Rzuć nóż, skurwysynu!

Mężczyzna dał się wprawdzie zaskoczyć, ale za moment mógł krzykiem sprowadzić im na kark jakiś niemiecki patrol, który na pewno kręcił się w pobliżu. Stefan wiedział, że szmalcownik nie może wyjść z tego żywy, ale nie mogli też zostawić tu ciała.

— Zwiąż tę kurwę. — Mierząc do faceta, podał Poldkowi sznurek, który miał w kieszeni.

Chłopak z przyjemnością związał facetowi ręce z tyłu.

— Panowie, dogadamy się! — biadolili tamten. — Ja mam żonę i małe dziecko do wykarmienia...

Nie było sensu wchodzić w dyskusję z trupem.

— Ściągaj buty! — powiedział Stefan.

— Panowie, tak nie można...

— Weź od niego te buty — rzekł Stefan. — A ty — zwrócił się do szmalcownika — ściągaj skarpety.

Chodnik pokryty był lodem. Na boso gadzina nie ucieknie. Szli w stronę Powązek. W pewnej chwili się zatrzymali. Na ulicy Powązkowskiej, przed murem cmentarza, zostało kilka lejów po bombach z września trzydziestego dziewiątego, teraz pełnych kamieni, lodowych brył i śniegu.

— Właż.

Człowiek kulił się i prostował, gdyż ból w nagich stopach na takim zimnie musiał być nie do zniesienia, ostry i przenikający aż do kręgosłupa. Zaczął się głośno modlić do Matki Boskiej. Stefan miał nałożony na swojego visa tłumik. Strzelił mężczyźnie w głowę. Poldek widział, jak z rozłupanej czaszki wytrysnęła krew. Facet zwałił się do dołu. Zasypali go śniegiem i lodem. Zajęło im to kwadrans.

— Znajdą tego chuja na wiosnę, jak śniegi zejdą.

— Nie chcesz wiedzieć, kto to był? — zapytał przerażony Poldek. Był w szoku, jego przyjaciel właśnie z zimną krwią zastrzelił człowieka.

— Nie, nie chcę — odparł spokojnie Stefan. — To był śmieć.

Dla Poldka zaczynało się życie za murem.

KONIEC LUTEGO 1942, GDZIEŚ W MAZOWIECKIEM

Był środek nocy. Mały oddział przysłany tutaj z Warszawy po odbiór skoczka z Moskwy niecierpliwiał się. Na tym strasznym zimnie nawet wódka nie dawała złudnego uczucia rozgrzania się. Musieli czekać z rozpaleniem ognisk do czasu, aż usłyszą warkot samolotu. Z różnych powodów ten skok był przesuwany. Szef PPR, nowej komunistycznej przybudówki stalinowskiej w Polsce, też zresztą zrzucony ze spadochronem, tylko że w grudniu 1941 roku, Marcelli Nowotko, osobiście wysłał tych ludzi po tajemniczego skoczka. Było jasne, że to musi być ktoś z bezpieczeństwa.

NKWD musiało kontrolować — lub przynajmniej próbować to zrobić — nowe polityczne ciało powołane w miejsce rozstrzelanej w wielkiej czystce Komunistycznej Partii Polski. A kontrola taka z racji oddalenia od frontu wschodniego oraz tego, że Sowieci do grudnia 1941 roku dostawali od Niemców regularne lanie, nie była prosta. Teraz sytuacja też nie była najlepsza. Niemcy okopali się na froncie wschodnim i impet kontrofensywy sowieckiej osłabł. Z wiosną Niemcy na pewno ruszą, co do tego nie było wątpliwości. Sowieci myśleli o Polsce perspektywicznie — byli pewni, że po wejściu USA do wojny Stalin nie przegra, a nad Wisłą zapanuje komunizm.

W końcu bojowcy usłyszeli warkot samolotu.

— Zapalać ogniska!

Mieli niewiele czasu, uwijali się teraz jak w ukropie. W końcu samolot odleciał, a na czarnym nocnym niebie pojawił się mały biały punkt. Początkowo wyglądał jak mgiełka, ale szybko stało się jasne, że to człowiek. Niezbyt pewnie manewrował i niebawem — jak było do przewidzenia — spadochron opadł na drzewa. Skoczek musiał się odciąć i podczas upadku poważnie skręcił nogę.

— Niech to szlag! — zaklął ktoś z oddziału.

Zabrali go na noszach przez las. Kilka dni później człowiek ten, z doskonale podrobionymi dokumentami, zasobnikiem z dużą ilością pieniędzy dla Nowotki i swoją osobistą bronią stanął przed pierwszym sekretarzem PPR w zakonspirowanym lokalu komunistycznym na Pradze. Miał być ubezpieczeniem z ramienia NKWD — swoistym bezpieczeństwem w bezpieczeństwie. Beria nie ufał polskim popłuczynom po KPP, które teraz tworzyły Polską Partię Robotniczą.

Przybysz znał Polskę, znał nędzę robotniczych rodzin, wyzysk, choroby. W Łodzi wciąż mogła mieszkać jego matka, której nie widział od 1939 roku. Roman Popiołek nie był już chłopcem do otwierania drzwi, ale doskonale przygotowanym przez NKWD zabójcą.

ROZDZIAŁ XIII

Instynkt przetrwania

ŁÓDŹ, LIPIEC 1942

Jadwiga nawet polubiła te spotkania z Fleischmannem. Podobał jej się szybki seks. Jako kobieta miała swoje potrzeby, których nie zaspokajał do końca świętej pamięci Alois Pohl. Szczególnie miły był ten stan rozluźnienia, kiedy naga leżała obok kochanka na hotelowym łóżku, a on, przykryty kocem, palił papierosa. Pomyślała właśnie, że być może Alois Pohl wcale nie był najlepszym facetem, jaki mógł jej się przytrafić.

— Co słyhać u twojej pasierbicy? — zadał nagle pytanie Fleischmann.

— A dlaczego ona cię interesuje, mój drogi?

— Tak tylko pytam.

— Jest wzorową Niemką. Pracuje w Komisariacie Rzeszy do spraw Umacniania Niemczyzny.

Fleischmann podniósł się z łóżka.

— Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła, a przy okazji także dla siebie, kochanie — rzekł. — Przyjrzyj się, proszę, Magdzie Pohl... Z kim się spotyka, kto u niej bywa, czy nie ma jakichś podejrzanych znajomości.

— Mam dla ciebie szpiegować własną córkę?

— Ona nie jest twoją córką, kochanie. Ty nie masz dzieci — rzucił lekceważąco.

Przypomnienie tej bolesnej prawdy sprawiło, że czar spotkania przysł. Po endorfinach, które uwolnił seks, nie było śladu. Powróciło natomiast wszechobecne poczucie pustki, które Jadwiga odczuwała każdego dnia i które wypełniało jej serce i duszę. W realiach okupowanej Polski miała wszystko: dom po niemieckim mężu, wygodne życie, pieniądze, ciuchy, kosmetyki. A jednak... Życie ułożyło się jej tak, że kiedy mogła mieć dzieci, uważała je za zawalidrogę na drodze do kariery. A potem jakoś się nie udało.

Zaczęła się ubierać. Chciało jej się płakać. Marzyła, by od niego teraz uciec i znaleźć choć trochę zapomnienia w alkoholu. W pałacu, w najskrytszym barku, stało jeszcze kilka butelek dobrego burbona.

— Zaczekaj, skarbie, nie skończyłem...

— Ale ja, kurwa, skończyłam!!! — krzyknęła.

— I po co te nerwy? — zapytał Fleischmann. Siedział na łóżku i palił spokojnie papierosa. — Skarbie, pieprzmy się i jest nam dobrze. Po co to psuć jakimś nerwami? Pozwól, przypomnę ci, że wiem o tobie całkiem sporo. Pamiętasz te pieniądze, które podjęłaś w Berlinie w towarzystwie ubezpieczeniowym?

Jadwiga struchlała. Jaka byłam głupia, przemknęło jej przez myśl. Ale było już za późno.

— Otóż, moja miła, dokładnie to sprawdziliśmy, bo podjęłaś je w gotówce. Ile potrzebowałaś walizek? Dwie, a może trzy. I nie wydałaś tych pieniędzy na ciuchy, perfumy i jakieś tam drobiazgi, nic z tych rzeczy. Wydałaś je, skarbie, polskiemu podziemiu. Wiemy to od niedawna, bo mamy też kreta, który kopie, szuka i węszy w strukturach bandytów, którzy strzelają niemieckim żołnierzom w plecy. Więc zachowuj się, jak na folksdojczkę przystało. Ściągaj majtki i wskakuj do łóżka. Zanim wyjdę, odstawimy jeszcze jeden numer. Opanuj się i rób to, co ci każę.

Nie mogła do niego podejść i dać mu w twarz, żeby zachować tę odrobinę godności, jaką powinna mieć kobieta. Nie mogła nazwać go skurwysynem, bo co by jej to dało? Miał nad nią władzę.

— Co mam zrobić?

— O, znacznie lepiej, skarbie, ci to wyszło niż ta ostatnia, żałośnie histeryczna „kurwa”. Co masz robić? Dokładnie to, o co proszę. Masz mi donosić o wszystkim, co się dzieje u Magdy Pohl. Bardzo mi na tym zależy. Kto u was mieszka, co ona robi, z kim się spotyka, z kim się pieprzy... Jeśli jest taką niecnotą — zaśmiał się prostacko. — Wszystko mnie interesuje. *Hast du das verstanden?*²³.

— Tak.

— Doskonale. A tymczasem my spotykamy się za tydzień dokładnie o tej samej godzinie.

Jadwiga opanowała się. Ma ją w garści, wie o niej dużo. Także o pieniądzach, które dała podziemiu w odruchu absolutnie szczerym i — jak się okazało — też zgubnym dla niej. O czymś jednak nie wiedział... O cieniu, który okalał serce i duszę Jadwigi od śmierci jej męża. Zakopała to na dnie duszy. Nieoczekiwanie ten cień dał jej siłę. Zrobi wszystko, by się wyrwać z pęt gestapowca. Tego była pewna.

WARSZAWA, LIPIEC 1942

Dla Poldka życie od kilku miesięcy ograniczało się do czterech ścian pokoju w mieszkaniu Brychczyńskich. Stefan, gdy ochłonęli po zabiciu szmalcownika, zapytał go o siostrę, piękną Lidkę.

— Lidka nie żyje. Getto ją zabiło.

Pierwszej nocy w mieszkaniu Brychczyńskich na Bielańskiej Poldek strasznie rozpaczał. Musiał wylać z dawna tłumione emocje, które dotąd tłamsił, żeby nie zwariować. Musiał

opłakać matkę i jej pogrzeb, oddalanie się od niego siostry, wreszcie jej zapadnięcie się w sobie samej i śmierć. Potem ustalili zasady bezpieczeństwa.

Stefan powiedział mu, że nie może podchodzić nawet do okna, i młody mężczyzna ściśle się trzymał tego zakazu. Gdy w mieszkaniu odbywało się spotkanie z kimś z ZWZ — a raczej Stefan starał się, żeby nie zdarzało się to zbyt często — Poldek musiał iść do skrytki na szczotki i siedzieć w zamknięciu tyle, ile wymagała tego sytuacja. Stefan zdawał sobie też sprawę z tego, jak cała ta sytuacja jest niebezpieczna. Zabili przecież blisko Stawek szmalcownika, polską kurwę, która żyła z donoszenia na ukrywających się i uciekających z getta ludzi. W każdej chwili ktoś mógł donieść, że w mieszkaniu Brychczyńskich ukrywa się Żyd. Poza tym Stefan utrzymywał Poldka. Nie wypominał mu tego, ale dla chłopaka z podziemia, który często nie dojadał, było to naprawdę ciężkie zadanie. Dlatego w pewnym momencie Brychczyński zameldował o całej sytuacji swojemu przełożonemu, kapitanowi „Kani”, który miał dojścia do Komendy Głównej.

— I proszę o kontakt z „Martą”. To pilne.

— Dobrze, przekażę. Masz w domu telefon?

— To sprawa nie na telefon. Jeśli będzie w Warszawie służbowo, chciałbym, żeby mnie pilnie odwiedziła. Bardzo mi na tym zależy — zapewnił młody człowiek.

— Dobrze, a ty przygotuj się do misji odkopania broni. Niemcy każdego dnia wywożą z getta setki ludzi przez Umschlagplatz na Stawkach.

— Dokąd?

— W nieznanym kierunku. A pociągi wracają puste — oświadczył ponuro dowódca.

Uzgodnili, że Stefan będzie czekać na kontakt.

Codziennosc w Warszawie wymagała nie lada sprytu i zdolności organizacyjnych. Interesy szły słabo. Coraz trudniej było dostać na wsi świeżonkę po zabiciu wieprza. Na początku okupacji Niemcy docierali aparat przymusu — rekwizycji, czyli zorganizowanego administracyjnie złodziejstwa. Ze szmuglu mięsa dawało się żyć. Teraz było znacznie gorzej i Stefan musiał znaleźć pracę. Na szczęście udało mu się załapać na kolei, w czym pomogło podziemie. Miał młynarki na ziemniaki, kawałek słoniny i kapustę.

Poldek przez pierwsze tygodnie zachowywał się jak zaszczute zwierzę. Ale teraz, kiedy poczuł się trochę pewniej, zagadywał Stefana, gdy ten wracał do mieszkania, że chce walczyć.

— Będiesz — obiecał mu wreszcie pewnego dnia Brychczyński. — Mam pewien pomysł. Warszawa to nie jest dobre miejsce dla ukrywającego się Żyda, wiesz dlaczego. Duże możliwości pomocy ma teraz Magda Pohl. Ukrywa się i pracuje u niej moja siostra.

— Wandzia i Magda mieszkają wspólnie w jej wielkim domu? — zapytał Poldek z niedowierzaniem.

Świetnie pamiętał przyjęcie, które ojciec Magdy wydał z okazji jej urodzin w trzydziestym ósmym. To było raptem pięć lat temu, ale dla Poldka — cała epoka, jakieś zamierzchłe czasy, jak średniowiecze czy renesans.

— Nie powiedziałbym, że razem mieszkają. Wanda tam sprząta.

Stefan opowiedział Poldkowi o Magdzie, o jej obecnym statusie. Skrzętnie pomijał to, czego Poldek jako niewtajemniczony w konspirację wiedzieć nie powinien.

Nagle zadzwonił telefon. Brychczyński odebrał, usłyszał jedno krótkie zdanie i rozmówca się rozłączył.

— O wilku mowa. Za dwa dni przyjedzie — powiedział z uśmiechem.

Poldek poczuł się dziwnie. To była przecież kiedyś jego dziewczyna — w innym życiu, w innym świecie. Czy coś do niej czuje? Czy istnieje jeszcze szansa na powrót do utraconego czasu? Na te pytania nie miał odpowiedzi.

*

Magdalena Pohl przyjechała do Warszawy jak zwykle swoim samochodem z szoferem, który pracował kiedyś dla jej ojca. Oficjalnie — po jakieś specjalne instrukcje, które miał przygotować dla niej sam nowy dowódca SS i policji w dystrykcie warszawskim, austriacki nazista Ferdinand von Sammern-Frankenneg²⁴. Magda czuła obawę, gdyż nie znała wcześniej tego dygnitarza.

— Jak się pani żyje w Litzmannstadt? Zaaklimatyzowała się pani? Bądź co bądź to Rzesza. — Nowy szef warszawskiego SS był w świetnym nastroju. — Oberführer Wigand zostawił pani świetne referencje.

— Doskonale! Litzmannstadt to moje rodzinne miasto. Zauważam, jak wielką pracę wykonujemy dla ojczyzny i narodu. Jest tylu Niemców, którzy powinni wrócić do Rzeszy. Sasi siedmiogrodzcy, Niemcy w Czechach i na Węgrzech... Oni wszyscy należą do wielkich Niemiec.

Esesmanowi zafiksowanemu na punkcie osadnictwa niemieckiego podobało się jej podejście.

— Mam więc dla pani bardzo ciekawe zadanie, przygotowane jeszcze przez mojego poprzednika. Jesienią lub zimą tego roku przystąpimy do przywracania niemieckości w zapomnianym rejonie Generalnego Gubernatorstwa. Była pani kiedyś w Zamościu?

— Nie miałam okazji.

— Szkoda. Bardzo ciekawe miasto. Przed wojną archeolodzy odkryli na tej ziemi cmentarzysko Gotów. Rozumie pani? Gotów! Himmler jest tym niezwykle podekscytowany. Podjęto oczywiście decyzję o wysiedleniu stamtąd ludności polskiej. Jak pani doskonale wie, nie przedstawia ona dla nas żadnej istotnej wartości. No, może poza siłą roboczą. Właśnie tam, w specjalnym rejonie przesiedleńczym, zostanie przygotowane miejsce dla

wymienionych przez panią kategorii ludności niemieckiej, której powinniśmy zabezpieczyć przestrzeń życiową.

— Z radością się zgadzam. Jakie będzie moje zadanie?

— Jest pani inteligentna i bardzo rzutka. Proszę, aby pojechała tam pani zimą i opisała swoje wrażenia w raporcie dla Himmlera, który jest podekscytowany również tym, że wreszcie na mapach znajdzie się miasto nazwane jego nazwiskiem.

Magdalena zdumiała się bardzo.

— Cóż to za miasto?

— Zamość, oczywiście. Przecież cały czas o tym mówię. Teraz będzie prawdziwie niemieckim miastem.

Nie dała po sobie poznać, jak bardzo ją to przeraziło.

*

Po załatwieniu spraw w referacie bezpieczeństwa Rzeszy dała kierowcy czas wolny i sama poszła na Bielańską. Nadłożyła oczywiście drogi, kilka razy zatrzymywała się przed witrynami sklepowymi, żeby sprawdzić, czy ktoś jej nie śledzi. Wreszcie dotarła do mieszkania Brychczyńskich. Znała umówiony sposób dzwonienia do drzwi, żeby Stefan wiedział, że to ona. Weszła na piętro. Gdzieś blisko rozległy się krzyki. Znów łapanka, pomyślała. Jakby nie dość tego, co Niemcy robili Żydom za murem getta.

— Wejdz, proszę — powiedział na powitanie Stefan.

— Musiałeś mieć niezły powód, żeby mnie tu ściągać z Łodzi — rzekła poirytowana.

— A żebyś wiedziała, że miałem.

Poprowadził ją do kuchni. Za stołem siedział wysoki, przystojny, śniady mężczyzna, którego twarz wydawała się jej w dziwny sposób znajoma. Początkowo nie mogła skojarzyć, bo postać była bardzo zmieniona cierpieniem, śmiercią i chorobami. Ale... Tak, to był Poldek!

— Ty żyjesz!

Uściskali się. Stefan od razu wyczuł, że między nimi przeskakiwała jakaś iskra, której wcześniej nie przeczuwał. Magdalena po prostu na chwilę zniknęła w ramionach Poldka. Brychczyński poczuł zazdrość. Przegapił tę dziewczynę przed wojną. Wybrał mundur i gdzie go to zaprowadziło?

— Tak się cieszę, że żyjesz — mówiła. — A Lidka? Twoi rodzice?

Poldek zaprzeczył ruchem głowy. Słowa nie były potrzebne. Jej umysł pracował na najwyższych obrotach. Musiała za wszelką cenę pomóc Poldkowi. Stefan nie musiał jej tego tłumaczyć — wiedziała, że ukrywanie Żyda było rzeczą bardzo trudną.

— Masz dokumenty?

— Niestety, nie.

— Mówisz dobrze po niemiecku? — Nigdy wcześniej o to nie pytała.

— Z pewnością nie tak dobrze jak ty, ale lepiej od Stefana — zażartował Poldek.

— Ty się tu nie wywyższaj! — burknął Stefan.

— Dobrze. Będziesz miał bardzo dobre dokumenty. Postaram się o to. Zostaniesz folksdojczem z Bielska. Pamiętasz? Byliśmy tam na wakacjach latem przed wybuchem wojny — powiedziała Magdalena. — Teraz jestem specjalistką od przesiedleń. Wyrobiecie ich zajmie mi tydzień, może dwa.

— Chcesz kupić podrobione? — zapytał rzeczowo Stefan.

— Nie, załatwię je na oryginalnych niemieckich blankietach w Łodzi, w urzędzie do spraw przesiedleń. Mój kierowca to zaufany człowiek, przywiezie je do Warszawy. Zadzwoń do ciebie, Stefan, i powiem jedno zdanie: „Paczka dla cioci Gieni gotowa”. Masz być wtedy w mieszkaniu, bo tego samego dnia Poldek dostanie dokumenty.

To było coś. Światło w tunelu dla człowieka, który przez ostatnie dwa i pół roku żył jak zwierzę ścigane przez myśliwych i psy.

— A ty, Poldku... — Magdalena zwróciła się do swojego byłego. — Ty musisz kupić nowe ubrania. Dwa zestawy. Masz być elegancki. Marynarka dwurzędowa, ładne buty...

— Załatwi się na targowiskach, mam znajomych — wtrącił Stefan.

— ...musisz obciąć włosy, wyglądać modnie. Jak będą dokumenty, kierowca zabierze cię do mnie, do Łodzi, jako folksdojczka — mówiła jak w transie.

Gdy przedyskutowali sprawę pomocy dla Poldka, opowiedziała Stefanowi, co słyszała od nowego szefa SS i policji w pałacu Brühla. Przygotowania do dużej akcji przesiedleńczej na Zamojszczyźnie stanowiły realne zagrożenie, i ta informacja musiała trafić jak najszybciej do Komendy Głównej. A wszystko po to, by władze ZWZ mogły wypracować stanowisko i dokonać przesunięcia oddziałów partyzanckich.

Magdalena wyjęła w końcu pokaźny plik banknotów, zarówno młynarek, którymi płacono w Warszawie, jak i reichsmarek w banknotach po sto, którymi posługiwano się w Łodzi.

— Na koszty transformacji Poldka — powiedziała. — I na jedzenie. On musi nabrać tężyzny.

Mieli sobie tyle do powiedzenia. Wciąż żyli. Gdyby była tu z nimi Wanda, na pewno cieszyłaby się ze spotkania z Poldkiem. Ale Magda wiedziała, że nie może zostać zbyt długo u Brychczyńskich.

— Muszę jechać.

Pożegnała się i mocno przytuliła mężczyznę. Gdybym tylko mogła, kochałabym was obu, pomyślała. Pół godziny później siedziała już w samochodzie. Była zdeterminowana, żeby uratować Poldkowi życie.

ŁÓDŹ, LATO 1942

Szef Gestapo w Łodzi, SS-Sturmbannführer Otto Bradfisch²⁵, wezwał pilnie Fleischmanna do siebie. Esesman stuknął przepisowo obcasami i wznosił rękę w hitlerowskim geście.

— Do rzeczy. Czy pan to widział, Fleischmann?

— Nie rozumiem...

— To niech pan popatrzy na moje biurko.

Leżały na nim gazetki, plakaty, ulotki w języku niemieckim ośmieszające Adolfa H. i kpiące z niemieckich bonzów — grubego Göringa czy przypominającego szakala Himmlera.

— To wszystko pojawiło się w Litzmannstadt! W naszym garnizonie! Ile powędrowało na front wschodni albo gdzie indziej, nawet nie chcę zgadywać. Niech mi pan powie, kto to robi?!!!

Fleischmann nie wierzył własnym oczom. To wyglądało na robotę jakiejś tajnej grupy niemieckiej, wewnętrznej opozycji. Ale kto śmiał... Od czasów Röhma i czystki w szeregach SA w 1934 roku w zasadzie nie było żadnej opozycji w Niemczech. A tu taka historia!

— Natychmiast wdrożę śledztwo, Herr Sturmbannführer — zapewnił Fleischmann.

— Ja myślę! Jak to dotrze do Berlina, obaj pojedziemy na front wschodni. Niech pan znajdzie winnych i powiesi ich za jaja. Wszystkich! To na pewno jacyś Niemcy, podli zdrajcy! — wrzeszczał szef łódzkiego Gestapo.

Akcja „N” zmyliła Niemców — wszystkie te ulotki były dziełem polskiego ZWZ. Ale to się nie mieściło w głowie gestapowcom. Polacy — według ich rasistowskiej wykładni — mieli być niezdolni do takich czynów.

ROZDZIAŁ XIV

Uwikłanie

ŁÓDŹ, PÓŹNE LATO 1942

Od wyjazdu Johanna von Dohnányiego z Łodzi minęło pół roku. Przez cały ten czas Magdalena wahała się, czy słusznie mu odmówiła w sprawie ich związku. W końcu przyszła do niej korespondencja z Paryża. List od Johanna był uprzejmy, niemiecki oficer ostrożnie dobierał słowa. Pisał o tym, że powinni rozstrzygnąć ich wielką sprawę (co można było interpretować na wiele sposobów, nie wyłączając czysto osobistego kontekstu). Von Dohnányi jako rekonwalescent frontu wschodniego, mający rodzinne plecy, nie trafił z powrotem do Rosji, ale do garnizonu Paryża. List zakończył zaproszeniem do wygłoszenia referatu o osiągnięciach niemieckiej polityki przesiedleńczej i germanizacyjnej przed dowództwem wojskowym oraz SS w Paryżu.

Taka oficjalna delegacja bardzo ułatwiała jej wyjazd. Udało się jej zarezerwować nierzucający się w oczy hotel na paryskim Montmartre. Zamierzała opłacić go jednak z własnych pieniędzy, aby nikt nie wysunął wobec niej oskarżeń o nieuzasadnioną podróż oraz nadużywanie stanowiska. Obmyśliła wszystko. Swoje rzeczy, w tym ulubione ciuchy, wysłała niemiecką koleją wcześniej — w razie przeszukania nikt by tam nic nie znalazł. Dzięki temu zyskała dużo miejsca w bagażu właściwym. Zamierzała bowiem dostarczyć do Paryża dużo ulotek akcji „N”, ale postanowiła je zabrać ze sobą, w dwóch walizkach.

Bez trudu dostała w pracy delegację na trzy tygodnie. O wyjeździe przewidzianym na wrzesień 1942 roku nie poinformowała natomiast Jadwigi. Widywały się teraz tylko przelotnie w pałacu Pohlów. W międzyczasie załatwiła też dokumenty dla Poldeka w Warszawie, choć trwało to dłużej, niż planowała. Jednak jego nowa tożsamość Franciszka Hamanna była nie do podważenia — oryginalne papiery zawierały wszystkie niezbędne pieczęci niemieckie. Poldek zyskał zatem kenkartę folksdojczza oraz świadectwo pracy z Arbeitsamtu — Magdalena mogła bez trudu zatrudnić go w swojej fabryce.

*

W końcu nadszedł dzień, w którym Poldek musiał przyjąć nową tożsamość, żeby przeżyć. Zmienił się. Nie żałował na fryzjera, delikatnie rozjaśnił włosy. Miał porządne, eleganckie, choć nie ekstrawaganckie ubrania — prezentował się bardzo dobrze. Samochód Magdy

przyjechał po niego na Bielańską, po czym Poldek już jako folksdojcz Franciszek Hamann wyszedł z mieszkania, w którym się ukrywał, i odjechał do Łodzi. Na granicy między Generalnym Gubernatorstwem i Krajem Warty — Warthegau — do którego należała Łódź, niemieccy strażnicy sprawdzili dokumenty. Dopiero po kontroli Poldek odetchnął — przebranie działało. Magdalena po raz kolejny dowiodła, że ma rozeznanie w sprawach niemieckich.

Kiedy dotarł na miejsce, powitała go jako gościa, Franciszka Hamanna, który otrzymał u niej pracę. Była formalna i wycofana, co oczywiście miało zabezpieczać ich oboje. Jadwiga ze zdziwieniem odniosła się do obecności nowego lokatora.

— Czyżbyśmy zamieniali siedzibę Pohlów na schronisko?

— Jadwigo, jeśli będzie trzeba, przyjmiemy nawet całe niemieckie rodziny, które stracą domy — odparła z wyższością.

Oczywiście Wanda poznała Poldka. Ona chyba najbardziej ucieszyła się z jego przybycia. Już wkrótce tych dwoje miało odkryć swoją znajomość na nowo. Pytanie brzmiało, czy Jadwiga skojarzy młodego Niemca z Bielska z Żydem, który był przecież w tym pałacu na urodzinach Magdy w roku 1938. I to Magda musiała wziąć pod uwagę. Trzeba było jakoś Poldka zabezpieczyć.

*

Nazajutrz Magdalena miała wyjechać do Paryża przez Berlin, Frankfurt nad Menem, Stuttgart i Strasburg. W nocy przyszedł do niej Poldek. Spotkali się w tym samym pokoju, w którym spędzili ze sobą noc w 1938 roku. Nie była zaskoczona. Wiedziała, że prędzej czy później dojdzie do tej rozmowy. Nie żałowała przeszłości, ale zdawała sobie sprawę z tego, że nie ma powrotu do tego, co przeminęło.

— Dziękuję za to, co dla mnie zrobiłaś — powiedział młody mężczyzna.

— Zrobiłby to każdy normalny człowiek dla drugiego człowieka.

Poldek poczuł zakłopotanie. Pamiętał przecież doskonale, że tutaj się pokochali. Co zostało z tego uczucia? Musiał sam przyznać, że po doświadczeniach ostatnich lat ziała między nimi nieprzebyta przepaść — znajdowali się po jej dwóch stronach, choć fizycznie przebywali w tym samym pokoju.

— A co z tym, co kiedyś do siebie czuliśmy? — zapytał.

— Niczego nie żałuję, ale... do tego nie ma już powrotu.

— Nie chcesz zadawać się z Żydem. Rozumiem. — W jego głosie brzmiała gorzkość.

— Przecież wiesz, że to nieprawda... — Magdalena pogładziła go po policzku. — Jestem zaangażowana w sprawy, które uniemożliwiają mi zajmowanie się uczuciami. Przeżyliśmy coś wspaniałego, ale to była przygoda, piękna, bo dająca świadomość miłości.

Ale to już, Poldku, skończone. Nie mam do ciebie o nic żalu i proszę, żebyś i ty nie miał go do mnie.

Mężczyzna zdawał się to rozumieć.

— Wiesz, kiedy byłem tam, za murem, myślałem czasami o tobie: co robisz, jak żyjesz i czy kogoś masz — powiedział. — A potem przestałem. Wszystko, czego człowiek tam chce, to jedzenie. I to niesamowicie upadła. Dziękuję, że pozwoliłaś mi tutaj przyjechać.

Po czym pożegnał się i wyszedł.

Magdalena poczuła, że wielki ciężar spadł jej z serca. Nie myślała, że to się skończy po latach w taki sposób, ale chyba właśnie tak było najlepiej, i dla niej, i dla niego. Musiała myśleć o swoim bezpieczeństwie. Po chwili znów ktoś zapukał do jej pokoju. Dziewczyna była przekonana, że to on wrócił — że się rozmyślił i jeszcze raz wyzna jej uczucie. Podeszła i otworzyła drzwi. To była Jadwiga.

— Czy możemy poważnie porozmawiać? — zapytała macocha.

— Wejdz. Mam nadzieję, że nie będziesz mi prawić kazań. To nie w twoim stylu.

— Do czego zmierzasz?

— Nie rozumiem pytania — odparła Magdalena.

— Świetnie rozumiesz. Folksdojcz, którego przyjechałaś do domu, to — zdaje się — twój kolega, który tu był w trzydziestym ósmym roku. Żyd, o ile sobie przypominam, który pokłócił się u nas z niemieckim ambasadorem — wycedziła Jadwiga.

— Pan Hamann jest folksdojczem ze Śląska i pracuje legalnie u nas w fabryce — oświadczyła spokojnie, patrząc macosze w oczy. — Jeśli masz twarde dowody jego pochodzenia, idź na Gestapo.

Jadwiga zawahała się. Myślała, że uderzyła w czuły punkt, że Magdalena się załamie, zacznie kluczyć, jójczyć, prosić, a tymczasem zderzyła się z twardą ścianą. Jednak Magda wiedziała, jak zabezpieczyć Poldka. Musiała użyć innego argumentu.

— Mnie natomiast frapuje inne pytanie, Jadziu — rzekła cichym i spokojnym głosem. — Jak to się stało, że mój ojciec, który cieszył się dobrym zdrowiem, zmarł tak nagle?

Dziewczyna przez dłuższą chwilę przyglądała się uważnie stojącej przed nią w obronnej pozycji kobiecie. Jadwiga drgnęła wyraźnie na słowa o śmierci Aloisa. Z pewnością ten temat jeszcze wróci. Obie wiedziały to doskonale.

— Ja też mam w tym domu swoje oczy i uszy. Widziałam, jak kilka razy odwoził cię czarny opel. Takimi samochodami nie jeżdżą fabrykanci, tylko Gestapo. — Magda zadała drugi cios.

Jadwiga szybko się zastanowiła, kogo pasierbica ma na myśli. Po chwili wszystko stało się jasne. Ta Wandeczka z Warszawy, cholera jedna, pomyślała.

— Nie wiem, do czego zmierzasz — powiedziała opanowanym głosem.

— Zmierzam do określenia, kto jest moim przyjacielem, a kto wrogiem — oświadczyła Magdalena. — Miałam cię za pierwszego, a ty uparcie chcesz stać się tym drugim.

Uwikłana w relację z Fleischmanem Jadwiga przegrała potyczkę. Nie tylko nie kontrolowała sytuacji, ale stawała się ściganą zwierzyną. Była za słaba.

— Ja nic nie wiem i nic nie widziałam — powiedziała. — I nie wątpię w to, że pan Hamann to folksdojcz ze Śląska. Musiałyśmy się źle zrozumieć.

I wyszła z pokoju pasierbicy. Ich konfrontacja znów została odłożona. Na razie Jadwiga została zneutralizowana.

*

Nazajutrz Magdalena Pohl wyjechała do Paryża. Tymczasem Poldek odżył. Fałszywa tożsamość i praca w fabryce przy pakowaniu skrzynek z niemieckimi mundurami dawały temu zaszczutemu człowiekowi złudne poczucie swobody.

Któregoś dnia, chyba na początku września 1942 roku, zawędrował w okolice Alexanderhof StraÙe, skąd widać było mur getta wraz z zabezpieczającą strefą wyburzeń. Getto łódzkie było bowiem jednym z najbardziej izolowanych. Ogarnęły go trudne do opisanego emocje. Pomyślał o siostrze i matce, które zginęły w warszawskim getcie. Nagle z zadumy wyrwały go słowa niemieckiego żandarma.

— Dlaczego się pan gapi na getto? Nie ma tam nic, co mogłoby pana interesować.

— Przepraszam... — Poldek patrzył na żandarma pustym wzrokiem.

— Dokumenty!

Musiał okazać swoje najprawdziwsze, fałszywe dokumenty. Na szczęście jego niemiecki był bez zarzutu. Strażnik sprawdził dokładnie.

— Ma się tu folksdojcz nie zatrzymywać. — Podał mu papiery. — Żeby mi to było ostatni raz.

— Tak jest. Bardzo przepraszam.

Poldek miał na tyle trzeźwy umysł, że natychmiast wznosił rękę w hitlerowskim pozdrowieniu. Wrócił do kwatery w domu Pohlów, na zapleczu. Nie przypuszczał, że widok muru łódzkiego getta tak nim wstrząśnie. Wszystkie wspomnienia z Warszawy wróciły. Nie mógł się opanować. Skulił się na dywanie w pozycji embrionalnej i zapłakał. Rozpacz przenikała go do głębi, aż na dno duszy. Ból nie do opisanego.

Nie wiedział, jak długo to trwało. Nie zauważył, że ktoś uchylił drzwi do jego pokoju. To była Wanda. Weszła cicho i nie zadawała pytań. Wystarczyła jej świadomość, że przyjaciel przeszedł piekło. Uklękała obok niego i pozwoliła mu płakać tak długo, aż się uspokoił.

— Jestem przy tobie — szepnęła łagodnie.

PARYŻ, WRZESIEŃ 1942

Wykład Magdaleny Pohl w obecności dowódcy SS i Gestapo w Paryżu Karla Albrechta Oberga oraz ambasadora niemieckiego nad Sekwaną — w rzeczywistości niemieckiego władcy Francji — wzbudził ogromne zainteresowanie. Omówiła niemiecką politykę przesiedleńczą, w tym to, co Rzesza zamierzała zrobić ze wszystkimi Niemcami mieszkającymi wciąż poza krajem. Potem odbyło się krótkie spotkanie przy prawdziwym francuskim szampanie. Elokwencja Magdy i jej zaangażowanie w sprawy polityki narodowościowej i przesiedleńczej Rzeszy nie budziły żadnych wątpliwości. Kobieta stopniowo zyskiwała opinię oddanej i wiernej. To wszystko miało później mieć swoją cenę.

Po wykładzie została odwieziona do hotelu na Montmartre. Miała zaplanowanych kilka dni dla siebie. Udała się na spotkanie do kawiarni Le Consulat i tam czekała na przybycie człowieka, z którym się umówiła. Niemiecki oficer, wyraźnie kulejący na lewą nogę, przyszedł na czas i zasiadł przy jej stoliku. Magda cieszyła się, że widzi tę twarz.

— Znów się spotykamy — powiedziała z uśmiechem.

— Czy wykład się udał?

— Podejrzewam, że tak. Ci ludzie z SS są tak impregnowani, że każda wzmianka o rozszerzaniu niemieckości wywołuje u nich jakiś paroksyzm.

— Nie lekceważ Gestapo i SS — ostrzegł ją Johann von Dohnányi. — Są przebiegli jak węże. To oni sprowadzili na nas tę wojnę.

Magda poprosiła butelkę chardonnay. W karcie były akurat świeże gotowane w winie mule. Zamówili po porcji — i oczywiście świeżą bagietkę.

— Mylisz się, Johannie — rzekła poważnie Magda. — To my jesteśmy winni. Ty i ja. Choć to nie my doprowadziliśmy Hitlera do władzy. Jesteśmy winni temu, co się dzieje w Europie: barbarzyńskiej wojnie przeciwko Polsce, i wydarzeniom w Rosji, okrucieństwom popełnianym wobec Żydów i ich systematycznemu mordowaniu. Nikt z nas tej hańby nie zmyje. Nikt i nic. W tym nieszczęściu cieszę się tylko, że to zobaczyłeś, że otworzyły ci się oczy. Żyjemy na kredyt. Wszyscy jesteśmy uwikłani.

Johann von Dohnányi musiał przyznać jej rację.

— To, niestety, prawda. Przekonałem się o tym dopiero w Rosji, latem zeszłego roku, po inwazji. Wszyscy oficerowie, których znam, podzielają po cichu moje poglądy, że ta wojna ściąga na nas hańbę, ale zarazem żaden z nich nie chce zrobić nic, co mogłoby zatrzymać to barbarzyństwo.

— Możemy im pomóc — powiedziała Magdalena. — Pamiętasz gazetki i broszury, które pokazałam ci w Łodzi u mnie w domu?

— Tak, były dosadne i bardzo celne.

— Przywiozłam tego ponad trzy tysiące sztuk. Mam je w trzech teczkach w hotelu.

Porucznik Johann von Dohnányi o mało nie zakrzuszył się winem. Ta kobieta nieustannie go zaskakiwała. Była pomysłowa, bezpośrednia, czasami nonszalancka, zawsze

odważna — i nienawidziła hitlerowców. Zaczął się zastanawiać. We wrześniu trzydziestego dziewiątego, podczas oblężenia Warszawy, rzuciła mu twarz oskarżenie, które doprowadziło go aż do tego momentu. A przecież była Niemką i wzorową służebnicą reżimu. Coś tu nie grało...

— Magdo, powiedz mi, proszę, prawdę. Kto to robi?

— A czy to ważne? Ważny jest chyba efekt w postaci ośmieszenia Führera i podkopania wiary w niego na froncie.

— Wiesz przecież, że to zdrada.

Magdalena upiła łyk chardonnay. Było łagodne, owocowe, rześkie i miało w sobie słodycz miodu. Doskonale. Popatrzyła mu w oczy. Mógłby być moim mężem, pomyślała, gdybym tylko powiedziała słowo... Ale była więźniem przysięgi, którą złożyła. Nie przypuszczał, kim ona jest i dla kogo pracuje. W jednej chwili postanowiła mu zaufać do końca. Bez niego plan rozesłania tych tysięcy ulotek do niemieckich oddziałów na różnych frontach, od Rosji po piaski Libii i francuskie wybrzeże Atlantyku, był bez sensu.

— Nikogo nie zdradziłam — powiedziała.

— Jak to? — zdziwił się Johann von Dohnányi.

— A jednak. Jestem żołnierzem mojej sprawy.

Teraz dopiero zrozumiał.

— No tak — rzekł Johann. — Od początku jesteś...

— Jestem żołnierzem polskiej armii podziemnej — weszła mu w słowo.

Dla Johanna von Dohnányiego to była jednak szokująca informacja. Wyobrażał sobie, że Magda Pohl należy do jakiegoś kręgu opozycji przeciwko reżimowi albo jest agentką brytyjskiego wywiadu. To by zniósł. Niemcy, szczególnie ci dobrze urodzeni, mieli o Polakach jak najgorsze zdanie. Dla tych wykształconych — ale nie nazistów — Polska to był bantustan, dziki kraj polskiego kołtuna, czyli wiecznie niemytych włosów, zmierzwionych na głowie, pijaństwa, idiotycznego katolicyzmu, wstecznictwa i barbarzyństwa oraz głupoty. Dla Niemców każdy Polak był po prostu gorszym rodzajem homo sapiens. Ich samych Pan Bóg ulepił z glinki, z której oni potem zrobili saską porcelanę, a Polaków — z błota wymieszanego z końskim łajnem. Tak myśleli o Polakach tak zwani dobrzy Niemcy.

Von Dohnányi też tak myślał i w głowie mu się nie mieściło, że materiały, które widział, były dziełem polskiego państwa podziemnego, o którym Niemcy wiedzieli, że było, ale jak wyglądał jego ontologiczny rys — tego nie mogli zrozumieć. Otrząsnął się i spojrzał na Magdalenę.

— Mogłem się domyślić. Jesteś niesamowita jako Niemka.

— Ja jestem Niemką, Johann. Ale polską. Jak mieszczanie krakowscy w piętnastym wieku, jak prezydent Krakowa Dietl, jak wielu Niemców, którzy mieszkali w dawnej Rzeczypospolitej. Wszystko we mnie jest oryginalnie niemieckie: język, ubranie, kultura.

Nawet tyłek, który podoba się facetom, też jest niemiecki. Ale duszę mam polską i walczę za mój kraj. Pomożesz mi?

— Nie wiem, co mam powiedzieć...

— Musisz wybrać, Johann — powiedziała poważnie Magda. — Możesz pomóc mi rozesłać te tysiące ulotek i broszur do niemieckich żołnierzy za pośrednictwem waszej poczty polowej albo zadenuncjować mnie na Gestapo, co powinien zrobić Niemiec wierny Führerowi i vaterlandowi.

— Nie zrobię tego, wiesz przecież.

— To za mało. To wojna, a ja nie biorę jeńców. Jeśli mi odmówisz, żywy stąd nie wyjdiesz.

Popatrzył na nią z podziwem.

— Zabijesz mnie?

— Nie zawaham się. Zdekonspirowałam się przy tobie. Nie mam wyboru.

Johann von Dohnányi był odważnym człowiekiem. Jak już ma spojrzeć śmierci w oczy, to... Na miły Bóg! Chardonnay i mule nie mogą się zmarnować. Zaczął jeść z wielkim smakiem. Nalał wina Magdzie.

— W takim razie ja także nie mam wyboru. Będę współpracował z polskim państwem podziemnym.

Chardonnay nigdy nie smakowało tak cudownie. Gdy skończyli, wziął ją pod rękę i odprowadził do hotelu. Ale ona wciągnęła go do środka. Pocałowała. Ich usta były słone od muli gotowanych w winie. Rozbierali się tak szybko, jak gdyby od tego miłostnego uścisku miało zależeć ich życie.

— Zrobiłabyś to? — zapytał Johann, gdy zmęczeni leżeli potem obok siebie.

— Co takiego?

— Zabiłabyś mnie, gdybym odmówił?

Magdalena spojrzała mu w oczy. Wtuliła się w jego mocne, sprężyste ciało i bez wahania odpowiedziała:

— Tak. Zabiłabym cię. Ale teraz kochaj mnie znowu.

Miłość i śmierć są sobie tak bardzo bliskie...

OKOLICE PILAWY, ZIMA 1942/1943

W końcu po długich staraniach grupa kontaktowa ZWZ przystąpiła do poszukiwania broni oddziału kapitana „Kani” vel „Kowalika” z września trzydziestego dziewiątego. Kilku ludzi, w tym Stefan Brychczyński i sam kapitan, musiało się wybrać w lasy pod Pilawą. Stefan starał się przypomnieć sobie to miejsce, ale była teraz zima, poza tym drzewa, brzozy i czarne olchy, podrosły, więc wszystko wyglądało nieco inaczej. Kapitan też nie miał

stuprocentowej pewności, ale miał wrażenie, że to jednak tu. Część grupy, z bronią, została na czatach.

— Chłopaki, do łopat.

Stefan pamiętał, że zakopali sprzęt jakieś półtora metra pod ziemią i zabezpieczali go, czym tylko się dało. Broń krótka została zamknięta w jednym z kuferków kapitana, w drugim — amunicja. A broń długą umieścili w naprędcie skonstruowanych drewnianych skrzynkach i o nią martwił się najbardziej. Było sporo śniegu, ale po odrzuceniu go łopatami okazało się, że ziemia nie jest jeszcze zmarznięta na kość.

Po półgodzinie Brychczyński był zlany potem, ale pod łopatą coś zgrzytnęło. Dokopali się. Wydobyli dwa kuferki — niestety, amunicja nie nadawała się do użycia. Zardzewiała i stanowiła zagrożenie dla tych, którzy by przy niej majstrowali. Broń długa — polskie karabiny — też nie nadawała się do użycia. W dobrym stanie zachowała się jedynie broń krótka. Kapitan i podoficerowie oddali tam swoje visy, było też kilka zdobycznych waltherów pp, produkcji niemieckiej. Ogółem — dziewięć sztuk.

— Nie przyjechaliśmy zatem na darmo — powiedział kapitan „Kowalik” vel „Kania”. — Chłopcy z getta się cieszą.

ROZDZIAŁ XV
Himmlerland

BERLIN, KONIEC STYCZNIA 1943

Kilka tygodni po powrocie Magdaleny Pohl z Paryża niemiecki kontrwywiad wojskowy — Abwehra — odnotował niezwykle wzrost ilości materiałów o charakterze antyhitlerowskim w wojsku. Były to ulotki i broszury wysyłane z różnych miejsc w Europie pocztą polową. W każdym urzędzie pocztowym w Rzeszy można było nadać przesyłkę adresowaną do konkretnego żołnierza na froncie — wystarczyło podać jego imię i nazwisko oraz numer poczty polowej. Nie sposób było wydedukować, kto, gdzie i kiedy wrzucił konkretną przesyłkę. Zwykle zawierały one po kilkanaście broszur lub mniejszych plakatów. Akcja wyglądała na sprawnie zorganizowaną. Dokładna analiza językowa, stylometryczna tekstów o charakterze ośmieszającym Adolfa H., tudzież innych bonzów partyjnych czy zbrodniarzy z SS, wskazywała, że musiały je pisać osoby, dla których niemiecki był językiem ojczystym — lub które doskonale go znały. Stwierdzono na przykład obecność idiomów właściwych dla Saksonii czy Bawarii. Oczywiście wdrożono śledztwo, ale prowadzono je początkowo dość ślamazarnie. Nie sposób było zatrzymać kolportaży broszur na froncie lub w oddziałach zluzowanych, idących na drugą linię celem odpoczynku lub uzupełnienia strat. A te rosły na froncie wschodnim w katastrofalnym tempie.

O ważnych wydarzeniach na froncie wschodnim, ukrywanych przed opinią publiczną w Niemczech, oraz o wysypie dziwnych publikacji szef Abwehry, admirał Canaris, zapragnął rozmawiać w Berlinie ze swoim współpracownikiem, pułkownikiem Osterem²⁶, oraz z funkcjonariuszem Abwehry, Hansem von Dohnányim²⁷. Spotkanie odbyło się w specjalnie zabezpieczonym pomieszczeniu, wyłożonym korkiem, gdzie na pewno nie było podsłuchu. Wszyscy trzej byli w tajnej opozycji wobec Adolfa H. i jego rządu.

— Czytali panowie ulotki? — zapytał admirał. — Byłyby naprawdę zabawne, gdyby nie to, że są zaskakująco trafne i prawdziwie opisują sytuację na froncie.

— Stalingrad padł? — zainteresował się pułkownik Hans Oster.

— Jeśli nie dziś, to jutro — odparł admirał. — Wiem, że Hitler mianował von Paulusa feldmarszałkiem kilka dni temu i zachęcił go w ten sposób... Sami panowie rozumieją.

— Co za łajdactwo — oburzył się Hans von Dohnányi.

— Na miejscu von Paulusa nie tylko nie popełniłbym samobójstwa, ale ostentacyjnie bym się poddał — rzekł Oster.

— Co sądzicie o tych materiałach? — Admirał popatrzył po kolegach.

— To Brytyjczycy — rzucił bez wahania von Dohnányi. — Wskazuje na to niezwykle profesjonalizm wykonania. Widać, że SOE²⁸ głęboko nas zinfiltrowało. Przesyłki są wysyłane z Niemiec, z różnych miast, dużych i małych. Nie do wyśledzenia.

— A ja sądzę, że to opozycja — odparł Canaris.

— Ale kto? My tego nie robimy — rzekł pułkownik Oster. — Zbyt wielu ludzi jest zaangażowanych.

— Edelweißpiraten? — zadał pytanie admirał.

— Niemożliwe. To ruch kontrkulturowy, rozproszony, skupiający różne wolne ptaki, ludzi dziwnych. Nie, taka akcja wymaga koordynacji na wysokim szczeblu — powtórzył Hans von Dohnányi.

— To robota profesjonalnego wywiadu — zgodził się pułkownik Oster.

— NKWD? — Admirał rozważał różne możliwości.

— Gdyby to byli oni, materiały miałyby wyraźny charakter komunistyczny — powiedział krótko Oster.

— Dobrze, przyjmuję opinie panów do wiadomości. Nie będziemy przeszkadzać tej akcji, aczkolwiek musimy wziąć na poważnie zaangażowanie Gestapo. Wiem, że kilkanaście egzemplarzy dostało się w ich ręce. Gestapo prowadzi śledztwo i sądzę, że możemy im podsunąć trochę fałszywych tropów.

Jego rozmówcy bez wahania się na to zgodzili.

Hans von Dohnányi wrócił pod wieczór do swojego berlińskiego mieszkania. Wiedział o tej dziwnej akcji o wiele więcej, ponieważ jego krewny, Johann von Dohnányi, przywiózł mu do Berlina kilkanaście egzemplarzy tych gazetek. Były świetnie zredagowane. Zadał wówczas pytanie, kto jest ich autorem.

— Jedna z armii alianckich — usłyszał.

Nie chciał narazić krewnego, zataił więc swoją wiedzę nawet przed Canarisem. Teraz liczyło się co innego. Jego współpracownik, generał Henning von Tresckow²⁹, przygotowywał się do zamachu na Adolfa H., który miał — jak plotkowano — odwiedzić żołnierzy na froncie wschodnim. Tylko to było teraz ważne. Zabicie potwora pomogłoby opanować rząd, zmusić do kapitulacji SS i zakończyć wojnę z mocarstwami zachodnimi. Ze Stalinem był problem, bo pułkownik Hans nie miał żadnych wątpliwości co do bestialskiego charakteru jego rządów.

Potem radio Berlin podało do publicznej wiadomości, że „bohaterska obrona Stalingradu dobiegła końca”. Hans pomyślał, że nastąpił przełom w tej wojnie, przynajmniej

psychologiczny. Przegrana jest tak ogromna, że nie da się jej zatuszować, przemilczeć. Można ją tylko zamienić w ofiarę za życie wszystkich Niemców.

ŁÓDŹ, STYCZEŃ 1943

Dla Magdaleny Pohl od wizyty w Paryżu zaczął się nowy etap życia — spotkała człowieka, którego pasja życia dorównywała jej. Coraz częściej myślała o małżeństwie. Po powrocie do Łodzi unikała kontaktów z Jadwigą, ale zachowywała pełną przyjaźni relację z Wandą i Poldekem.

— Czy wy jesteście razem? — zapytała któregoś dnia podczas wspólnej kolacji w domu Pohlów.

Wanda i Poldek popatrzyli na siebie. Oni też nie wiedzieli, jak to się zaczęło. Świat pogrążony był w szaleństwie i śmierci, ale życie się nie poddawało i wciąż wciągało ich w zaskakujące związki, które jeszcze kilka miesięcy wcześniej były niemożliwe.

— Czy masz coś przeciwko temu? — zapytała Wanda. — Wiem, że ty i Poldek byliście kiedyś razem.

— Zupełnie mi to nie przeszkadza — zapewniła Magda. — Musicie być jednak bardzo ostrożni, nawet tutaj.

— Masz na myśli...? — Poldek nie dokończył.

— Tak.

— Widziałam ją na mieście w towarzystwie esesmana — wyznała Wanda.

Magda wyraźnie się tym przejęła. Miała wcześniej podejrzenia, że Jadwiga pracuje dla Gestapo. Musiała jakoś zareagować — tu nie chodziło o jej życie, ale o sprawę, a także o Polka i Wandę. Na razie udawało się trzymać macochę na dystans, ale jak długo mogło to potrwać?

— Muszę teraz wyjechać pilnie służbowo do Zamościa, ale obiecuję wam, że się tym zajmę.

STYCZEŃ 1943

Zamość i Zamojszczyzna w planie władz niemieckich miały się stać modelowym ośrodkiem nowego osadnictwa na ziemiach, które uznano za czysto niemieckie etnicznie i kulturowo. Goci nie mieli wprawdzie nic wspólnego z obecnymi Niemcami, ponieważ byli wschodnimi Germanami, a obecni Niemcy — zachodnimi. Ale ideologia i fanatyzm, ślepotą rasową i nacjonalizm przepisywały historię i wykrzywiały ją.

Magdalena Pohl musiała się udać na inspekcję do Zamościa w oficjalnej delegacji. Oczywiście powiadomiła o tym swój kontakt w Armii Krajowej — od listopada 1942 roku ZWZ stało się Armią Krajową. Była dumna z przynależności do niej. Przed wyjazdem

spotkała się ze Stefanem Brychczyńskim w jednym z warszawskich kościołów, w bocznej kaplicy.

— A teraz wiadomość — rzekł Stefan. — Komenda Główna wie już, że wyruszasz do Zamościa. Mamy tam wiele oddziałów, zresztą nie tylko my, Bataliony Chłopskie też. Na miejscu zgłosi się do ciebie nasz egzekutor, który wykonał już tutaj, w Warszawie, kilka spektakularnych wyroków śmierci na szmalcownikach i zdrajcach.

— Czyżbym była celem? — zażartowała ponuro Magda.

— Nie, skądże. Wskażesz mu cel. Wszystkie informacje przekazuj przez niego.

— Zrozumiałam. — I widząc, jakim wzrokiem na nią patrzył, dodała: — Stefan... Mam kogoś.

Drgnął.

— To chyba nie czas na taką rozmowę.

— Nigdy nie ma na to czasu. Po prostu chcę, żebyś wiedział.

Stefan przeczesał ręką włosy.

— Musimy kończyć. Zagadaliśmy się.

Wyszedł z kościoła jako pierwszy. Obejrzał się za nim pewien mężczyzna, stojący nieopodal. Magda ruszyła w przeciwną stronę. Ów człowiek ją poznał. Jakże mógłby ją zapomnieć! To prawda, że bolszewicy kazali podczas szkolenia wyrzec się swojej osobowości, żeby dokonać rewolucji. Ale Roman Popiołek chciał rewolucję rozpocząć od tej kobiety. Stracił ją tak dawno temu, dziś odnalazł w Warszawie. Szedł za nią spokojnie. Jeszcze nie nadszedł czas zemsty. Jeszcze nie. Sowietci wsadzili Popiołkowi do głowy swoją ideologię, nie zdołali jednak zneutralizować jednej podstawowej siły, opisanej przez doktora Freuda — id trzymało Popiołka przy życiu i utwierdzało go w przekonaniu, że to jedyna kobieta, którą pragnie posiadać.

*

W budynku na ulicy Muranowskiej pod numerem siódmym Żydowski Związek Wojskowy i jego dowódca, Paweł Frenkel, założyli swoją kwaterę. Getto po bestialskiej akcji wywózek do obozu zagłady w Treblince latem 1942 roku znacznie opustoszało, ale wciąż żyło — o ile można to nazwać życiem — około sześćdziesięciu tysięcy osób, przeważnie młodszych, w tym mężczyzn, którzy mogli i chcieli walczyć. Potrzebowali jednak broni. Podkop wykonany przez bojowników ŻZW miał około pięćdziesięciu metrów i wychodził na Muranowską sześć, już po stronie aryjskiej. Tam, w jednym z mieszkań, należącym do członka ZWZ-AK, miało się odbyć spotkanie dowódcy ŻZW, Pawła Frenkla, oraz Jurka Kleiberta i wysłanników Komendy Głównej.

Stefan Brychczyński widział Jurka po raz pierwszy od kilku miesięcy. Przyjaciel bardzo się zmienił. Domyślał się, że coś musiało się stać, ale nie śmiał zadać pytania o bliskich —

czy żyją. Z ramienia Komendy Głównej w spotkaniu brał udział „Lalek”.

— Przynieśliśmy dla was broń — powiedział.

— Ile? — Frenkel był bardzo konkretny, skupiony i spokojny.

— Dwadzieścia sztuk broni krótkiej, w tym dziewięć odzyskanych ostatnio przez oddział „Osy”. — Wskazał ręką na młodego Brychczyńskiego. — Poza tym Komenda Główna zdecydowała o przekazaniu wam dwóch stenów z brytyjskich zrzutów, które miały być w naszej rezerwie strategicznej, i cztery tysiące sztuk amunicji do stenów i tej broni krótkiej.

— Jak dużo — odezwał się Frenkel. — Cóż za hojność.

— Ta ironia jest niepotrzebna — powiedział „Lalek”.

— Ta ironia jest jedynie możliwa. Miasta żydowskiego już nie ma. Niemcy wywieźli ze Stawek dziesiątki tysięcy kobiet, starców, mężczyzn i dzieci latem zeszłego roku. Uważa pan, że te dwadzieścia kilka sztuk broni teraz coś załatwia? A wtedy? Czy wtedy Polacy nam pomogli? Czy Warszawa nad nami zapłakała?

„Lalek” nie miał złudzeń. Ta trudna rozmowa była nie do uniknięcia.

— Panie Frenkel, gdybym mógł, ukryłbym wszystkich z getta, ale wie pan, że to niemożliwe. Jeśli pyta mnie pan, czy ktoś płakał w Warszawie nad wami, nie umiem powiedzieć. Pewnie znaleźliby się tacy, ale niewielu. To prawda, że większość Polaków chce przetrwać i patrzy tylko na dno swojego garnka. Ludzie po prostu tacy są. Jeśli ma pan pretensje, że Polacy nie zrobili wiele, kiedy was wywożono...

— Tak, mam — przerwał mu Frenkel.

— Od listopada zeszłego roku działa Żegota — oznajmił „Lalek”.

— Co takiego? — zdziwił się Jurek Kleibert.

— Rada Pomocy Żydom. Ta instytucja powstała po apelu pisarki Zofii Kossak-Szczuckiej.

— Tej, która przed wojną pisała antysemickie wstawki w prasie katolickiej? — zapytał Frenkel.

— Skąd pan wie?

— Niech pan sobie wyobrazi, że przed wojną jako syjonista też coś czytałem. Chodziłem do teatru i kina, lubiłem warszawskie kawiarnie, do których od dawna nie mamy wstępu...

— To Niemcy zabronili wam wstępu, nie my — zaoponował Brychczyński. — Czego pan od nas chce, panie Frenkel? Ja pana szanuję i gdybym mógł, walczyłbym z panem w getcie przeciwko Niemcom. Ale nas też zabijają i wywożą każdego dnia.

Paweł Frenkel uśmiechnął się chłodno. Nie wiadomo, ile miał lat, wydawał się raz młody, raz stary, w zależności od tego, jak padało światło na jego twarz — surową, milczącą, pozbawioną emocji. Może dlatego, że widział tak ogromnie dużo bezceństw i okrucieństwa, że nic nie robiło już na nim wrażenia. W końcu rzekł do młodego „Osy”:

— Chłopaku, gadam z tobą jak warszawiak z warszawiakiem, bo młody jesteś. W twoje słowa akurat nie wątpię. Ale popatrzmy na fakty. Według naszych obliczeń, w czasie kiedy w getcie było kilkaset tysięcy ludzi, wokół getta polowali szmalcownicy, co najmniej kilkuset. Czy ZWZ zrobiło coś, żeby temu przeciwdziałać? W imię ludzkiego braterstwa i jak warszawiak warszawiaka proszę, abyście zajęli się pilnie wykonywaniem wyroków śmierci na tych... — Nie dokończył.

— Ma pan moje słowo w imieniu Komendy Głównej — powiedział „Lalek”.

— My też zrobiliśmy swoje — rzekł Jurek Kleibert. — Zabiłem Jerzego Firstenberga, mojego przełożonego z policji żydowskiej. Zabiliśmy też Jakuba Lejkina, zastępcę dowódcy żydowskiej policji porządkowej, i donosicielkę Annę Milewicz. Teraz wy zróbcie swoje po tamtej stronie muru.

— Pan chyba też ma swój udział, prawda? — Frenkel popatrzył na Brychczyńskiego. — Dziękujemy za zlikwidowanie znanego stręczyciela, zwanego przez nas „Muzykiem”.

— Działałeś bez rozkazu? — Kapitan „Kowalik” vel „Kania” błyskawicznie się wściekł.

— To nie było tak — uspokoił go Jurek Kleibert i opowiedział o uratowaniu Poldka Rosenmana.

Stefan nie przypuszczał, że ktoś ich wtedy obserwował zza muru.

— Dziękuję, Jurek, ale i tak dostanę od kapitana opierdol.

— Dostaniesz — potwierdził kapitan.

— Czas na nas — uciął rozmowę Frenkel.

Uzgodnili jeszcze kolejną dostawę broni ze zrzutów i rozeszli się.

Na oficerach ZWZ-AK Frenkel naprawdę zrobił wrażenie. Kim był i gdzie zdobył doświadczenie wojskowe, pozostawało zagadką. Był jedną z najszlachetniejszych postaci, które łączyły wciąż polskość i żydowskość w ontologiczną jedność.

ZAMOŚĆ, PRZEŁOM STYCZNIA I LUTEGO 1943

Magdalena Pohl stawiała się w Zamościu. Zamieszkała w hotelu „tylko dla Niemców”, prowadzonym przez jakiegoś przesiedleńca, folksdojczca z Bukowiny o nazwisku Schnepf. Nie było tłoku. Zameldowała się i zamówiła coś do jedzenia w pustej restauracji hotelowej. Za kartki żywnościowe, która miała przy sobie, zaproponowano jej zupę i kromkę chleba. Dobre i to, pomyślała. Zauważyła, że w ciągu kilku ostatnich miesięcy pogorszyło się w Rzeszy zaopatrzenie. Prawdopodobnie miało to związek z działaniami aliantów. Pierwszą ofiarą ich masowych nalotów była Lubeka pod koniec marca 1942 roku, ale już latem pod bombami brytyjskimi także Kolonia. Niemcy zaczęli ze strachem spoglądać na nocne niebo.

W pewnej chwili te rozmyślenia przerwał jej kelner, brunet, z włosami zaczesanymi brylantyną do tyłu i — ku jej zdumieniu — z dwudniowym zarostem.

— Czy pozwoli pani, że przedstawię naszą ofertę specjalną?

— Proszę — powiedziała beznamiętnie Magda.

— Gdyby zechciała pani spojrzeć na tę kartę dań, którą mamy dla specjalnych gości naszego hotelu z Rzeszy...

Kelner mówił bardzo dobrze po niemiecku, co od razu zwróciło jej uwagę. Zerknęła na kartę — wewnątrz leżała gazetka, którą współtworzyła. Zatem to był jej kontakt. Musiała przyznać, że podszedł ją w dość ciekawy sposób.

— Za dziesięć minut u mnie, pokój osiemnaście. A teraz proszę mi podać zupę za kartkę żywnościową.

Po chwili dostała zamówione danie. Kelner był bardzo miły i nawet się do niej uśmiechnął, ale coś jej mówiło, że to niebezpieczny człowiek. Zjadła i poszła do siebie. Niebawem ktoś delikatnie zapukał do drzwi. Otworzyła.

— Kim pan jest?

— Wysłannikiem Komendy Głównej, o którym pani słyszała. „Hrabia”³⁰. Nie powinna pani wiedzieć o mnie zbyt wiele.

Miał w sobie zdumiewającą pierwotną drapieżność, surowość, która ją przerażała.

— Spodziewałam się kogoś innego...

— A kogo łaskawa pani się spodziewała? — przerwał jej stanowczo. — Przejdźmy do tego, co mamy wspólnie zrobić. Jest pani oficjalnie wysłanniczką Komisariatu Rzeszy do spraw Umacniania Niemczyzny?

— Tak.

— Oto nasze zadanie. W Zamościu ponieśliśmy duże straty w wyniku działalności zdrajców i różnych szumowin, takich jak agent „Wisman”, czyli Zygmunt Sztuka, Polak. Zastrzeliliśmy go za zdradę w marcu czterdziestego drugiego. Ogromne szkody wyrządziła Jadwiga Korolko, znana też jako „Krysia Leśniczanka”, ale nam uciekła i nie wiemy, gdzie obecnie przebywa. Zabijanie takich płotek jest konieczne, ale nam chodzi o coś innego.

— A mianowicie?

— Szef Gestapo, SS-Hauptsturmführer Gebhard Knitell³¹. Proszę podczas pobytu w Zamościu przyjrzeć się temu człowiekowi. Jako przedstawicielka Komisariatu Rzeszy do spraw Umacniania Niemczyzny będzie pani mogła zapytać go o szczegóły akcji przesiedleńczej, która jest prowadzona z wyjątkowym barbarzyństwem. Oczekujemy raportu na podstawie niemieckich statystyk. To dla nas ważne, gdyż dane te zostaną wysłane do Londynu, żeby nasz rząd mógł wszem i wobec ogłosić, co Niemcy robią z Polakami Zamojszczyzny. Widziała pani obóz przejściowy dla Polaków wysiedlanych ze wsi?

— Jeszcze nie.

— To proszę tam pojechać i zobaczyć, co się tam dzieje. A teraz do rzeczy: wystawi mi pani tego gestapowca. Moje dzisiejsze przebranie jest jedynie na tę okazję, aby nikt nie

powiązał mnie z panią. Drugi raz go na pewno nie użyję. Będę panią dyskretnie obserwował. Proszę się zawsze zachowywać naturalnie. Umówi się pani z nim pod pretekstem jakiejś rozmowy, na przykład o wysiedleńcach: ilu Polaków, ile wiosek, coś takiego. On musi mieć pewność, że jest pani nazistowską biurokratyczną idiotką i... powinien dobrze się bawić w pani towarzystwie. Niewątpliwie zaprosi panią na obiad do klubu dla esesmanów, oni boją się chodzić w miejsca, w których są też Polacy. Jest pani seksowną babeczką i na pewno się na to złapie.

Magda mogłaby się poczuć obrażona seksistowską uwagą, gdyby nie okoliczności.

— Co pan zrobi?

— Zabiję skurwysyna, ale tak, żeby na panią nie padł cień podejrzania. Będzie pani co najwyżej świadkiem. Zobaczysz pani wtedy kogoś innego niż teraz, mimo że to wciąż będę ja.

*

Dowódca SS i policji w Zamościu SS-Hauptsturmführer Gebhard Knitell przyjeżdżał zawsze do pracy samochodem z obstawą i w ogóle bardzo uważał. Niemcy prowadzili brutalną akcję wysiedleńczą, tak zwany wielki plan, będącą częścią marzeń Himmlera — Generalnego Planu Wschodniego. Jednak ku ich wyraźnemu zaskoczeniu oddziały partyzanckie Armii Krajowej oraz Batalionów Chłopskich, dobrze dowodzone, rozpoczęły w połowie grudnia 1942 roku kontrofensywę. Zapłonęły wsie niemieckich kolonistów.

Był ranek drugiego lutego 1943 roku. Wczorajszego wieczora pod Zaborecznem toczyły się walki ponad sześciuset niemieckich żołnierzy z polskimi bandami i wynik tej potyczki nie był jeszcze znany Knitellowi. Czekał na raport od niemieckich sił. Jak co dzień wszedł do budynku, w którym strażnicy stali na baczność. Wewnątrz panowało trudne do wyrażenia przygnębienie. Szef Gestapo udał się od razu do swojego gabinetu, po drodze oddał tylko sekretarce płaszcz i czapkę.

— Czy są meldunki? — zapytał.

Żadna z sekretarek nie chciała mu zanieść tej wiadomości. Wielkość strat była przerażająca jak na walkę z pogardzanymi polskimi bandami. Tymczasem do biura weszła kobieta, nad wyraz elegancka, i przedstawiła się jako urzędniczka Komisariatu Rzeszy do spraw Umacniania Niemczyzny. Przyjechała aż z Litzmannstadt. Ujrawszy zakłopotanie dwóch sekretarek, z których każda miała wpiętą w klapkę przepisowej garsonki swastykę, zwróciła się do nich z uprzejmym pytaniem:

— Czy mogłabym wam jakoś pomóc, dziewczyny?

Sekretarki popatrzyły na siebie z niedowierzaniem, ale uznały, że lepiej, żeby te tragiczne wiadomości przekazała jedna z nich w towarzystwie gościa. Wówczas gniew szefa odbije się na niej, a nie na nich.

SS-Hauptsturmführer Knitell palił papierosa za papierosem i pił kawę z żołądździ, gdyż nie było już prawdziwej. Skończyła się. Wojna zaglądała Niemcom do filiżanek.

— Przyszła wiadomość w sprawie walk. Niestety, to nie są dobre informacje — powiedziała sekretarka. — Przybyła też Fräulein Pohl z Komisariatu Rzeszy do spraw Umacniania Niemczyzny...

— Co takiego? — Knitell gwałtownym ruchem odsunął filiżankę.

Sekretarka przedstawiła Magdalенę Pohl i wyszła — szef, choć miał słabość do kobiet, bywał też wybuchowy i wówczas bardzo nieuprzejmy.

Magdalena została z nim sam na sam.

— Właśnie dowiedziałam się o stratach. Bardzo mi przykro, Herr Hauptsturmführer — powiedziała jak najbardziej naturalnie.

Knitell zapoznał się z informacjami o stratach w bitwie z partyzantami pod Zaborecznem. To nie mieściło się w głowie! Polscy bandyci z lasu rozbili cały niemiecki batalion. Chwilkę trwało, zanim szef Gestapo przetrwał tę informację.

— Zaraz z panią porozmawiam — rzekł i chwycił za słuchawkę aparatu telefonicznego. — Proszę wysłać zamówienie pilne na sto dziesięć trumien.

— Czy straty są tak straszne? — zapytała przejęta Pohl.

— Tak, ale pani tego nie słyszała. W ogóle zakazuję pani wypowiedziania się na ten temat. Złamanie tego zakazu będzie uznane za zdradę — rzucił surowo esesman. — A teraz słucham. Z czym pani przybyła?

Magdalena przedstawiła szefowi Gestapo oczekiwania Komisariatu Rzeszy do spraw Umacniania Niemczyzny. Miała przygotowane statystyczne skoroszyty, ponumerowane tabelki. Interesowała ją skala wysiedlenia Polaków z poszczególnych wsi Zamojszczyzny — co, kto, gdzie, ile. Zapytała też o osiedlonych na tym terenie Niemców — skąd przybyli i jak przebiega ich aklimatyzacja. Co ciekawe, esesman nie miał żadnych wątpliwości, że Magdalena jest autentyczną urzędniczką Komisariatu Rzeszy, gdyż tuż przed końcem roku wpłynęła informacja, że zjawi się ona w Zamościu w ostatnich dniach stycznia.

— Czy akcja osiedleńcza jest sukcesem Rzeszy? Jak pan to ocenia?

To pytanie wprawiło go w chwilowe zakłopotanie. Po bitwie pod Zaborecznem miał wrażenie, że akcja kolonizacyjna i wysiedleńcza może zostać zatrzymana.

— Zaskoczyła nas skala zaangażowania polskich band — odpowiedział oględnie.

— Rozumiem. — Magda zanotowała to. — Przekażę całość raportu w Litzmannstadt. Z pewnością Berlin przyśle wam posiłki.

— Fräulein, jeśli ma pani jakieś dojścia w Warszawie lub Berlinie, proszę przedstawić naszą sytuację jako trudną — rzekł gestapowiec. — Dostałem za małe siły policyjne i wojskowe, żeby przeprowadzić tak szeroko zakrojoną akcję. Poza tym powinniśmy pozostawić poważne siły do zabezpieczenia naszych kolonistów. Walka z partyzantami,

czego nie rozumieją te złote bażanty w Berlinie, nie polega na postraszeniu ich naszym wojskiem. Oni się nie boją, są dobrze wyszkoleni. Jestem też pewien, że pracuje u nas niejeden kret.

— Stawia pan dość kateryczne oceny naszej polityki antypartyzanckiej — rzuciła oschle Magdalena.

— Tak! Właśnie to robię. W moją lojalność wobec Führera i Rzeszy nikt nie może wątpić. Ale jak mam zabezpieczyć kilkanaście niemieckich wsi, dopiero co przez nas skolonizowanych, skoro bandyci zabili stu naszych żołnierzy!

Magdalena zakryła usta. Zrobiła wrażenie osoby szczerze zdumionej i przestraszonej prawdziwością słów szefa Gestapo w Zamościu. Obiecała mu wstawić się za nim, gdzie tylko może. I tak upłynęły im trzy godziny.

— Będę musiała wracać już do Litzmannstadt — powiedziała w końcu.

— O, w żadnym wypadku nie puszcę pani bez zjedzenia obiadu. Byłbym ostatnim gburem — rzekł Hauptsturmführer Knitell.

Gdy wstawał zza biurka, nie dostrzegł dziwnego błysku w jej oczach.

— Zapraszam panią do eleganckiego miejsca. To klub dla SS, niedaleko starówki. Zamość to piękne niemieckie miasto.

— A ja słyszałam, że założył je kanclerz byłego króla polskiego, Jan Zamoyski.

— Nieistotne, kto założył. Ważne, kto realizuje w nim niemieckiego ducha — odparł, nieco zakłopotany jej słowami.

— Rzeczywiście, duch absolutny Hegla. To bardzo niemieckie. Ma pan słuszność.

Wyszli z budynku. Na zewnątrz było przenikliwie zimno. Magdalena, ciepło ubrana, pozwoliła się zaprowadzić esesmanowi do klubu. Mimo wszystko przez cały czas miała gdzieś z tyłu głowy słowa polskiego egzekutora. On gdzieś tutaj się czał. Nie wiedziała gdzie. Tymczasem droga zajęła im kilkanaście minut i Magda zdążyła odczuć skutki chłodu.

— Zmarłam — powiedziała. — Byłabym wdzięczna za odwiezienie mnie potem do hotelu.

— Oczywiście. Zlecę w klubie, by podstawiono dla nas samochód.

— Jest pan bardzo miły, Herr Hauptsturmführer.

Zasiedli zatem i zjedli skromny obiad. Tylko kawa dla szefa Gestapo była prawdziwa. W pewnej chwili podszedł do nich młody esesman. Magda dostrzegła go kątem oka. Miał blond włosy, krótko obcięte po bokach, i był starannie ogolony. Może to po prostu jakiś dawny podwładny, który rozpoznał szefa i chciał mu zahajlować? A może krewny któregoś z żołnierzy zabitych zeszłej nocy? Nie zdążyła się nad tym zastanowić.

Wypadki potoczyły się błyskawicznie. Mężczyzna wyjął z kieszeni walthera pp i strzelił Knitellowi w twarz, w okolice lewego oka. Magda przeraźliwie krzyknęła. Trup dalej siedział,

ale z rany bryzgała na rękaw i obrus krew. Z tyłu głowy dowódcy SS i policji w Zamościu odleciał kawałek czaszki.

Napastnik nie zwlekał. Strzelił do dwóch esesmanów stojących przy drzwiach i po prostu wyszedł. Dopiero wtedy rozległy się krzyki, kilku Niemców rzuciło się za nim w pościg, ale on wsiadł do auta, które zajęchało przed siedzibę klubu. Wszystko to nie trwało nawet dwóch minut.

Magda siedziała na krześle i przerażona wpatrywała się w trupa.

ROZDZIAŁ XVI

Egzekutor

WARSZAWA, 7 LUTEGO 1943

Magdalena Pohl była ważnym świadkiem morderstwa dokonanego na szefie policji i SS w Zamościu. Po zabójstwie, obryzgana krwią tego Niemca, siedziała i krzyczała, aż zajął się nią lekarz niemiecki, który przybył wtedy do klubu. Przez kilka dni musiała zostać na terenie hotelu, a potem przewieziono ją do Warszawy. Gestapo bardzo intensywnie pracowało nad odtworzeniem okoliczności zabójstwa.

Przesłuchanie w budynku SS i policji na Polizeistrasse w Warszawie prowadziło dwóch gestapowców: SS-Rottenführer Ewald Lange³² i SS-Obersturmbannführer Klarenbach³³.

— Proszę dokładnie opowiedzieć nam wszystko, każde wydarzenie, które pani pamięta z dnia, w którym zamordowano Hauptsturmführera Knitella — powiedział gestapowiec Klarenbach.

Opowiedziała zatem ze szczegółami, jak w dniu drugiego lutego przybyła do siedziby Gestapo w Zamościu, aby uzyskać informacje potrzebne Komisariatowi Rzeszy do spraw Umacniania Niemczyzny. Przedstawiła swoją wiedzę na temat wysiedleń, ale gestapowców to zupełnie nie interesowało. Potem opisała zaproszenie do klubu dla SS, co było gestem kurtuazji i uprzejmości wobec niej ze strony zmarłego Knitella.

— Czy pani mogłaby opisać nam zamachowca? — zapytał Ewald Lange.

— Tak, to był blondyn, w naszym mundurze, wzrost około metra osiemdziesięciu, może więcej, nie przyjrzałam się dokładnie. Wyglądał zwyczajnie, jak nasz żołnierz.

— Czy widziała go pani przedtem?

— Nie, nigdy — odparła Magda.

Gestapowcy wymienili się spojrzeniami. Klarenbach wyciągnął teczkę.

— Proszę raz jeszcze się zastanowić — rzekł. — Mamy podstawy przypuszczać, że szefa Gestapo w Zamościu zamordował człowiek opisany w licznych raportach. Jak pani widzi, mamy całą jego teczkę.

— To pokażcie mi panowie zdjęcie, chętnie go zidentyfikuję — powiedziała Magdalena.

Zapadła niezrozumiała dla niej cisza. Gestapowcy wyglądali na zakłopotanych. Oni czegoś nie wiedzą, pomyślała.

— Ten człowiek pracował dla Dwójki — rzekł jeden z nich.

— Przepraszam, dla kogo? Nie rozumiem — zdziwiła się Magda.

— To potoczna nazwa Oddziału II Polskiego Sztabu Generalnego przed wojną. Ten człowiek pracował w inspektoracie Zachód i działał w Hiszpanii podczas wojny domowej. Potem zniknął. Mamy podstawy przypuszczać, że przebywa w Warszawie lub na terenie Generalnej Guberni. Nazywa się Mokrzycki.

— Ale ja prosiłam o zdjęcie. Chcę pomóc w znalezieniu i ukaraniu sprawcy.

— Nie mamy zdjęcia.

— Czy to znaczy, że... Panowie, czyli nie wiecie, jak on wygląda?

— Niestety, nie. Dlatego tak ważne jest, żeby opisała go pani ze szczegółami.

Magdalena zatem raz jeszcze opowiedziała, jak wyglądał zabójca. Stenografistka, stukająca na maszynie z tyłu pokoju przesłuchań, zapisywała każde jej słowo. Następnie przedstawiono jej do podpisania zeznanie i poproszono, aby na razie nie wyjeżdżała z Warszawy.

*

Gdy przesłuchanie się zakończyło, okazało się, że stenografowała jej koleżanka ze wspólnego mieszkania w Warszawie — Yvonne Langer.

— Magda? To naprawdę ty! Nie widziałyśmy się tyle czasu — zagadnęła.

Magdalena serdecznie się z nią przywitała.

— Jakie to szczęśliwe spotkanie! — powiedziała. — Gdyby nie okoliczności... Nawet nie wiesz, co przeżyłam.

— Wyobrażam sobie. Ci polscy bandyci zrobili się niebywale bezczelni — stwierdziła Yvonne Langer.

— Mam prośbę. Czy mogłabym się u was zatrzymać? To bezpieczne mieszkanie w dzielnicy niemieckiej.

— Oczywiście, nasza Ślązaczka wyjechała za ukochanym do Grecji i tam cieszy się słońcem — powiedziała z przekąsem Yvonne Langer. — W związku z tym mamy wolny pokój. Ale mieszka z nami Hildzia. Ona pracuje w Adrii jako kelnerka.

Magda od razu pomyślała, że współlokatorka z dojściem do słynnej restauracji, dostępnej tylko dla Niemców, to cenna znajomość...

TAJNY LOKAL AK, ŻOLIBORZ, LUTY 1943

Stefan Brychczyński „Osa” nie dowierzał, gdy usłyszał od swojego podwładnego ze szkolonej przez niego grupy harcerzy, że tamten chciałby dokonać ataku na Niemców bez względu na cenę, jaką mu przyjdzie zapłacić. Okupacja i trwanie w ciągłym, niekończącym się strachu ewokowało u ludzi przede wszystkim pragnienie ocalenia życia za wszelką cenę. Stąd brał się egoizm, niechęć do pomagania sobie nawzajem. Stefan w ciągu tych

ponad trzech lat życia pod niemieckim butem widział niejedno, ale tego, co się stało w mieszkaniu kontaktowym na Żoliborzu, miał nie zapomnieć długo.

W jego oddziale był chłopak z Modlina, Janek Kryst³⁴. Odznaczał się niezwykłym zapalem. Jako nastolatek brał udział w obronie Warszawy w batalionach ochotniczych. Ustawiał barykady i kopał rowy przeciwczołgowe. A potem aktywnie włączył się w konspirację i mały sabotaż. Stefan znał go przelotnie, ale pamiętał, że młody używał pseudonimu „Alan”. Chłopak odszedł z konspiracji z powodu wyniszczającej choroby płuc. Był gruźlikiem.

— „Osa” — rzekł „Alan” pewnego dnia, gdy się spotkali. — Bardzo cię proszę, abyś przekazał moją prośbę wyżej. Chcę wziąć udział w otwartym ataku na Niemców, żeby zabić ich jak najwięcej. Moich rodziców wywieźli do obozów, żywych ich już nie zobaczę. Sam i tak niedługo zejdę z tego świata.

— Jak chcesz tego dokonać? — zapytał Brychczyński, chociaż nie traktował słów „Alana” poważnie.

Chłopak zakaszał. Nosił zawsze ze sobą kilka chusteczek, w które pluł krwią. Potem je palił u siebie w domu w piecu kaflowym, żeby nikogo nie zarazić. Mimo to „Osa” nie czuł się pewnie.

— Wyobrażam sobie to tak, że rozpracujecie jakiś niemiecki lokal, do którego ja wejdę, najlepiej z bronią maszynową, i zabiję jak najwięcej skurwysynów. Ile tylko będę mógł.

— Zabiją cię — powiedział Brychczyński.

„Alan” spojrzał mu w oczy. To był dobry chłopak, ale nienawidził Niemców za wszystkie krzywdy, które wyrządzili jego rodzinie.

— Bez względu na cenę. Przemyśl to.

Zostawił Stefana oniemiałego z wrażenia. Jeszcze nikt dotąd nie zgłosił się sam do ataku samobójczego.

WARSZAWA, 12 LUTEGO 1943

— Poszalejmy dziś w Adrii. — Yvonne Langer zaproponowała koleżankom spędzenie wspólnego babskiego wieczoru w najpopularniejszej w Warszawie restauracji dla Niemców i folksdojczów.

I zdrajców, dodała w myślach Magdalena, ale zgodziła się. Dopóki trwało śledztwo w sprawie zabójstwa szefa Gestapo w Zamościu, i tak nie mogła opuścić stolicy.

Była Niemką, miała nieposzlakowaną opinię i co najważniejsze — upewniła się, że Gestapo nie wiąże jej z zamachowcem. Jak jednak zdołał ich oszukać w hotelowej restauracji, gdzie wystąpił jako kelner? — rozmyślała. Tam go przecież po raz pierwszy zobaczyła. Hotel prowadził jakiś sprawdzony ponoć folksdojcz z Bukowiny, Schnepf. Chwilę później przyszło olśnienie — człowiek, którego tam spotkała, nie pracował w hotelu. To była

ustawka, a Schnepf musiał o niej wiedzieć. Mniejsza o to. „Hrabia” zadbał, by nie powiązano jego wcielenia w esesmańskim mundurze z kelnerem, który nie istniał. Schnepf mógł zgodnie z prawdą stwierdzić, że taki facet nigdy u niego nie pracował — i miał na to dokumenty.

Dziewczyny zatem wybrały się do Adrii. Od razu przy wejściu Magdę zaskoczyła wesola atmosfera. Zauważyła też na sali restauracyjnej prostytutkę, zapewne Polkę z oficjalnego puffu — domu uciech, oczywiście przebadane przez niemieckich lekarzy. Jedna z nich rzuciła trzem kobietom nienawistne spojrzenie.

— Spójrz, Yvonne, uznały nas za konkurencję. To skandal! Czuję się obrażona — zażartowała Magda.

— Moja droga, to tutaj normalne. Ale jest dobre jedzenie, prawdziwa kawa, francuskie koniaki i co najważniejsze: będzie muzyka!

Pośrodku znajdowała się całkiem duża przestrzeń na dansing. Jednak Magdalena nie miała ochoty tańczyć sama. Jedzenie rzeczywiście było całkiem niezłe — zrazy wieprzowe, beczkowe piwo z Bawarii. Dobry, niemiecki wieczór *mit Frauen und deutsche Singen*³⁵. Orkiestra grała skoczne melodie. Ich trzecia koleżanka rzuciła się wir zabawy, gdyż niemieccy żołnierze lubili sobie potańczyć. Yvonne i Magda zyskały zatem czas dla siebie.

— Podśluchałam dziś ciekawą rozmowę — powiedziała Yvonne.

— No to mów! Umieram z ciekawości, przecież wiesz.

— Nie postawię ci żadnych zarzutów — uspokoiła ją Yvonne. — Twoje zeznanie było ważne. Swoją drogą, przeraża mnie coraz bardziej, że Polacy mają takich ludzi, którzy potrafią się wgryźć w nas jak pluskwy i tak dotkliwie kąsać.

— A dowiedziałaś się może czegoś o tym zabójcy?

— Same plotki. Ale Obersturmbannführer Klarenbach ma na jego punkcie jakąś obsesję. Podobno to hrabia.

Magdzie zaczęło szybciej bić serce. Mój Boże, pomyślała, są na tropie! Zdecydowała, że musi złapać kontakt w Warszawie, najlepiej przez Stefana Brychczyńskiego. Ta informacja mogła być bardzo ważna.

— Hrabia zabójcą! Przyznasz, że to dość osobliwy pomysł. Jak opowieść o Draculi.

Yvonne zaśmiała się, uznała to za świetny żart. Wysłuchały dwóch szlagierów z niemieckich płyt, między innymi *Ein Tag wie Gold*³⁶, oraz kilku piosenek miłosnych. Nagle Magda wpadła na pomysł. Pamiętała przecież numer Brychczyńskich.

— Muszę skorzystać z toalety — powiedziała do koleżanek.

Przecisnęła się przez gąszcz stolików oraz tańczących par. Poszła wprost do aparatu telefonicznego zamontowanego na ścianie w tylnej części Adrii. Wiedziała, że na pewno nie był na podsłuchu, ponieważ był wewnętrznym aparatem w niemieckiej restauracji. To

popularne rozwiązanie w czasach przed wojną i teraz. Wybrała numer Brychczyńskich. Musi to powiedzieć szybko. Odebrał Stefan.

— Ciocia Adria — powiedziała Magda. — Chciałabym przekazać, że hrabia może zachorować. Służby sanitarne będą chciały go odwieźć do szpitala.

Nastąpiła chwila wahania, nim Stefan poznał jej głos.

— Dziękuję, przekażę.

Odłożyła słuchawkę. Los „Hrabiego” w jakiś sposób stał się jej bliski. Nigdy nie przypuszczała, że wśród ludzi polskiego podziemia znajdzie się takiej klasy egzekutor, że Niemcy będą się go bali jak ognia.

*

Z uwagi na późną porę i godzinę policyjną Stefan nie mógł zanieść wiadomości osobiście, ale znał numer łączniczki, która mogła się poruszać w nocy — pracowała w instytucie chorób zakaźnych. „Karmiła wszy” na szczepionkę opracowaną przez doktora Weigla³⁷. Osoby zatrudnione w ten sposób cieszyły się przywilejami. Miały specjalne przepustki i dodatkowe przydziały żywności. To było zajęcie dla inteligentów, którzy nie mogli znaleźć innej pracy. Stefan nie znał jej osobiście. Ale nie musiał. Byle tylko informacja została przekazana pewnie i szybko.

— Proszę przekazać, że hrabia może pojechać do szpitala. Ostrzeżcie krewnych.

— Rozumiem.

— Proszę też o nadzwyczajne spotkanie jutro w lokalu czternastym w południe z wujkiem Lalkiem. Mam jeszcze drugą sprawę.

— Z pominięciem drogi służbowej? Kania wyleciała na obchód gniazda.

— Tak, bardzo proszę.

Stefan rozłączył się. W wojsku podziemnym obowiązywała ścisła hierarchia, jak w każdym innym. Jednak chciał się spotkać bezpośrednio z człowiekiem, który miał kontakt z górą. Nie przypuszczał, że wywoła tym niezłą burzę.

WARSZAWA, 13 LUTEGO 1943

Nazajutrz Stefan pojechał tramwajem na Ochotę, a dalej poszedł pieszo. Co jakiś czas sprawdzał, czy nie ma za nim ogona. Nie zauważył jednak nikogo podejrzanego. Poszedł wprost do lokalu, gdzie czekał na niego „Lalek”.

— Muszę przyznać, że masz, „Osa”, wyjątkowy tupet. Żeby w nocy wysyłać do mnie łączniczkę!

— Uznałem, że wiadomość, którą otrzymałem wczoraj wieczorem od „Marty”, jest warta szybkiego przekazania. Niemcy wiedzą o jakimś naszym człowieku od brudnej roboty o pseudonimie „Hrabia”.

„Lalek” zmarszczył brwi. Zdawał sobie sprawę z konsekwencji partyzanckiej bitwy pod Zaborecznem, co w połączeniu z likwidacją szefa Gestapo w Zamościu, zresztą bardzo brawurową, poskutkowało zatrzymaniem niemieckiej maszyny wysiedleń polskiej ludności. A taki był cel kontrofensywy Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich.

— Co wiedzą?

— „Marta” przekazała tylko, że „hrabia może pojechać do szpitala”. To znaczy, że prowadzą na Szucha śledztwo. Ona ma tam na pewno dojście. Do tej pory nigdy nie zawiodła.

„Lalek” wstał, podszedł do okna i zapalił skręta. Po pokoju rozszedł się ordynarny zapach tytoniu. Brychczyńskiego zawsze zastanawiało, czy „Lalek” jest oficerem i jakie jest jego prawdziwe nazwisko. Wiedział tylko, że w Kedywie był kimś istotnym.

— „Hrabia” wczoraj wpadł razem z delegatem rządu na kraj — powiedział mężczyzna z wyraźną rezygnacją w głosie. — Jechali w tym samym tramwaju³⁸. Twój meldunek był rzeczywiście bardzo ważny, omówiliśmy już całą sytuację w nocy. Niemcy wiedzieli, że tym tramwajem będzie jechać delegat rządu na kraj, ale po analizie zeznań świadków, których Niemcy wypuścili, doszliśmy do wniosku, że zatrzymanie „Hrabiego” było przypadkowe — dodał „Lalek”. — Skoro ta twoja „Marta” ma dojście na Szucha, to musi popracować dla nas. Proszę cię, żeby ustaliła, co z delegatem rządu, co z „Hrabią” i czy Niemcy znają jego prawdziwą tożsamość.

— Mam się z nią skontaktować?

— To pilne — rzekł „Lalek”. — A ta druga sprawa?

Stefan przedstawił „Alana” i to, z czym chłopak przyszedł. Powiedział o jego nieuleczalnej chorobie i o tym, że chce przed śmiercią zabrać ze sobą jak najwięcej Niemców. „Lalek”, o dziwo, nie odmówił od razu.

— Przeszliśmy z Komendą Główną i komendantem długą drogę, „Osa” — rzekł. — Mamy czwarty rok wojny i Niemcy wylewają morze naszej krwi. Doszliśmy do wniosku, że krew za krew. Musimy ich niszczyć. Represje, wywózki, łapanki i egzekucje się nie skończą. Wiem, że będą karne rozstrzeliwania, ale te niemieckie kurwy muszą wiedzieć, że przestaje im to uchodzić na sucho. Będziemy ich zabijać. „Hrabia” jest specjalistą od wykonywania wyroków śmierci. Przed kilkunastoma dniami przy pomocy twojej „Marty” zastrzelił szefa Gestapo w Zamościu, a wcześniej zlikwidował wyjątkowo zbydlęconych szmalcowników, którzy żerowali na uciekinierach z getta.

— Co ma do tego „Alan”? — zapytał Brychczyński.

— Wiele. Czy „Marta”, kiedy zadzwoniła do ciebie, powiedziała „ciocia Adria”?

— Tak, dokładnie tak powiedziała.

— Nie zastanowiło cię to? Ona zadzwoniła do ciebie z bezpiecznego miejsca, czyli z niemieckiej restauracji Adria. Wskazała ci, gdzie jest. Niełatwo tam wejść. Już

próbowaliśmy. — Zamilkł na chwilę. — To idealne miejsce.

To prawda. Tam atak na Niemców mógł przynieść sukces. Ale Stefan miał opory innego rodzaju.

— Mam pewną wątpliwość i chcę o tym powiedzieć — rzekł.

— Proszę.

— Wykorzystamy chorego chłopaka, być może nie do końca wiedzącego, co go czeka. On stamtąd nie wyjdzie. Zabiją go.

„Lalek” uśmiechnął się gorzko.

— Chłopcze, coś ci powiem. Za czterdzieści albo może i za sto lat, kiedy będą pisać podręczniki do historii, o mnie i o tobie nikt nie wspomni, bo najprawdopodobniej nikt nas nie zapamięta. Ale „Alana” tak. Ta akcja, jakkolwiek to, co powiem, może ci się to wydać cyniczne, przejdzie do historii. Nie mów mu oczywiście tego.

— Rozumiem — powiedział Stefan.

— Masz go przygotować. I złap kontakt z „Martą” za wszelką cenę.

Najpierw z mieszkania kontaktowego wyszedł „Lalek”, a piętnaście minut później Stefan.

TEGO SAMEGO DNIA, PO POŁUDNIU

Nie było innej możliwości. Stefan nie wiedział, jak nawiązać kontakt z Magdą, mieszkała przecież na stałe w Łodzi, w Warszawie bywała okazjonalnie, i to ona zawsze się do niego odzywała. Musiał zaryzykować. Pamiętał jej numer warszawski z mieszkania w niemieckiej dzielnicy. Wybrał aparat telefoniczny w knajpie na Browarnej. Był to typowy lokal z czasów okupacyjnych, kręciły się tam różne typy — od zakapiorów warszawskich po różnych drobnych handlarzy, sprzedających to cukier, to mąkę, a najczęściej bimber domowej produkcji. Zamówił solonego śledzia do wódki i czekał, aż handlarze obdzwonią, kogo tam pragną, po czym podszedł do aparatu i wykręcił numer.

Po chwili odebrała kobieta.

— Czy mógłbym prosić Fräulein Pohl?

— A kto pyta, jeśli można wiedzieć?

— Kuzyn Steffen. — Nic lepszego nie przyszło mu do głowy.

— Proszę czekać, już proszę.

Udało się. Dodzwonił się! Po chwili w słuchawce odezwała się Magda.

— Hrabia rzeczywiście trafił do szpitala i źle się ma. Czy mogłabyś się dowiedzieć, na jaką zapadł chorobę? — zapytał.

— Spróbuję.

— Wujek Janek Delegat też zachorował. Ustal, na jakim leży oddziale.

— To może być trudne, ale spróbuję.

Przerwano połączenie. Stefan odetchnął. Zapłacił za śledzia z wódką, za telefon i wyszedł. Musiał pójść do „Alana” i zanieść mu nowinę.

*

Magda przypuszczała, że sprawa z Zamościa i to, że była świadkiem w sprawie zabójstwa SS-Hauptsturmführera Knitella, w jakiś sposób odbije się na jej karierze w niemieckiej administracji okupacyjnej. Podejrzewać coś, a wiedzieć to jednak dwie różne sprawy. Z niepokojem odnotowała więc, że szef SS i policji w Warszawie, Jürgen Stroop, nie znalazł dla niej czasu, gdyż był — jak się wyraziła jedna z urzędniczek z pałacu Brühla — zajęty na „froncie walki z żydo-bolszewikami”. Magda wiedziała, że pod tym mało wyszukany, antysemickim eufemizmem kryła się ostateczna zagłada getta, gdyż od 19 kwietnia 1943 roku toczyło się tam powstanie zbrojne. Gdy jednak została wezwana, pojechała do pałacu Brühla i tam odebrała podpisaną przez ministra spraw zagranicznych nominację na pracę w dziale ministerstwa w Berlinie. Miała się tam zajmować repatriacją Niemców z krajów europejskich do Rzeszy.

Zostałam wykopana w górę, do Berlina, pomyślała i uśmiechnęła się do siebie.

To stanowiło bardzo sprzyjającą okoliczność. Mogła się znów zwierzyć z czegoś swojej koleżance. Potrafiła bowiem uzyskiwać informacje w sposób troszeczkę plotkarski. Yvonne Langer okazała się gadatliwą dziewczyną. Wystarczyło kilka butelek dobrego, markowego alkoholu i parę paczek prawdziwej kawy, którą Magda kazała kierowcy przywieźć z Łodzi.

— Jak ja ci zazdroszczę tego Berlina — rzekła Yvonne. — Jestem tutaj taka samotna, odkąd Peter... zginął na froncie wschodnim.

Magda pocieszyła ją, że na pewno znów spotka na swej drodze szczęście i miłość, ale ciągnęła dalej koleżankę za język. Szybko ustaliła, że Niemcy nic nie wiedzą o tym, że mają „Hrabiego”. Zatem — wpadł pod fałszywym nazwiskiem. Niestety, o Janie Piekałkiewicz³⁹ z Polskiego Stronnictwa Ludowego, aresztowanym w tramwaju delegacie rządu, nic nie było wiadomo. Udało jej się tylko wyciągnąć z Langer plotki, które krążyły po Szucha, że aresztowano kogoś naprawdę ważnego i że trzymany jest w całkowitych ciemnościach, w izolatce. Te informacje przekazała Brychczyńskiemu, a on posłał je dalej. Zaczęło się oczekiwanie, czy „Hrabia” wytrzyma śledztwo.

Tymczasem Stefan Brychczyński przygotował „Alana” do akcji. Mimo kiepskiego stanu zdrowia chłopak przeszedł dwa razy ćwiczenia ze strzelania i zaliczył je z wynikiem dobrym. Dzięki informacjom Magdy Armia Krajowa знаła rozkład pomieszczeń w Adrii po przebudowie. Żadnych wątpliwości — było tylko jedno wejście. Wyjście od kuchni, na zapleczu, zostało przez niemieckiego właściciela lokalu zamurowane. Stefan zdawał sobie też sprawę z tego, że najlepsza broń do takiego zadania — pistolet maszynowy — będzie po akcji nie do odzyskania dla podziemia. A przecież wciąż odczuwali deficyt broni. „Osa”

uzyskał od „Lalka” zgodę na kontrolowany zakup broni od... Śluzaka z niemieckiej armii, sierżanta Wehrmachtu Poloczka, który miał życzliwość dla Armii Krajowej.

— Masz geld⁴⁰? — zapytał Poloczek, gdy Stefan przyszedł po niemiecki pistolet maszynowy Schmeisser.

— Oczywiście.

Stefan wyjął plik banknotów. Osiem tysięcy złotych. Z pieniędzmi nie było problemu, ponieważ Magdalena przekazała dużą kwotę na ten cel. Taki pistolet mniej się zacinał od stenów i można go było swobodnie schować w teczce, już przygotowanego do użycia. „Alan” na razie był spokojny, ale Stefan nie miał pewności, jak się zachowa, gdy przyjdzie ten dzień.

W ogóle w tym czasie działo się sporo. Dwudziestego szóstego marca 1943 roku warszawscy harcerze odbili Janka Bytnara „Rudego” oraz innych więźniów politycznych przewożonych więźniarką z gmachu na Szucha do więzienia na Pawiaku. Akcja ta znalazła się na ustach prawie wszystkich mieszkańców Warszawy. Jedną z osób, które zbiegły wtedy z więźniarki, był „Hrabia”. Mimo trudnego śledztwa Niemcy nie potrafili go rozpoznać, ponieważ nie mieli jego zdjęcia. To były krzepiące dla podziemia wieści. Delegat rządu na kraj Jan Piekalkiewicz, mimo bestialskiego śledztwa, niczego Niemcom nie powiedział, ale w dalszym ciągu trzymany był w izolacji, poza zasięgiem tajnych współpracowników Armii Krajowej takich jak „Marta”.

Magdalena Pohl w końcu dostała pozwolenie na opuszczenie Warszawy i udała się do Łodzi, gdzie zakończyła pracę w tamtejszym oddziale Komisariatu Rzeszy do spraw Umacniania Niemczyzny. Dostała przecież nominację do ministerstwa spraw zagranicznych, a zatem czekał na nią Berlin, co też było w interesie Komendy Głównej Armii Krajowej. Wróciła do Warszawy na Wielkanoc 1943 roku, ale wtedy już płonęło getto.

TAJNE MIESZKANIE AK W WARSZAWIE, OCHOTA

„Marta” została wezwana przez „Lalka”, ponieważ Komenda Główna chciała przedstawić jej nowe zadania. Jedno z nich było bardzo trudne i musiało zostać omówione z nią bezpośrednio.

— To coś naprawdę ważnego, skoro pan mnie wezwał.

— Tak, to bardzo ważne. I nie wiem, czy pani się na to zdecyduje.

„Lalek” zapalił papierosa.

— Każdy cham pali sam — rzuciła.

— Każda świnka się dopomina — odparł „Lalek”.

Parsknęli śmiechem, co rozładowało sytuację. Oficer AK oczywiście poczęstował Magdę papierosem. Nie paliła na co dzień, ale okazjonalnie — nie odmawiała.

— Nie wiem, czy pan wie, ale Hitler szczególnie nienawidzi palenia, bo to podobno szkodzi zdrowiu.

— A to ciekawe, że sam, razem z resztą Niemców, zaszkodził wszystkim w Europie. Proszę tego nie brać osobiście. Do rzeczy. Planujemy spektakularną akcję, która byłaby rewanżem państwa podziemnego za barbarzyństwo niemieckie na ulicach Warszawy.

— W jaki sposób mogłabym pomóc?

— Chcemy zaatakować Adrię.

Magda zaniemówiła. Dlaczego akurat tę restaurację, tego się domyślała. Była bardzo popularna wśród gestapowców i z tego powodu stanowiła znakomite miejsce uderzenia. Jednak Polak nie mógł tam nic zdziałać, bo Adria znajdowała się w dzielnicy niemieckiej, na ulicy Moniuszki pod numerem 10. Nikt z bronią, do tego maszynową, nie mógł się tam wkraść.

— Jak?

— Jeden z chłopaków, terminalnie chory na gruźlicę, chce to zrobić bez względu na konsekwencje — rzekł „Lalek”.

— To nieetyczne.

— A etyczne jest masowe mordowanie Żydów?

— Pan mnie nie rozumie. Prowadzimy szlachetną walkę...

— Nie, proszę pani — przerwał jej „Lalek”. — Prowadzimy walkę na śmierć i życie. Tu nie ma miejsca na etykę. Nie ma zmiłowania.

— Jak chcecie go wprowadzić do Adrii?

— Czy może pani załatwić przepustkę z najwyższym uprzywilejowaniem?

— Myślę, że tak. Problemem będzie osoba towarzysząca. Młody samotny mężczyzna z teczką, gdyż chyba tak sobie wyobrażam ukrycie broni, nie wejdzie do Adrii. Tam się idzie z kimś. Na przykład z dziewczyną.

— A pani by z nim poszła?

— A jakie on ma szanse wyjść z tego żywy?

— Żadne lub prawie żadne — odparł szczerze „Lalek”.

— Ja chcę żyć i mogę się wam jeszcze przydać, zwłaszcza w Berlinie.

— Tak, wiem, dostanie pani zadanie do Berlina. — „Lalek” się zniecierpliwił. — Ale jak wprowadzić tego chłopaka do Adrii?

Magda pomyślała chwilę. Skoro zasady etyki nie obowiązywały...

— Mam kandydatkę. Ostatnio rozstała się z narzeczoną, który pojechał na front wschodni i został tam na wieki wieków. Jest spragniona romansu, a taki chory, romantyczny Polak może być dla niej ciekawą przygodą. Mogę ich ze sobą poznać. On oczywiście nie może jej zdradzić, co się stanie.

— Zbadał go nasz psychiatra — uspokoił ją „Lalek”. — Ten chłopak jest w pełni władz umysłowych. Chce poświęcić życie. To jego wybór.

— Dobrze, pomogę to zaaranżować. A moje zadanie w Berlinie?

— No właśnie. Dysponowaliśmy jako Armia Krajowa siecią naszej agentury w Berlinie. Od zaborów wielu Polaków czy też Niemców polskiego pochodzenia mieszkało w Berlinie. Spora ich część nie zgadzała się na to, co Hitler i jego kurwy zrobili Polsce. Wśród nich mogliśmy prowadzić naszą agenturę, ale do czasu. Nasze archiwum zachodniej siatki wpadło w ręce Abwehry we wrześniu trzydziestego dziewiątego. Nasi ludzie zostali aresztowani przez Gestapo, a ci, którzy tego uniknęli, są tak zaszczuci, że praktycznie niemożliwe jest zrekrutowanie spośród nich kogokolwiek. Dostanie pani zadanie odtworzenia naszej siatki. Pojedzie pani do Berlina z naszym agentem, którego niedawno odbiliśmy pod Arsenalem. Tam wasze drogi się rozejdą.

— Czy Niemcy sprzeciwiający się wojnie mogą być rekrutowani? — zapytała Magda.

— A zna pani dziesięciu sprawiedliwych w Sodomie i Gomorze Hitlera?

— Znam jednego.

I zaskoczona pomyślała, że cieszy się na wieść o tym, że do Berlina wyjedzie z „Hrabią”.

*

Po powrocie do mieszkania z podziwu godną troskliwością zajęła się koleżanką ze złamanym sercem. Chłopak Yvonne Langer, esesman, Peter jakiś tam, zginął gdzieś w Rosji i czeska Niemka nie mogła się z tym pogodzić. Typ kobiety, która po prostu musi kogoś mieć. W ten obszar pragnienia miłości wkroczyła Magda Pohl — czuła, delikatna i troskliwa przyjaciółka. Zdawała sobie sprawę z tego, że eliminuje ważnego świadka, dzięki któremu Gestapo mogłoby dojść do niej jak po nitce do kłębka. Zaczęła się jej zwierzać ze swoich miłości. Opowiedziała o chłopaku, z którym spędziła upojną noc w 1938 roku i który zginął rok później. Oczywiście kłamała, ale robiła to z tak rozczulającą szczerością, że uczuciowa Langer się nad nią użaliła:

— Na pewno bardzo to przeżyłaś, skarbie...

— Tak, to było straszne. Ale był jeszcze jeden, którego zalotów przed wojną nie przyjmowałam. Powiem ci szczerze, że trochę się nim bawiłam, zwodziłam, oszukiwałam...

— Ty niegrzeczna dziewczyno — skarciła ją żartobliwie Langer.

— A teraz okazało się, że zachorował. Ma raka. Umiera.

— Co ty mówisz? — przejęła się Langer.

— Muszę załatwić dla niego choć trochę penicyliny, gdyż bez przerwy łapie zapalenia oskrzeli. Mogłabyś mi pomóc?

— Wiesz, penicylina jest ściśle reglamentowana, przechowywana raczej w sejfach szpitalnych... — Langer zaczęła się wahać.

— Na pewno kogoś znasz. Poza tym mogłabyś...

— Mogłabym co?

— Poznać go? To miły, niezwykle przystojny chłopiec. Wprawdzie Polak... Ale nie musielibyście się spotykać jawnie. Zawsze to jakieś pocieszenie. Pomyśl o sobie — rzekła Magda. — Jesteś taka samotna... Trzeba zapomnieć.

Koleżanka złapała haczyk. Magda umówiła ich za trzy dni w parku Paderewskiego⁴¹ na Pradze, przy rondzie Waszyngtona. Dla Langer to też była nowość — wyjść poza schemat życia w dzielnicy niemieckiej. Na spotkaniu zapoznawczym byli we troje, ale Magda widziała, że między Langer i „Alanem” zaiskrzyło. On mówił trochę po niemiecku, ona trochę po polsku. I głównie z tego, pomyślała wulgarnie Magda, że to obraza rasy i krwi niemieckiej, owa sławetna *Rassenschande*. Zresztą... Jaka tam ona Niemka, zwykła Czeszka, która znalazła się na volksliście, przeszedłszy w Protektoracie Czech i Moraw całą wiążącą się z tym procedurę administracyjną. Zadbano, żeby „Alan” dostał telefon prywatny Langer, a żeby mogli się spotkać kilka razy bardziej intymnie, Kedyw wyznaczył na ten cel jedno z mieszkań. Koleżanka niczego nie podejrzewała, a „Alan” był nadzwyczaj profesjonalny, szarmancki i romantyczny. O to chodziło. A że było to wewnętrzne upostaciowanie heideggerowskiego pędu ku śmierci... Jakie miało to znaczenie? Magda wyzbyła się już jakichkolwiek wyrzutów sumienia. Romans trwał zatem w najlepsze w ciepłym i strasznym maju 1943 roku, gdy Niemcy mordowali warszawskie getto.

— Kochaj i bądź kochana — mówiła do Langer, która rzeczywiście zadurzyła się w młodym Polaku i nawet lekarstwa ze szpitala SS w dzielnicy niemieckiej skombinowała.

Jak kochać, to na zabój! Stałaś się cyniczna, karciała się w duszy Magda, ale cieszyła się, że nadchodzi dzień, w którym „Alan” spotka przeznaczenie.

ŁÓDŹ, WIOSNA 1943

Wiadomość o tym, że w Warszawie pozostali przy życiu Żydzi chwycili za broń dziewiętnastego kwietnia, do domu Pohlów przywiózł szofer Nowak, który od czasu do czasu wykonywał dla Magdy Pohl pewne zlecenia. Zwierzył się starej Popiołkowej, która wciąż pracowała w kuchni, a ona powiedziała o tym Wandzie Brychczyńskiej i Poldkowi Rosenmanowi. Zwłaszcza dla niego wieść o powstaniu w getcie warszawskim była szokiem.

Płakał cały dzień. Żałował teraz, że nie starczyło mu odwagi i pogardy dla życia, żeby być tam, w płonącym getcie, i walczyć ramię w ramię ze swoimi żydowskimi braćmi i siostrami. Nie mógł już tego zmienić, ale chciał nadać swojemu życiu sens. Przyszła do niego Wanda, która też nie widziała się z bratem od dłuższego czasu. Wydawało się jej, że tutaj, w Łodzi, będą bezpieczni, choć to jednak Reich i obecność Polaków była ściśle nadzorowana.

— Poldek, jestem przy tobie — powiedziała.

Poldek początkowo wzbraniał się przed tą miłością, która przyszła tak nieoczekiwanie i nagle. Nie chciał jej, ale dziewczyna była cierpliwa i czekała. Co za paradoks — przecież znali się dobrze jeszcze przed wojną, ale ich uczucie rozkwitło dopiero wśród ścian pałacu Pohlów. Nie kryli się już z tym, ile dla siebie znaczą.

Tymczasem Jadwiga ze spokojem ich obserwowała i zastanawiała się, jak wykorzystać wiedzę o chłopaku dla swojej korzyści.

WARSZAWA, 22 MAJA 1943 ROKU

Tego dnia, kiedy Magda przygotowywała się do wyjazdu do Berlina, gdzie miała objąć posadę sekretarki w ministerstwie spraw zagranicznych Rzeszy — miało ono opinię najbardziej bezużytecznego z niemieckich ministerstw w trakcie wojny — zajrzała do jej pokoju Yvonne Langer. Dziewczyna była aktualnie jedną z najbardziej zadowolonych kobiet na świecie.

— Kwitniesz — skomplementowała ją z uśmiechem Magda.

Yvonne puściła do niej oko.

— Dzisiaj idę z nim do Adrii. Bardzo tego chciał.

— Naprawdę, kochana? Jak to zrobiłaś?

— Załatwiłam mu papiery na nazwisko jakiegoś folksdojczy, który zginął.

— Jesteś szalona!

— Nie — odparła Langer. — To miłość jest szalona! Może chciałabyś pójść z nami? Byłoby miło.

— Niestety, dziś wieczorem wyjeżdżam do Berlina — powiedziała Magda.

Spojrzała na zegar na ścianie. Była czternasta trzydzieści. Do odjazdu pociągu pozostało jeszcze pięć i pół godziny. Wiedziała, że będzie to najdłuższe pięć i pół godziny w jej życiu. Słuchała nieuważnie szczebiotania Langer. O osiemnastej Yvonne pożyczyła od niej perfumy, pożegnała się i wyszła.

Magda została w mieszkaniu. Była spakowana. Mogła tylko czekać.

*

Langer spotkała się z „Alanem” na Chmielnej. Postanowili przespacerować się w stronę dzielnicy niemieckiej. Strasznie dziś kaszlał i musiał kilka razy wytrzeć sobie usta. Langer na to nie zważała.

Bez problemu przeszli kordon oddzielający niemiecką dzielnicę. Strażnicy puścili ich, zobaczywszy papiery pracownicy Gestapo. Poszli na dawną ulicę Moniuszki, prostopadłą do Wiejskiej. Dopiero przed samą restauracją jeden z ludzi AK, udając podpitego, wpadł na „Alana”. Wsunął mu dyskretnie do kieszeni marynarki numerek z szatni, pod którym

znajdowała się skórzana aktówka z pistoletem maszynowym, już złożonym i przygotowanym do akcji.

Weszli do Adrii przez wielkie obrotowe drzwi. Wewnątrz „Alan” zauważył niemieckie płaszcze wojskowe i czapki z trupa główką zawieszane na wieszakach. Chłopak przepuścił Langer przodem i szedł za nią. Miło — wzięła go za rękę. Usiedli. Panowała tu jak zawsze wesół atmosfera. Kelnerzy uwijali się, roznosząc wielkie kufle piwa, mrożoną wódkę, likiery i prawdziwą kawę. „Alan” poczuł oszołomienie. W gruncie rzeczy był skromnym chłopakiem, nie bywał w takich luksusowych lokalach. Odczekał chwilę, uspokoił się, choć wiedział, że żywy z tej restauracji nie wyjdzie. Uznał, że to nawet ciekawe uczucie — wiedzieć, kiedy się umrze, na chwilę posiąść władzę nad śmiercią, spojrzeć jej w twarz...

Zamówili kawę, tę prawdziwą. „Alan” uznał, że napój go odpręży i poprawi ostrość myślenia. W międzyczasie jakaś na wpół rozebrana aktoreczka zaśpiewała po niemiecku dwie piosenki. Rozbawieni esesmani rzucili jej na scenę kilka banknotów. Wszyscy świetnie się bawili. „Alan” dopił kawę i powiedział, że idzie do łazienki — normalna sprawa. Udał się jednak najpierw do szatni, gdzie wymienił numerek na teczkę z bronią. Dopiero wtedy poszedł do łazienki. Nikt nie zwracał na niego uwagi, ponieważ Niemcom nie mieściło się w głowie, że ktoś mógłby im zrobić krzywdę w miejscu, gdzie bez problemu załatwiali interesy czy spotykali się z prostytutkami. Wyciągnął broń, złożył schmeissera i odbezpieczył, jak uczył go „Osa” na szkoleniach. Schował broń pod połą marynarki i wrócił na salę.

Zauważył kilku gestapowców dwa stoliki dalej. Od nich zaczął. Puścił krótką serię, która skosiła ich przy stole. Potem wybierał oficerów z towarzyszącymi im kobietami. Strzelał celnie, krótkimi seriami. Wybuchła panika. Było słycać krzyki, przekleństwa po niemiecku i brzęk tłuczonego szkła. „Alan” strzelał dalej. Być może trafił też Yvonne Langer — kobieta leżała pod ich stolikiem i nie ruszała się. Wszystko trwało około minuty. Może dwóch. W końcu ktoś zaszedł „Alana” od tyłu i rozbił mu na głowie butelkę alkoholu. Chłopak przewrócił się i przestał strzelać. Niemcy dopadli go w mgnieniu oka. Zatlukli go tym, co mieli pod ręką.

Dziesięć minut po masakrze zjawiło się Gestapo z pobliskiej Szucha. Zamknięto wszystkie ulice wokół. Ruszyło śledztwo. Ale wiadomość o masakrze w Adrii poszła w miasto i wywoływała u Niemców przerażenie.

CZĘŚĆ CZWARTA

ROZDZIAŁ XVII

Berlin

22&NBSP;MAJA 1943

Magdalena Pohl zjawiła się na dworcu kolei warszawsko-wiedeńskiej, tak dobrze sobie znanym, z zapasem czasu. Rozglądała się spokojnie. Kupiła gazetę niemiecką. Książkę na podróż miała w bagażu podręcznym. Jakiemuś dorabiającemu chłopcu kazała zanieść do wagonu ciężką walizę, którą zabierała do Berlina.

— Czy ma pani ogień do papierosa? — zapytał ktoś w pewnej chwili.

Odwróciła się. Nie miała wątpliwości, że stoi przed nią specjalista podziemia od brudnej roboty o pseudonimie „Hrabia”. Oboje opuszczali okupowaną Polskę. Miał jej przekazać cele misji w Berlinie. Była ciekawa, jak naprawdę się nazywa.

— Pan naprawdę jest hrabią? — zapytała.

— Patentowanym — odparł. — Mamy sobie trochę do powiedzenia w pociągu. Słyszała pani, co się stało w Adrii?

— Nie, niech mnie pan oświeci.

— Przekonująco pani kłamie. Jeden z naszych zastrzelił wielu Niemców. Szkopy szaleją. Niewykluczone, że będziemy mieli opóźnienie, jak zaczną sprawdzać w pociągu wyjeżdżających.

— Ja nie mam nic do ukrycia.

Rzeczywiście, pociąg przeszukano i ekspres do Berlina przez Poznań odjechał z godzinnym opóźnieniem. Gdy już ruszyli, mężczyzna zaproponował w nienagannym niemieckim:

— Może przejdziemy do wagonu restauracyjnego, póki można tam dostać coś do jedzenia.

Klasa pierwsza pociągów Rzeszy miała takie wagony, zresztą — bardzo eleganckie. Magdalena uznała, że to niezły pomysł. Zamówili kanapki i kawę, bo nic innego nie było.

— Gdzie pan się tak nauczył języka?

— Cóż, szlifowałem go w podróżach. Pracowałem przed wojną w naszym konsulacie w Hiszpanii, ale podstawy przekazał mi domowy nauczyciel z Wiednia. Mój dwór znajdował się w Mokrzcach na Lubelszczyźnie.

— Naprawdę jest pan ziemianinem?

— Oczywiście, ale to pusta nazwa. Ziemiaństwo jako klasa społeczna skończy się z tą wojną.

— Stąd ten pseudonim „Hrabia”?

Miała ochotę zapytać go o nazwisko, ale z jakiegoś powodu się powstrzymała. Może sam je zdradzi? Rozmawiała z nim zatem o rzeczach, których inni nie mogli podsłuchać — głównie o jego pobycie w Hiszpanii podczas toczącej się tam wojny domowej.

— To było laboratorium tej wojny.

Odkryli też wspólne pasje muzyczne: Brahms, Mahler, Czajkowski, opera włoska. Łączył ich estetyczny smak i Magda przyznała w duszy, że to fascynujący mężczyzna. Wyczuwała w nim jednak jakąś bezlitosną drapieżność, której się bała. Był zabójcą, któremu zabijanie ciążyło. Podobnie jak jej ciążyła śmierć Langer, którą wystawiła, by dodatkowo zabezpieczyć się przed dekonspiracją. Oboje znali smak śmierci, zdrady i nieustannej obawy, że wpadną. Takie doświadczenia zbliżają. Magda nawet nie zauważyła, kiedy jej podróż dobiegła końca.

Na dworcu w Berlinie rozstali się. On jechał dalej, dokąd — nie powiedział.

— Gdybym mogła wiedzieć, jak kiedyś pana odnaleźć...

— Wojna zdecyduje — odrzekł. — Nazywam się Antoni Mokrzycki.

Zniknął. Pozostawił uczucie niedosytu. Magda miała wrażenie, że jeszcze kiedyś ich drogi się przetną.

*

Cel, jaki postawił Magdzie kontrwywiad Armii Krajowej, Kedyw, był niesłychanie trudny. Dopiero tutaj, na miejscu, w Berlinie, przekonała się, że nikt i nic nie zawróci już Niemiec na drodze do coraz gwałtowniejszej radykalizacji. Widać to było na każdym kroku: od hitlerowskich flag na niemal wszystkich domach po pompatyczne hasła w stylu: „Nasze mury runęły, ale serca stoją za Führerem” lub: „Chcemy wojny totalnej i totalnego zwycięstwa”. Magda miała duży bagaż, zamówiła więc taksówkę, ale — o dziwo! — musiała na nią czekać dość długo. Dopiero po półgodzinie kierowca zawiózł ją na adres mieszkania kupionego przez nią za pieniądze firmy ojca. Jadwiga nie robiła jej żadnych wymówek — Magda odniosła wrażenie, że macosze wyraźnie ulżyło na wieść o jej wyjeździe do Berlina.

Dopiero tu kobieta zdała sobie sprawę z tego, że wznowienie aktywności komórki wywiadu AK w Berlinie nie będzie możliwe na taką skalę jak niegdyś. W lutym 1943 roku zorganizowano zamach na dworzec kolejowy, zabito przy tym kilkudziesięciu żołnierzy i cywilów. Atak był brutalny, ale uzasadniony terrorem niemieckim w Polsce. Kilka miesięcy później Gestapo dokonało aresztowań i większość ludzi zaangażowanych w komórkę AK wpadła. Przeprowadzono brutalne śledztwo i wydano wyroki śmierci. Magda musiała bardzo uważać na to, z kim się spotyka i co mówi.

Lato 1943 roku było już dla Niemców pełne grozy. W serii alianckich nalotów niemal doszczętnie zniszczony został Hamburg⁴² — dzielnice mieszkalne, zakłady przemysłowe, stocznie. Magda nie poznała dokładnie skali tych wydarzeń, ale dotarły do niej straszliwe wieści o tym, co się stało. Z wielką niecierpliwością czekała na spotkanie z Johannem von Dohnányim. Wciąż miała w pamięci to, co połączyło ich w zeszłym roku. Wojna sprawiła, że musieli wracać do swoich światów, ale nie zapomnieli o sobie. Wreszcie miała go dla siebie. Johann nie wrócił do pełnej sprawności i wyraźnie powłóczył nogą.

— Właściwie przybyłem do domu — powiedział jej na przywitanie.

— Jak to?

— Pochodzę przecież z Berlina. Teraz będę cię mógł wreszcie przedstawić rodzinie.

Magda wiedziała, że nie uciekną od tego tematu.

— Co z nami będzie? — Ukryła twarz w dłoniach.

Jednak Johann uśmiechnął się.

— Chcę być z tobą — rzekł.

Tak po prostu. Tymczasem ona wciąż zmagiła z tym pytaniem i teraz, gdy nadszedł czas decyzji, nie potrafiła powiedzieć otwarcie „tak”. Pomyślała o tym, czemu służyła i jakiej idei poświęciła życie.

— To nie musi być oficjalne. — Johann jakby czytał w jej myślach. — Przecież wiem o twoim zaangażowaniu w polskie sprawy. Nie mam ci tego za złe.

— Dziękuję. Ja też tego chcę.

— Jestem szczęśliwy — rzekł Johann von Dohnányi. — Mamy w rodzinie słynnego pastora Dietricha Bohnhoffera⁴³, ale w kwietniu tego roku został aresztowany i przebywa w więzieniu. Ale jest jeszcze jego przyjaciel, tutaj, w Berlinie. Pastor Wolfgang Schäffer. On udzieli nam ślubu, bez świadków. Jeśli tylko tego pragniesz.

— Właśnie tak, mój kochany.

— Jednak musisz wiedzieć, że wokół mnie zaciska się pętla. Mój wuj, Hans von Dohnányi, wysoki oficer Abwehry, został aresztowany przez Gestapo. Oni węższą i są blisko.

— Za co twój wuj został aresztowany?

— Za wybór, jakiego i ja dokonałem — wyznał Johann. — Musimy się sprzeciwić tej świni, która rządzi Niemcami i która zepchnęła nas w otchłań szaleństwa i zbrodni, bez odwrotu. Niemcy zostaną pożarte przez aliantów. To, co się stało w Hamburgu, jest jedynie przedsmakiem tego, co nas czeka. Muszę wypełnić mój obowiązek.

— O czym ty mówisz?

— On musi umrzeć. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Hitler musi umrzeć. Chcę, żebyś poznała niezwykłych ludzi. Ja zostanę w Berlinie, gdyż dostałem przydział do Armii Rezerwowej. Będziemy mogli jakiś czas tutaj żyć, choć to, co nas czeka, trudno nazwać życiem.

Zdecydowali, że będą ze sobą na dobre i złe, choć Magda przeczuwała, że zazna przede wszystkim cierpienia. Niemcy osunęły się w odmętę szaleństwa. Totalitaryzm polega na radykalizacji i ciągłym wyszukiwaniu nowych wrogów. Z pompatycznego przemówienia Goebbelsa wynikało, że Niemcy wybierają wojnę totalną i nie ma już siły, która by ich cofnęła z tej drogi. Z tym Johann i Magda musieli się zderzyć, jeśli pragnęli z całego serca zaangażować się przeciwko Hitlerowi. Ale Magda zadawała sobie jeszcze jedno pytanie.

— A co, jeśli będziemy mieli dziecko?

Johann von Dohnányi pocałował ją delikatnie w dłoń.

— To nie jest czas na rodzenie dzieci.

A więc niech tak będzie. Niech nadejdzie to, czego nie można odwrócić, pomyślała. Dla niej to był naturalny wybór etyczny.

ŁÓDŹ, JESIEŃ 1943

Tymczasem w Łodzi, w domu Pohlów, działo się wiele. Poldek pod fałszywym nazwiskiem spokojnie pracował w fabryce. Bardzo zbliżył się z Wandą Brychczyńską — jego drugą wielką miłością. Nie ma co go za to winić — wyszedł z getta w Warszawie i chciał żyć. A życie to przecież miłość. Niby truizm, ale w jego przypadku oznaczało to powrót z bycia martwym.

Jadwiga bacznie obserwowała to uczucie. Jej romans z esesmanem Fleischmannem z łódzkiego Gestapo trwał. Oboje zdawali sobie sprawę z tego, że wojna będzie przegrana. Po Stalingradzie i po letniej bitwie na Łuku Kurskim Niemcy nie mogli już udawać, że zmierzają ku zwycięstwu. Jadwiga wiedziała, że musi się jakoś z tego układu wyplątać, ale wciąż była zbyt słaba. Trzeba było rzucić Fleischmannowi coś na pożarcie. Korzystała wciąż z pozycji wdowy utrzymującej się z majątku zmarłego męża. Póki miała pieniądze, Fleischmann też je miał — i śmiało używał zasobów kochanki. Markowe cygara i koniaki z Francji nie były przecież za darmo.

— Ona musi mieć coś na sumieniu — przekonywał Jadwigę Fleischmann. — Kiedy z nią rozmawiałem przed laty na Gestapo, ślizgała się, ale nie miałem żadnego dowodu, niczego, co mógłbym wykorzystać. Powiedz mi szczerze, skarbie. — Podeszedł do kochanki. — Czy wiesz coś, co może mi się przydać?

— A dlaczego ją podejrzewasz? I o co?

Fleischmann miał słabość do markowych koniaków. Nalał sobie do szklanki, ale nie wypił od razu. Lubił się powoli delektować dobrym trunkiem aż po ostatnią kroplę. Tak jak teraz. Alkohol przyjemnie rozlewał się po gardle.

— Twój mąż — powiedział nagle, nie dostrzegając błysku w oczach Jadwigi.

— Co takiego?

— To proste. Odziedziczyła wszystko... No prawie wszystko. Ty dostałaś dwadzieścia pięć procent, choć powinnaś połowę — rzekł Niemiec.

— Nie masz racji, mój drogi. Ona jest na to... zbyt uczciwa. Ojcobójstwo to zdecydowanie nie jej specjalność.

— Dlaczego ją chronisz?

— Ja jej nie chronię. Nie znoszę jej, jeśli mam być z tobą szczerą. Nie cierpię tej małej dziwki za jej bezczelne wywyższanie się ponad mnie, za jej zaszranych przyjaciół, za jej lekkość bytu, za to, że na każdym kroku mi udawniała, że jest lepsza niż ja — powiedziała ze złością Jadwiga.

Fleischmann był pod wrażeniem. Nie doceniał determinacji kochanki. Jego mała Poleczka — jak ją nazywał — naprawdę go zadziwiła. Nie podejrzewał jej o to, choć tyle razy włożył jej do łóżka.

— Ty jej naprawdę nienawidzisz. To wielka siła.

— Tak. — Jadwiga uśmiechnęła się w duchu. Miała też coś jeszcze, o co nie podejrzewał jej kochanek. Talent do przetrwania.

— Daj mi ją. Nie pożalujesz — powiedział Fleischmann.

— Potrzebuję czasu, skarbie, tylko troszeczkę czasu — odparła.

Rzeczywiście go potrzebowała — żeby wszystko obmyślić, stworzyć układankę, która zapewni jej przetrwanie. I potrzebowała jeszcze kogoś, kto byłby jej sprzymierzeńcem w tej walce. Tak... Przetrwać. Kosztem wszystkich wokół, bez krępujących więzów moralności, etyki, religii czy czegokolwiek tam innego.

BERLIN LICHTERFELDE, JESIEŃ 1943

Johann von Dohnányi nie rzucał słów na wiatr — naprawdę chciał zapoznać Magdę Pohl ze swoimi przyjaciółmi. Od 1942 roku, od czasu powrotu z frontu, z Rosji, nie był już tym samym człowiekiem co wcześniej. Zdeterminowany, żeby coś zrobić, poprzez znajomości swojego wuja Hansa trafił do kręgu przyjaciół grafa Petera Yorcka von Wartenburga⁴⁴.

— Kim oni są? — Magdalena chciała się dowiedzieć o nich jak najwięcej.

— To zaufani ludzie, którzy mówią o Niemczech, jakie powinny być: demokratyczne, chrześcijańskie i po prostu normalne. Wiem, że podzielają twoją pasję do walki z narodowymi socjalistami. To miejsce dla ciebie.

Dała się przekonać. A Johann, wprowadzając Magdę w krąg, zapewnił grafa, że można jej ufać.

— Bardzo mi miło, że mogę panią poznać — powitał ją Peter Yorck von Wartenburg.

— Panie hrabio... — Magda podała mu rękę. Co za zbieg okoliczności, pomyślała. Wszak nie tak dawno poznała innego hrabiego, który miał jednak nieco odmienne metody walki z Hitlerem.

— To właśnie jest dziewczyna, która wciągnęła mnie w gazety i broszury — dodał Johann von Dohnányi.

— Doprawdy? To pani? — zainteresował się graf. — Widziałem kilka egzemplarzy tych ulotek. Są naprawdę znakomite i celnie pokazują, jaki morderczy tyran nami rządzi.

— Miło mi podwójnie, choć autorzy muszą pozostać anonimowi — powiedziała Magda.

Spojrzała na Johanna. Nie zdradził jej tajemnicy nawet im.

Spotykając się tutaj, w domu grafa, wszyscy ryzykowali życie. W Niemczech hitlerowskich Gestapo było tak silne z powodu powszechności donosicielstwa. Każdy mógł przekazać potajemnie informację odpowiednim służbom, że u grafa Petera Yorcka spotykają się jacyś ludzie. Dlatego oficjalnie pretekstem były dyskusje o niemieckiej literaturze (nie tej zakazanej, oczywiście) lub muzyce, a z racji powszechności tych zainteresowań wśród Niemców owe powody miały pozory prawdopodobieństwa, nawet dla Gestapo.

Żaden z tych opozycjonistów nie uwierzyłby, że materiały w ramach akcji „N” przygotowywali Polacy. Magda zdawała sobie sprawę z tego, że nawet ci — tak zwani dobrzy — Niemcy w gruncie rzeczy gardzili Polakami, a więc jakąś częścią niej samej. To nie pozwalało jej do końca czuć się jak u siebie w tej kulturze i języku, choć przecież oddychała tą kulturą i myślała po niemiecku.

— Mówimy tutaj o ważnych rzeczach — rzekł w końcu graf von Wartenburg. — Moja żona panią wprowadzi. Kobiety i mężczyźni są tutaj równi.

Marion Yorck von Wartenburg była prawniczką, głęboko zaangażowaną w działania opozycji. Omawiano tu wszystkie aspekty życia Niemiec po wojnie, już bez Hitlera i jego sfory — od polityki społecznej po politykę edukacyjną. Bardzo ciekawe doświadczenie. Na pierwszym spotkaniu wołała raczej słuchać, niż zajmować stanowisko. Jednak w pewnej chwili, gdy rozmowa zeszła na kwestię nieuchronności porażki w wojnie, zapytała:

— A zadośćuczynienie? Czy nie powinniśmy omówić i tej sprawy?

Magda była mistrzynią celnie stawianych pytań. Kwestia zadośćuczynienia, reparacji czy po prostu wybaczenia nie znalazła się na razie na liście omawianych w grupie tematów.

— Tak, bezwzględnie tak — odparł graf Peter Yorck von Wartenburg. — Niemcy powinny zadośćuczynić za swoje zbrodnie wobec Żydów.

— A wobec Polski? Tak po prostu pytam — pociągnęła temat Magdalena. — Pracowałam w Warszawie i widziałam, co tam się dzieje. Połowa z państwa nie wie lub nie chce wiedzieć, jak wygląda tam nasza okupacja. Polacy będą nas nienawidzić jeszcze przez sto lat i będą mieli rację.

Peter York von Wartenburg poprosił Magdę, aby następnym razem przygotowała referat poglądowy o niemieckiej okupacji w Polsce. Tym samym mogła polskiemu podziemi,

nawet bez jego wiedzy, oddać przysługę, która miała nie być nigdy nagrodzona ani spleacona. W tamtej chwili czuła, że robi coś dla dwóch swoich ojczyzn.

ŁÓDŹ, W TYM SAMYM CZASIE

Jadwiga Pohl intensywnie się zastanawiała, jak ująć całość z tej awantury. Przed wojną zrobiła niezły interes, wychodząc za męża za Aloisa, świeć tam Panie Boże nad jego duszą. Teraz też jakoś tam trwała, ale stawianie dłużej na Niemców, w tym na Fleischmanna, oznaczało zbyt wielkie ryzyko. Gestapowiec stał się dla niej w tym samym stopniu kłopotem co zyskiem. Brakowało jej umiejętności politycznego planowania swoich działań.

Zwykle dobrze spała, ale właśnie tej nocy usłyszała przez sen jakiś nieokreślony szmer. Budziła się już wcześniej w ciągu kilku ostatnich miesięcy z dziwnym niepokojem. Miała bowiem przeświadczenie graniczące z pewnością, że ktoś odwiedza pałac nocą. Tym razem była jednak przygotowana, gdyż Fleischmann dał jej swojego zapasowego walthera pp. Nauczył ją także przeładowywać i dbać o broń.

Gdy szmery i szuranie się powtórzyły, wstała z łóżka, ubrała szlafrok, nałożyła kapcie i sięgnęła po broń do szuflady. Przeładowała. Zeszła po cichu na dół. Teraz była już pewna, że jakiś złodziejasek zakradł się do kuchni i spiżarki. Słyszała coraz wyraźniej męski głos oraz głos starej Popiołkowej, służącej, teraz już schorowanej, którą dawno powinna była wyrzucić na zbity pysk. Stanowczo jednak zabroniła jej tego w jednym z listów z Berlina Magda, a Jadwiga — choć nie chciała — musiała się wciąż liczyć z jej zdaniem. Aż do teraz. Stara Popiołkowa kradła i była z kimś w zмовie. A tego Jadwiga darować nie mogła i nie chciała. Pchnęła drzwi do kuchni z wymierzonym pistoletem.

— Co się tu, u diabła, dzieje? — wrzasnęła wściekle.

Stara Popiołkowa była na serio przestraszona, ale plecami do Jadwigi stał jeszcze jakiś mężczyzna.

— Pokaż mi się, ptaszku, ale powoli. Ja naprawdę umiem używać tej broni — rzekła Jadwiga, by dodać sobie animuszu.

Mężczyzna powoli się odwrócił. Kobieta oniemiała na chwilę. Jak gdyby zobaczyła ducha...

— Pani Jadzia taka dziś ostra na mnie, a ja tutaj do matki w odwiedzinach przychodzę.

Przed nią stał Romek Popiołek, syn starej służącej, który tu ongiś pracował. Teraz był już kimś innym. Gdyby spotkała go na pustej ulicy w wieczór jesienny, z pewnością by się zlekła.

— Niech Jadwiga odłoży tę pukawkę — rzucił szorstkim tonem. — Porozmawiamy jak ludzie, choć jak mi tu moja mamusia opowiada, Jadwiga sobie niezłe poczyna. Ma nawet niemieckiego gacha.

— Co?! — wyszczała Jadwiga.

Cały czas mierzyła do niego z pistoletu, ale on się nie bał. Zaczął bardzo wolno do niej podchodzić.

— Bo strzelę!

— To strzelaj i sprowadź tu Gestapo. — Popiołek cały czas się do niej zbliżał.

W pewnej chwili błyskawicznym ruchem, tak szybkim, że Jadwiga nawet go nie zauważyła, wyrwał jej pistolet z dłoni.

— Oj, nieładnie się tak bawić bronią i mierzyć do mnie i mojej mamusi — rzekł Romek. — Dlatego pogadamy inaczej.

Zabezpieczył broń i schował ją do kieszeni, po czym chwycił Jadwigę i z całym impetem uderzył ją pięścią w brzuch, ale tak silnie, że nie mogła złapać tchu. Ból był wszechogarniający. Wdzierał się w każdy zakamarek żołądka.

— Oddychaj spokojnie, Jadwigo. Teraz porozmawiamy po mojemu.

Jednak całą tę rozmowę usłyszała Wanda Brychczyńska, która zaalarmowana głośną rozmową zesłała wkrótce po Jadwidze. Nie ujawniła się jednak.

ROZDZIAŁ XVIII

W matni

ŁÓDŹ, STYCZEŃ 1944

Była noc, kiedy Jadwiga Pohl po raz kolejny siedziała w kuchni swojego wielkiego domu. Wpatrywał się w nią Roman Popiołek, członek egzekutywy łódzkiej PPR i prawa ręka „Mietka”, czyli Mieczysława Moczara. Kariera Popiołka w strukturach PPR zaczęła się po zabójstwie Marcelego Nowotki jesienią 1942 roku. Wówczas młody mężczyzna przeszedł na stronę Gomułki i Fornalskiej. Ci zdecydowali, żeby zlikwidować braci Mołojców, których o ten mord posądzono. Dopiero wtedy Popiołek zyskał nieco swobody. Przyjechał do Łodzi i zaczął potajemnie odwiedzać matkę, która mieszkała w pokoiku obok kuchni w willi Pohlów i wciąż jeszcze co nieco potrafiła ugotować. Oprócz tego intensywnie rozwijał działalność partyjną. Działał też w Armii Ludowej. Jednak sprawy domu Pohlów nie zamierzał tak łatwo odpuścić. Na dziś przygotował kolejną porcję pytań.

— Od jak dawna pieprzysz się z tym Niemcem, Fleischmannem? Opowiadaj wszystko ze szczegółami.

— Nie rozumiem, po co to panu? Przecież się przyznałam. Szantażował mnie tym, że przekazałam podziemiu pewną sumę pieniędzy.

— Jakiemu podziemiu?

— ZWZ.

Popiołkowi to się nie podobało. Jadwiga już raz od niego dostała, tak mocno, że zapamiętała tę lekcję i nie miała ochoty jej powtórzyć. Jednak cała drżała, żeby Popiołek nie przejrzał jej do końca. Musiała poświęcić część reputacji.

— W zasadzie to powinniśmy cię ogolić na tyso jak sprzedajną niemiecką dziwkę — powiedział Popiołek tonem, jak gdyby taka groźba była czymś najnormalniejszym w świecie.

Jadwiga nie poznawała go. Pamiętała Romka jako spokojnego chłopca, który służył w tym domu.

— Ale przecież nie musi tak być, prawda, panie Romku? — Jadwiga zaryzykowała skrócenie dystansu.

Mógł w każdej chwili ją uderzyć, ale jednak tego nie robił. Najważniejsze teraz było, by uwolnić się od dwóch problemów jej życia: od Fleischmanna oraz od Magdy Pohl, która

odziedziczyła większość majątku. Tymczasem wdowa po Aloisie była po prostu chciwa i nawet się już tego przed samą sobą nie wstydziła.

— A co w zamian? — zapytał Popiołek.

Palił papierosa za papierosem. Jego matka gdzieś krzątała się w pobliżu.

— Mogłabym zrobić coś, co byłoby przyjemne dla mnie i dla pana, panie Romku...

Mężczyzna krył się przed jej wzrokiem gdzieś w cieniu.

— Gardzę takimi dziwkami jak ty — syknął. — Jedno wam tylko w głowie przez całe życie: mieć forszę i lada jakiego gacha sobie do łóżka wziąć. Gdzie jest wasza świadomość klasowa? Nie interesuje mnie to.

Jadwiga się zdziwiła, ale uznała, że Romek Popiołek zawsze był w jakiś sposób dziwny, nawet gdy przemykał po pokojach pałacu jako służący.

— A co pana interesuje?

— Partia potrzebuje pieniędzy.

— To się da załatwić.

— To nie wszystko. Ten dom ma zostać we władaniu ludu polskiego po wojnie, słyszysz? Ta wojna jest przez Niemców już przegrana. Zastanów się dobrze, kto będzie rządził? Ta klika z Londynu?

— To są legalne polskie władze — zauważyła Jadwiga.

— Gówno są legalne! Uciekły, więc są nielegalne! — Polityka doprowadzała Popiołka do pasji. — Powiem ci, Jadwiga, kto tutaj będzie rządził. My!

— Czyli kto? — zapytała. Właśnie dostrzegła dla siebie szansę w tej beznadziejnej sytuacji.

— Władza ludowa oparta na sojuszu robotniczo-chłopskim ze Związkiem Radzieckim. Zastanów się, po której chcesz się znaleźć stronie.

— Po zwycięskiej, oczywiście. Co będę z tego miała?

Popiołek się zdziwił, że szczodroblliwość jego oferty nie została zrozumiana. Jakże on się musi natrudzić!

— A nie wystarczy ci, że cię nie każę ogolić?

— Jestem panu bardzo wdzięczna, panie Romanie, ale po wojnie muszę z czegoś żyć.

— Posadę sekretarki dostaniesz. W urzędzie, który się będzie znajdował w tym pałacu.

— Chciałabym odpokutować moją winę — powiedziała Jadwiga. — Co z Fleischmannem?

— Odstrzelę go w swoim czasie. Na razie trzeba wyczyścić teren. Rozumiesz? Kim są ci dwoje, którzy tutaj mieszkają?

— Wanda Brychczyńska i... uciekinier z getta, Poldek Rosenman czy jakoś tak. Byli tutaj w trzydziestym ósmym roku. Pamięta pan?

Popiołek się zastanowił. Tak, pamiętał doskonale. Tych dwóch nadętych burżuazyjnych gogusiów — jak ich nazwał wtedy — i te dwie dziewczyny. Pamiętał też coś jeszcze — ten szczególny rodzaj rozpacz, gdy w pokoju Magdy Pohl rozgrywał się miłosny akt. Młody mężczyzna, ten Poldek jakiś tam, odebrał ją Romkowi. Tak, to pamiętał. Nienawidził go i nie chodziło o narodowość tamtego. Popiołek pragnął w życiu tylko jednej kobiety, która teraz była daleko, poza jego zasięgiem.

— Pozbądź się ich. A potem ja zabiję Niemca — zarządził. — W domu ma być tak, jak powie moja matka, zrozumiałaś?

— Tak, panie Romku.

— Masz kontakt z Magdą?

— Nie, jest w Berlinie.

— Faszystowska kurwa — syknął Popiołek. — Pamiętaj o naszej umowie.

Jadwiga rozumiała, że Popiołek nie jest człowiekiem zrównoważonym. Poniżenie, jakie odczuwał będąc dzieckiem klasy robotniczej, odcisnęło na nim swoje piętno. Kochał i pożądał Magdy Pohl — i nienawidził jej jednocześnie.

WARSZAWA, 1 LUTEGO 1944

Między końcem grudnia 1943 a dwudziestym stycznia 1944 roku Stefan Brychczyński brał udział w rozpracowywaniu w dzielnicy policyjnej (wszyscy uczestnicy musieli mieć odpowiednie przepustki) nowego szefa policji i SS. Stanowił ochronę trzech kobiet, które obserwowały wjazd i wyjazd limuzyny Opel Admiral. Samochód dygnitarza hitlerowskiego zawsze ruszał z alei Róż, spod narożnej kamienicy numer 2, i kierował się do Alei Ujazdowskich pod numer 23, do siedziby dawnego, przedwojennego konsulatu Niderlandów, gdzie pracował. Chodziło oczywiście o SS-Brigadeführera Franza Kutscherę. Rozkaz wydał dowódca Kedywu, generał Emil Fieldorf „Nil”. Grupa likwidacyjna AK zabiła kata Warszawy w samym centrum stolicy, pod oknami niemieckich urzędów, w dniu pierwszego lutego 1944 roku. Była to spektakularna, niezwykła akcja, choć przyszło za nią srogo zapłacić — Niemcy rozstrzelali w ruinach getta kilkaset osób do dziesiątego lutego i nałożyli na Warszawę kontrybucję wojenną w wysokości stu milionów złotych. Były to jednak ostatnie uliczne egzekucje w stolicy.

Stefan miał żal, że nie wzięto go pod uwagę w samej akcji. Jednak na spotkaniu z „Lalkiem”, swoim nowym bezpośrednim przełożonym, dostał inne zadanie.

— Komenda Główna potrzebuje kuriera do Berlina, który będzie się kontaktował z agentką „Martą”. Po rozbiciu naszej komórki AK w Berlinie mamy tam tylko ją. Ona musi dostać wsparcie. To są twoje nowe dokumenty. Od tej pory jesteś folksdojczem i nazywasz się Józef Hamer. Masz też nową pracę w przedsiębiorstwie handlowym. Tu jest trochę pieniędzy, z których się rozliczysz. A tu adres „Marty” w Berlinie.

— Zaskakuje mnie pan.

— Trwa wojna. Zbieraj się do wyjazdu — rzekł „Lalek”.

BERLIN, MARZEC 1944

Stefanowi Brychczyńskiemu, który nigdy wcześniej nie był w Berlinie, widok niemieckiej stolicy przygotowywanej do odparcia alianckiego nalotu sprawił przyjemność. Niemcy się boją, pomyślał. Po wyjściu z dworca na Friedrichstraße skierował się od razu do tramwaju. Niemiecki patrol żandarmerii sprawdził mu po drodze dokumenty: Ausweis na tożsamość folksdojczya oraz druk wyjazdu służbowego, dzięki któremu mógł się dostać do Berlina, były w porządku, nie musiał się tym razem obawiać zatrzymania.

Jechał z planem miasta w rękę, żeby znaleźć dom w dzielnicy Wedding. Tam miał mieszkać ktoś zaufany — kontakt od „Lalka”. Stefan nadenerwował się co niemiara, ale ostatecznie trafił do tej osoby. Mężczyzna pracował w berlińskiej policji i był synem polskich emigrantów, osiadłych tutaj około 1900 roku. Po polsku mówił dość dobrze, ale z wyraźnym niemieckim akcentem. Jan Kürbis był kontaktem operacyjnym AK w stolicy Niemiec i do tej pory uniknął aresztowania przez Gestapo — życzliwy, komunikatywny i nie zadawał zbędnych pytań.

W końcu dzięki jego pomocy Stefan znalazł skrzynkę kontaktową w szafce na pocztę i zostawił w niej wiadomość dla „Marty” z prośbą o spotkanie. Odczekał kilka dni, sprawdził odpowiedź. Ucieszył się — „Marta” się zgodziła. Wyzaczyła park miejski w dzielnicy Grunewald, pełnej eleganckich willi i samotnych ławek położonych w ustronnych, zacisznych małych zieleńcach. Przed wojną mieszkający w niej ludzie — bogaci, uprawiający wolne zawody, finansisci i arystokracja — mogli sobie pozwolić na wygodne życie. Ale i tutaj docierała powoli wojna. Stefan, jadąc na Grunewald tramwajem, widział, że bomby angielskie lub amerykańskie dosięgnęły też tego luksusowego zakątka Berlina. Kilka domów było zburzonych.

W miejscu opisanym przez Magdę Pohl miała znajdować się ławka — i rzeczywiście tam była. Stefan podszedł i naturalnie usiadł, po czym wyjął książkę. Czekał na przybycie Magdy, której nie widział od kilku miesięcy. Zjawiła się dziesięć minut później. Dotarli do tego samego miejsca inną trasą.

— Miło cię widzieć — odezwał się Stefan. — To rzeczywiście idealne miejsce. Z dala od ludzi.

— Tutaj jest znacznie trudniej, niż myślałam. — Magda przeszła od razu do rzeczy. — Pracuję w niemieckim MSZ, ale nie dotarłam na razie do żadnych istotnych źródeł informacji. Jedyne, co mogę zaproponować, to kontakt ze spiskowcami.

— A są tacy? — zdziwił się Brychczyński.

— Niewielu, za to bardzo zdeterminowanych. Mój... — przerwała, bo nie była pewna, czy chce, żeby Stefan wiedział o jej relacji z Johannem. — Mój przyjaciel jest bardzo mocno zaangażowany w ten spisek. Ma to coś wspólnego z Armią Rezerwową, której sztab jest tutaj, w mieście.

— Co jest jego celem?

— Zabicie Hitlera i przejęcie władzy. Chcę, żebyś o tym zameldował komu trzeba w Warszawie.

— Czy masz jakiś pisemny raport?

— To zbyt ryzykowne. Na razie nie widzę szans na tak spektakularne akcje jak bomba na dworcu⁴⁵. To zwróciło uwagę Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy na wątek polski i wszystkie osoby polskiego pochodzenia są teraz pod szczególnym nadzorem. Nie mam żadnej możliwości kontaktu z ludźmi z rozbitej siatki, która wysadziła dworzec. Gestapo pracuje szybko i sprawnie.

To nie były dobre wiadomości. Jednak Magda nawiązała kontakt z ludźmi, którzy chcieli zabić Hitlera. Stefan zamelduje o tym w Warszawie po powrocie. Z pewnością określenie stosunku AK do spiskowców niemieckich będzie przedmiotem dyskusji.

— Będę przyjeżdżał co jakiś czas — powiedział.

— Dobrze, ale nie ryzykuj. W zasadzie nie powinnam, ale mam do ciebie pytanie, Stefan...

— O co chodzi?

— O moje sprawy w Łodzi. Nie namawiam cię do prywaty, ale chodzi też o twoją siostrę. Pracuje w moim domu, jak wiesz. Mam jednak pewne obawy co do mojej macochy i winna ci jestem przeprosiny za to, że dopiero teraz cię ostrzegam.

— Co zrobiła?

— Sądzę, że zdradziła. Musisz zabrać stamtąd Poldka i Wandę, póki nie jest za późno. Tutaj masz pieniądze na ich utrzymanie. — Mówiąc to, wręczyła mu kopertę.

— Postaram się coś zorganizować. Ale potrzebny mi będzie pretekst, żeby się tam pojawić.

— To oczywiste. Chodzi o to, żeby nie prowokować Jadwigi do jakichś gwałtownych ruchów. Pojedziesz tam z mojego polecenia. Zabierz ich stamtąd!

Magda miała silne przeczucie, że dom, gdzie ongiś spędzili jej urodziny, przestał być bezpiecznym miejscem. Nie zdawała sobie jednak sprawy ze skali zagrożenia.

Ich spotkanie dobiegło końca. Rozeszli się w różne strony.

ŁÓDŹ, DWA TYGODNIE PÓŹNIEJ

Po tylu latach okupacji Stefan Brychczyński miał już pewne obycie w sprawach konspiracji i dysponował sporym doświadczeniem. Zaalarmowany przez Magdę, stwierdził, że musi

ustalić wspólnie z ludźmi z okręgu łódzkiego Armii Krajowej, czy Jadwiga Pohl faktycznie zdradziła. W tym celu w drodze powrotnej udał się do Łodzi, korzystając z przepustki uprawniającej do wielokrotnego przekraczania granicy między Generalnym Gubernatorstwem i Rzeszą.

W mieście umówił się na spotkanie z szefem okręgu AK, pułkownikiem Michałem Stempkowskim „Grzegorzem”.

— Prosił pan o spotkanie w trybie nagłym. Co się stało?

— Proszę o ustalenie, czy Jadwiga Pohl, wdowa po znanym łódzkim fabrykancie, nie jest zdrajczynią. Istnieją mocne poszlaki. Czy możecie dać jej ogon? Proszę o to z ważnego powodu.

— Czy mógłbym wiedzieć jakiego? — zapytał pułkownik „Grzegorz”.

— Chodzi o ochronę naszej agentki, która jest w Berlinie. Podejrzewam, że jej dekonspiracja może nastąpić tutaj, na pana terenie.

— Dziwi mnie pana pytanie. Jadwiga Pohl dała podziemiu sporo pieniędzy kilka lat temu. Nie znajduję podstaw, by przychylić się do pana prośby.

— Bardzo pana o to proszę — nalegał Brychczyński.

Upierdliwy kurier z Berlina był ważny i „Grzegorz” nie mógł go tak po prostu zignorować. Dali sobie cztery dni. Brychczyński miał poczekać w Łodzi na wynik obserwacji.

— Kontakt przez zegarmistrza na ulicy Pocztowej. Teraz nazywa się Poststraße. Szybko pan odnajdzie.

*

Wanda Brychczyńska, zatrudniona w pałacu Pohlów jako pomoc i sprzątaczką, miała sporo pracy, do tego uciążliwej, ale dającej przynajmniej dach nad głową i jedzenie. A to w czasie okupacji naprawdę dużo znaczyło. Długi okres, w którym praktycznie nie widziała się z bratem, nie doskwierał jej tak nadmiernie — bardzo pokochali się z Poldkiem. Tego dnia dostała od pani Jadwigi listę zakupów. Musiała wypełniać jej polecenia, więc posłusznie wybrała się na miasto. Polakom nie było wolno poruszać się swobodnie po Łodzi, gdyż sporo ulic i lokali było zarezerwowanych tylko dla Niemców, droga do sklepów zajmowała jej zatem więcej czasu.

W pewnej chwili poczuła, że ktoś idzie tuż za nią. Zaniepokoiła się.

— To ja, Wando... Siostrzyczko! — usłyszała uspokajający głos.

Poznała natychmiast — to Stefan! Tak długo się z nim nie widziała. Od razu się zreflektowała, że coś musiało się stać.

— Chodź ze mną do kościoła ewangelickiego Świętej Trójcy, tu, niedaleko — powiedział Stefan.

Piotrkowska — główna, reprezentacyjna arteria miasta — nazywała się od prawie czterech lat Adolf Hitler Straße i nie wszystkie miejsca na tej ulicy były otwarte dla Polaków. Na przykład kościół pod wezwaniem Podwyższenia Krzyża Świętego był tylko dla ludności niemieckiej, ale paradoksalnie do ewangelickiego mogli Polacy wchodzić, ponieważ przed wojną istniała w mieście spora grupa polskich ewangelików. Poszli do tego majestatycznego budynku i usiedli na ławce. Rozmawiali cicho.

— Braciszku kochany... — Wanda łatwo się wzruszała. — Co się z tobą działo przez tyle czasu...?

— Nie pisałem, żeby cię nie narazić. Łódź to jest jednak Reich. Ale twój czas, siostró, w tym mieście się kończy. Robi się niebezpiecznie. Czy możesz mi odpowiedzieć na kilka pytań?

— Tak, proszę, pytaj. — Wanda poczuła się zdezorientowana.

— Czy Jadwiga Pohl z kimś się spotyka? Ktoś do niej przychodzi?

Dziewczyna nie musiała się długo zastanawiać.

— Pytasz o tego Niemca, Fleischmanna?

Stefan czuł, że wzbiera w nim gniew. Ależ Magda miała nosa! — pomyślał.

— Kim on jest?

— To esesman stąd, z Łodzi. Wydaje mi się, że oni są od pewnego czasu ze sobą związani, ale pani Jadwiga nic mi złego nie zrobiła.

— To może się zmienić. Wracam z Berlina, gdzie widziałem się z Magdą. Ona od dłuższego czasu to podejrzewała. Coś z tym musimy zrobić. Oni oboje są śmiertelnym niebezpieczeństwem dla ciebie i dla Poldka. Co u niego?

— Pracuje w fabryce Pohlów jako folksdojcz. Na tych papierach przyjechał przecież z Warszawy. Co zrobimy?

— Zbieram informacje, ale przysięgam ci, że znajdę sposób, żeby cię stąd wydostać. Przysięgam, siostrzyczko. Ciebie i Poldka — dodał pospiesznie. — A teraz idź, jeśli nie wrócisz do domu, wzbudzisz tylko podejrzenia.

— Ile mamy czasu?

— Umówmy się za trzy dni. Nie mogę działać sam w tej sprawie. Wracaj do Pohlów i zachowuj się, jak gdyby nigdy nic.

Wanda jednak musiała opowiedzieć mu o czymś jeszcze — o tym, co słyszała którejs nocy. To mocno zaniepokoiło Stefana. Kim był ten Popiołek? Skąd się wziął?

— Wydaje mi się, że pracował w tym domu jako służący. Jest synem kucharki, starej Popiołkowej, dobrej kobiety. Żal mi jej, bo naprawdę ciężko pracuje w kuchni, a jeszcze w jej wieku...

— Powtórz mi raz jeszcze kontekst — poprosił Stefan. — Ze szczegółami.

Wanda przekazała mu ponownie, co wie, i dodała, że ów Popiołek pojawił się w domu Pohlów niejedyn raz. Stefan szybko doszedł do wniosku, że nie mógł być z AK. Wyskoczył jak diabeł z kapelusza! Trzeba to wszystko sprawdzić i zapytać pułkownika „Grzegorza”, czy kontrwywiad AK czegoś o nim nie wie, pomyślał.

Jeszcze tego samego dnia zaniósł do zegarmistrza ustne pytanie o Popiołka.

*

Dwa dni później Jadwiga Pohl podjęła decyzję. W zasadzie nie miała nic przeciw Żydom. Widywała ich w tym mieście przed wojną, nic złego jej nie zrobili. Kilka razy nawet była wtedy w żydowskiej restauracji z Aloisem i podobało się jej. Szczególnie smakował jej czulent. Teraz jednak musi wyeliminować świadków swej zdrady, żeby potem móc się oczyścić w nowej Polsce, którą uosabiał Popiołek.

Perspektywy były na razie niedobre. Trwała w związku z gestapowcem, który słusznie podejrzewał ją o różne nieczne uczynki, ale wejście w jej życie komunisty Popiołka wywracało wszystko do góry nogami. Jadwiga chciała przede wszystkim być bezpieczna. A jeśli ceną za to będzie śmierć jakiegoś człowieka? Czy jej sumienie to zniesie? Tyle razy zadawała sobie to pytanie. Ilekroć ogarniały ją wątpliwości, tylekroć próbowała uciszyć sumienie szklaneczką czegoś tam, z barku zmarłego męża. Alois lubił markowe alkohole i ona też je po latach polubiła. Pozwalały zapomnieć. A było o czym. Jadwiga próbowała zderzyć z siebie prawdę i ukryć ją głęboko, do najciemniejszej jamy, gdzieś na dnie duszy — o ile w ogóle można opisywać to takimi porównaniami. Ale przejrzał ją jej gestapowski kochanek, Fleischmann. Któregoś dnia, po szybkim seksie w pokoju hotelowym, zapytał od niechcienia:

— To jak to było z twoim mężem, kotku?

— Nie rozumiem, o czym mówisz. — Jadwiga miała zestaw prostych i skutecznie odparowujących ciosy odpowiedzi.

Ale Fleischmann nie był osobą, którą można tak po prostu zbyć.

— Ty go zabiłaś, czy razem z córeczką tatusia to zrobiliście? — ciągnął, leżąc na łóżku nago i grzebiąc palcem w uchu.

Wydobyta woskowinę wytarł o pościel. Tego już Jadwiga Pohl nie zdzierzyła.

— Jak możesz mówić takie rzeczy?!!! — krzyknęła, wykorzystując obrzydzenie, które poczuła, zobaczywszy jego gest. Wciąż była dobrą aktorką.

— Mogę, skarbie, ponieważ jak już wiesz, przed wojną byłem policjantem. I doszedłem do tego drogą prostej dedukcji. Obie zyskałyście majątek, wcale nie mały, jak na warunki naszej biednej, kurczącej się i bombardowanej Rzeszy.

Rzeczywiście, sytuacja Niemiec zdawała się pogarszać — na początku lutego 1943 roku w Łodzi zamknięto wszystkie teatry niemieckie, restauracje i kluby muzyczne na znak

żałoby po klęsce pod Stalingradem. Dla wielu oznaczało to, że wojna nie idzie po myśli Führera i czas o siebie zadbać. Takim człowiekiem był właśnie Fleischmann.

Jadwiga usiadła na skraju łóżka i zapłakała. Jako aktorka umiała robić to przekonująco, ale tym razem ładunek emocjonalny rozmowy był niewyobrażalnie ciężki. Musiała znów odnaleźć na dnie duszy tę straszną rzecz...

— Na mnie nie działa twój płacz, skarbie. — Esesman zapalił w łóżku papierosa. — Zabiłaś go czy nie? Nic ci nie zrobię. Jeden trup mniej czy więcej nikogo już nie zdziwi na tej wojnie. Nie mazgaj się.

Jadwiga uspokoiła się.

— Czego chcesz? — zapytała.

— Pieniądzy.

— Dałam ci już tyle...

— Mało — przerwał jej bezceremonialnie. — Kochanie, jest wojna, a ja zajmuję dość specyficzne stanowisko. Chciałbym zabezpieczyć przyszłość. Nie patrz tak na mnie. Nic ci nie grozi, jeśli mi powiesz prawdę.

Kobieta postanowiła grać do końca.

— Nie zabiłam go — powiedziała cicho.

Wiedziała, że w żadnym wypadku nie może się do tego przyznać.

— Więc zrobiła to córeczka... — Fleischmann popatrzył na nią przeciągle.

— Ona też tego nie zrobiła. — Jadwiga poczuła, że nadszedł ten moment. — Ale zrobiła coś innego, co powinno cię żywo zainteresować.

— Cały zamieniam się w słuch, moja droga.

— Ona ukrywa u nas w domu Żyda. Jeśli chcesz się dostać do Magdy Pohl, której przyznaję, nie znoszę, zabierz się za niego. Dodam, że był u nas w trzydziestym ósmym na jej urodzinach, razem z jej przyjaciółmi. Wydaje mi się, że chyba się w nim kiedyś durzyła, więc jego życie ma dla niej wartość sentymentalną.

— No wreszcie coś! — Fleischmann wstał i zaczął się ubierać.

Zatem udało mi się przekierować jego uwagę na kogoś innego, pomyślała. Po chwili uświadomiła sobie, że właśnie zabiła człowieka, i to całkiem na trzeźwo. Najbardziej ją zaskoczyło, że nie odczuwała żadnych wyrzutów sumienia.

*

Stefan Brychczyński spotkał się po raz kolejny z pułkownikiem „Grzegorzem”, który z niechęcią potwierdził słowa jego siostry o uwikłaniu wdowy po Aloisie Pohlu w romans z esesmanem. Zasługiwała co najmniej na ogolenie głowy, ale to dla Stefana było za mało.

Jednak najgorsze „Grzegorz” zachował na koniec.

— „Osa”, według naszej wiedzy ów Popiołek, którym się zainteresowałeś, to komuch. Człowiek bojówki PPR, aktywny tutaj, w Łódzkiem, gdzie czerwoni byli silni jeszcze przed wojną.

— No tak — westchnął Stefan. — Robotnicze miasto...

— Prawdę powiedziawszy, zaczyna się robić ciekawie. Na razie wiemy, że Popiołka matka jest u Pohlów kucharką czy służącą, ale być może pałac jest w istocie miejscem spotkań dwóch naszych wrogów. Pomyśl...

— Chce pan powiedzieć, że Fleischmann i Popiołek razem coś tam knują?

— Wiedza komunistów o nas jest dla Gestapo bezcenna. Były spore aresztowania w czterdziestym drugim u nas.

— Co pan radzi? — zapytał Stefan. — Nie chcę działać bez rozkazu.

Pułkownik się zastanowił. Musiał podjąć decyzję w interesie podziemia. Sprzątnięcie esesmana, jego kochanki, która mogła zaszkodzić agentce w Berlinie, i komunistycznego prowokatora PPR opłacało się Armii Krajowej.

— Wyrażam zgodę. Dostaniesz oddział egzekucyjny do swojej dyspozycji. Czas wykonania akcji: jutro o dwudziestej pierwszej.

Stefan odetchnął. Dopiął swego.

NASTĘPNEGO DNIA

Fleischmann wiedział, że Żyd z domu Pohlów mu nie ucieknie. Jadwiga będzie milczeć, a tamten niczego się nie domyśli. Musiał teraz zadbać o to, aby przestępstwo ukrywania rasowego wroga Rzeszy Niemieckiej zostało — w sposób niebudzący wątpliwości — zaprotokołowane.

Następnego dnia po schadzce Gestapo oficjalnie zatrzymało Jadwigę Pohl jako świadka. Oczywiście kobieta była przestraszona, ponieważ Fleischmann jej nie uprzedził, nic jej nie powiedział, jak wygląda procedura donosu. Gestapo zbudowało swoją potęgę na donosicielstwie. Przed wojną w Kolonii pracowało tylko czterdziestu pracowników Gestapo na etatach — i to wystarczyło do roztoczenia nad miastem sieci kapusiów. Niemcy sami przychodzili i denuncjowali sąsiadów sprzyjających Żydom, homoseksualistów czy nawet osoby, które nie pozdrawiały ich na ulicy niemieckim wzniesieniem w górę prawej ręki.

Jadwiga, gdy już dowiedziała się, po co została wezwana, złożyła obszernie zeznania. Żyd ukrywał się w domu Pohlów bez jej aprobaty, gdyż nie mogła się oficjalnie sprzeciwić swojej pasierbicy, która wykorzystując stanowisko w niemieckiej administracji, załatwiła mu papiery na niemieckie nazwisko. To pozwoliło Żydowi przybrać tożsamość osoby wpisanej na niemiecką listę narodową, co z kolei dawało mu niesłuszne przywileje. Fleischmann skrzętnie wszystko zanotował, przystawił pieczęć urzędu Gestapo i dał Jadwidze protokół do podpisania. Ta złożyła zamaszysty podpis piórem wiecznym.

— Kiedy problem będzie rozwiązany? — zapytała.

— Dziś wieczorem przyjedziemy. Zatrzymamy też tę Polkę, która u was pracuje.

Jadwiga zgodziła się na wszystko.

*

Tymczasem Roman Popiołek znów się pojawił w Łodzi, ponieważ w mieście działała struktura Polskiej Partii Robotniczej, do której weszło trochę skomunizowanych przedwojennych związkowców, nieliczni działacze przedwojennej Komunistycznej Partii Polski, którzy uniknęli rozwałki podczas wielkiej czystki u Sowieców i w roku 1937 odmówili wyjazdu na wycieczkę do Moskwy. Zamierzał w porozumieniu z szefem okręgu partyjnego PPR (który pokrywał się z okręgiem łódzkim Armii Ludowej) wykorzystać swoją nową znajomość i zatrudnić kilku towarzyszy w fabryce Pohlów, czemu Jadwiga — jak mniemał — nie będzie przeciwna. Popiołek nienawidził tego domu, a jednocześnie — przewrotnie — czuł się z nim związany. Jak tylko sięgał pamięcią, wszystkie wspomnienia łączyły się z tym pałacem.

Poza tym miał tam matkę. Mówi się, że prawdziwy komunista powinien dla partii poświęcić wszystko, nawet rodzicielkę. Ale Popiołek nie potrafił tego zrobić. Dlatego po szkoleniu nowych członków partyzantki PPR — Armii Ludowej, po pracy partyjnej w terenie, przemykał cicho do Pohlów, do matki. Tak miało być i tego wieczoru.

*

Na wielkim zegarze w holu pałacu Pohlów, wspaniałym dziele zegarmistrzów z Londynu z drugiej połowy wieku XIX, wybiła godzina siedemnasta. O tej mniej więcej porze Poldek pojawiał się w domu. Wchodził zazwyczaj wejściem dla służby i szybko szedł do Popiołkowej coś zjeść. Czasami była to zupa, a czasami czerstwy chleb usmażony na smalcu. Tak było i tego dnia. Zazwyczaj schodziła do niego Wanda. To był jedyny sposób, by zamienić kilka zdań, pobyć ze sobą.

Dziś jednak dziewczyna czekała na niego wyraźnie zdenerwowana.

— Kochany, muszę ci coś powiedzieć, jak zjesz — szepnęła mu do ucha.

Chciała uniknąć bystrego ucha starej Popiołkowej, która krzątała się w pobliżu, a potem wszystko opowiadała synowi. Po skończonym skromnym posiłku Poldek przyszedł do pokoju Wandy.

— Jest niebezpiecznie, przygotuj się do opuszczenia Łodzi.

— Co się stało? — zaniepokoił się młody mężczyzna.

Wanda opowiedziała mu o nieoczekiwanym spotkaniu na ulicy z bratem. Kazał się zorganizować na dziś. Taka decyzja nie była dla Poldka prosta — miał tu pracę i dobre fałszywe papiery.

— Możesz jednak stracić życie — podsumowała dziewczyna.
Postanowił jej posłuchać.

*

Stara Popiołkowa umyła naczynia. Pani Jadwiga widocznie jadła dziś na mieście z tym „swoim Szwabem”, jak mówiła po cichu stara gospodyni. Czekwała na syna. Odkąd Romek wrócił, przybyło jej energii. Każdego dnia wypatrywała, żeby znów go zobaczyć. Nie interesowała się tym, jakie ma poglądy i czy służy komunistom. Rozejrzała się — wszystko w porządku, kuchnia była posprzątana, a na Romka czekała porcja klusek ziemniaczanych.

Wreszcie się zjawił. Przychodził zawsze od strony ogrodu, by nikt go nie zauważył. Przeskakiwał przez płot. Szedł do matki, ale mimo że był po szkoleniu w Moskwie i odpowiadał za bezpieczeństwo PPR w Łódzkim zaraz po Mieczysławie Moczarze, nie chciał, by go zauważono wchodzącego do domu Pohlów. W gruncie rzeczy w głębi serca pozostał służącym.

— Cześć, matka — przywitał się.

Stara uśmiechnęła się na jego widok.

— Kluski zjesz?

Pokiwał głową. Z jedzeniem na prowincji ciężko. Niemiec niemożliwie żyłował wieś. Nie wolno trzymać świniaka, nie wolno go zabijać, na ziemniaki kontyngenty tak okrutne, że chłopci wołają, żeby zgniły, niż żeby Niemcy mieli je dostać.

— Przyjdzie czas, matka, że pogonimy stąd Pohlów i innych Niemców i lud polski będzie tu rządził.

— Pohlowie dobre ludzie są. — Popiołkowa nieodmiennie broniła pracodawców.

— Matka ich broni, ale oni mamusię wykorzystywali i dalej to robią.

— Ale mam gdzie spać i mam co jeść, tak jak ty teraz.

Matka była chłopką, która udała się do Łodzi przed wieloma laty ze wsi w Sieradzkim. Dla chłopki z biednej rodziny mieć cokolwiek to zawsze lepiej, niż tylko marzyć o nieistniejącym świecie. Z tego powodu Roman Popiołek nie mógł znaleźć z nią wspólnego języka.

— Matka, obiecuję, że po wojnie nie będziesz już nigdzie pracować. Ja ci to gwarantuję.

— Pożyjemy, zobaczymy.

I kto wie, co by było dalej, gdyby nie to, że młody mężczyzna miał naprawdę dobry słuch. Natychmiast się zorientował, że przed posiadłość zajechały samochody. Dwa silniki — jeden od osobowego i jeden od cięższego, wiozącego ludzi. Wkrótce niemieckie okrzyki poniosły się w wieczornym powietrzu przez otwarte okno do kuchni. Popiołek instynktownie chwycił za broń. Przeładował pistolet. Popiołkowa przestraszyła się, ale jednego synowi odmówić nie mogła — trafnie odgadywał zagrożenia.

*

Gdy Niemcy zajeżdżali przed pałac Pohlów, grupa likwidacyjna AK widziała ich z okien lokalu zajętego doraźnie na akcję. Z auta osobowego wysiadło dwóch esesmanów, w tym Fleischmann. Z więźniarki wyskoczyło czterech strażników z bronią automatyczną.

Stefan Brychczyński szepnął do ludzi „Grzegorza”:

— Przekłęta Jadwiga Pohl, nie spodziewałem się, że tak szybko zakabluje.

Musieli działać. Stefan ocenił, czy Niemcy szybko dadzą radę sprowadzić pomoc w razie ataku — było takie ryzyko. Wprawdzie pałac Pohlów nie znajdował się w ścisłym centrum, ale czas na podjęcie decyzji się kończył.

— Musimy poczekać — rzekł po chwili. Nie wiedział, jak rozwinie się sytuacja.

*

Niemcy nie spodziewali się żadnego ataku. Dla Fleischmanna prawdziwym celem nie byli ani ukrywający się Poldek, ani Wanda Brychczyńska. On po prostu nie znosił bogatych ludzi. Przed wojną należał do SA — w czasie gdy przywódca tej bojówki, Ernst Röhm, głosił oprócz antysemitycznych także hasła antykapalistyczne. Te poglądy kosztowały go życie, gdyż Hitler kazał go zlikwidować w 1934 roku i SA straciła znaczenie. Wówczas Fleischmann bardzo szybko zmienił front i wstąpił do SS. Teraz chciał dopaść i upokorzyć Magdalenę Pohl — dlatego, że była bogata, lepsza pod każdym względem od wszystkich Niemców, jakie poznał w życiu. Nie jest przecież tajemnicą, że ludzie nienawidzą tych, którzy są od nich piękniejsi, mądrzejsi, bogatsi, bardziej moralni... lub po prostu lepsi z jakiegokolwiek powodu. Człowiek to zawistne i bezwzględne stworzenie, nade wszystko jednak egoistyczne.

Fleischmann i jego żołnierze weszli do pałacu. Zobaczyła ich Wanda Brychczyńska, ale zachowała zimną krew — wiedziała, że brat jest w pobliżu.

— Słucham panów — powiedziała po niemiecku. — Właścicielka posiadłości, pani Magdalena Pohl, jest w Berlinie.

— Co za niemiecki! — parsknął rozbawiony Fleischmann.

Jego żołnierze zarechotali.

— Dokumenty!

Wanda podała mu zaraz swój Ausweis oraz świadectwo pracy, żeby nie było wątpliwości, że jest tutaj legalnie. Wiedziała, że to nie ma żadnego znaczenia — oni przyszli tu po nią i Poldka.

— Przeszukać! — Esesmani się rozbiegli.

Jeden poszedł wprost przez jadalnię do kuchni, ale tam rozległ się strzał. To Popiołek, który przyszedł w odwiedziny do matki, strzelił pierwszy do Niemca i zabił go na miejscu. Popiołkowa krzyknęła. To zaalarmowało pozostałych żołnierzy, którzy pobiegli do miejsca,

skąd padł strzał. Popiołek zbił okno kuchenne i wyskoczył na zewnątrz. Jeden z Niemców, ujrawszy kolegę leżącego w kałuży krwi, puścił serię w stronę starej Popiołkowej. Jej krew obryzgała ścianę kuchni. Ale dla Niemców nie miało przecież żadnego znaczenia, kogo i gdzie zabijają. Dla nich Polacy byli niczym.

Hałas zaalarmował Poldka, który przypuszczał, że przybyli po niego. Nie chciał się oddać w ich ręce. Ostrzeżony przez Wandę o konieczności ucieczki, przyniósł sobie dopiero co siekierę z komórki z narzędziami w piwnicy, do niedawna pełnej drogich win. Mieszkając tutaj, poznał przecież dobrze ten wielki dom.

Po zabiciu starej Popiołkowej Niemcy puścili za uciekającym Romkiem kilka serii z pistoletu maszynowego. Wystrzały zaalarmowały grupę Stefana, ukrytą w zabudowaniach naprzeciwko pałacu. Mężczyzna był przekonany, że żołnierze przystąpili do likwidacji wszystkich domowników. Ruszyli więc naprzeciw przeznaczeniu. Musieli w biegu przebyć kilkadziesiąt kroków. Stefan zastrzelił Niemca pilnującego aut i kazał jednemu z akowców zająć miejsce w furgonetce i trzymać ją na gazie. Wszystko miało trwać przecież kilka chwil, nie dłużej. Akowcy wpadli do domu Pohlów w momencie, kiedy Niemcy rozbiegli się po pokojach, by znaleźć Żyda, na którego obecność poskarżyła się w złożonym donosie Jadwiga.

Ona sama zeszła właśnie z góry, zaalarmowana strzałami. Ujrawszy ją, Stefan — który przecież pamiętał ją ze spędzonego tutaj wieczoru w trzydziestym ósmym — bez namysłu do niej strzelił. Jadwiga dostała kulę w klatkę piersiową, a siła pocisku rzuciła nią o schody. W tym momencie Fleischmann zauważył Wandę i strzelił do niej dwa razy, za drugim razem ciężko ją zranił. Stefan wpadł w szal. Puścił do Fleischmanna serię ze stena — esesman padł — i podbiegł do siostry. Osłaniał go akowiec, ostrzeliwujący dwóch Niemców na piętrze. Musieli się kryć, gdyż mężczyzna dobrze znał działanie stena, którego optymalne wykorzystanie w walce miejskiej polegało na strzelaniu krótkimi seriami z możliwie dużym polem rażenia. Rozpryskujące się kryształowe żyrandole musiały Niemców ranić lub znacznie utrudniać im pole ostrzału. Musieli się skryć.

Stefan obejmował siostrę i próbował ją wynieść. Na Boga, jak próbował! Ale kule Fleischmanna trafiły Wandę w szyję, z tętnicy bryzgała jej krew. Stefan rozpaczliwie próbował zatamować krwotok swoją czystą chustką do nosa.

— Siostro, nie zostawiaj mnie...!

Ale nie mógł zrobić nic więcej. Wanda straciła dużo krwi, już odpływała. Cały czas trwała strzelanina.

— „Osa”, do cholery, nie damy rady! Oni strzelają z góry — zauważył przytomnie jeden z członków grupy likwidacyjnej.

W międzyczasie Poldek zaatakował siekierą jednego z Niemców przy wyjściu z piwnicy. Ostrze zgrzytnęło na kręgosłupie, Niemiec zawył, po czym zwałił się na podłogę jak kamień.

Działo się to przy końcu korytarza wiodącego z jadalni, na prawo znajdowała się kuchnia. Poldek chciał jak najszybciej znaleźć się przy Wandzie, ale między nim a jej ciałem, nad którym pochylał się Stefan, leżał Fleischmann, poważnie ranny. Brychczyński przejechał mu po nogach krótką serią ze stena, ale esesman wciąż żył. Widział, jak Poldek zaatakował innego esesmana siekierą. Teraz sięgnął po pistolet, ale powoli, tak, żeby nie ściągnąć na siebie uwagi Polaków. Wymierzył. Gdy Stefan odwrócił w tamtą stronę głowę, było za późno. Niemiec oddał jeden celny strzał — w klatkę piersiową na wysokości serca. Poldek przewrócił się na wznak, tuż obok zabitego siekierą Niemca.

Stefan zaczął krzyczeć. Potem zupełnie tego nie pamiętał. Stojący obok niego akowiec podbiegł i zastrzelił Fleischmanna.

— Musimy uciekać! — powiedział do Stefana stanowczo.

Ale on jakby nie słyszał. Miał dłonie lepkie od krwi siostry. Nie mógł jej ocalić. Wandę z przestrzeloną tętnicą mogła uratować tylko szybka interwencja chirurgiczna w szpitalu, do którego nie mogli przecież pojechać. Łódź to przecież była Rzesza. Akowcy pod ostrzałem dwóch Niemców z piętra pałacu wycofali się, zgarnawszy ze sobą niemal bezwładnego „Osę”.

Po dwóch, może trzech minutach od wybuchu strzelaniny zapadła cisza. W pałacu Pohlów leżało siedem trupów: Jadwiga zastygła z wyrazem zaskoczenia na twarzy na schodach, Wanda wykrwawiła się na rękach brata i została w holu w kałuży krwi. Fleischmann leżał z oderwanym kawałkiem głowy, bo drugi akowiec dobił go strzałem z bliskiej odległości. Popiołkowa i jeden z Niemców w kuchni, przy końcu korytarza wiodącego do piwnicy, Poldek i drugi z esesmanów. Ósmy był żołnierz obok opla Fleischmanna, na zewnątrz.

Akowcy niemieckim samochodem wycofali się bez strat własnych.

ROZDZIAŁ XIX

Więzienie Plötzensee

BERLIN, KWIECIEŃ 1944

Magda Pohl dowiedziała się o tragedii, która wydarzyła się w jej domu, kilka dni później. Została wezwana na Gestapo celem złożenia wyjaśnień. Bardzo się zdenerwowała. Gestapowcy pytali, czy ktoś z domu miał kontakt z komunistami. Nie wiedziała. Gdy przedstawili jej listę trupów, starała się zachować kamienną twarz, ale świadomość, że Poldek i Wanda zginęli w jej domu, była straszliwa. I bardzo gorzka. Nie rozumiała, co się stało. Nie miała żadnego kontaktu ze Stefanem Brychczyńskim. Gestapowcy pytali, czy jest prawdą, że ukrywała w swoim domu w Litzmannstadt Żyda. Zaprzeczyła i wskazała, że osobą odpowiadającą za dom Pohlów była wdowa po jej ojcu, Jadwiga Pohl. Po czym, widząc wahanie śledczych, sama zapytała:

— Czy mogą panowie potwierdzić, że Jadwiga Pohl oraz pracownik gestapo w Litzmannstadt, niejaki Fleischmann, byli ze sobą związani?

Nie wiedziała tego na pewno. Domyślała się tylko na podstawie plotek, które do niej docierały, kiedy pracowała w Litzmannstadt. W takich rozmowach jak ta odpowiada się pytaniem na pytanie. A ponieważ nie postawiono jej zarzutów, uznała, że może kontratakować. To przyniosło efekt.

— To możliwe — odparł SS-Untersturmführer Scheller, który ją przesłuchiwał. — Znaleźliśmy w rzeczach osobistych Fleischmanna część biżuterii z pani domu oraz spory zapas gotówki. Nie jest możliwe, żeby zarobił takie pieniądze. W tej sprawie będzie się z panią kontaktować Kripo. Przysługuje pani status poszkodowanej.

Magda poczuła ulgę. A więc Jadwiga i Fleischmann byli po prostu chciwi.

— Ta biżuteria i pieniądze nie są mi potrzebne. Chciałabym je przekazać na rzecz naszych żołnierzy w szpitalach.

— To bardzo wspaniałomyślne z pani strony. Niepokoi mnie jednak — SS-Untersturmführer Scheller wpatrywał się w nią uważnie — pani działalność w Berlinie. Kim jest dla pani Johann von Dohnányi?

Udała zakłopotanie.

— To dość osobiste pytanie.

— Proszę odpowiedzieć — nalegał gestapowiec.

— To mój narzeczony. Planujemy wkrótce skromny ślub.

— Czy pani ma świadomość, w jakich kręgach obraca się pani narzeczony?

— Ależ ja... Mam do niego pełne zaufanie. Nie muszę odpowiadać na pytania dotyczące bliskiej mi osoby. Mniemam, że ani ja, ani mój narzeczony nie jesteśmy o nic oskarżeni?

Gestapowiec rzucił jej długie i nieprzyjemne spojrzenie. Ale zamknął teczkę.

— Na razie nie. Ale my obserwujemy.

Słowa *Wir beobachten* zabrzmiały jak ostrzeżenie. Mogła odejść. Na razie.

*

Magda bardzo ciężko przeżyła wiadomość, że w jej rodzinnym domu wydarzyła się tak okrutna rzeź. Mimo wszystko czekała na jakiś kontakt z okupowanej Warszawy. Może przyjedzie Stefan? Miał być kurierem do Berlina. W listopadzie 1944 roku przyjechał jednak ktoś inny — „Lalek” z dokumentami folksdojczy zatrudnionego w organizacji Todta. Spotkała się z nim w ogrodzie zoologicznym. Miała świadomość, że może ciągnąć za sobą dyskretny ogon Gestapo. Stanęli przed wybiegiem lwów. Mieli kilka minut na rozmowę.

— Nie spodziewałam się pana tutaj. Dlaczego nie przyjechał Stefan?

— Nie mógł — rzekł „Lalek”. — Po śmierci siostry zamknął się w sobie, współpracą z nim stała się trudna i musieliśmy go wysłać do lasu. Ale on i tak nie chciał zostać w Warszawie. Jest mu bardzo ciężko. Wanda... tak? Wanda zmarła mu praktycznie na rękach.

Magda czuła się winna, że nakłoniła Stefana do wyjazdu do Łodzi.

— Pani macocha była współpracowniczką łódzkiego Gestapo. Teraz wiemy to na pewno. Zginęła w strzelaninie razem z tym gestapowcem.

— Fleischmannem?

— Tak. Nie możemy cofnąć tego, co się stało. Chcemy natomiast, żeby dalej pani dla nas pracowała. Jest pani bardzo cennym kontaktem tutaj, w Berlinie. W zasadzie jednym z niewielu.

— Warunki są trudne, coraz trudniejsze. — Magda rozejrzała się dyskretnie. — Być może nie będę mogła już przekazywać wam informacji.

— O czym pani mówi? — zapytał „Lalek”.

— Pozwoli pan, że zapytam, czy Warszawa już wie o tym, na czym mi zależało?

— Stefan przekazał nam po śmierci siostry kontakt do pani w Berlinie. Uważamy, że polskie państwo podziemne nie może układać się z żadną niemiecką organizacją, dopóki armia niemiecka okupuje nasze terytorium i zabija Polaków. Sama pani rozumie, że to mrzonka.

— Zasmuca mnie to.

— Dlaczego? Czy sądzi pani, że owa hipotetyczna grupa, która chce śmierci Hitlera, wycofa wojsko z Polski? Śmiem w to wątpić.

— Myślałam... łudziłam się, że udane przejęcie władzy w Niemczech byłoby pożądanym dla Polski konkretem. Ale muszę przyznać, że szanse tej grupy są niewielkie.

— Co pani zamierza?

Magda westchnęła.

— Chcę opłakać przyjaciół. Będę na bieżąco informować pana lub kolejnego kuriera. Mój raport. — Podała „Lalkowi” zwinięty pasek. Instrukcja polskiego podziemia zobowiązywała kurierów do przechowywania wiadomości zaszytych właśnie w pasku. Gestapo jeszcze na to nie wpadło.

BERLIN, MAJ 1944

Niemcy coraz silniej odczuwali rozpętaną przez siebie ludobójczą wojnę. Alianckie bombardowania obracały ich miasta w perzynę. Magda, która bardzo przeżyła śmierć swoich przyjaciół w Łodzi, postanowiła tam przyjechać, żeby zamknąć sprawy domu. Nie chciała już w nim mieszkać. To miejsce już na zawsze będzie się jej kojarzyć ze śmiercią Poldka i Wandy. Bardzo chciała się spotkać ze Stefanem Brychczyńskim, ale ten po masakrze pozostawał nieuchwytny. Po namyśle przekazała dom na rzecz niemieckiego szpitala wojskowego, a fabryka została przejęta za jej zgodą przez organizację Todta. A ona sama wróciła do Berlina, by poświęcić życie tłącemu się spiskowi. Był obok niej człowiek, którego uznała za życiowego partnera.

Osiemnastego maja 1944 roku w berlińskim mieszkaniu Petera Yorcka von Wartenburga odbyła się skromna ceremonia zaślubin Magdaleny Pohl oraz Johanna von Dohnányiego. Nie chcieli brać oficjalnego ślubu w kościele ewangelickim, gdyż z mocy prawa pastor byłby zobowiązany zawiadomić o tym władze. To wiązałoby się z procedurą sprawdzenia, czy nie ma przeciwwskazań rasowych i w rezultacie ich małżeństwo byłoby prawnie usankcjonowane przez III Rzeszę. A oni tego nie chcieli. Tajny ślub był zatem formą sprzeciwu. Świadcami byli państwo von Wartenburg, gdyż Magda bardzo polubiła ich oboje.

— Zostaliśmy małżeństwem przed Bogiem i jego Opatrznością. Przyjmiemy razem to, co ma nadejść.

Potem był skromny obiad. Magda zauważyła, jak bardzo się zmieniła. Przed kilkoma laty wyprawiałyby wspaniałe przyjęcie, potrwałoby ono co najmniej dwa dni i odbyło się w ich pałacu w Łodzi. Zaprosiłaby licznych gości i wydała wielkie sumy na luksus, w którym wyrosła. To wojna ją zmieniła. Wraz z klęską Niemiec i postępującą naprzód Armią Czerwoną jej powrót do Polski — kraju, który wciąż w głębi serca uważała za swój — mógł się wkrótce okazać problematyczny. Ale nie myślała teraz o tym.

Po ślubie wrócili do mieszkania Johanna, które odtąd miało się stać ich wspólnym domem. Magda zauważyła, że jej mąż bardzo się wstydził swojego kalectwa.

— Przecież ty jesteś mój — szepnęła do niego czule.

Pocałowali się. Potem ściągnęli ubrania i stali się jednością. Magda po raz pierwszy całkiem świadomie uczestniczyła w tym miłosnym akcie — z pełnym pragnieniem, by stał się początkiem nowego życia. Bardzo tego pragnęła z uwagi na toczącą się wojnę. Tylu ludzi zginęło dla Hitlera, a ona pragnęła, by jakieś życie zrodziło się przeciw niemu.

BERLIN, 10 LIPCA 1944

Nadzieje okazały się płonne. Mijały tygodnie i życie w Berlinie stawało się coraz cięższe. Johann ściśle współpracował z hrabią von Wartenburgiem. Magda nie zadawała zbyt wielu pytań, ale którejs lipcowej nocy Johann powiedział jej:

— Wkrótce zapadnie decyzja.

Przytuliła się do męża.

— Kiedy to się stanie?

— Niebawem. On musi zginąć — rzekł Johann von Dohnányi. — Jeśli nam się uda, Niemcy i Europa zostaną uratowane. Peter będzie w nowym rządzie sekretarzem stanu następnego kanclerza.

— Kto ma nim być?

— Carl Goerdeler.

Magda słyszała o nim sprzed wojny — był nadburmistrzem Lipska w Saksonii. Czowała wielkie podekscytowanie tym, że zamach miał się dokonać wkrótce. Nie chciała ciągnąć męża za język i dowiadywać się wszystkich szczegółów. Gdyby je znał, nie powinien mówić o nich nawet żonie. Jednak zamach na Hitlera w przypadku powodzenia zmieniał zupełnie sytuację. Świetnie zdawała sobie z tego sprawę.

— Proszę, powiedz mi tylko... Jak mają wyglądać relacje nowego rządu z Polską?

Johann zawahał się.

— Mów prawdę — nalegała.

— Nie znam wszystkich szczegółów, ale Peter wspominał, że Niemcy chcą utrzymania zachodnich polskich ziem i raczej granicy z tysiąc dziewięćset czternastego roku.

— Sprzed pierwszej wojny? — zdziwiła się Magda.

— Tak.

Chcieli się wzajemnie zrozumieć, choć pochodzili z dwóch różnych światów. Ale dla Magdy to stanowiło duży zawód. Nawet niemiecka opozycja nie chciała lub nie potrafiła (na jedno wychodziło) uznać Polski za równorzędnego sąsiada. Nie mówiąc już o uznaniu niemieckich zbrodni w Polsce. Mimo to nie dawała wciąż za wygraną.

— Chciałabym się spotkać z Peterem i wytłumaczyć mu, że Polacy nigdy się na to nie zgodzą. Ja też się na coś takiego nie zgodzę. Poznań to kolebka Polski. Nie widzę możliwości współpracy z Polską, jeśli zapadnie taka decyzja.

— Kochana, posłuchaj mnie... — Johann ujął jej dłonie w swoje. — Gdybym ciebie nie poznał i nie pokochał, nigdy pewnie też nie dowiedziałbym się tak wielu rzeczy o Polsce i Polakach. Ale nie ukrywam, że większość moich znajomych z opozycji ma o nich bardzo niskie mniemanie. Dla większości z nich Polska to jest dziki bantustan.

Magda zaoponowała.

— Ta pogarda zaprowadziła Niemców do tego momentu, w którym jesteśmy teraz. Świat nienawidzi Niemiec. Nie będzie — Magda powiedziała to z wielkim naciskiem — nigdy pojednania ani wybaczenia, ani żadnej prawdziwej nowej Europy, jeśli Niemcy nie wyrzekną się swojego myślenia o Polakach i Polsce i patrzenia na nich z wyższością. Musisz to zrozumieć. Przecież chcecie wspólnej Europy, jej przebudowania, wyrzeczenia się nacjonalizmu, zerwania z hitlerowskim dziedzictwem. Tego nie da się zrobić bez pojednania z Polską i zwrócenia jej ziem, zagrabionych dzieł sztuki, wypłaty odszkodowania...

Pasja, z jaką żona mówiła to wszystko, zrobiła na oficerze niemieckiej Armii Rezerwowej wrażenie. Johann nigdy nie myślał w ten sposób, ale miłość do Magdaleny sprawiała, że próbował złapać jej punkt widzenia, zobaczyć świat i Niemcy takimi, jakimi ona je widziała. Była Niemką z rodziny, języka i kultury, ale też Polką — emocjonalnie, uczuciowo i z racjonalnego wyboru. Johann kochał ją taką, jaka była, i w pełni akceptował polską część jej osobowości.

— Czy Opatrzność da nam czas? — zapytał i pocałował żonę.

Żadne z nich nie znało odpowiedzi.

BERLIN, 20 LIPCA 1944

Tego dnia Magda pożegnała się bardzo wcześnie rano z mężem w ich berlińskim mieszkaniu.

— Źle sypiasz, Johannie. Co się dzieje? — zapytała. — Mam wrażenie, że nie mówisz mi wszystkiego.

Johann von Dohnányi od wielu dni żył w wielkim napięciu nerwowym. Spiskowcy pod przywództwem pułkownika Stauffenberga od wielu tygodni nie mogli uzgodnić, kto ma dokonać zamachu. Do tego dochodziły spory między skrzydłem wojskowym i cywilnym spisku. Stauffenberg był szefem sztabu Armii Rezerwowej i jako taki bywał zapraszany do Wilczego Szańca pod Kętrzyń, gdzie mieściła się kwatera główna Hitlera. Zamach mógł się odbyć szóstego, potem trzynastego lipca, ale wówczas nie było blisko Hitlera szefa SS, który też powinien zginąć. Teraz spiskowcy zdecydowali, że to musi się stać tego dnia.

— To się stanie dziś — powiedział do żony. — Jadę do sztabu Armii Rezerwowej na Bendlerstrasse, gdzie pracuję razem z generałem Olbrichtem. Dziś ty też będziesz mieć ważne zadanie, kochana.

— Jakie?

— W MSZ pojawi się Hans Bernd Gisevius, który ma dziś objąć urząd ministra spraw zagranicznych. Twój szef Ribbentrop zostanie aresztowany, podobnie jak reszta tych świń z Goebbelsem i Himmlerem — wyjaśnił zdecydowanie Johann.

Teraz Magda zrozumiała, że dziś rozstrzygnie się wszystko. Miała przecież wciąż nadzieję na przyszłość — że urodzi Johannowi dzieci i że przyjdą one na świat, w którym nie będzie Hitlera. Przez chwilę liczyła nawet na to, że po wojnie wróci razem z mężem do Łodzi, że ten straszny czas minie i będzie jak dawniej. Ale jej racjonalna część osobowości natychmiast podpowiadała, że to mrzonki.

A zatem niech tak będzie, pomyślała. Niech się stanie to, co ma się stać.

— Uważaj na siebie — powiedziała z troską do męża.

Pocałowali się. Magda chciała wierzyć, że nie po raz ostatni. Uważała, że Opatrzność podpowiedziałyby jej, gdyby to miało być pożegnanie. Była ósma rano. Samolot z pułkownikiem Stauffenbergiem i jego adiutantem von Haefthenem znajdował się już od kilkudziesięciu minut w powietrzu. Nie sposób było zatrzymać biegu wydarzeń.

Magda poszła oczywiście do pracy do ministerstwa, ale z wielką nerwowością wyczekiwała komunikatu, że Hitler nie żyje i można przystąpić do pracy przy tworzeniu nowego rządu. Ale godziny mijały i nic się nie działo. Około szesnastej zadzwonił do niej do pracy Johann z ośrodka spiskowców na Bendlerstrasse.

— Co się stało? — zapytała, z trudem powstrzymując emocje.

— Nie udało się. On żyje.

Nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Zrozumiała, że wszystko jest stracone.

— Kochanie, bądź dzielna. Chciałem się z tobą pożegnać i powiedzieć ci, że uczyniłaś mnie najszcześliwszym człowiekiem na ziemi.

Rozłączył się. Magda siedziała na swoim miejscu jak skamieniała. Przez dłuższą chwilę nie mogła złapać tchu. W końcu przeprosiła zdumione koleżanki i wyszła do toalety. Tam się rozplakała. Płacz przyniósł jej ulgę. Zrozumiała, że nie zobaczy Johanna nigdy więcej. Umyła twarz zimną wodą kilka razy. Wytarła łzy i uspokoiła się. Skoro mój mąż to zniesie, ja też mogę, pomyślała.

Gdy wróciła, sekretariat szumiał od plotek, że w Wilczym Szańcu koło Kętrzyna ktoś dokonał zamachu na Führera. Na szczęście dzień pracy się skończył i Magda z ulgą wyszła z ministerstwa. Serce mówiło jej, żeby pojechać na Bendlerstrasse i spróbować porozmawiać z Johannem. Może jednak nie wszystko stracone? Ale tego dnia zwyciężył rozum.

Pod wieczór w centrum miasta pojawiły się wojskowe ciężarówki i cała dzielnica rządowa została zamknięta. Ewidentnie coś się działo. Magda nie wiedziała, że ich przyjaciel Peter Yorck von Wartenburg był już aresztowany, gdyż dowódca Armii Rezerwowej generał Fromm postanowił stracić wszystkich oficerów biorących udział w spisku, żeby odsunąć podejrzenia od siebie samego. Stauffenberga oraz jego współpracowników rozstrzelano jeszcze tej nocy na dziedzińcu wielkiego budynku przy Bendlerstrasse. Naziści triumfowali.

WARSZAWA, SIERPIEŃ 1944

Pierwszego sierpnia 1944 roku w Warszawie wybuchło powstanie przeciwko Niemcom. Jak na ironię znajomy Magdy, kurier od generała Andersa, Antoni Mokrzycki, był już w mieście, ale jego misja zatrzymania tego nieszczęsnego zrywu zakończyła się fiaskiem⁴⁶.

O wydarzeniach w stolicy Polski Magda dowiedziała się z niemieckiej prasy. Młoda kobieta z sercem pełnym bólu oczekiwała jakichkolwiek wieści o mężu. Johann od dnia zamachu dwudziestego lipca nie dawał znaku życia. Nie zadzwonił więcej, a ona nie mogła też w żaden sposób dowiedzieć się czegokolwiek o jego losie. Chodziła do pracy niczym automat i dziękowała w duszy Bogu za to, że nigdy nie zwierzała się żadnej koleżance pracującej w sekretariacie niemieckiego MSZ. Mogła teraz jedynie czekać na to, co przyniesie jej los. Do okupowanej Polski nie chciała wrócić bez Johanna.

Tymczasem do Stefana Brychczyńskiego, walczącego w leśnym oddziale należącym do grupy „Kampinos” Armii Krajowej, również dotarła wiadomość o walkach w stolicy. Nie zastanawiano się długo nad przejściem do walczącej Warszawy. Oddział Brychczyńskiego, który był jednym z oficerów z dużym doświadczeniem w konspiracji, próbował się przebić do miasta od strony cmentarza ewangelickiego, ale tam wpadł na uzbrojonych po zęby Niemców. Podjęli walkę, ale ze względu na straty musieli się wycofać.

Z terenu Kampinosu do Warszawy co kilka dni udawały się kolejne oddziały liczące od kilkudziesięciu do ponad stu żołnierzy podziemia i oficerów. W końcu, około piętnastego sierpnia, gdy Niemcy skierowali główne uderzenie na Stare Miasto, Stefanowi udało się z innym oddziałem dostać do Warszawy. Znalazł się w środku piekła.

BERLIN, SIERPIEŃ 1944

Sytuacja Magdy w Berlinie pogarszała się z każdym dniem. Po zamachu dwudziestego lipca Adolf H. wygłosił słynne radiowe przemówienie, w którym oskarżył o próbę zamordowania go grupkę zdrazieckich oficerów. Zaczęło się polowanie na winnych. Na czele specjalnego sądu ludowego — *Volksgerichtshof* — stanął słynący ze służalczości wobec reżimu sędzia Freisler.

Już siódmego sierpnia 1944 roku część spiskowców, w tym hrabia von Wartenburg, została stracona przez powieszenie. Gestapo nie miało dla nikogo litości. Jedna ze

służących von Wartenburga — do tej pory nad wyraz lojalnych — zeznała na Gestapo, że odwiedzało ich wielu ludzi. Było tylko kwestią czasu, kogo rozpozna. Zaoferowano jej życie w zamian za wskazanie wszystkich, którzy mogli bywać w mieszkaniu hrabiego. Celowo przetrzymywano także innych wojskowych, uczestników spisku. Generał Fromm, który błyskawicznie kazał stracić Stauffenberga oraz innych oficerów, także znalazł się na liście podejrzanych — Führer osobiście zwrócił uwagę, że musiał on wiedzieć o zaangażowaniu Armii Rezerwowej w operację „Walkiria”.

W sierpniu, po dwóch tygodniach odizolowania w ciemnych piwnicach, Gestapo zabrało się za Johanna von Dohnányiego. Jego wuj Hans, były wysoki oficer Abwehry, przebywał już wówczas w obozie koncentracyjnym. Było oczywiste, że wtajemniczył on bratanka. Johann podczas przesłuchań wziął winę wyłącznie na siebie, nie chciał nikogo obciążać.

— Chcesz mi powiedzieć, że nic nie wiedziałeś? — krzyknął gestapowiec prowadzący śledztwo. — Chcesz mi powiedzieć, że przez przypadek zdradziłeś Führera?!

Johann von Dohnányi jednak zachował się godnie. Wiedział, że całe to przesłuchanie tylko odsuwa w czasie wykonanie wyroku śmierci.

— Przeciwnie — rzekł. — Zrobiłem to świadomie. I zrobiłbym to jeszcze raz, gdybym mógł. Po prawie pięciu latach rzezi ktoś musiał podjąć próbę uwolnienia Niemców od tego szaleńca. Jestem dumny, że zaplanowaliśmy zabicie tyrana.

— Ty nikczemny zdradziecki łotrze — syknął gestapowiec. — Czy spotykałeś się z innymi w mieszkaniu Petera Yorcka von Wartenburga?

— Spotykałem się tam z wieloma ludźmi. Nie pamiętam wszystkich.

— A ją pamiętasz? — Gestapowiec pokazał mu fotografię Magdy Pohl.

Johann zamarł.

— Milczysz... Mamy już zeznania obciążające ją. Pozostaje tylko ustalić, kim ona jest dla ciebie.

Tego Johann najbardziej się obawiał.

*

Któregoś dnia pod koniec sierpnia Magda Pohl została aresztowana w gmachu ministerstwa spraw zagranicznych. Nie stawiała oporu — to nie miało sensu. Dwaj gestapowcy odprowadzili ją do samochodu, który zawiózł ją do więzienia Plötzensee. Postanowiła to znieść bez słowa. Najbardziej upokarzająca była rewizja osobista dokonana przez jedną z funkcjonariuszek więziennych. Bardzo bolało i Magda po prostu się rozplakała. Otrzymała drelich więzienny, chodaki, w których dopiero musiała się nauczyć chodzić, koc i miskę ze sztućcami.

— Masz utrzymywać w swoich rzeczach idealny porządek — zapowiedziała jej funkcjonariuszka. — Jeśli zauważę najmniejszy fałd na twoim sienniku, wywalę ci wszystko

i zostaniesz ukarana. Czy to jasne?

— Tak — odparła Magda.

Została skierowana do izolowanej, pojedynczej celi z małym oknem, przez które wpadało nieco dziennego światła. Zauważyła drewnianą ławkę przymocowaną do ściany, która w nocy miała spełniać funkcję wąskiego łóżka, a w dzień można było na niej usiąść. W kącie stało wiadro na nieczystości. Więźniarce zabroniono posiadania książek oraz innych przedmiotów.

Jeszcze tego samego dnia Magda została zabrana przez milczącą i surową nadzorczynię na przesłuchanie. Prowadził je około trzydziestoletni gestapowiec, SS-Rottenführer Stolp.

— Znalazła się pani w więzieniu Plötzensee w wyniku śledztwa prowadzonego przez organy bezpieczeństwa Rzeszy Niemieckiej po tchórzliwym zamachu na Führera... — zaczął esesman, ale Magda mu przerwała.

— Wiem, dlaczego się tutaj znalazłam. Ale to nie był tchórzliwy atak. To był jedyny odważny czyn, na jaki zdobyli się Niemcy w tej wojnie.

Liczyła się z tym, że dostanie w twarz. Ale esesman jej nie uderzył.

— Czyli przyznaje się pani do uczestnictwa w spisku?

— To byłby dla mnie powód do dumy — odparła. — Ale nie przyznaję się do niczego. Rozumie pan? Do niczego. I tak mnie nie wypuścicie.

Magdalena nie miała zamiaru podarować esesmanowi wyroku śmierci na siebie. Będziecie się musieli natrudzić, żeby mi cokolwiek udowodnić, pomyślała.

— Czy znała pani Petera Yorcka von Wartenburga?

— Znałam. I co z tego? Znało go wielu ludzi.

— Ci ludzie są teraz tutaj lub zaraz się tutaj znajdują.

Gestapowiec sięgnął po teczkę. Magda pomyślała, że zgromadzili na jej temat dossier.

— Według nieżyjącego już pracownika Gestapo z Litzmannstadt...

— Z Łodzi — poprawiła go po polsku Magda.

Esesman był wyraźnie zirytowany jej zachowaniem.

— Skąd?

— Z Łodzi — powtórzyła. — Nazwa Litzmannstadt jest fałszywa.

— Zdumiewa mnie pani.

— Sama siebie zdumiewam.

— Otóż z Litzmannstadt przyszło na pani temat mnóstwo wiadomości. Mamy zeznanie Jadwigi Pohl, pani krewnej...

— Była moją macochą. To powinowactwo, nie pokrewieństwo. Proszę zadbać o szczegółowość.

— Według Jadwigi Pohl ukrywała pani żydowskiego przestępcę w swoim domu. Jesteśmy pewni, że była pani zamieszana w strzelaninę, która miała tam miejsce.

— Nie, nie byłam w to zamieszana. Proszę mi udowodnić winę.

— Mamy zeznanie panią obciążające. Zeznanie Niemki.

— Ona nie była Niemką, ale to bez znaczenia — przyznała Magda.

— Brała pani udział w spisku przeciwko życiu Führera. To najpoważniejszy zarzut. Grozi pani kara śmierci.

Magda nic na to nie odpowiedziała. Nie złapali jej na niekonsekwencji lub na przyznaniu się do winy. Pojedynek jeszcze się nie zakończył.

BERLIN, WRZESIEŃ 1944

Kilka dni później SS-Rottenführer Stolp zdecydował się na inną metodę. Wezwaną na przesłuchanie Magdę ponownie zapytano, czy przyznaje się do winy. Zarzut: spisek przeciw życiu Hitlera. Znów zaprzeczyła.

— To ciekawe — rzekł Stolp. — A kim dla pani jest Johann von Dohnányi?

Magda dotąd starała się nie pokazywać emocji, ale tym razem przyszło jej to z wielkim trudem.

— Przyjacielem.

— Johann von Dohnányi przyznał się do udziału w spisku i podobnie jak pani uważa to za wielki zaszczyt. Będzie pani z nim skonfrontowana.

Magda z jednej strony się przestraszyła, że ich związek zostanie odkryty. Ale z drugiej... ucieszyła się, że go zobaczy. Tak bardzo na to czekała! Nie przypuszczała jednak, że widzenie czy też — jak profesjonalnie nazwał to przesłuchujący ją esesman — konfrontacja stanie się początkiem wielkiej udręki, która miała ją zmienić na zawsze.

Stolp wstał, podszedł do drzwi wiodących do drugiego, położonego równolegle pokoju przesłuchań i otworzył je. Dwaj gestapowcy wprowadzili Johanna von Dohnányiego. Miał spuchnięte lewo oko tak bardzo, że prawie nic nie widział. Magda zauważyła też mocno zranione palce, ledwo obwiązane jakimś bandażem. Zamarła. Gestapo musiało przycisnąć Johanna, by wydał innych członków nieformalnych spotkań u Petera Yorcka von Wartenburga. Aresztowania w związku ze spiskiem 20 lipca zataczały coraz szersze kręgi. Niemcy skręcały w ostatnią fazę trwania narodowego socjalizmu, co objawiało się niezwykłą i straszliwą radykalizacją. Nikt nie mógł być pewny, czy słowa wypowiedziane przy znajomych lub przyjaciółach, a obciążające Adolfa H., nie staną się przyczyną zatrzymania.

— I co teraz pani powie? — zapytał Stolp.

Magda nie widziała powodu, by dłużej ukrywać swój związek. Jako małżonkowie mogli się nawzajem ochraniać i milczeć, przynajmniej teoretycznie. Wiedziała już, że żadne z nich nie wyjdzie z tego cało.

— Johann von Dohnányi jest moim mężem. Kocham go i nie będę odpowiadać na żadne pytania.

Usłyszawszy to, Johann uśmiechnął się. Nie musieli nic mówić. Obiecali sobie, że przejdą przez to razem, i tak się miało stać.

— Nic im nie powiedziałam, Johann! I ty też nic nie mów! Nie obciążaj nikogo!

Gestapowcy zauważyli, że konfrontacja przybrała inny charakter, niż planowali. Nie chcieli przecież dać im możliwości uzgodnienia wspólnej postawy.

— Wyprowadzić!! — syknął Stolp.

Johanna już brało pod rękę dwóch tęgich esesmanów. Zdołał tylko powiedzieć do Magdy:

— Kocham cię i zawsze będę.

Gdyż zniknął za drzwiami, Stolp podszedł i z całej siły uderzył Magdę w twarz.

— Jesteś zdrajczynią narodu niemieckiego! I zapłacisz za to!

Magda wiedziała, że nie zobaczy już męża żywego. Tymczasem Stolp wyznaczył jej karę. Została wyprowadzona z pokoju przesłuchań przez tę samą milczącą i niemiłą strażniczkę. Gdy zmierzała do swojej celi, funkcjonariuszka pokazała jej palcem inny kierunek. Magda nie bała się bijących ją w twarz esesmanów, choć czuła pękniętą wargę — smak swojej krwi, słodki i mdły. Obawiała się jednak tej milczącej kobiety. Szły korytarzem przez jakiś czas, potem w dół, kilka pięter po schodach. Magda policzyła w myślach, że zeszły z poziomu piątego. Zatrzymały się przed jakimiś drzwiami.

— To jest twoja kara — odezwała się nagle strażniczka.

— Co to jest? Gdzie mnie przyprowadziłaś?

Zaraz poczuła policzek.

— Nie ty zadajesz pytania.

Strażniczka otworzyła drzwi i wepchnęła Magdę do wąskiego karceru. Była to cela o ciasnych wymiarach. Miała tam stać bez możliwości skorzystania z toalety, bez możliwości zmiany pozycji. Nie mogła usiąść, choćby bardzo chciała.

Jej męka miała trwać dwie doby.

*

Po dwóch dniach strażniczka otworzyła drzwi i półprzytomna Magda wypadła z celi. Była tak bardzo zmęczona, że nie dała rady wstać.

— Wstawaj! Nie możesz leżeć na podłodze.

— Zabij mnie... muszę odpocząć — szepnęła Magda.

— Odpoczynek jest dla normalnych Niemców, ty jesteś zdrajczynią. Jeśli nie wstaniesz, zamknę cię w tej celi na następne dwie doby — powiedziała funkcjonariuszka, jak gdyby była to najnormalniejsza rzecz na świecie.

Magda zaczęła się czołgać.

— Gdzie twoja niemiecka godność? To nie do przyjęcia! Ty naprawdę chcesz jeszcze postać w karczerze.

Dziewczyna podpełzła do ściany i opierając się na rękach, próbowała wstać. Strażniczka cały czas na nią patrzyła. Gdy po pewnym czasie Magda doszła, opierając się o ściany, do swojej celi, zwała się na siennik i zasnęła. O dziwo — pozwolono jej spać. Obudzono ją dopiero po dziewięciu godzinach.

— Wstawaj!

— Proszę pani, proszę mi pozwolić spać... Jestem tak strasznie zmęczona...

— Dla ciebie nie ma odpoczynku. Jesteś zdrajczynią. Tak jak twój mąż. Zresztą... — uśmiechnęła się cynicznie. — ...jego już nie ma.

— Co pani powiedziała? — Magda natychmiast zerwała się z ławki.

Strażniczka nie odpowiedziała. Magda poszła zatem za nią korytarzem. Bała się, czy przypadkiem znów nie będzie musiała stać w celi lub czy nie stanie się coś gorszego. Naprawdę się bała. Jednak tym razem kobieta poprowadziła ją do kostnicy.

— Włóż!

Chyba nie zechcą mnie pogrzebać żywcem? — pomyślała z przerażeniem. Po chwili jednak stało się jasne, dlaczego tu trafiła. Na stole leżało w worku ciało mężczyzny. Zbliżyła się. Tak, to był Johann. Miał krwawą ranę na szyi.

— Twój mąż został powieszony na strunie od fortepianu, kiedy spałaś.

Cóż za wyrefinowana forma tortury... Magda chciała objąć ukochanego, ale strażniczka gwałtownie zaprotestowała.

— Pod żadnym pozorem nie wolno ci dotykać ciała! Ciesz się, że ci pokazałam męża. Czeka cię taki sam los, jeśli nie zaczniesz mówić. Jutro zaczyna się twój proces.

— Co takiego? — zapytała zdumiona i zdruzgotana Magda.

— Jutro staniesz przed sędzią Freislerem. On się z tobą policzy.

BERLIN, JESIEŃ 1944

Sędzia Najwyższego Sądu Ludowego, Roland Freisler, miał opinię najbardziej służalczego i bezwzględnego hitlerowskiego pracownika wymiaru sprawiedliwości. Lżył podsądnych, obrażał ich, przerywał swoim skrzeczącym głosem, robił z każdego posiedzenia sądu spektakl pogardy, przemocy i nienawiści. To on w lutym 1943 roku sądził w Monachium młodych z Białej Róży, rodzeństwo Sophie i Hansa Schollów oraz ich przyjaciela Christiana Probstę, i skazał całą trójkę na karę śmierci przez zgilotynowanie. Wyrok wykonano tego samego dnia. Tym razem miał sądzić Magdę oraz kilkoro następnych członków spisku. Magda, wiedząc, że Johann już nie żyje, zamierzała się bronić, a nie biernie milczeć podczas procesu. Postanowiła powiedzieć publicznie prawdę o swojej działalności. Znała

zarzuty. Najpoważniejszym z nich była zdrada narodu niemieckiego i Führera. Tylko że ona ze swoich dwóch równorzędnych tożsamości, niemieckiej i polskiej, już dawno wybrała tę drugą.

Proces miał się zacząć we wrześniu 1944 roku. Magda była pewna, że skończy się szybko, a ona zostanie stracona. Zdecydowano jednak, że proces kobiety może poczekać, zwłaszcza że oczekiwano na pilniejsze z perspektywy reżimu wyroki. Rozprawiono się z całym środowiskiem Helmutha Jamesa von Moltkego, które Gestapo nazywało „Kręgiem z Krzyżowej”. Feldmarszałek Erwin Rommel, bohater z Afryki, musiał popełnić samobójstwo, a dowódca armii niemieckiej we Francji, Carl-Heinrich von Stülpnagel, postrzelił się fatalnie w głowę i stracił wzrok. Nie przeszkodziło to jednak Gestapo w dowiezieniu go do Berlina, przeprowadzeniu procesu i straceniu w dniu wydania wyroku.

Tymczasem Magda czekała w celi więziennej na życie lub śmierć.

Po dwóch miesiącach w końcu przyszła jej kolej na stawienie się przed Trybunałem Ludowym i krwawym sędzią Freislerem. Magdę przewieziono na proces w dzielnicy Schöneberg, do siedziby trybunału. Zabrano ją z celi w pomiętej spódnicy i brudnej bluzce. Bardzo źle się z tym czuła, ale nie miała wątpliwości, że to celowe upokorzenie.

— Czyżby załamała się pani pod ciężarem swojej podłości? — zapytał sędzia Freisler.

Wszyscy skierowali na nią wzrok — ubrani w brunatne mundury partyjni bonzowie, esesmani z żonami, pracownicy sekretariatu Hitlera... Patrzyli na nią, by potem zdać relację szefowi. Całość była nagrywana kamerą z taśmą filmową 16 milimetrów, aby wyświetlić film Führerowi, który w ten sposób zaspokajał swoją potrzebę zemsty.

— Załamałam się dopiero, gdy zobaczyłam pana. — Magda mimo wszystko pozostała mistrzynią ciętych ripost.

— Ty nikczemna kreaturo! Masz milczeć i odpowiadać na pytania wtedy, kiedy ja chcę! Zaczęło się przesłuchanie, ostre i brutalne.

Oskarżona o zdradę Magda odparła bez wahania:

— Nikogo nie zdradziłam. Walczę o mój kraj.

To zdezorientowało Freislera. Miał wyraźnie napisane, że oskarżona była żoną jednego ze zdrajców z zamachu dwudziestego lipca.

— Zdradziłaś Führera!

— Nie mogłam go zdradzić. Jestem żołnierką polskiego państwa podziemnego.

Na krótką chwilę zapadła cisza.

— Od kiedy?

— Od mojej przysięgi w czterdziestym pierwszym roku. Nie uznaję tego sądu. Nie uznaję Rzeszy Niemieckiej jako mojego państwa, a wszystko, co robiłam, czyniłam z myślą o moim kraju.

Freisler zaczął ją lżyć, na co dziewczyna teatralnie się zdumiała, że sędzia jest jednocześnie prokuratorem. Zażartowała nawet, czy będzie też jej obrońcą — Niemcy mogłyby zaoszczędzić jeszcze kilka marek. Freisler wpadł we wściekłość. Nie mógł zakwalifikować tej kobiety jako uczestniczki spisku, zdecydował zatem o wyłączeniu jej ze sprawy. Magda przyjęła to postanowienie z ulgą.

Teraz miała tkwić zawieszona między śmiercią a życiem.

WARSZAWA, 2 PAŹDZIERNIKA 1944

Stefan Brychczyński dożył chwili kapitulacji powstania. Teraz już wszystko było za nim. Miał poczucie całkowitego bezsensu, gdy myślał o ofiarach, które oglądał od początku sierpnia. Koledzy z jego oddziału, z którymi dostał się do Warszawy, zginęli. Był świadkiem kilku samobójstw młodych ludzi, gdy rozeszły się wieści o kapitulacji, ale sam zdecydował, że chce walczyć dalej. Dla niego, świadomego celów walki w armii podziemnej, było jasne, że zaraz po Niemcach przyjdzie Armia Czerwona, a z nią władza komunistyczna. Nie miał najmniejszej ochoty na to, aby ci ludzie rządili w jego kraju.

Gdy kolumny powstańców składały przed Niemcami broń po wyjściu z ruin stolicy, kilku niemieckich oficerów im salutowało. Ale ten gest, jakkolwiek żołnierski, dla Stefana nie miał już żadnego znaczenia, nawet symbolicznego. Wszystko stracone. Powstanie upadło, miasta już nie było. Brychczyński nie wiedział, co się z nim stanie. Najpewniej trafi do stalagu gdzieś w Niemczech, może w Austrii. Jednym z warunków kapitulacji wynegocjowanej przez generała „Bora” było to, że Niemcy uznają Armię Krajową za jedną z armii alianckich i będą wobec niej miały zastosowania konwencji genewskiej o jeńcach wojennych.

Szedł do niewoli, nie dbając o jutro. Nie pamiętał już żadnych dziewczyn z oddziału. Wszystkie zginęły. Jednak w tym wszystkim nie zapomniał jednej kobiety, którą przegapił, a którą kochał — teraz dopiero zrozumiał. Nie wiedział, co mógłby powiedzieć Magdzie po masakrze, która dokonała się w jej domu. Był pewny, że nigdy jej już nie ujrzy. Do Polski — jakże odmienionej — miał wrócić ze stalagu latem 1945 roku.

ROZDZIAŁ XX

Ostatnia lekcja

LISTOPAD 1944

W końcu, po tygodniach oczekiwania na karę śmierci, Magda ze zdziwieniem skonstatowała, że chyba nie umrze tak szybko. Nie było dowodów na to, że wiedziała o zamachu lub brała intensywnie udział w jego przygotowaniu. Sędziowie doszli do wniosku, że powiedziała prawdę o swoim zaangażowaniu w działania polskiego ruchu oporu. To mogło oznaczać tylko jedno: do czasu wydania wyroku została pozbawiona praw publicznych oraz zesłana do obozu koncentracyjnego dla kobiet w Ravensbrück. Jadąc tam z więzienia Plötzensee, nie miała jednak nadziei, że wyjdzie z tego żywa.

Obóz był usytuowany około 80 kilometrów od Berlina, nad jeziorem, wśród niemieckich lasów, niedaleko miasteczka Fürstenberg. We wznoszącym się nad brzegiem jeziora ogromnym szarym murze, wysokim na kilka metrów, znajdowała się żelazna brama, a za nią świat kacetu — piekła dla kobiet nadzorowanych przeważnie przez inne kobiety. Magda została przywieziona z kilkoma innymi więźniarkami, ale nie miała pojęcia, do jakiej kategorii zostanie zakwalifikowana. Jej pełne odwagi wyznanie na procesie, w którym nie udowodniono jej uczestnictwa w spisku przeciwko Adolfowi H., sprawiło, że miała być sądzona jako Polka.

Po wyjściu z więźniarki stanęła przed wielkim murem. Przeraziła się. Wraz z kobietami przywiezionymi z Berlina weszła przez bramę na teren obozu. Ujrzała plac wielkości boiska do piłkarskiego. Aufseherki⁴⁷ natychmiast kazały im iść do dezynfekcji. Magda ciężko to przeżyła. Ogolono jej głowę na tyso, zraniono przy tym brzytwą. Dostała płócienną sukienkę i kaftan w biało-niebieskie pasy, białą chustkę na głowę, pończochy i drewniaki. Nie umiała w nich chodzić. Gdy się przewróciła, od razu spadły na nią uderzenia pejcza strażniczek i grad wyzwisk:

— Wstawaj, ty polska kurwo!

Magda się podniosła. Nie potrafiła powstrzymać swojego ciętego języka. Nie знаła też jeszcze tutejszego, zamkniętego przed światem zewnętrznym piekła. Odpaliła więc funkcjonariuszce po niemiecku:

— Tylko kurwa może nazwać inną kobietę kurwą.

Zrobiło to wrażenie nie tylko na strażniczce, ale także na stojącej kilka kroków dalej przełożonej, mającej duże doświadczenie w pracy w kacecie. Od razu rozpoznawała osoby, które nie podporządkują się łatwo obozowemu regulaminowi. Zaskoczyła ją jednak przede wszystkim znajomość niemieckiego owej Polki. Żadna z nich nie mówiła tak dobrze, tak czysto. To ją zastanowiło, gdyż więźniarka miała naszyte „P” na pasiaku, a zatem przebywała w kacecie z powodu polskości.

Tymczasem Magda dostała w bloku więziarskim, do którego ją przypisano, pryczę, gdzie miała spać, widelec, łyżkę oraz ścierkę, którą miała wycierać wszystko i utrzymywać w idealnej czystości sztućce. Poinstruowano ją, że jeśli zgubi coś z tych rzeczy lub nie będzie zachowywała porządku na półeczce obok pryczy, czekają ją raportowanie i specjalna kara. Najtrudniejszym jednak zadaniem było ścielenie łóżka. Należało ułożyć koc tak, żeby nie zachodził na materac. Teoretycznie Magda to rozumiała, ale w praktyce okazało się to niemal niewykonalne. Materac był wypełniony wiórami, przez co nie dało się go uklepać na płasko. Koc więc wystawał albo zachodził nierówno na boki materaca. To właśnie przydarzyło się Magdzie już pierwszego dnia. Zaraz przyleciała nieznana jej z imienia i stopnia aufseherka.

— Ty pierdolona krowo! Nawet łóżka nie potrafisz pościelić!

Magda dostała policzek z całej siły. Musiała czynność powtórzyć, tym razem idealnie, zgodnie z poleceniem.

Najgorsze było jednak budzenie o piątej rano i wyjście w zimnie na apel, gdzie liczenie więźniarek trwało z godzinę. Najmniejszy opór czy przeinaczenie niemieckich liczebników oznaczały pejcz lub kopniaka aufseherki. Nie można było sobie pozwolić na błąd.

— Musisz się szybko wdroyć w życie tutaj — usłyszała rano obok siebie. Jakaś więźniarka odezwała się do niej po polsku!

Magda spojrzała zaskoczona. Wydało się jej, że poznaje ten głos i tę twarz, ale osoby pozostające w obozie od dłuższego czasu wyglądały przecież inaczej niż na wolności.

— Pomogę ci, Magdo. — Na twarzy kobiety zajaśniał cień uśmiechu.

Dopiero po chwili się zorientowała — to była jej nauczycielka matematyki z Liceum im. Świętej Królowej Jadwigi w Warszawie, które ukończyła w 1938 roku, w innym życiu.

— Pani profesor? — zapytała z niedowierzaniem.

— Tak, to ja, dziecko. Tutaj trzeba przestrzegać zasad, ale nie ma pewności życia. Teraz idziemy do pracy.

— Co będziemy robić?

— Sama zobaczysz.

Praca była wykonywana w pewnej odległości od obozu, nad brzegiem jeziora, gdzie znajdowały się łachy piasku. Należało przerzucać go z miejsca na miejsce za pomocą łopat. Zajęcie nie miało żadnego racjonalnego celu poza udręczeniem więźniarek, wysysaniem

z nich życiowych sił, które jeszcze w nich zostały. Na śniadanie tylko kubek czarnej, obrzydliwej cieczy, zwanej szumnie kawą, i kawałek chleba. To wszystko. Magda zastanawiała się, ile pociągnie na takiej diecie. Po powrocie z pracy dostały „zupę”. Jeśli zawierała brukiew i niezgniłe ziemniaki, to już było dobrze. Magda wzdygała się przed spożyciem tego, ale profesorka Łempicka zmusiła ją dość stanowczo.

— Musisz jeść.

Wieczorem rozmowy między więźniarkami były zabronione, ale prycza Magdy znajdowała się obok miejsca spania jej profesorki ze szkoły.

— Za co tutaj trafiłaś?

— Dobre pytanie. — Magda zastanowiła się przez chwilę. — W czasie tej wojny musiałam dokonać wyboru między moimi dwiema tożsamościami. Wybrałam pani lekcje, i to, czego pani nas nauczyła.

W jakiś sposób to wyznanie uczennicy sprawiło Łempickiej przyjemność. Jednak przebywała tutaj od 1942 roku, czyli dwa lata, i miała świadomość tego, czego więźniarki potrzebują. Postanowiła bez ogródek jej o tym powiedzieć.

— Zakwalifikowali cię jako Polkę, ale musimy tutaj działać dla wspólnego dobra. Bardziej przydałabyś się nam jako Niemka i nadzorczyni.

— Nie rozumiem — odparła Magda.

Wanda Łempicka wytłumaczyła jej to niemal jak jakieś zagadnienie matematyczne. Było tu wiele złych i sadystycznych strażniczek, takich jak Grete Bösel czy Elisabeth Marshall, przez które codziennie umierały kobiety. Było także wiele złych i sadystycznych kapo, czyli nadzorczyń, jak Carmen Mory. Ale zdarzyła się też jedna dobra strażniczka — Johanna Langefeld, która pomogła tutaj wielu kobietom. Została aresztowana przez Gestapo w 1943 roku i więźniarki nie wiedziały, co się z nią stało.

— Jeśli zdecydujesz się pójść do nich i powiedzieć, że jednak zwyciężyła w tobie krew niemiecka, to oni ci uwierzą. Zapewniam cię. Wiedzą, że przegrali wojnę.

— Ale to jak... jak przekreślić to, o co walczyłam...

— Jeśli tego nie zrobisz, znów kogoś zakatują. Zwiększysz w ten sposób szanse na swoje przeżycie. I nasze.

Magda obiecała, że to przemyśli. Gdyby przyznała się do niemieckości, toby oznaczało, że przyzwala na ten reżim. Postanowiła, że odmówi. Jednak w nocy przyśnił się jej mąż Johann. Powiedział, że musi się zgodzić na to, o co poprosiła ją profesorka.

*

Kilka następnych dni było dla niej niewyobrażalnie trudnych. Bezsensowna praca wyczerpywała, a racje żywnościowe nie pozwalały normalnie funkcjonować. Magda czekała, aż przypatrująca się jej strażniczka ją wezwie. W końcu się doczekała.

— Mówisz znakomicie po niemiecku — powiedziała.

— Bo jestem Niemką jak pani.

Strażniczka wielce się zdziwiła.

— Nazywam się Hildegard Neumann. Nie należy mnie okłamywać. Wydaje mi się, że to, co mówisz, może być prawdą. Żadna z Polek, które tutaj trzymamy, nawet jeśli zna niemiecki, nie potrafi mówić jak ty. Ale w twoich papierach jest napisane, że jesteś Polką. Wyjaśnij mi to.

Magda opowiedziała to, co wydawało się jej niegroźne — jest Niemką i Polką jednocześnie. Pochodzi z dobrego niemieckiego domu w Polsce. Jej ojciec miał fabrykę, a ona ma dużo pieniędzy. Blefowała, gdyż nie posiadała już nic wartościowego — ale teoretycznie mogła się zwrócić do dyrekcji fabryki o zapomogę finansową, gdyż nie przeprowadzono żadnej konfiskaty majątku jej ojca. Co jeszcze? Jej mąż brał udział w spisku z dwudziestego lipca, ale ona sama w tym nie uczestniczyła.

Neumann nie była prymitywna. Od czasu, gdy BBC — brytyjskie radio — nadało imiona i nazwiska zbrodniarzy z Auschwitz, strażnicy i strażniczki z innych obozów nie mogli być pewni, czy ich nazwiska oraz dokonania nie są już znane aliantom. Klęska zaglądała im wszystkim w oczy. Hildegard Neumann nie litowała się nad więźniami. Mówiąc kolokwialnie — miała gdzieś ich los. Liczył się tylko jej własny. Wbrew wszystkiemu zamierzała żyć, ustawić się jakoś po wojnie, może znów wyjść za mąż, zmienić nazwisko i zacząć od nowa w jakimś innym miejscu, gdzie nikt jej nie zna. A tutaj trafia się jej taka okazja!

— Zrobimy tak — rzekła po chwili zastanowienia. — Wezmę cię pod opiekę, bo wierzę ci, że jesteś Niemką. Mamy w obozie wiele szmat komunistek, różnej maści burdelmamusiek, ale spotkanie kogoś na poziomie graniczy z cudem. Jeśli ty będziesz dla mnie dobra, ja będę dobra dla ciebie.

— Co mam robić?

Neumann uważnie się jej przypatrzyła.

— Być dla mnie miłą.

Magda wiedziała, że ta kobieta ma nad nią władzę. A ona chciała żyć.

— Czy teraz mam być dla pani miłą? — zapytała.

Esesmanka nie wydawała się skonfundowana tym pytaniem. Wręcz przeciwnie — uznała, że byłoby to nawet zabawne, gdyby nie okoliczności.

— Nie, dzisiaj nie — powiedziała rozbawiona. — Wezwę cię do osobnej pracy, sam na sam, i wtedy będziesz miała okazję być miłą dla mnie. Jestem samotna i potrzebuję towarzystwa.

Magda wiedziała już, co to znaczy „być miłą” dla tej strażniczki. Wzdrygnęła się, ale powtórzyła sobie w duchu, że chce żyć. A życie w obozie koncentracyjnym miało swoją

cenę.

*

Magda starała się trzymać blisko swojej nauczycielki. Wanda Łempicka miała kontakty wśród więźniarek politycznych, szczególnie Polek. Ale to Magda dzieliła się z nią zdobywanymi nie wiadomo skąd racjami żywnościowymi. Przeważnie były to suche kromki czerstwego chleba, ale raz nawet trafiła się zawinięta w papier marmolada z buraków cukrowych. Rarytas. Dziwne, pomyślała Łempicka.

— Skąd masz jedzenie? — zapytała któregoś dnia.

— Po prostu mam, i już. Jemy i żyjemy — ucięła rozmowę Magda.

Jednak Wanda Łempicka była zbyt mądrą osobą i mimo pobytu w obozie nigdy nie utraciła wewnętrznego osądu moralnego, poczucia godności — choć Niemcy i Niemki codziennie robili dużo, by tego poczucia godności pozbawić wszystkie więźniarki, niezależnie od tego, kim były.

— To ta Neumann dała ci chleb?

Magda potaknęła. Nie chciała jednak mówić zbyt dużo. To było bardzo trudne. Godziła się na wiele, żeby się wyrwać z piekła Ravensbrück, ale nie chciała o tym mówić.

— Nie znam jej... — Wanda się zamyśliła. — Przybyła tutaj w październiku, chyba dwa tygodnie przed tobą. Niewiele o niej wiemy.

Forma *pluralis* oznaczała chyba obozowy ruch oporu wśród więźniarek. Ale Magda nie chciała się w to angażować. Miała już dość potajemnej walki — i polskiej, i tej niemieckiej, która zabrała jej męża i zawiadła tutaj, do obozu. Chciała tylko przeżyć.

— Co z tobą, dziecko? — zapytała nauczycielka.

Magda chciała być silna. Ale dłużej nie mogła. Wielu nie wytrzymałoby tego wszystkiego, czego ona doświadczyła od aresztowania. W odruchu obronnym usiłowała się skupić na sobie, wykonywać polecenia strażniczek i przetrwać.

— Dostałam propozycję — powiedziała lakonicznie.

— Od kogo?

— Od Neumann. Chce, żebym została sztubową.

— To bardzo ważne, żeby funkcyjnymi zostawały osoby życzliwe więźniarkom. Chodzi o sprawiedliwy podział jedzenia. Dają nam go tak mało i nie możemy sobie pozwolić, żeby ktoś jadł więcej, a przez to ktoś inny mniej.

Łempicka w tym obozie napatrzyła się na rzeczy potworne: hodowanie wszy oraz innych patogenów na żywym ciele kobiet — tak zwanych królików — znęcanie się nad nimi, na eksperymenty medyczne, egzekucje, szczucie więźniarek psami, codzienne bicie, upokorzenia... Gdyby to opisała, jej historia miałaby setki stron. Domyślała się istoty tej

dziwnej relacji strażniczki i więźniarki, ale zauważyła też, że Magda chce przeżyć nawet za cenę bycia miłą dla Neumann.

RAVENSBRÜCK, 4 LUTEGO 1945

Tego dnia Magda została wezwana do funkcjonariuszki Neumann. Domyślała się powodu. Od trzech miesięcy była sztubową i jej niezwykła sprawność w języku niemieckim dała jej w styczniu — w strasznym czasie, kiedy głód zabierał coraz więcej więźniarek — funkcję blokowej w bloku niemieckich komunistek. Te kobiety ją lubiły, bo nie oszukiwała przy rozdzielaniu jedzenia, nie okradała ich i nie donosiła strażniczkom z SS. Zresztą — z wieloma z nich znalazła wspólny język. Komunistki czekały na Armię Czerwoną, ale Magda nie podzielała ich entuzjazmu. Teraz wyczuwała, że nadzorczyńni wszystkich innych strażniczek ma do niej jakąś sprawę o charakterze oficjalnym.

— Chwali cię aufseherka Grete Bösel — stwierdziła Neumann. — Jesteś bardzo sprawna, twój niemiecki jest znakomity.

— Dziękuję, staram się dobrze wykonywać moją pracę, Oberaufseherin.

— Dobrze wykonywać pracę... — Strażniczka westchnęła. — Gdyby wszyscy dobrze wykonywali swoje obowiązki, my, Niemcy, nie byłibyśmy dziś w tak ciężkim położeniu. — Neumann miała świadomość, że wprawdzie Magda jest Niemką, ale została uwięziona z powodów politycznych, jako wróg systemu hitlerowskiego.

Magda nic na to nie odrzekła. Wołała milczeć.

— Nie chciałabym cię stracić — rzekła Neumann.

— Nie rozumiem... — Magda wiedziała, że musi jej dać to, czego tamta będzie chciała, ale nie odda jej duszy. Nie angażowała się. Obiecała sobie, że jeśli przeżyje obóz, wyrzuci z pamięci Neumann, jak gdyby ta nigdy nie istniała.

— Powiedziałam ci, że jeśli będziesz dla mnie miła, ja też będę — powtórzyła strażniczka. — Z Berlina przyszła wiadomość, myślę, że dobra, że wczoraj w nalocie zginął sędzia Freisler, a budynek sądu ludowego i cała dokumentacja zostały zniszczone.

Magda poczuła ulgę. Nie będzie już kontynuacji tej sprawy. Tego naprawdę się bała. Ale teraz nic już na nią nie mają.

— Tak, to bardzo dobra wiadomość — powiedziała spokojnie.

Neumann popatrzyła na nią badawczo. Ta więźniarka się jej podporządkowała, ale ona wciąż pragnęła czegoś więcej.

— Pamiętaj, że to ode mnie zależy twoje życie lub śmierć. — Neumann nie spuszczała z niej wzroku.

Magda spojrzała jej w oczy.

— Cały czas o tym pamiętam.

OKOLICE RAVENSBRÜCK, 21 KWIETNIA 1945

Pierwsze próby wywiezienia więźniarek organizował delegat Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Próbował dostać się na teren obozu z paczkami żywnościowymi ze szwajcarskiej centrali, nie został jednak wpuszczony. Sytuacja powtórzyła się kilka dni później, przy drugiej próbie. Wówczas w sprawę ewakuacji zaangażował się osobiście hrabia Folke Bernadotte, członek szwedzkiej rodziny królewskiej. Skorzystał z możliwości bezpośredniego dotarcia do Himmlera, a ten dwudziestego pierwszego kwietnia, licząc na jakieś negocjacje z zachodnimi aliantami, zgodził się na ewakuację więźniarek autobusami z oznaczeniami Czerwonego Krzyża. W obozie zaczęło się pandemonium, ponieważ esesmani oraz strażniczki wiedzieli, że nadchodzi koniec piekła oraz ich władzy — jest wręcz niepokojąco blisko. W wielkim chaosie ostatnich dni Ravensbrück przełożona strażniczek Neumann zniknęła. Magda mogła odetchnąć z ulgą.

Pomogła swojej nauczycielce z Warszawy wsiąść do autobusu Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Gdy sama usiadła w środku, uświadomiła sobie, że nie widziała własnej twarzy w lustrze od kilku miesięcy. Spojrzała na odbicie w szybie pojazdu, ale nie poznała kobiety, którą była. W obozie ogolono im oczywiście głowy oraz włosy łonowe i potem co kilka tygodni powtarzano zabieg, co miało zabezpieczyć je przed wszawicą. Magda odbierała to zawsze jako krańcowe upokorzenie. A wszawica i tak była powszechna wśród więźniarek.

Kobiety, które wraz z Magdą oraz jej nauczycielką znalazły się w autobusie, nie mogły uwierzyć, że to koniec. Wkrótce ruszyli powoli naprzód. Musieli w kolumnie samochodów przekroczyć linię frontu, gdyż transporty z Ravensbrück kierowały się w stronę armii alianckich, zbliżających się od zachodnich Niemiec, już w większości zajętych przez siły Eisenhowera. Ale w ostatnich tygodniach wojny wszędzie panował niesłychany chaos. Ktoś nie powiadomił części alianckiego lotnictwa, że kolumna autobusów ze znakiem Międzynarodowego Czerwonego Krzyża jedzie z obozu koncentracyjnego dla kobiet w stronę świata i wolności. Dwa brytyjskie samoloty ostrzelały ją z broni maszynowej. Dopiero rozpaczliwe zachowania szwedzkich lekarzy i siostr sprawiły, że samoloty nie ponowiły ataku. Jednak część kobiet zginęła.

Seria z działka rozpruła poszycie dachu autobusu, którym jechała Magda. Nawet nie poczuła zranienia. Po chwili jednak, gdy dotknęła dłonią boku, jej palce zabarwiły się krwią. Wtedy zrozumiała, że jest ranna. Poczuła ból. Łempicka nie wahała się i wraz z kobietami, które przeżyły nalot, natychmiast wyniosły ją z pojazdu i zaczęły prosić o pomoc szwedzkich lekarzy. Gdy tylko znalazła się na zewnątrz, straciła przytomność.

BAYREUTH, ZAJĘTE PRZEZ AMERYKANÓW, MAJ 1945

Gdy Magda się ocknęła, nie wiedziała, gdzie się znajduje ani jaki nastał dzień. Rozejrzała się. Była pewna, że nie wróciła do obozu. Ktoś się nad nią pochylił.

— Jest pani w amerykańskim szpitalu wojskowym. Była pani więźniarką Ravensbrück. Zamknęła oczy. Koszmar wojny się skończył.

— Teraz niech pani odpocznie, ale potem przyjdą do pani nasze urzędniczki, żeby spisać pani dane osobowe. Będzie mogła pani wrócić do swojego kraju.

Magda leżała na wygodnym materacu. Amerykanie dobrze ją karmili. Któregoś dnia poprosiła o lusterko. Spojrzała na siebie. Odbicie potwierdziło to, co zobaczyła w szybie autobusu — Magda Pohl to już ktoś inny niż ta dziewczyna, która wracała pociągiem do Warszawy z przyjaciółmi z ostatnich wakacji przed wojną. Świat się zmienił i ona się zmieniła. Miała zmarszczki na twarzy, choć nie skończyła trzydziestki. Włosy — matowe i słabe. Opadła na poduszkę. Będzie musiała zdecydować, co dalej. Czy zostać w okupowanych Niemczech, czy też wrócić do Polski. Była ciekawa, czy Stefan przeżył. A co z jej domem? Nic nie wiedziała.

Amerykańska urzędniczka świetnie mówiła po niemiecku. Magda wsłuchała się w jej akcent i uznała, że to może być niemiecka Żydówka, która pewnie wyjechała przed 1933 rokiem. Ale twarz kobiety wydawała się jej skądś znajoma. Po dłuższej chwili nie miała już wątpliwości — nie do wiary, ale to musiała być Marlene Dietrich⁴⁸.

— Kim pani jest? — rozpoczęła rozmowę kobieta.

— Jestem Niemką, ale pochodzę z Polski i tam chcę wrócić. Nazywam się Magdalena Pohl.

Bez sensu było mówić o małżeństwie z Johannem. Urzędniczka zbierała wymagane informacje, ale Magda w końcu nie wytrzymała, przerwała jej i zapytała, czy to możliwe, że rozpoznała ją z ekranu. Dietrich z delikatnym zakłopotaniem potwierdziła swoją tożsamość.

— Czy wróci pani do Niemiec? — zapytała Magda.

Marlene Dietrich głęboko się zastanowiła.

— Jestem Niemką i myślę po niemiecku, ten język jest we mnie i kultura tego kraju wciąż we mnie żyje, tak jak w pani. Ale ja do Niemiec nie wrócę.

— Dlaczego?

— Bo przestały być moim krajem w trzydziestym trzecim, kiedy te świny doszły do władzy. Niemcy po tej wojnie nie będą już nigdy tym, czym były. To już nie jest mój kraj. Życzę pani powodzenia w Polsce. O ile tam panią zechcą.

Magdalena podziękowała. Nie podzielała obaw wielkiej aktorki, a teraz amerykańskiej żołnierki. Była przecież żołnierzem AK, polskiej armii podziemnej, i nigdy Polski nie zdradziła. To był jej kraj.

ROZDZIAŁ XXI

Powrót

ŁÓDŹ, SIERPIEŃ 1945

Magda Pohl po wielu dniach podróży z Niemiec, okupowanych teraz przez zachodnich aliantów i Związek Radziecki, dotarła do Łodzi. Gdy znalazła się na Piotrkowskiej, zauważyła wyraźnie napisaną po polsku nazwę ulicy. Chciała wierzyć, że to będzie nowy początek, nowe otwarcie w jej życiu. Miała przy sobie niewiele rzeczy. Jej mieszkanie w Berlinie zniknęło w morzu gruzów. Dostała kilka sztuk odzieży od Czerwonego Krzyża i zdecydowanie oświadczyła, że chce wrócić do Polski, do swojego domu. Pałac Pohlów wciąż przecież stał, jak mniemała. I nikt nie pozbawił jej przecież prawa własności. Z tobołkiem, jak nędzarka z powieści Victora Hugo, poszła Piotrkowską na tramwaj.

Motorniczy na jej widok zapytał:

— Panienska skąd?

— Z obozu niemieckiego.

— Panienska nie płaci.

Pojechała zatem. Patrzyła na swoje miasto i cieszyła się. Pomyślała, że Polska będzie wreszcie wolna, i chciała w tym wszystkim uczestniczyć, być częścią odbudowującego się powoli kraju. Gdy dotarła na miejsce, zastała dom zamknięty. Obok stał strażnik, któremu musiała wytłumaczyć, że jest właścicielką i wróciła do domu.

— Ja was wpuszczę, obywatelko — rzekł służbista. — Ale będę musiał o tym zameldować. Nie możecie niczego ruszać. Pokoje zamknięte mają takimi pozostać. Zrozumiano?

— Dobrze — odparła. Zgodziłaby się chyba na wszystko, była tak potwornie zmęczona.

Gdy weszła do środka, zauważyła, że wewnątrz się zmieniło. Zniknęły gdzieś portrety rodziny Pohlów. Ktoś ukradł stylowe zasłony z wielkiej jadalni, gdzie przed siedmioma laty podejmowała swoich przyjaciół na imprezie urodzinowej. Na chwilę jakby wrócił czar tamtego wieczoru. Znów słyszała głos Eugeniusza Bodo, który tak pięknie wtedy śpiewał. Wydawało się jej, że z korytarza dobiega głos ojca... Po chwili zdała sobie sprawę z tego, że tutaj zginęła Jadwiga, uwikłana w konszachty z esesmanem. Zapłaciła za to najwyższą cenę. I Poldek! Dopiero teraz odczuła tak naprawdę, że Poldek rzeczywiście tutaj zginął.

Dopiero teraz mogła go opłakać. W jakiś przedziwny sposób miał już na zawsze zostać w jej sercu — był przecież jej pierwszym mężczyzną. I jeszcze kochana Wanda...

Magda uświadomiła sobie, że dom stał się obcy. Najwyraźniej przygotowywano go na jakiś urząd. Niewiele wiedziała o władzy komunistycznej, którą od lata 1944 roku instalowały Armia Czerwona, NKWD, zamienione teraz na KGB, i ich polska kopia — Urząd Bezpieczeństwa. Większość pokoiów była zaplombowana. Nie naruszała tych zabezpieczeń. Chciała się wyspać i coś zjeść. Poszła więc do kuchni, gdzie niegdyś urzędowała stara Popiołkowa. Magda ją lubiła. Żałowała, że kucharka zginęła tamtego dnia w jej domu. Pomyślała, że od tak dawna nie widziała się z Brychczyńskim — nawet nie wiedziała, czy przeżył powstanie.

Teraz sobie przypomniała, że obok kuchni znajdował się pokój, który zajmowała Popiołkowa. Zostało tam łóżko, trochę rzeczy i różnych drobiazgów, a na ścianie wisiał kiczowaty obrazek religijny, przybrudzony, od dawna nieczyszczony. Panował tu straszliwy bałagan. Jednak łóżko nadawało się do spania. W kuchni znalazła trochę suchego chleba, który zdołała rozmiękczyć w wodzie. To było jej pierwsze pożywienie po powrocie do domu. Zjadła, położyła się i wkrótce zasnęła snem sprawiedliwego.

*

Magda Pohl zamieszkała zatem w pokoju swojej dawnej służącej. Nie narzekała. W domu znalazła schowek Jadwigi, w którym było sześć okupacyjnych górali i mnóstwo niemieckich pieniędzy III Rzeszy. Pięćsetzłotowe górale były w czasie wojny środkiem płatniczym w Generalnej Guberni, ale teraz nie miały już żadnej wartości. Instynkt samozachowawczy nie pozwolił jej nimi płacić — poszła do banku, by je wymienić. W Łodzi nie było już żadnych prywatnych banków ani kantorów, gdyż władze komunistyczne miały obsesję na punkcie spekulacji, w tym nielegalnej wymiany dolarów amerykańskich. Urzędniczka bankowa pilnie się jej przyjrzała.

— Dlaczego, obywatelko, nie wymieniliście pieniędzy zimą, kiedy był dekret rządu ludowego w tej sprawie? — zapytała ostrym tonem.

Magda odpowiedziała przytomnie:

— Bo byłam wtedy w niemieckim obozie koncentracyjnym. Teraz wróciłam. Proszę o niższe nominały.

To zrobiło na urzędnicze odpowiednie wrażenie. Wymieniła jej wszystkie sześć banknotów. Nowe zrobiły na Magdzie dziwne wrażenie — były sygnowane przez resort skarbu nowego państwa ludowego, ale nie przez bank. Nie dyskutowała jednak. Wyszła i po raz pierwszy zdała sobie sprawę z tego, że wszyscy jej znajomi sprzed wojny byli pochodzenia niemieckiego, jak ona. Była obca w swoim własnym mieście. Jednak zdecydowała, że zostanie i będzie walczyć o to, by jako Niemka — nigdy przecież nie

wypierała się swojego pochodzenia — żyć w Polsce, w kraju, w którym dorastała i o który walczyła.

Jej wewnętrzne przekonanie o tym, że Polska Ludowa doceni jej wkład, było w istocie wielce naiwne. Ale ekstremalne przeżycia sprawiły, że Magda Pohl nie widziała życia i rzeczywistości, która ją otaczała, z taką ostrością jak kiedyś, gdy była przebojową polską agentką w Berlinie, Warszawie i Łodzi podczas wojny. Coś w niej pękło, pojawiła się jakaś głęboka ryna, niedostrzegalny rów tektoniczny w jej duszy, ale ona zdawała się tego nie dostrzegać. Chciała pojechać do Warszawy, która ponoć wyglądała tak strasznie, że nie przypominała już żywego miasta, ale właśnie w tym momencie uświadomiła sobie, że jej życie w nowej Polsce będzie wyglądać zupełnie inaczej, niż kiedykolwiek myślała. Nie miała szofera i ulubionego samochodu papy! Ty biedna, żałosna egoistko! — skarciła się w myślach.

Z zaopatrzeniem było w mieście fatalnie. Nowe pieniądze przyjmowano z dystansem, ale za to chętnie wymieniano żywność za bimber.

— Nie mam bimbrowa — powiedziała na targowisku.

— Skąd się pani urwała? — zapytał ją w nie do końca grzeczny sposób sprzedawca.

Kupiła za gotówkę trochę ziemniaków, rzepy i cebuli. Musiała sobie sama to wszystko zanieść. Do domu weszła bocznymi drzwiami od strony ogrodu, które kiedyś były dla służby. W środku zastała komisję złożoną z urzędnika oraz dwóch funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej.

— Obywatelko, kim jesteście? — zapytał urzędnik.

— Magdalena Pohl, jestem właścicielką tego domu — powiedziała i położyła ciężkie siatki z zakupami na podłodze.

Urzędnik spojrzał wymownie na milicjantów. Nie spodobało im się to, co usłyszeli.

— Obywatelko, czy macie jakiś dokument potwierdzający wasze słowa?

Magda zostawiła zakupy i poszła zmęczona do pokoju na zapleczu po dokument wystawiony przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Urzędnik państwa ludowego nie mógł go podważyć. Oglądał go z każdej strony z milicjantami, co do których Magdalena miała przecucie, że ledwo się potrafili podpisać, ale nie była pewna, czy czytali ze zrozumieniem.

— Macie niepolskie nazwisko, obywatelko.

Kobieta zniecierpliwiła się.

— A co jest w nim niepolskiego?

— Brzmi jak nazwisko niemieckie.

— Ale ja jestem polską obywatelką, mówię po polsku, choć rzeczywiście korzenie mam niemieckie.

I była to prawda. Magda nie wiedziała jednak, że po 1945 roku w Polsce to słowo zyskało inne znaczenie. Istniała podwójna prawda — ta opisująca stan faktyczny i ta

zgodna z linią Polskiej Partii Robotniczej. Tę nową rzeczywistość dopiero poznawała, w tym odpowiedź na pytanie, która z tych dwóch prawd była ważniejsza.

— To zmienia postać rzeczy. Czyli należeliście do okupantów?

— Nie, nie należałam — odparła.

— Wasze deklaracje nie mają znaczenia. Decyzją szefa Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego ta posiadłość znajduje się w zasobach lokalowych ministerstwa. Nie próbujcie włamywać się do pokoi, gdyż odpowiecie za to karnie.

— Proszę pana, ja wróciłam z obozu koncentracyjnego w Ravensbrück, gdzie byłam więziona za działalność przeciwko Trzeciej Rzeszy — zaoponowała Magda.

Nie miała wątpliwości, że dom rodzinny jest stracony. Ale czym innym jest rozbój w biały dzień, a czym innym akt administracyjny, na którym takie zawłaszczenie musiałoby zostać oparte. Chciała przede wszystkim obronić swoje mieszkanie w pokoiku Popiołkowej — chciała chociaż w ten sposób móc pozostać w tym domu.

— Jaki pan? Tu nie ma już panów. Ja tam nic nie wiem, obywatelko, mówię tylko, jak jest — rzekł urzędnik.

Magda szybko dostosowała swój język.

— Proszę mi zatem pozwolić w waszej, obywatelu, obecności zabrać trochę moich rzeczy do ubrania się. Chodzę tylko w tym, co mam na sobie.

Urzędnik nigdy nie był w takiej sytuacji. Nie wiedział, jak się zachować. Nie miał przecież żadnych rozkazów, a o całej sprawie musiał przecież zameldować w urzędzie.

— Bardzo proszę, obywatelu. Jestem ofiarą obozu! — nalegała.

W końcu dał się ubłagać. Magda poszła zatem na górę, dobrze znanymi schodami, na których nieustannie widziała siebie samą sprzed wielu lat, do swojego pokoju. Zabrała kilka sukienek, palto na zimę, prochowiec i bieliznę.

— Musicie pracować — pouczył ją urzędnik. — Mówię już prywatnie, z życzliwości. Nie ma powrotu do dawnego pasożytnictwa na klasie robotniczej.

Te słowa zapadły jej w pamięć. Znała jedno takie miejsce, gdzie zamierzała poprosić o pracę.

ŁÓDŹ, JESIEŃ 1945

Dawna fabryka Pohlów produkowała teraz przede wszystkim wysokiej jakości materiały przemysłowe, takie jak worki, a także mundury, w czym świętej pamięci Alois Pohl rywalizował z doskonałej jakości bielską wełną. W roku 1945 przemysł Łodzi nie ucierpiał, gdy Armia Czerwona zajęła miasto. Pracowały także elektrownia i wodociągi, dlatego fabryka mogła szybko wznowić produkcję dla Wojska Polskiego oraz dla Sowieców.

Magda nie miała wyjścia, musiała podjąć pracę. Poszła zatem do — bądź co bądź swojej — fabryki. Pełniący obowiązki dyrektora technolog włókiennictwa, Wincenty Szlajer,

znajomy ojca sprzed wojny, świetnie pamiętał „panienkę Magdalene”.

— Miło mi panienkę spotkać — rzekł, wyraźnie skonfundowany na widok ducha, jakim była Magda Pohl.

Miał na tyle wyczucia i taktu, że wyprosił z gabinetu wścibską sekretarkę należącą do PPR w Łodzi. Poprosił ją, by zrobiła dwie herbaty ziołowe — mieszaninę mięty i pokrzywy, gdyż z zaopatrzeniem wciąż były kłopoty.

— Potrzebuję pracy, panie dyrektorze — powiedziała Magda.

Mężczyzna się zdumiał.

— Powiem otwarcie — odezwał się po cichu, aby naprawdę nikt ich nie podsłuchał. — Nie mogę panienki przyjąć na stanowisko kierownicze. Czasy się zmieniły. Nowa władza upaństwowi zakład w ciągu roku, może najbliższych kilku miesięcy.

— Zdaję sobie z tego sprawę. — Magda westchnęła. — Nie przyszłam pana prosić, by ustąpił mi pan miejsca. Chcę pracować jako robotnica w fabryce.

Dyrektor Szlajer nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Był kompletnie zaskoczony. Przecież to córka wieloletniego właściciela fabryki!

— Nie mam z czego żyć. Zdołałam wymienić tylko trzy tysiące złotych w banku polskim w Łodzi. Na ile mi to starczy? Na pół roku? I co dalej ze mną będzie? Trafie na bruk?

— Ale to stanowisko nie na pani umiejętności, znajomości świata, języków... — Szlajer się wahał.

— A zna pan kogoś, kto zatrudni w tym mieście Niemrę? — zapytała Magda.

To pytanie było kluczowe. Ona nie chciała niczego poza pracą, którą on mógł jej dać. Mężczyzna chwycił za aparat telefoniczny.

— Proszę z kadrami — oznajmił. — Macie przyjąć panią Pohl na stanowisko w fabryce. Jakie? To wasza sprawa. Macie przyjąć, i koniec.

Odłożył słuchawkę.

— Załatwione — rzekł. — Gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę przyjść.

— Dziękuję — powiedziała szczerze Magda, uradowana, że wreszcie coś jej się udało.

Od tego dnia codziennie szła do fabryki, gdzie musiała od podstaw nauczyć się pracy na automatycznych krosnach. Dopiero teraz widziała, jak łatwo o wypadek. Czy ojciec kiedykolwiek wypłacił godziwą zapłatę tym ludziom? Początkowo żadna z kobiet, które tutaj pracowały, nie zwróciła na nią uwagi. Skonstatowała ze zdziwieniem, że nikt jej nie kojarzył z dumną i wyniosłą Magdą Pohl. Ale oczywiście wieści, że córka byłego właściciela — do tego Niemka! — pracuje w zakładzie, w końcu się rozeszły. Jednak nie było jej dane sprawdzić, jak ludzie na to reagują.

Kiedy któregoś dnia rano, w listopadzie 1945 roku, Magda szła jak co dzień do pracy, zajechał jej drogę samochód — citroën avant model 1935. Może jeszcze przed rokiem używało go łódzkie Gestapo? Siedzieli w nim dwaj tajniacy i kierowca. Trzy osoby. Jeden z tajniaków wyskoczył z auta.

— Obywatelka Pohl Magdalena?

— Tak, to ja.

— Jedziecie z nami.

Magda rozejrzała się — była na ulicy sama. Nie miała wyjścia. Pozwoliła się poprowadzić tajniakowi do samochodu. W środku nikt się do niej nie odezwał, ale młoda kobieta poznała, dokąd jadą. Zmierzali w stronę tego samego budynku, w którym w czasie okupacji pracował nienawidzący ją Fleischmann. Zajechali przed modernistyczny gmach na ulicy Karola Anstadta pod numerem 7, gdzie mieściło się kiedyś Gestapo, a teraz — siedziba Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego.

— Dlaczego zostałam tutaj przywieziona? — zapytała, gdy wysiadła.

Jeden z tajniaków z całej siły uderzył ją w twarz.

— Jeszcze pyta! Parszywa niemiecka zdzira! Nie ty będziesz nam zadawała pytania!

Tak zaczęło się wymierzanie ludowej sprawiedliwości niemieckiej zdrajczyni narodu polskiego Magdzie Pohl.

ROZDZIAŁ XXII

To nie jest kraj dla ciebie

RUINY WARSZAWY, GRUDZIEŃ 1945

Jesienią 1945 roku wróciła do Polski matka Stefana i Wandy Brychczyńskich. Wywieziona najpierw do obozu przejściowego nieopodal Düsseldorfu, spędziła potem pięć lat, ciężko pracując u bauera. Nie miała możliwości pisania do rodziny — wiele razy o to prosiła, niemiecki rolnik mówił, że się zgadza, ale potem chował listy. Nie wysłał żadnego. Dla niego miało znaczenie tylko to, że Polka pracowała. Panią Brychczyńską wyzwolili żołnierze amerykańscy. Z powrotem musiała zaczekać do ustania działań wojennych. W tej epoce chaosu, kiedy ludzie przemieszczali się po zniszczonym kontynencie, nie było to nic dziwnego.

Wróciła, by odnaleźć dzieci. Budynek, gdzie miała mieszkanie na ulicy Bielańskiej, nie istniał — niemiecka bomba zrównała go z ziemią podczas powstania. Próbowwała szukać Wandy i Stefana, ale bezskutecznie. Nikt nie chciał jej zatrudnić. Na przeszkodzie stało jej inteligentne pochodzenie i to, że mąż Brychczyńskiej znalazł się na liście katyńskiej. Zresztą — o tym też dowiedziała się dopiero teraz. Nie miała czasu na opłakiwanie męża, którego w sercu pochowała już podczas wojny, gdy poczuła, że ojciec Stefana i Wandy nie wróci. A dziś zupełnie nie mogła się odnaleźć w zrujnowanej Warszawie.

— W Warszawie nic nie ma dla pani — powiedziano jej w punkcie opieki społecznej Czerwonego Krzyża, gdzie racjonowano żywność z amerykańskich darów.

— A gdzie byłaby szansa na pracę?

— Niech pani jedzie do Piotrkowa Trybunalskiego — podpowiedział jej ktoś.

Pani Brychczyńska stwierdziła, że to dobra rada. Może tam odmieni się jej los.

ŁÓDŹ, JESIEŃ 1945

Zatrzymanie Magdy Pohl w drodze do pracy było oczywiście zamierzonym działaniem Urzędu Bezpieczeństwa. Powrót do Łodzi właścicielki fabryki, która miała być znacjonalizowana, zrodził pokusę, aby sprawę rozwiązać szybko. Kula w głowę i kwatera na cmentarzu ewangelickim, gdzie w większości chowano Niemców z Łodzi, rozwiązałyby problem. Ale tak się złożyło, że w okręgu łódzkim szefem bezpieki był Mieczysław Moczar, brutalny komunista i obecnie stalinowiec, ale przede wszystkim nacjonalista. Idealem dla

niego byłoby aresztowanie niemieckiej dziedziczki i przerobienie jej na posłuszną obywatelkę nowego ludowego polskiego państwa. Taką też misję zlecił swojemu podwładnemu w bezpieczeństwie, który miał się zająć sprawą „Niemki”, jak mawiano w urzędzie. Tym podwładnym był Roman Popiołek, który oczywiście nie powiedział szefowi, że ta „Niemka” jest mu doskonale znana.

Gdy przyprowadzono mu ją na przesłuchanie po raz pierwszy, Popiołek zastanowił się, czy to na pewno ta sama osoba. Magda była zmieniona nie tylko fizycznie.

— Pamiętasz mnie? — zapytał.

Kiedyś był chłopcem pokojowym, a teraz nosił mundur UB. Po wojnie świat rzeczywiście stanął na głowie, pomyślała.

— Jak przez mgłę — odparła szczerze. — Nie zauważałam cię. Teraz już wszystko wiem.

— Co wiesz? To ciekawe.

— Moje zatrzymanie to twoja sprawka. Ale powinieneś wiedzieć, że było mi przykro z powodu śmierci twojej mamy. Lubiłam ją. Brakowało mi jej, kiedy wróciłam do domu... Do naszego domu.

Nie była pewna, jak on się może zachować, kim teraz jest. Pamiętała go jako chłopca, a teraz się go bała. Naprawdę się bała — bardziej niż esesmanów z Ravensbrück. Podejrzała, że ma wobec niej jakiś nikczemny plan, jakiś scenariusz...

— Niewinny się nie tłumaczy — zauważył Popiołek.

On już dawno pochował matkę w swoim czarnym sercu. Jej postać kojarzyła mu się z gotowaniem dla jaśnie państwa i z nędzą, której nienawidził. Zawsze chciał to zmienić i udało mu się. Teraz ona, ta, której pożądał od zawsze, znalazła się w jego zasięgu. Wystarczy tylko wyciągnąć po nią rękę. To takie proste, wydawałoby się. Ale praca w ubecji nie stępiła u niego pragnienia przyjemności, może nawet je wyostrzyła. Popiołek hojnie częstował się tym uczuciem, gdy wrywał osobiście — lub kazał swoim ludziom to robić — obcążkami paznokcie. Lubił te krzyki. Zazwyczaj potem ludzie mówili już wszystko, czego zażądał. Gdyż w przeciwieństwie do niemieckiego Gestapo stalinowskie UB starannie preparowało dowody i zeznania. Wszystko mogło się stać prawdą — w zależności od potrzeby lub jeśli towarzysze na górze tak zdecydowali. Klasyczna definicja nie miała tu zastosowania. Był katem, ale Magda jeszcze tego nie zrozumiała, jeszcze nie doświadczyła tego na swoim ciele.

— Ale ja jestem niewinna! Wróciłam z obozu nazistowskiego...

Popiołek wstał. Pokaże jej, kim się stał. Pokaże jej, kto ma władzę. Wymierzył jej ostry, siarczasty policzek.

— Ja tutaj zadaję pytania, ty niemiecka dziuro!!! — krzyknął. — Masz odpowiadać, jak ja cię zapytam, suko. I to ma być precyzyjna odpowiedź. Jesteś niemiecką dziwką, która była

na usługach Gestapo i AK, tej gównianej bandy harcerzyków!

Po chwili się uspokoił. Zapalił papierosa.

— Mamy przed sobą dużo czasu. Naprawdę dużo. Na razie napisz życiorys. Ze szczegółami! Z kim się pieprzyłaś po raz pierwszy w trzydziestym ósmym po swoich urodzinach?

Magda była zaskoczona.

— Skąd to wiesz?

— Bo byłem tam! Patrzyłem na ciebie, dziwko, ale nie mniej od tego interesują mnie twoje kontakty w AK. Chcemy wiedzieć, z kim współpracowałaś. Musisz napisać wszystko. Rozumiesz? Wszystko!

Dziewczyna zdała sobie sprawę z tego, że szybko stąd nie wyjdzie.

*

Minęło kilka dni. Magda ciągle powtarzała swój życiorys. Miała świadomość, że nie może podać żadnych kontaktów z Armią Krajową, ponieważ nowa władza w Polsce była wrogo nastawiona do akowców, całej legendy podziemnej armii. Popiołek nie prowadził przesłuchań osobiście, czasami tylko wpadał, żeby zobaczyć, jak młodszy towarzysze sobie radzą z Niemrą.

— Od kiedy współpracowałaś z Gestapo?

— Nie współpracowałam z nimi.

— Przecież pracowałaś, suko, w sekretariacie szefa SS na dystrykt warszawski! — wrzeszczał oficer UB. — Kogo chcesz oszukać?!

— Pan mnie łyży, ale trudno — powiedziała Magda. — Nie współpracowałam z Gestapo. Pracowałam w sekretariacie Arpada Wiganda, ponieważ podziemie chciało mieć kogoś blisko samego szefa SS w Warszawie. Pracowałam też tutaj, w Łodzi, w Komisariacie Rzeszy do spraw Umocnienia Niemczyzny, ale też za wiedzą AK. Wszystko, co robiłam jako niemiecka urzędniczka, nawet w Berlinie, robiłam za wiedzą Komendy Głównej.

Podobnych pytań były setki, a Magda była coraz bardziej zmęczona. UB, być może na polecenie Popiołka, nie biło jej cały czas. Za to pozbawiano ją dość skutecznie snu. Trzeciego dnia prowadzonego bez przerwy przesłuchania po prostu przewróciła się z krzesła na podłogę. Wezwano lekarza. Ocucił ją.

— Ona jest skrajnie wyczerpana — oświadczył ubekom.

Wtedy technika przesłuchań się zmieniła. Pozwolono się jej wyspać. Przeniesiono ją do izolatki. Na śniadanie dostawała dwie pajdy ciemnego chleba i wodę, trochę margaryny lub marmolady. Żarcie niewiele lepsze niż w Ravensbrück, pomyślała Magda.

Przesłuchania prowadził teraz Popiołek.

— Widzę, że nie możesz sobie odmówić upokorzenia mnie.

Teraz, gdy była wyspana, zupełnie inaczej reagowała na pytania — przede wszystkim próbowała zrozumieć, jaki jest ich cel.

— Gdybyś była mądra, już byś wyszła — rzekł Popiołek, który miał pochodzące z samej góry ściśle instrukcje dotyczące więźniarki Pohl.

Nie chodziło tutaj o nią, ale o kogoś zupełnie innego.

— Gównu mnie obchodzi, co robiłaś jako niemiecka sekretarka. Jesteś Niemką, więc pracowałaś. To jasne. Nas interesują twoja praca dla Komendy Głównej AK oraz twoje kontakty.

— Powiedziałam wszystko, co pamiętam. Byłam w faszystowskim obozie i od tego czasu nie pamiętam wielu rzeczy — broniła się Magda.

— Przestań pierdolić! Wiesz doskonale, o co pytam — naciskał Popiołek. — Kim był „Lalek”?

Magda milczała.

— Nie pamiętam takiego człowieka — odparła w końcu.

— Kto to był „Hrabia”?

A więc to cię interesuje? — pomyślała. Niczego się ode mnie nie dowiesz, skurwielu.

— Pierwsze słyszę.

Tego Popiołek nie zdzierzył. Dostała ostry policzek, aż poczuła smak krwi z rozciętej wargi na języku. Nic takiego — wiedziała dobrze, jak smakuje krew.

— Nie pierdol mi tutaj, bo każę cię przenieść do najgorszej celi, gdzie na jedno moje skinienie strażnicy zgwałcą cię w kilku — syknął Popiołek.

Jego nienawiść i brutalność były dla niej zagadką nie do pojęcia.

— Dlaczego taki jesteś, Roman?

— Nie mówimy o mnie, tylko o tobie — rzekł twardo. — Kim jest „Hrabia”? Wiemy, że go znasz. Władza ludowa cię rozpracowała. Nas interesuje on, nie ty.

— Nie wiem, kim on jest.

Popiołek wstał. Przeszedł się po pokoju.

— Naprawdę chciałbym w twoim przypadku uniknąć bicia. O co ci chodzi? O co walczysz? To nie jest twój kraj.

To było najważniejsze zdanie, jakie usłyszała, odkąd wróciła z niemieckiego obozu koncentracyjnego.

— Co powiedziałaś?

— To nie jest kraj dla ciebie! Dziwne, że tego nie rozumiałaś. Po co tu wróciłaś?

— Bo to jest mój kraj, tak jak i twój.

Popiołek gwałtownie zaprzeczył całym sobą.

— Jak ty to sobie wyobrażasz? Wrócić tutaj? Ty, Niemka? Zwariowałaś. Ludzie cię oplują, będą na ciebie srać za to, co tu zrobiliście. Nie, to nie jest twój kraj. Jeśli pójdziesz

na współpracę i powiesz nam, czego chcemy, pozwolę ci uciec do Niemiec. Gównu mnie obchodzi, do jakiej strefy się udasz.

Magda zapłakała. To było dla niej bardziej bolesne od bicia. Po raz pierwszy ktoś powiedział jej tak okrutne słowa tak dobitnie, tak bezpośrednio, tak ostro... Chciała być kimś, kim nigdy nie będzie mogła być. Jakie to było gorzkie — uświadomić sobie, że jest się Niemką marzącą o tym, by Polacy przyjęli ją jak swoją, zinternalizowali ją, przymknęli oczy na jej pochodzenie, ale zwrócili uwagę na jej język polski, znajomość polskiej kultury, sztuki, a nade wszystko — by dostrzegli, że była lojalna wobec nich i wobec kraju, który wybrała. Ale teraz nastąpiła inna Polska, w której przedwojenny cieć robił za sekretarza komitetu osiedlowego.

Płakała długo. Łzy przyniosły oczyszczenie. Podniosła głowę. Była gotowa spotkać się z tym, co nieuniknione.

— Nie będę z wami współpracować.

— Tym gorzej dla ciebie — rzekł z pozorną obojętnością Popiołek.

*

Nazajutrz Magda została poprowadzona na konfrontację. Jedną już przeżyła w berlińskim więzieniu, ale tym razem nie wiedziała, kogo ma spotkać, kogo naprzeciw niej postawią. Popiołek miał wolną rękę w prowadzeniu przesłuchania i wiedział, że człowiek, którego władza ludowa aresztowała po przekroczeniu granicy, wpadł i został rozpoznany jako jeden z ludzi znajdujących się blisko tych dwóch, których los interesował Urząd Bezpieczeństwa. Ubecja chciała dostać za wszelką cenę „Lalka” i „Hrabiego”. Nie wiedzieli tylko, że „Lalek” — jak na ironię — poległ na początku powstania, a „Hrabia”... Cóż, on miał jeszcze napsuć komunistom krwi. Poprowadzono ją do celi, gdzie jeszcze kilkanaście miesięcy temu Gestapo torturowało ludzi polskiego podziemia. Teraz ofiary były te same, ale kaci się zmienili.

Została posadzona na krześle naprzeciw potwornie pobitego Stefana Brychczyńskiego.

— Wy się znacie, prawda? — zapytał Popiołek.

Spojrzeni sobie w oczy. Co mogłaby powiedzieć Stefanowi? Oboje wiedzieli, że i tak najprawdopodobniej nie wyjdą z komunistycznego więzienia żywi. Mieli zbyt bogate doświadczenie konspiracyjne. W takich wypadkach nie należało się przyznawać do znajomości. Takie były — wciąż aktualne — instrukcje Armii Krajowej na czas konfrontacji na Gestapo. Przesłuchujący mogliby bowiem wywnioskować wiele innych okoliczności, gdyby znajomość została udowodniona.

Magda zaprzeczyła ruchem głowy.

— Nie kłam! Przecież widziałem was razem w trzydziestym ósmym roku na twoich urodzinach.

Spojrzała Popiołkowi w twarz.

— Zawsze wiedziałam, że jesteś małym, wścibskim podglądaczem. Nie wiem, kogo wtedy widziałeś. Ale ten człowiek jest mi obcy. Nie znam go.

Popiołek ze wściekłością dzielił ją w twarz. A naprawdę potrafił bić. Ile jeszcze bicia mógł znieść Brychczyński? Gdy Magda wstała — bo spadła z krzesła po ciosie Popiołka — zrozumiała, że Stefan jest pokonany. Bili go tak strasznie, że chyba nigdy wcześniej nie doświadczył takiego upodlenia. Urząd Bezpieczeństwa i jego funkcjonariusze byli niedoścignionymi mistrzami w zadawaniu bólu.

— A ty ją znasz, „Osa”? — zapytał Popiołek.

Stefan skinął głową. To wystarczyło.

— Wyjść! — Dwóch tęgich ubeków opuściło celę.

Zostali tylko we troje.

— No to mamy punkt zaczepienia do dalszych przesłuchań — oznajmił szyderczo.

— Nic ci nie powiem.

— Tylko tak ci się wydaje. Wszyscy mówią. To tylko kwestia metod. On zmiękł po miesiącu prania dupy. Zobaczymy, kiedy ty pęknieś.

Nic nie odrzekła. Spodziewała się, że będzie ją bił. A tymczasem on zrobił coś zupełnie innego.

— Mogłaś uratować mu życie, gdybyś powiedziała mi, co wiesz o agencie podziemia o pseudonimie „Hrabia” — rzekł Popiołek.

Wyciągnął pistolet, przeładował i na oczach Magdy strzelił Stefanowi w głowę. Ciało mężczyzny zważyło się z krzesła na betonową posadzkę. Popiołek przeszedł nad nim i opuścił pomieszczenie. Została sama z trupem.

*

Popiołek po wykonaniu egzekucji, która i tak była planowana przez władzę ludową na „wrogu ludu”, żołnierzu Armii Krajowej Stefanie Brychczyńskim, poszedł na rozmowę w sprawie więźniarki Pohl do swojego pryncypała — szefa Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Mieczysława Moczara.

— Dzień dobry, towarzyszu.

— A, to wy, Popiołek — powiedział Moczar.

W przeciwieństwie do innych aparatczyków rodzącego się i umacniającego reżimu Moczar nie lubił biurokratycznych procedur. Nie znosił ślęczenia nad papierami. Miał od tego pomagierów i sekretarki.

— Siadajcie. Napijcie się? — zapytał Popiołka człowiek, którego bali się nawet w Komitecie Centralnym PPR.

— Bardzo proszę, towarzyszu pułkowniku.

Moczar nalał więc wódki do dwóch kieliszków. W tym środowisku sprawy załatwiała się przy kielichu. Wypili więc po jednym i zaraz potem jeszcze raz po jednym.

— Co tam u tej waszej Niemki? Co ona wie o tym chuju Mokrzyckim?

— To jest dobre pytanie, towarzyszu pułkowniku. Z jej akt wynika, że mogła mieć z nim styczność w Zamościu, gdzie AK odstrzeliła szefa Gestapo. Ale jej dossier jest niekompletne, choć wynika z niego, że brała udział w wielu akcjach akowskiego podziemia, w tym w Berlinie.

— Czyli pojechała tam na rozkaz Komendy Głównej? — zapytał Moczar.

— Na pewno. Wszystko powiedział Brychczyński. Mam to zaprotokołowane. Zgodnie z poleceniem, towarzyszu pułkowniku, odstrzeliłem Brychczyńskiego na jej oczach. Zobaczmy, jaki przyniesie to efekt.

— Czy ona pójdzie na współpracę? Doskonale zna niemiecki, więc mogłaby pojechać na przykład do strefy amerykańskiej albo angielskiej.

— To będzie trudne. Ale spróbuję.

— Nie ustawajcie, towarzyszu Popiołek, w staraniach. Ona może się nam przydać — powiedział Moczar, a dla Popiołka nie było w Łodzi bóstwa większego od niego.

*

Magda spędziła przy zwłokach Brychczyńskiego całą noc. Nad ranem wyprowadzono ją z celi, a następnie wyniesiono trupa. Stefan miał zostać jednym z żołnierzy podziemia niepodległościowego pochowanych bezimiennie, bez szacunku i bez pamięci. Jednak ona żyła. Teraz wiedziała już, do czego Popiołek był zdolny, i zdawała sobie sprawę z tego, że nie będzie w stanie mu się przeciwstawić, jeśli chce ocalić życie. Do czego potrzebowali wiedzy o Mokrzyckim? Skoro Popiołek mógł tak po prostu zastrzelić Stefana, mógł też zabić ją. Czekają ją jednak coś zupełnie innego.

Na rozkaz Popiołka przeniesiono ją do izolatki, małej celi z pojedynczą pryczą. Dostęp do niej miał tylko Popiołek, jak mówiono w więzieniu — towarzysz porucznik. Pod płaszczyzną ideologii — a Sowieci potrafili skutecznie wyprać mózg — kryła się oczywiście ambicja zajęcia jak najwyżej w hierarchii ubecji, zdobycia władzy i wpływów, z tego też powodu ów człowiek stał blisko Moczara, bo „kto nie z Miciem, tego zmiciem!”. Ale oprócz tego na stosunek Popiołka do Magdy wpływały młodzieńcza fascynacja i żądza. Ów mężczyzna, wychowywany przez matkę, nigdy nie zaznał prawidłowych relacji rodzinnych i dla niego kobieta z wyższych sfer, do tego o takim powabie, seksapilu, inteligencji i wykształceniu, stanowiła rodzaj osobliwego afrodyzjaku. Według Schopenhauera jako ludzie skazani jesteśmy na uleganie woli, nieokiełznanemu niszczącemu pędowi ku ostateczności. Ale skazani na pożądanie nie musimy mu przecież ulegać — mamy rozum. Z tego też powodu większość ludzi nigdy nawet nie zbliży się do ostatecznego celu, jakim

jest zaspokojenie pragnień. Chyba że dany człowiek ma władzę nad innym, wtedy sprawa jest prosta.

Popiołek przyszedł w nocy, kiedy Magda spała. Obudził ją zgrzyt zamka w masywnych, okutych drzwiach wiodących do jej celi.

— Czego chcesz? Po co tutaj przyszedłeś? — zapytała.

— Dobrze wiesz, po co — odparł Popiołek. — Odkąd pamiętam, pragnąłem tylko ciebie. Jak ja nienawidziłem tego Żyda, który mi ciebie wtedy odebrał w trzydziestym ósmym! On cię wtedy pieprzył. Pewnie miałaś też potem innych, co?

Magda instynktownie cofnęła się na prycy pod ścianę. Domyślała się, że coś takiego może nastąpić, przechowywała więc starannie drzazgę, którą znalazła w celi na samym początku swojego pobytu tutaj. Była ostra i mogła stanowić broń ostateczną. Problem polegał na tym, że wsunęła ją pod poduszkę.

— Będiesz się bronić, ty niemiecka dziwko? Będziesz?... — syczał Popiołek. — Broń się. Ja lubię, kiedy baby się bronią.

Zbliżył się do niej i starał się ją przewrócić. Niewykluczone, że odczuwał większą przyjemność, gdy bił kobietę podczas gwałtu, ale Magda się nie poddawała — kopała i gryzła, i starała się go bić, ile tylko miała sił. Trwało to dłuższą chwilę. Aż zaczęła przegrywać. Był może niezbyt barczysty, ale mocniejszy od niej, osłabionej więzieniem i wcześniej obozem. Musiała ulec. Kiedy już znalazł się w niej, zamknęła oczy. Był brutalny. Płakała, chciała tylko, żeby to się skończyło jak najszybciej.

Gdy się zaspokoił, wycedził jej w twarz:

— To jest mój sposób na ciebie. Będę cię dupczył codziennie, aż zaczniesz mówić. Jestem ciekawy, ile taka Niemra jak ty, z wysokiego domu, wytrzyma dupczenia po radziecku. Ty jesteś moją frontową żoną.

Miała wrażenie, że ten gwałt znaczył dla niego tyle co nic, ale myliła się. Dla Popiołka to był akt zemsty ludu polskiego, dręczonego przez niemieckich obszarników — akt uprawniony. Popiołek uważał się za pokrzywdzonego przez Pohlów choćby przez śmierć jego matki w masakrze w ich pałacu w 1944 roku. W swej chorej wyobraźni w ten sposób mścił krzywdę, niszczył wroga narodu polskiego — jeśli w ogóle coś takiego funkcjonowało w zbitce pojęć, którymi posługiwali się ludzie Moczara. Jeśli dodać do tego nienawiść do kobiet, wówczas obraz Popiołka wyłoni się w sposób jasny i niebudzący wątpliwości.

Zgodnie z zapowiedzią przyszedł również kolejnej nocy. Tym razem jednak dziewczyna postanowiła się przygotować do odparcia ataku. Spodziewała się go. Czekwała. Nie mogła się zdradzić, że ma jedną jedyną broń schowaną w dłoni. Musiała dopuścić go blisko, żeby jej użyć.

— Co, podobało ci się wczoraj? — zapytał.

Magda nie chciała nawet do niego mówić. Znowu rzucił się na nią, jedną ręką przytrzymał ją za gardło, a drugą wkładał jej pod ubrudzoną spódnicę. Ale jej prawa dłoń była wolna. Błyskawicznym ruchem, gdy się nachylił, żeby ją lubieżnie polizać, wbiła mu drzazgę w oko. Krzyknął przeraźliwie. Zsunął się z jej pryczy. Magda strasznie się bała, że zdąży ją zabić, ale cios był bardzo silny i drzazga utkwiała w lewym oku głęboko. Popiołek próbował się odsunąć od niej i pełzł w stronę drzwi. A ona nie miała w sobie dość zimnej krwi, żeby na przykład dobić go zydlem z celi.

Mężczyzna okropnie się męczył. Zdołał dłonią wyjąć grubą drzazgę z oka, ale to posunięcie zdecydowanie pogorszyło sprawę — teraz z otworu bryzgała cieniutka, tętniąca struga krwi. Próbował otworzyć drzwi, ale za każdym razem, gdy chciał się podnieść z podłogi, krew tryskała szybciej. Jednak krzyki towarzysza porucznika zaalarmowały strażniczki na oddziale kobiecym. Gdy przybiegła dyżurująca, Popiołek już nie próbował wstawać.

— Towarzyszu poruczniku...! Co wyście zrobili?!

Kobieta próbowała udzielić mu pomocy, ale nie bardzo umiała. Podała mu chustkę, aby przyłożył ją do oka. Sama wróciła na dyżurkę i wezwała pomoc przez węzeł telefoniczny. Po pewnym czasie przyjechał gazik z dwoma wojskowymi, którzy zabrali Popiołka do szpitala. W ten sposób Magda uwolniła się od gwałciela.

*

O tym, co stało się w więzieniu na oddziale kobiecym, plotkowano w następnych dniach, ale niczego pewnego nie udało się ustalić. Czy towarzysz porucznik nieszczęśliwie się potknął i uderzywszy na przykład o krzesło, zranił się tak straszliwie? Czy może jednak ta przeklęta Niemka sama wbiła mu w oko tę drzazgę? Ale jak mogła to zrobić — przecież towarzysz porucznik nie zniżyłby się do tego, żeby tak przybliżyć swoją twarz do niemieckiej sukki?

Wśród strażniczek, przeważnie wywodzących się ze wsi pod Łodzią, oraz wśród więźniarek Magda zyskała osobliwą sławę, na którą składały się pogarda, bo przecież była „niemiecką suką”, podziw, że zaatakowała gwałciela — kobiety w więzieniu swoje wiedziały — oraz świadomość, że przed wojną była jedną z najbogatszych osób w mieście, a w czasie wojny współpracowała z Armią Krajową. Po wypadku dano Magdzie spokój, ale w dalszym ciągu przebywała w izolatce — zwyczajnie się jej obawiano. Sama więźniarka zaś była przekonana, że teraz już na pewno ją zabiją. Potem gruchnęła wiadomość, że towarzysz porucznik Popiołek przeżył, ale stracił oko. Ze zdumieniem przyjęto też informację, że aktyw partyjny wysłał go na Ziemię Odzyskane, do Szczecina czy Zielonej Góry, aby tam pracował w resorcie bezpieczeństwa i umacniał władzę ludową.

A Magda znowu żyła, na przekór wszystkiemu.

Jednak gwałt, którego dokonał na niej Popiołek, miał swoje konsekwencje. Już po dwóch tygodniach poczuła, że coś jest nie tak. Odczekała jeszcze jakiś czas, ale wkrótce zaczęła wymiotować. Zgłosiła to dyżurującej strażniczce.

— A co, nażarłaś się czegoś, niemiecka pindo?

— Chcę się widzieć z lekarzem. Jestem w ciąży. Proszę, obywatelko, jak kobieta kobietę, nie odmawiajcie mojej prośbie.

— To niemożliwe. Tutaj nie mogłaś zająć w ciążę — ripostowała funkcjonariuszka.

— Mogłam. Wasz towarzysz porucznik mnie zgwałcił — powiedziała Magda bez ogródek.

Wiadomość o czymś takim była skandaliczna nawet dla ubecji i Magda przypuszczała, że to z tego powodu Popiołek został wykopany na Ziemię Odzyskane. Jednak jej problem pozostał. Następnego dnia strażniczka poprowadziła ją i oddała w ręce dwóch milczących żołnierzy KBW, którzy ją zawieźli do radzieckiego lekarza. Nazywał się Abramowicz i rzeczywiście był jedynym ginekologiem w Łodzi w owym czasie — w armii radzieckiej miał też kilka innych specjalności. Nie był zbyt rozmowny.

— Siada na fotelu i rozkracza nogi.

W normalnych warunkach zaprotestowałyby, gdyby lekarz w ten sposób zwrócił się do niej jako do pacjentki, ale cóż — czasy nie były normalne. Zrobiła, co kazał. Dobrze, że chociaż umył ręce mydłem. Pogmerał jej z dołu. Bolało. Znów umył ręce.

— Jesteście w ciąży — powiedział beznamiętnie. — Macie prawo usunąć.

— Wy to zrobicie? — zapytała Magda.

— Czym? Nie mam narzędzi, a przecież nie będziemy używali druta — odparł lekarz. — Jednak jesteście w złym stanie fizycznym. Macie anemię. Zabieg może być dla was ryzykowny. Widać jesteście ważnym więźniem.

Magdzie nie chciało się już opowiadać swojej historii kolejnemu facetowi. Miała ich dość. Czowała się upokorzona, okradziona z własnego ciała i możliwości decydowania o nim. Wiedziała, że ubecja jej nie wypuści, dopóki nie powie im wszystkiego, co wie o „Hrabim”, czyli o Antonim Mokrzyckim, który musiał być ważnym agentem i dać czerwonym w kość.

— Chcę wracać do celi.

— Wasz wybór — odparł lekarz Armii Czerwonej.

DZIEWIĘĆ MIESIĘCY PÓŹNIEJ

Ubecja nie odpuściła. Magda została przewieziona do Piotrkowa Trybunalskiego, gdzie znajdował się oddział więzienny dla kobiet w ciąży. Tam urodziła córkę. Pozwolono jej zatrzymać ją przy sobie tylko przez godzinę po porodzie. Z powodu złego stanu zdrowia nie miała mleka, nie mogła jej więc nawet nakarmić. Pamiętała tylko, że krzyczała, gdy zabierali jej dziecko. Nikt jej nie słuchał. Gdy za bardzo się rzucała, oddziałowa dała jej w twarz.

— Nie będziesz tu darła mordy, niemiecka zdiro!

Musiała krzyczeć bezgłośnie. Wrzeszczała, wyła wręcz wewnątrz swej duszy, a jej krzyk obijał się o bezdenną głębię — przecież według Heraklita nie da się pojąć duszy ludzkiej, bo jej logos jest nieskończony, tak jak nieskończone jest ludzkie cierpienie. Znów była kobietą, za którą decydowano. Płakała bez końca.

— Nie płacz. Tak nie odzyskasz dziecka — usłyszała nagle.

Magda spojrzała na kobietę, jedną z salowych. Nie wolno im było przecież rozmawiać z pacjentkami. Ale zdawało się jej, że widzi kogoś znajomego, kogoś z jakiegoś innego, lepszego świata. Po chwili nie miała wątpliwości — to była matka Stefana Brychczyńskiego.

— Dziękuję pani — wyszeptała.

Ale wtedy znów ujrzała oczami duszy scenę egzekucji przyjaciela.

— Przepraszam, chciałabym zapytać, czy widziałaś po wojnie mojego syna? Albo moją córkę? — zapytała Brychczyńska. — Wróciłam z robót w Niemczech i próbowałam ich odszukać, ale bezskutecznie.

Magda nie potrafiła jej tego powiedzieć. Nie teraz.

— Widziałam ich ostatnio podczas wojny.

— Gdzie? Powiedz...

Jednak w owej chwili weszła przełożona sali rodzących kobiet i jej jasna komenda ucięła rozmowę.

— Masz pracować, a nie gadać! Jeśli skończyłaś, to się wynoś!

Pani Brychczyńska musiała wyjść. Magda zdołała ją tylko zapytać, gdzie mieszka. Ta odparła, że tutaj, w Piotrkowie. Dwa dni później Magda została z powrotem odwieziona do Łodzi.

KILKA TYGODNI PÓŹNIEJ

Magda po urodzeniu córki trafiła znów do celi izolowanej. Miała już wszystkiego dość. Z tym większą irytacją ujrzała tę samą strażniczkę, która próbowała ratować oko Popiołka.

— Idziesz na ważne przesłuchanie, Niemro!

Kiedyś zastanawiała się, co takiego zrobiła strażniczce, że ta zawsze, zwracając się do niej, podkreślała jej niemieckie korzenie, ale... Niczemu się już nie dziwiła w Polsce po zakończeniu wojny. Niemcy sobie na to zapracowali. Nie da się przekreślić pięciu lat bestialstw.

Zawieziono ją z więzienia do znanej jej siedziby ubecji w Łodzi. Trafiła na przesłuchanie do tej części budynku, w której nigdy jeszcze nie była. A to rzeczywiście mogło oznaczać, że miała się odbyć rozmowa, która zadecyduje o jej życiu lub śmierci.

Wprowadzono ją do gabinetu samego szefa łódzkiej ubecji, pułkownika Mieczysława Moczara, okrytego złą sławą.

— Siadajcie.

— Spodziewałam się wyzwisk na dzień dobry — odparła Magda. Zdziwiona, że wciąż nie straciła ostrości języka.

— A dlaczego? — zapytał Moczar. — Czy ja jestem barbarzyńcą?

Już chciała mu odpowiedzieć, że tak, jak najbardziej — jest dzikusiem nienawidzącym kobiet, ale powstrzymała się.

— Tak tu jestem traktowana, obywatelu pułkowniku — rzekła w końcu. — Wasz podwładny, Popiołek, zgwałcił mnie w więzieniu.

— I dlatego wykłuliście mu oko? — zapytał Moczar.

Zawahała się. Jeśli potwierdzi, być może wyda na siebie wyrok. Jeśli zaprzeczy — wkopie się tak czy tak.

— Broniłam się przed powtórny zgwałceniem. Nie pamiętam, co się stało — odpowiedziała dyplomatycznie. — Mówię prawdę. Dowodem jest to, że praktycznie zostałam zmuszona do urodzenia dziecka z tego gwałtu. A potem zabraliście mi córkę.

Moczar wstał. Był wysokim mężczyzną o włosach niemal kruczoczarnych. Do zaczesywania ich używał połyskującej brylantyny. Nosił mundur ubecji z żółtymi naszywkami na kołnierzu.

— Po co te wielkie słowa? — zapytał. — Towarzysz Popiołek, że się tak wyrażę, żywił do was zadawnioną urazę klasową.

— Przepraszam, że co?

— Czyż wasza rodzina nie wykorzystywała jego matki jako pomywaczki?

— Jego matka była u nas kucharką.

— To nie ma znaczenia. Chodzi o wyzysk.

— Czy wyzysk usprawiedliwia gwałt na mnie? — zapytała Magda

Moczar nie odpowiedział. Nie musiał.

— Jestem w sytuacji, w której ktoś przystawił mi pistolet do głowy — dodała.

— Ja tego nie zrobiłem — rzekł Moczar. — Jeszcze nie. Czy go przystawię, zależy od was.

Magda wyczuwała, że ta rozmowa będzie inna, że to nie będzie przesłuchanie — oni czegoś od niej chcą. Nie przeczuwała tylko, jak głęboka jest perfidia nowej komunistycznej władzy w Polsce.

— Co mam zrobić? Zadenuncjować „Hrabiego”, którego szukacie? Nawet gdybym chciała, nie wiem, gdzie jest i co robi.

— Jest w kraju — odparł Moczar. — Ale nasze organa bezpieczeństwa się nim zajmą. Trwa ostra walka klasowa. Musicie to zrozumieć. Postęp nie może odbyć się bez ofiar. Walczymy z poakowskimi bandami, które kryją się po lasach. Musicie sama sobie odpowiedzieć na zasadzie koniecznej racjonalności, po której stronie chcecie się znaleźć.

Po stronie gnojków z lasu, którzy obojętnie, jak bardzo nam zaszkodzą, zostaną wybici do nogi, czy też staniecie po stronie władzy ludowej, która ten kraj odbuduje i zmieni?

— A może ja nie chcę stawać po żadnej ze stron? — zapytała Magda.

— Na to jest za późno. Kto nie jest z nami, jest przeciwko nam. Czy nie widzicie w tej sytuacji konieczności dziejowej? Byliście częścią narodu niemieckiego, który napadł na ten kraj, a teraz macie szansę stać się elementem, dzięki któremu dokona się sprawiedliwość dziejowa. Byliście pasożytniczym elementem, wrogiem klasowym, który żył z pracy ludu polskiego.

— Jak mam to rozumieć?

— Posłuchajcie. — Moczar nalał sobie i jej do kieliszka ormiańskiego koniaku Ararat, który pijali wówczas notable sowieccy. — Odsiedzicie swój wyrok.

— Jak to: mój wyrok?

— Co jesteście taka niecierpliwa? Odsiedzicie do końca swój wyrok, jeszcze kilka miesięcy. Oficjalnie skazano was za wysługiwanie się hitlerowsko-niemieckiemu okupantowi.

— Jak to: skazano? Nie było przecież procesu. Ja przynajmniej o tym nic nie wiem.

— Sprawiedliwość ludowa jest wymierzana wszystkim szybko i sprawnie — zauważył towarzysz Moczar. — Wyrok zapadł, gdy przebywaliście na oddziale dla ciężarnych. Ze względu na wasz stan wyłączono was z procesu. Zostaliście skazana na sześć lat więzienia. Ale zrobimy tak. Posiedzicie jeszcze kilka miesięcy w dobrej celi, z lepszym jedzeniem, dojdziecie do siebie i będziecie mogli pod nadzorem widywać małą. Za kilka miesięcy skrócimy wam wyrok. Dla waszych znajomych będzie to znaczyć, że odsiedzieliście wyrok w naszym więzieniu. Dla nas: że wróg narodu polskiego został ukarany. Natomiast wy, jak wyjdziecie z więzienia, dostaniecie paszport i będziecie mogli wyjechać za granicę.

— Co takiego? — zapytała coraz bardziej zdumiona Magda.

— Wyjedziecie za granicę do okupowanych Niemiec, a konkretnie do strefy amerykańskiej. Będziecie pozostawać w ścisłym kontakcie operacyjnym z naszym wywiadem zagranicznym. Oczywiście dostaniecie pieniądze na urządzenie się. Oficjalnie to będą środki za zrzeczenie się przez was fabryki i majątku Pohlów, który został zbudowany na krwawicy polskiego ludu pracującego. Co rok będziecie udawać się do Polski, żeby oficjalnie zamknąć sprawy rodzinne, a nieoficjalnie: żeby zobaczyć małą. Bo nie macie ukrywać prawdy. Jesteście Niemką urodzoną w Polsce i macie tutaj swoje sprawy rodzinne, ale nie jesteście komunistką i siedzieliście w naszym więzieniu. Czy rozumiemy się?

A więc tak wygląda jej los. Będzie zmuszona do służby tym, którzy nią gardzą z powodu pochodzenia, a jednak właśnie to pochodzenie jest dla nich szansą na znalezienie szpiega. Ma się poniżyć? Po epoce komór gazowych nie ma już mowy o ludzkiej godności. Tego nie

przewidzieli mądrzy filozofowie. Co ma uczynić? Prosić o czas na zastanowienie się? Ma dziecko, którego nie chciała w ten sposób przywoływać na świat, ale ktoś znów za nią zdecydował. Dlaczego w jej życiu musi być tak, że faceci, którzy mają władzę lub o niej marzą, zawsze ją wykorzystują? Od 1939 roku służyła idei i była wobec niej lojalna. Zapłaciła za to cenę. Zgadza się — były kobiety, które zapłaciły większą. Pomyślała o tych zamęczonych w Ravensbrück, zagłodzonych w Auschwitz, zakatowanych na Szucha w Warszawie, gwałconych i porzucanych, maltretowanych i pozbawianych złudzeń. Ale jej, Magdzie, cena, którą musiała zapłacić, odebrała pierwotny idealizm. Nie chciała już dłużej cierpieć dla jakiejś abstrakcji. Chciała pożyć choćby złudzeniem bezpiecznego życia, bez przystawionego do głowy pistoletu.

Magda zdała sobie sprawę z tego, że niezależnie od jej idealizmu i tak zostanie zmiażdżona przez dwa totalitaryzmy. I w miarę jak będzie rósł jej opór, ona sama zacznie się kurczyć, karleć, wewnątrz obumierać. To nie musi być jeszcze równoznaczne ze śmiercią fizyczną, ale w ten sposób skaże siebie samą na powolne unicestwienie, pozbawienie radości życia, odebranie nadziei. Walczyła sześć lat. Już nie mogła dłużej.

— Zgadzam się — powiedziała.

I zapłakała. Pokonała ją pogarda.

ROZDZIAŁ XXIII

Ostatnia krawędź

ŁÓDŹ, 1947

Magda Pohl po odsiedzeniu wyroku w komunistycznym więzieniu mogła wyjść na wolność — zgodnie z zapowiedzią szefa łódzkiej bezpieki Mieczysława Moczara. Przystąpiła na współpracę. Po raz pierwszy w życiu dała się złamać i odczuła to bardzo głęboko. Nocami śnili się jej trzej mężczyźni, których kochała naprawdę — Poldek, bo zawsze pamięta się pierwszy raz, jej mąż Johann i platoniczna, niespełniona miłość — Stefan Brychczyński. Wszystkich straciła, ale ich śmierć, która miała czemuś służyć, teraz jawiła się w jej w duszy jako dysonans, złamanie etyki, którą wyznawała, stając nie po stronie kraju swojego języka i kultury, tylko po stronie kraju, w którym się wychowała. Jednak chciała żyć i jeśli to możliwe — odnaleźć córkę. Nie było już ważne, jak doszło do jej poczęcia — ta mała dziewczynka była jej dzieckiem. Magda myślała racjonalnie. Nie odzyska jej, jeśli nie będzie posłuszna komunistom. Gdy przyjdzie czas, zerwie współpracę, ale jeszcze nie teraz.

Kiedy wyszła z więzienia, ubecja nie zostawiła jej swobody. Miała zamieszkać w hotelu robotniczym. Dostała pracę jako współpracownik bezpieki, więc wikt, ubrania i pieniądze zapewniała władza. Miała się przygotowywać do pracy dla komunistycznego wywiadu. Wkładała w to całą siebie. Zewnętrznie przeistoczyła się w nową istotę — uśmiechniętą dziewczynę, wykrzykującą hasła posłuszeństwa Leninowi, Stalinowi i oczywiście towarzyszowi Bierutowi. W jej nowych dokumentach widniała nowa wersja jej nazwiska. Była teraz Magdaleną Pol.

— Dlaczego tak? — zapytała w Urzędzie Bezpieczeństwa.

— Bo tak brzmi po polsku. Chyba nie chcecie, żeby wszyscy widzieli w was Niemrę?

— Nie, oczywiście, że nie.

Po kilku miesiącach czytania tych wszystkich bzdurnych dzieł marksistowskich i po przejściu podstawowego szkolenia prowadzonego przez instruktorkę radziecką po rosyjsku Magda poczuła, że stoi mocno na nogach. W ubecji powiadomiono ją, że wkrótce nastąpi przerzut. Na pytanie, kiedy dokładnie, usłyszała:

— Nie będziecie tego wiedzieć. Macie być gotowi, obywatelko.

Uznała, że lepiej nie pytać, nie interesować się. Tylko wykonywać polecenia.

Wiedząc o tym, że jej czas w Polsce Ludowej się kończy, postanowiła się udać do Piotrkowa Trybunalskiego pod pretekstem odwiedzenia starej znajomej. Chciała odnaleźć matkę Stefana i powiedzieć jej prawdę o jej dzieciach.

*

Magda pojechała do tego samego szpitalnego oddziału więziennego, gdzie urodziła córkę. Oczywiście nikt jej nie poznał, gdyż wyglądała zupełnie inaczej. Była schludnie ubrana, choć unikała ostentacji. Miała świadomość, że węższy za nią szpicel ubecji.

— Czy pracuje tutaj obywatelka Brychczyńska?

— Co to obywatelkę obchodzi? Tutaj się pracuje, a nie gada bez potrzeby.

— Mam informację o jej dzieciach.

Szefowa salowych trochę się nadąsała.

— Co to za czasy, że ludziom spokojnie pracować nie dają... Przyszła taka, nie wiadomo skąd, wymyśla...

Magda zniosła to sarkanie bez słowa. Nie chciała przypominać, że leżała tutaj jako więźniarka jeszcze kilka miesięcy temu.

— Ale zaraz! Tu nie można siedzieć. Obywatelka skończy pracę, to wyjdzie.

Szefowa salowych gestem kazała jej opuścić oddział. Magda poszła zatem zaczekać do obskurnego baru, a raczej speluny, gdzie pachniało śledziem i wódką. Widok eleganckiej kobiety sprawił, że męska część wielbicieli kieliszka patrzyła nieprzytomnie, czy to aby nie przejaw delirium.

— Co podać? — zapytał kelner.

— Śledzia z beczki i pięćdziesiątkę wódki.

Męska zagrycha, ale Magda od kilku lat zajmowała się męskimi zajęciami — szpiegowaniu, zabiła nawet swoją koleżankę z mieszkania w Warszawie, choć nie osobiście. Ryba miała słony smak, pachniała morzem, a wódka naprawdę jej smakowała. Potem znów poszła pod oddział więzienny i czekała na Brychczyńską. Ta poznała ją od razu.

— Jak pani wyszła...?

Za nimi stał budynek.

— To nie na rozmowę tutaj. Gdzie pani mieszka?

— Na stacji u mojej kuzynki. Tylko na tyle mnie stać.

Magda pomogła jej zatachać zakupy do mieszkania. Brychczyńska przed wojną była dość zamożną osobą. Miała męża i dzieci. Teraz była sama i jako robotnica zarabiała tylko tyle, że starczyło na ziemniaki. A to i tak było dobrze. Powszechnym obrazem polskich miast po wojnie byli żebracy, nawet błagające o kawałek chleba dzieci.

Dopiero na stacji mogły spokojnie porozmawiać.

— Czy pani wie coś o moich dzieciach?

Magda wyobrażała sobie, że przekazanie jej prawdy będzie dla niej niezwykle trudne, ale w tym momencie skonstatowała, że tak nie jest. To bardzo proste i okrutne.

— Pani dzieci nie żyją.

I opowiedziała jej o tym, jak Wandzia Brychczyńska ukrywała się u niej w Łodzi w domu, jak pokochała się tutaj z Poldkiem, którego kobieta знаła sprzed wojny. Mówiła, że widywała się często ze Stefanem w Warszawie, że w zasadzie to on — choć na jej prośbę — wciągnął ją do konspiracji. O tym, że był kurierem do Berlina i że w ostatniej z nim rozmowie Magda poprosiła, by zabrał z Łodzi Wandę i Poldka... I o tym, że przez zdradę jej macochy, Jadwigi Pohl, wszyscy — poza Stefanem — zginęli. Po tej masakrze Stefan zniknął. Być może walczył w lesie, a na pewno w powstaniu warszawskim. Ubecja zgarnęła go w 1945 roku.

Na chwilę przerwała opowieść, bo musiała powiedzieć najważniejsze.

— Zrobili konfrontację, żebyśmy nawzajem się wsypali. Nie zrobiliśmy tego. — Magda postanowiła oszczędzić matce przyjaciela wiedzy o tym, że syn został złamany. — I wówczas...

— Co wówczas? — zapytała pani Brychczyńska.

— Ubek Popiołek zastrzelił Stefana w mojej obecności.

— Dość! Jak się wydostałaś? Powiedz prawdę. Z tego oddziału wychodzi się albo na rozwałkę, albo na ciężkie więzienie po urodzeniu dziecka.

W oczach matki Stefana Magda widziała nienawiść. Cóż mogła powiedzieć? Przecież przyjechała tutaj w jednym tylko celu — żeby dać świadectwo prawdzie, obojętnie, jakakolwiek by ona była.

— Zgodziłam się na współpracę. Zrobiłabym wszystko, żeby wyjść z tego lochu i odzyskać dziecko.

Matka Brychczyńskich gorzko się uśmiechnęła. Straciła zatem oboje dzieci i męża. Nie miała już nic. Nie mogła tylko pojąć, dlaczego jej dzieci spotkała śmierć, a ta Niemka żyje. To ona powinna umrzeć, pomyślała ze złością.

— Wypierdalaj — powiedziała Brychczyńska spokojnym, zupełnie niepasującym do treści słów tonem. — Nie chcę cię więcej widzieć. Moje dzieci umarły przez ciebie. Bądź przeklęta, Niemro. Gdziekolwiek będziesz, nie zaznasz spokoju.

Magda ją rozumiała. Nie miała pretensji. Rzeczywiście — nie miały sobie już nic do powiedzenia. Jadąc tutaj, miała nadzieję, że razem przeżyją wspólnie te dwie śmierci, Wandy i Stefana, ale teraz już wiedziała, że to były płonne nadzieje. Rozbiła się o mur. Wstała i wyszła.

W następnych tygodniach Magda Pol uczestniczyła w intensywnym kursie pozyskiwania informacji. Od 1946 roku ministerstwo bezpieczeństwa publicznego zostało podzielone na osiem, a potem na dziesięć departamentów. Ona miała pracować w departamencie siódmym, który — pod kierownictwem pułkownika Witolda Sienkiewicza — zajmował się prowadzeniem operacji w krajach ościennych. W sposób szczególny, z uwagi na powojenną okupację Niemiec, potrzebni tu byli agenci do pracy w zachodniej części niegdysiejszej Rzeszy. Magda okazała się wręcz idealną kandydatką — była Niemką, nie musiała jej udawać. Jednak prowadzący jej szkolenie ubecy nie mieli pewności, czy zachowa się lojalnie. Promujący ją Moczar, który uważał ją za swoje odkrycie, sądził jednak, że wystarczy zwykłe zaszantażowanie losem dziecka. Magda zdała bez problemu kurs ideologiczny, podczas którego musiała przekonać komisję ubeków, że rozumie trudne meandry marksizmu-leninizmu. Jednak nie to było decydujące. Przeszła również kurs obsługiwania radiostacji i używania broni. Zauważyła, że ubecję interesują przede wszystkim kręcący się po okupowanych przez aliantów Niemczech Polacy związani z rządem londyńskim Tomasza Arciszewskiego, socjalisty, który stanął na czele rządu polskiego na emigracji. Magda miała zwracać uwagę na to, w jakim kierunku potoczą się losy Niemiec.

W połowie 1947 roku uznano, że po praniu mózgu, jakiemu ją poddano, jest gotowa do podjęcia roli agentki. Żeby spotęgować wrażenie oraz zagwarantować sobie wykonywanie poleceń, pozwolono jej zobaczyć się z córką. Magda została przewieziona przez ubeków do Zielonej Góry i tam, w obecności świadków i ojca dziecka, mogła zobaczyć małą.

— Jak ma na imię?

— Róża — poinformowała ją kobieta towarzysząca Popiołkowi.

Nosił ciemne okulary, które ukrywały to, że nie miał oka. Magda starała się na niego ani razu nie spojrzeć. Dla niej ten człowiek przestał istnieć. Dziecko wyglądało na załężnione, jednak było zadbane. Spotkanie trwało godzinę. Po upływie tego czasu jej córeczkę zabrano.

— Jeśli chcesz widywać Różę, musisz z nami współpracować i być lojalna wobec Polski Ludowej.

— Będę lojalna.

— W to nie wątpimy.

Po tym spotkaniu serce o mało nie pękło jej z żalu, ale postanowiła, że wytrzyma — dla niej, dla Róży. Od razu zaakceptowała to imię. Ale czuła też, że to dziecko, ta niewinna dusza, było narzędziem nacisku na nią. I być może Popiołek wykorzystał ją seksualnie właśnie po to, żeby nałożyć na nią ten kaganiec. Najłatwiej przecież szantażować losem dziecka. A jednak Magda uwierzyła, że zdoła wyrwać siebie i córkę ze szponów UB.

OKUPOWANE NIEMCY, PÓŁ ROKU PÓŹNIEJ — WIOSNA 1948

Magda Pohl przyjechała jako repatriantka do Monachium, znajdującego się w nowej, brytyjsko-amerykańskiej strefie okupacyjnej zwanej Bizonią. Mówiło się tu o przywróceniu do obiegu marki niemieckiej w przyszłym, 1949 roku. Ludzie od trzech lat żyli w zawieszaniu. Od razu rozpoznała jako Niemka pewien kod, ukryty za słowami, dźwiękami i znaczeniami — nie należy poruszać tego, co wydarzyło się przed majem 1945 roku. Niemcy nabrali wody w usta. Wszyscy patrzyli w przyszłość, w wielką i silną Amerykę, która gwarantowała pomoc materialną. Mówiło się dużo o planie Marshalla, o tym, że trzeba pomóc „wszystkim ofiarom” wojny, wśród których Niemcy oczywiście widzieli też siebie. Magda doskonale czuła się na ulicach. Ale gdzieś wewnątrz wciąż czuła napięcie — żyła na smyczy Urzędu Bezpieczeństwa.

W Monachium, jak się okazało, przebywało także wielu znajomych ojca. Dzięki ich wstawiennictwu szybko otrzymała pracę w fabryce BMW jako sekretarka. Zaczęła zbierać informacje, które mogły zainteresować ubecję. Jako że świetnie знаła język polski i realia w kraju, trafiła też do środowiska Ślązaków, a także tych żołnierzy Wojska Polskiego, którzy nie chcieli wracać do Polski rządzonej przez komunistów. Zaczęła ich rozpracowywać. Comiesięczne raporty, bardzo szczegółowe, wysyłała do Polski w paczkach Czerwonego Krzyża. Nie wiedziała, co działo się z nimi dalej. Nie mogła jednak wykluczyć, że w te informacje miały także wgląd służby sowieckie. Byłaby naiwna, gdyby sądziła inaczej.

Owocna współpraca trwała kilka miesięcy. W tym czasie zdołała opisać Niemców, którzy wcześniej uciekli z Polski, a zostawili rodziny na Śląsku. Jej dziełem było rozpracowanie środowiska emigracji polskiej, gdzie przedstawiała się podrobionymi dokumentami na nazwisko Marta Pol. Jednak z każdym raportem wysylnym do Polski rósł w niej wstręt do samej siebie.

*

Nigdy by nie przypuszczała, że może zostać rozpoznana. Jednak tak właśnie się stało. W początkach 1949 roku ktoś ją zaczepił na ulicy.

— Proszę się nie odwracać. Idziemy. — Jakiś mężczyzna powiedział to wyraźnie po polsku.

Magda oczywiście mogła to wszystko obrócić w napaść. Z pewnością pojawiliby się tacy, którzy by ją uwolnili. Była przekonana, że to jakiś gość z ubecji, który przyjechał ją skontrolować, a może nawet sam Popiołek postanowił się zemścić. Było jej wszystko jedno. Nie przypuszczała, że po wojnie tak nisko upadnie. Być komunistycznym szpiclem to jednak dno moralne. Czuła to coraz wyraźniej każdego dnia.

Szli spokojnie kilkadziesiąt metrów do kawiarni, co ją zdziwiło. Nie wolno było się spotykać w takich miejscach, raczej w cichych, wynajętych pokojach, względnie

w kościołach.

— Pani stanowczo zwraca na siebie uwagę — powiedział mężczyzna.

Magda dopiero teraz mogła popatrzeć mu w twarz. W jakiś sposób się ucieszyła, że to był on, człowiek, który stanowił dla niej taką zagadkę podczas wojny — Antoni Mokrzycki, „Hrabia”. Jak ją znalazł? Jak się wydostał z Berlina, gdy widziała go po raz ostatni?

— Pan natomiast znów mnie zaskoczył.

— Porozmawiajmy — zaproponował.

Była ciekawa, co może mieć jej do powiedzenia. Jedno było pewne — spotkała go nieprzypadkowo.

— Stała się pani za bardzo widoczna. Gdy moi amerykańscy przyjaciele powiedzieli mi, że w Monachium pojawił się nowy komunistyczny, sowiecki agent, który jest kobietą, Niemką z Polski, przyznam, że nie mogłem uwierzyć — stwierdził Mokrzycki. — Ale pokazali mi zdjęcia.

Mężczyzna miał ze sobą teczkę, z której wyjął fotografię i położył na stoliku. Magda nie mogła zaprzeczyć — to była ona. Zdjęcie wykonano aparatem o długiej ogniskowej, uchwycili ją, jak szła na ulicy. Może ktoś zrobił je z samochodu, który przejeżdżał obok?

— Proszę nie zaprzeczać, że pracuje pani dla nich. Ale ponieważ znamy się i pani poznała moje imię i nazwisko, kiedy rozmawialiśmy w Berlinie w czterdziestym trzecim...

— Ja im niczego o panu nie opowiedziałam — przerwała mu gwałtownie.

— Tyle zdołałem wywnioskować, ponieważ wydostałem się z Polski po tym, jak próbowali mnie dorwać w Radomiu.

— Co pan wtedy zrobił?

— Zabiłem ich wszystkich, w tym moją byłą kobietę, która pracowała dla UB⁴⁹ — powiedział Mokrzycki.

Magdzie zdało się, że w jego oczach przemknął jakiś złowrogi cień. Mokrzycki w jednej chwili był już jak gdyby kimś innym — niezwykle skutecznym zabójcą, który umykał Sowietom od samego początku wojny. Zdała sobie sprawę z tego, że nie jest choćby w połowie tak zdolna wywiadowczo jak on i nie jest tak zimnym zabójcą. Po chwili zrozumiała, że on dostał od Amerykanów rozkaz zabicia jej. Nie wiedziała, gdzie popełniła błędy, które tak szybko ją zdekonspirowały. Jej misja była jedną z pierwszych wywiadu Polski Ludowej, więc być może ją poświęcono i spisano na straty choćby z tego powodu, że była Niemką pracującą dla Kedywu Armii Krajowej. Może miała po prostu przetrzeć szlak wywiadowi zagranicznemu bezpieczeństwu.

— Czy ja też znajduję się na pana liście? — zapytała wprost.

Obserwowała uważnie jego twarz. Nawet jeśli tak, to Mokrzycki się nie zdradził.

— Odpowiedź na to pytanie ujmowałaby pani inteligencji. Proszę mnie słuchać dalej — rzekł swobodnie Mokrzycki. — Rozmawiam więc z moimi amerykańskimi przyjaciółmi

i mówię im, że to niemożliwe, żeby ona była komunistką, ponieważ ją znam i wiem, że podczas niemieckiej okupacji mojego kraju, chociaż miała niemieckie pochodzenie, wykonywała różne ważne zlecenia Armii Krajowej i nigdy nie zawiodła. Porozmawiam z nią i może odwiodę ją od tej idiotycznej i szkodliwej współpracy.

Wszystko jasne. Miała tylko tę jedną szansę. Czowała, że drugiej nie będzie. Może się wyrwać z rąk bezpieki teraz albo nigdy. Powiedziała Mokrzyckiemu prawdę. O pobycie w Ravensbrück, o powrocie do Łodzi, o aresztowaniu, o gwałcie — choć to przyszło jej najtrudniej — i dziecku, które poczęło się w jego wyniku.

Mokrzycki wysłuchał jej bez słowa, ale miała wrażenie, że jej cierpienia w jakiś sposób do niego dotarły, przemówiły.

— To nie był zatem pani wybór. Zmusili panią do współpracy szantażem emocjonalnym. Wykorzystali. Między bajki może pani włożyć opowieści i zapewnienia, że pozwolą pani na kontakt z tym dzieckiem. Gdy wykona pani zadanie i pojedzie do Polski, zostanie pani zlikwidowana jako wróg ludu. Wszyscy w to uwierzą. Jest pani Niemką, i to wystarczy. Zwiążą pani ręce z tyłu drutem i zabiją jak wielu żołnierzy podziemia. Nie będzie miało znaczenia, że pracowała pani dla Armii Krajowej. To dla propagandy będzie nawet dodatkowy argument, bo pokazują AK jako kolaboranta hitlerowskiego.

Mokrzycki nie musiał nic więcej mówić. Chciała tego co on.

— Co mam zrobić?

— Będzie ich pani zwodzić. Może pani nam pomóc w likwidacji siatki i wskazać, jak wysyłała im pani raporty.

— A potem?

— Zniknie pani.

*

Zanim Magda Pohl zniknęła w Monachium w 1949 roku, na chwilę przed proklamacją przez Konrada Adenauera powstania Republiki Federalnej, musiała wewnętrznie obumrzeć. Zdała sobie sprawę z tego, że nigdy nie wróci do Polski, a w Niemczech prędzej czy później również zostanie zdemaskowana. Bezpieka nie wybaczała zdrady i nigdy nie odpuszczała. Zniknięcie oznaczało także, że po tych wszystkich strasznych latach musiała pozostawić za sobą macierzyństwo, którego nie wybrała, i dziecko, którego miała już nigdy nie ujrzeć. To było najcięższe. Ze wszystkich strasznych chwil ta, w której musiała uśmiercić siebie jako matkę małej Róży, była najgorsza. Zamknęła się wtedy w hotelu, gdzie czekała na transport statkiem do USA. Krzyczała do pustych ścian i płakała cały dzień. Następane dwa dni przeleżała w ciszy.

W końcu wstała. Poszła do łazienki i tam ścięła włosy na wzór krótkich damskich fryzur z lat dwudziestych. Rzeczywiście była wtedy innym człowiekiem. Obiecała sobie, że nie

pozwoli, by ktokolwiek jeszcze ją skrzywdził. W pokoju hotelowym zostawiła za sobą Magdę Pohl. Wydawało się, że jej historia się zamknęła.

Ale to jeszcze wciąż nie był koniec.

EPILOG

WARSZAWA, 1961

Wybór Edwarda Droźniaka, przedwojennego ekonomisty o sympatiach komunistycznych, na ambasadora pełnomocnego PRL w Stanach Zjednoczonych został bez sprzeciwu zaakceptowany przez Gomułkę i Biuro Polityczne PZPR. Był to kandydat z doświadczeniem zagranicznym, gdyż wcześniej pełnił funkcję prezesa Narodowego Banku Polskiego, a do władzy ludowej podchodził wyjątkowo lojalnie. Do stalinowskiej przybudówki PPR zapisał się już w 1946 roku — był zdecydowany na karierę. Jednak zanim wyjechał, został zaproszony na rozmowę do ministerstwa spraw wewnętrznych.

Droźniak, bardzo inteligentny funkcjonariusz, wiedział doskonale, że pozycja towarzysza Moczara jest niezagrożona. Był w rządzie PRL w randze wiceministra, ale jego spory z drugim wiceministrem, Antonim Alsterem, tylko go wzmocniły. „Kto nie z Mieciem, tego zmieciem” — głosił obiegowy partyjny slogan, może nazbyt prostacki, ale Droźniak wiedział, że nie należy sobie robić wroga z tego potężnego człowieka, który w partii komunistycznej uosabiał siły nacjonalistyczne i antysemickie. Poza tym był ciekawy, co też towarzysz Mieczysław zechce mu powiedzieć. Dlatego pojechał na spotkanie, które odbyło się w nowo wykończonym gmachu MSW. Warszawa wciąż była w trakcie odbudowy. W centrum wciąż straszyły gruzy, spomiędzy których wyrastała biała wieża Pałacu Kultury i Nauki.

Został przyjęty bardzo łaskawie. Sekretarka Moczara zrobiła mu kawę. Za alkohol podziękował, gdyż nie służył sercu.

— Jestem zaskoczony waszym zaproszeniem, towarzyszu ministrze.

— A ja jestem zadowolony, że je przyjęliście. — Moczar nic nie udawał. Nalał sobie pełny kieliszek koniaku. — Zostaliście naszym ambasadorem w USA i mam dla was pewne zadanie, towarzyszu.

— Słucham was zatem — odparł Droźniak.

— Zanim wyjedziecie, bardzo proszę, towarzyszu, abyście zapoznali się z teczką naszej bardzo dobrej agentki, którą straciliśmy w czterdziestym dziewiątym roku.

— Jak to: „straciliśmy”?

— Zniknęła. Prawdopodobnie stali za tym Amerykanie. W zeszłym roku, po elekcji prezydenta Kennedy’ego, jeden z radzieckich agentów zrobił te zdjęcia w Los Angeles, w polskim konsulacie.

Drożniak zerknął na materiały wywiadowcze. Porównał je z fotografiami z 1949 roku, sprzed dwunastu lat. Niby pokazywały tę samą kobietę, ale nie widział oczywistego podobieństwa.

— To mogą być dwie różne osoby — stwierdził.

— My też nie mamy pewności, towarzyszu — rzekł Moczar. — Ale ta sprawa psuje nam opinię u towarzyszy radzieckich i proszę was, abyście się zajęli nią w miarę możliwości. Nasi pracownicy w ambasadzie pomogą wam. Możecie użyć wszelkich środków nacisku na tę kobietę.

— Jakich mianowicie?

— Miękkich. Ona ma tutaj w Polsce dziecko, córkę.

Drożniak zdziwił się. Nie bardzo mógł jednak odmówić rozpychającemu się w Komitecie Centralnym Moczarowi, więc się zgodził.

LOS ANGELES, MAJ 1966

Ambasador Drożniak już prawie zapomniał o zdjęciu kobiety i rozmowie w Polsce z wszechwładnym Mieczysławem Moczarem. Przyjechał do Los Angeles na wystawę poświęconą polskiej sztuce plakatowej. Polski plakat był już słynny od czasu Grand Prix na Międzynarodowej Wystawie Plakatu w Wiedniu w roku 1948, ale nowoczesna wystawa w sercu amerykańskiego przemysłu filmowego była dla chorującego na serce ambasadora ważnym doświadczeniem. Zdawał sobie sprawę z tego, że reprezentuje kraj komunistyczny za żelazną kurtyną, ale mimo to chciał się pochwalić trochę polską kulturą. Przy okazji zamierzał też pokazać w kinie studyjnym słynny film Romana Polańskiego „Nóż w wodzie” z 1961 roku. Gomułce się nie podobał, ale czemuż miałby się nie spodobać Amerykanom?

Nie czuł się ostatnio zbyt dobrze. Dokuczało mu serce. Stres dawał o sobie znać. Przez ostatnie lata w Stanach Zjednoczonych był politycznym obserwatorem wydarzeń naprawdę wstrząsających, jak zabójstwo prezydenta Kennedy’ego czy walka czarnej ludności o prawa obywatelskie i ludzkie. Fascynowały go Ameryka i atmosfera wolności, której w Polsce Ludowej nie było. W tym czasie wykorzystał dostępne mu środki, by odnaleźć poszukiwaną agentkę. Na próżno. Wysłał kilka raportów, że podlegli mu pracownicy ambasady nigdy nie spotkali kobiety o nazwisku Magdalena Pohl, której rysopis odpowiadałby kobiecie ze zdjęcia.

Ale tym razem miało być inaczej.

*

Ambasador uczestniczył w wernisażu, który kręgi artystyczne w Los Angeles potraktowały jako osobliwe wydarzenie. Nie wiedziano tu zbyt wiele o polskim plakacie, zarówno filmowym, jak i społecznym. Ale ludzie przyszli tłumnie, dyskutowali. W pewnej chwili

zobaczył kobietę, która przechadzała się po wernisażu w towarzystwie mężczyzny. Coś w jej twarzy go poruszyło — bardzo przypominała mu osobę ze zdjęcia, które zaprezentował mu towarzysz Moczar. Poczuł mrowienie, oznakę zdenerwowania. Znajdował się dość niedaleko niej i uznał, że dobrym pomysłem będzie się zbliżyć jeszcze bardziej. Z każdym krokiem nabierał przekonania, że to rzeczywiście ta kobieta. Jakim cudem znalazła się akurat tu i teraz, w jego zasięgu?

— Czy podoba się państwu wystawa? — zapytał swoim wyuczonym angielskim z silnym akcentem.

Tak może mówić tylko ktoś, kto uczy się angielskiego bez kontaktu z native speakerami. Kobieta nie wyglądała na zaskoczoną jego pytaniem, raczej na rozbawioną.

— Ależ tak, jest wspaniała, tylko bardzo skromna.

— Chciałbym się przedstawić. Ambasador Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej Edward Droźniak.

Znów ten uśmiech na twarzy, gdy ambasador męczył się przy wymawianiu *Polish People's Republic*.

— Magdalene Jennings — powiedziała. — A to mój mąż Michael.

Pan Jennings przywitał się z ambasadorem.

— Czy pani interesuje się polskim plakatem? — zapytał Droźniak.

— Tak, w ogóle interesuję się polską sztuką i literaturą.

— Ma pani może polskie korzenie?

Kobieta zaśmiała się.

— Nie, absolutnie nie. Mam niemieckie korzenie.

Droźniak poczuł gwałtownie przyptykający ból i uczucie duszenia blisko mostka. Tak, to była ona. A on znalazł się tak blisko tajemnicy. Dlaczego uciekła? Dlaczego zerwała współpracę z Polską Ludową? — te pytania może interesowały esbecję, ale nie jego. Droźniak interesował się kobietą dla niej samej. Było coś niezwykle smutnego w jej twarzy na zdjęciu. Ten smutek go zachwycił, ale mężczyzna nie chciał się do tego sam przed sobą przyznać.

— Intrygujące — powiedział. — Niemka, która interesuje się polską sztuką, mieszkając w Stanach Zjednoczonych.

— Właśnie tak mniej więcej to wygląda — zażartowała kobieta.

Droźniak chciał pociągnąć tę rozmowę, ale obawiał się, że wyda się zbyt natarczywy. Po chwili czar prysł. Kobieta i jej mąż uprzejmie go przeprosili — umówili się ze znajomymi.

— Zapraszam panią oraz pani męża do pozostania w kontakcie z pracownikami konsulatu w Kalifornii.

— Nie omieszkamy tego uczynić — odparł pan Jennings.

*

Ambasador nie odpuścił. Przeszukał wszystkie dostępne dokumenty. Ciągłe wpatrywał się w zdjęcie wykonane kilka lat wcześniej gdzieś Stanach Zjednoczonych. Ta kobieta intrygowała go, wciągała go w swoją tajemnicę. Kim była — Niemką czy Polką? Dużo o tym rozmyślał. Aby choć na chwilę o niej zapomnieć, wziął się do czytania noweli Thomasa Manna *Śmierć w Wenecji*, wstrząsającego, trudnego zapisu miłosnej fascynacji mężczyzny chłopcem, ale jedynie w relacji platonicznej. Czy to właśnie czuł ambasador wobec kobiety, której nie znał? Czy człowiek zakochuje się w drugiej osobie naprawdę, czy jedynie w jej fenomenie — zjawisku, które się jawi jego zmysłom? Ambasador postanowił przedłużyć swój pobyt w Kalifornii, licząc na to, że spotka znów tę kobietę i zapyta o jej historię — tę prawdziwą, bo bzdury, które wypisała o niej ubecja w czasach stalinowskich, można było włożyć między bajki.

I doczekał się. Kobieta przyszła do galerii, gdzie wystawiano polskie plakaty, tym razem sama. Jednak nie po to, by mówić o sztuce.

— Witam panią — rzekł ambasador w swoim kiepskim angielskim.

Była jednak inna niż ostatnio, jak gdyby zmieniona przez okoliczności.

— Znaleźliście mnie — powiedziała w najczystszy polskim, jaki Droźniak mógł sobie wyobrazić.

— Nie wiem, co powiedzieć. Zaskoczyła mnie pani — odparł.

— Dajcie mi spokój. Zamknęłam przeszłość. I tę polską, i tę niemiecką. Mam prawo do swojego życia.

— Ma pani w Polsce córkę.

Kobieta zamknęła oczy. Zrozumiał, że to była najgłębsza rana, jedna z tych, które się nie goją mimo upływu czasu, a zaledwie powierzchownie zablizniają. A on właśnie ją otworzył. Gardził samym sobą, że to uczynił.

— Przepraszam — rzekł.

— Moja córka mnie nie zna — powiedziała kobieta. — A ja dokonałam wyboru niemożliwego. I tak musi zostać.

Edward Droźniak usztywnił się. Z jednej strony mu się podobała, ale z drugiej... wciąż był lojalnym członkiem PZPR. Ta tożsamość jednak topniała w nim, kiedy ona na niego patrzyła.

— Ja tylko... Wie pani, rzeczywiście ludzie z naszego MSW szukali pani w latach pięćdziesiątych — powiedział w końcu. — Napiszę, że nie znalazłem pani śladu w Ameryce.

— Liczyłabym na to — odparła kobieta.

— Skoro już rozmawiamy, proszę mi powiedzieć prawdę o sobie. Polska Ludowa zmieniła swój stosunek do Armii Krajowej.

— Ma pan na myśli to, że nie jest już ona zapluty kartem reakcji?

— Coś w tym stylu.

— Chce pan usłyszeć prawdę? Moją prawdę?

— Tak, bardzo chciałbym.

— Walczyłam w Armii Krajowej jako obywatelka kraju, który był kiedyś moją ojczyzną. To prawda, że miałam niemieckie korzenie. Co za paradoks! Jednak moja ojczyzna, a konkretnie wy... Zdradziliście mnie. Zabraliście mi wszystko. Tożsamość, dziecko, wolność. Dlatego nigdy nie wrócę do Polski. Nauczyłam się żyć tutaj bez połowy siebie.

— Skoro odżegnuje się pani od swojego dawnego kraju i od Niemiec też, to kim pani jest?

— Jestem Amerykanką. Identyfikacja kulturowa nie ma już dla mnie znaczenia. — Kobieta zamyśliła się na moment, po czym wyjęła z torebki gruby notatnik. — Proszę to wziąć. To mój pamiętnik z czasów wojny, spisany tutaj, w Ameryce. Skoro zmieniło się nastawienie do AK, to może kogoś w kraju to zainteresuje. Zostawcie mnie w spokoju. Dajcie mi żyć.

Ambasador pożegnał się. Zrozumiał, że nie ma sensu ciągnąć tej rozmowy.

WASZYNGTON, 1 LISTOPADA 1966

Po przeczytaniu i przeanalizowaniu notatek Magdaleny Pohl ambasador Edward Droźniak zrozumiał, przez co przeszła kobieta. Był pod wrażeniem tego, co zrobiła w czasie wojny. Można było ją złamać, ale nie zniszczyć. Niepospolity charakter — tak by ją określił. Jednego tylko nie potrafił zrozumieć. Czy była Polką niemieckiego pochodzenia, czy Niemką identyfikującą się z Polską? A może jednym i drugim? Czy to w ogóle jest możliwe? Czy poczucie narodowości nie jest tylko złudzeniem? A może to stereotyp kulturowy? W tamtym czasie odpowiedź na te pytania wcale nie była oczywista.

Edward Droźniak szczególnie źle się dziś czuł. Nie chciał się wprowadzać w nerwowy nastrój, ale sprawa tej kobiety i szantażu, jakiego się wobec niej dopuszczono, nie dawały mu spokoju. Zastanowiła go ostatnia strona pamiętnika. Było to jej tłumaczenie wiersza *Do Marii A. Bertolta Brechta*.

W ów dzień wrześniowy, w błękitie miesiąca,
Staliśmy cicho w cieniu młodej śliwy
I moją miłość trzymałem w ramionach,
Błądą i wiotką, niby cień szczęśliwy.
A ponad nami, w pięknym letnim niebie,
Tam była chmura, rzecz dawno nawykła,
Niezmiernie biała, potwornie wysoka.
Spojrzałem w górę — i ta chmura znikła.

Od tego dnia tak wiele już miesięcy
Spłynęło cicho w dolinę nicości,
Śliwy zapewne bardzo dawno ścięto.
Jeśli zapytasz, co z tamtą miłością,
Odpowiem szczerze: nie pamiętam wcale.
Choć tak, zapewne, wiem, po coś pytała.
Ale jej twarzy sobie nie przypomnę.
Wiem tylko jedno: że ją całowałem.

O pocałunku także bym zapomniał,
Gdyby nie chmura, co tam przepływała.
Chmurę pamiętam, będę wciąż pamiętał.
Sunęła górą, była bardzo biała.
Może tam śliwy ciągle jeszcze kwitną,
Kobiecie owej siódme dziecko wzrosło.
Lecz owa chmura kwitła parę minut,
Gdym spojrział w górę, z wiatrem ją przeniosło⁵⁰.

Przeczytał go kilka razy. Czy ten wiersz był jej manifestacją? A może przetłumaczyła go specjalnie dla niego? Gdyby tak rzeczywiście było, uznałby to za wyróżnienie. Czy życie Magdaleny Pohl można uznać za spełnione? Nie znał odpowiedzi. Wrócił do wiersza i nagle pomyślał, że chyba już rozumie — ona się z nim w ten sposób żegnała. Pokazywała mu, kim jest — że te dwie natury, niemiecka i polska, wciąż w niej żyją, wciąż się w niej tłą. Nie chodziło o samą treść wiersza, ale o wykonanie tłumaczenia z niemieckiego na język polski. Tak rozstawała się ze światem niemieckiej kultury i językiem polskim.

*

Tego dnia po południu serce Edwarda Droźniaka nie wytrzymało. Był pierwszym polskim ambasadorem, który zmarł na urzędzie poza krajem. Po jego śmierci pamiętnik zaginął. Nikt go nie próbował szukać, bo nikt o nim nie wiedział. Może ktoś, kto na niego trafił, uznał go za zbędny? Może jakiś pracownik konsularny, nie wiedząc, co zawiera, wrzucił go do kominka? Historia Magdaleny Pohl miała zostać zapomniana, tak jak i ona sama miała zniknąć w mroku dziejów.

Życie tej kobiety zostało naznaczone przez pogardę jednych i drugich — Polaków i Niemców, sąsiadów skazanych na wieczną nieufność. Ten bakcył nigdy nie zginie i pewnego dnia znowu postawi ich przeciwko sobie.

O Autorze

Wojciech Dutka – urodzony w 1979 roku w Bielsku-Białej pisarz, nauczyciel i historyk. Człowiek spełniony. Jego największą pasją jest pisanie. Czuje się dobrze zarówno w powieści historycznej, przygodowej, jak i sensacyjnej, ale z powodzeniem uprawia też kolaż tych gatunków. Autor wielu powieści, w tym głośnej „Czerni i purpury”, cyklu o hrabim Mokrzyckim – polskim szpiegu i dyplomacie, cyklu starożytnego – „Apokryfu”, „Apostaty”, „Anegdoty”, a także „Snu o Glajwic” i „Amerykanki”.

-
- ¹ Takie szkoły, przygotowujące do bardzo trudnej matury, powstały w wyniku reformy edukacji.
- ² Chodzi o wydaną w 1987 roku gotycką powieść *Dracula*.
- ³ To *licentia poetica* autora.
- ⁴ Budynek już nie istnieje, dziś to róg ulic Piastowskiej i 3 Maja. Do wojny funkcjonował tam elegancki hotel, z łazienkami i ciepłą bieżącą wodą oraz elegancką restauracją. Zob. J. Zięba, *Najstarsze hotele w Bielsku-Białej. Spotkanie z historią* [online] <https://bbfan.pl/arttykul/kiedys-osobno-dzis/1236078> (dostęp: 15.08.2023).
- ⁵ Towarzystwo Beskidzkie; niemiecka organizacja turystyki górskiej.
- ⁶ Ziganer Wald — Las Cygański — dziś nazywa się tak rozległy teren lasu miejskiego w Bielsku-Białej.
- ⁷ Tadeusz Żenczykowski (1907-1997), pseudonim „Kania” lub „Kowalik”, oficer Komendy Głównej ZWZ/AK, odpowiedzialny za akcję „N”, jedną z najbardziej niezwykłych akcji dezinformacyjnych polskiego podziemia wymierzoną w Niemców, a potem akcję „Antyk”, wymierzoną w komunistów.
- ⁸ (niem.) Dlaczego?
- ⁹ Wita Stwosza
- ¹⁰ Zdaję sobie sprawę z tego, że dla większości czytelniczek i czytelników opisane fakty mogą być szokujące. To był tak zwany pogrom wielkanocny, w którym polska młodzież, identyfikowana z obozem narodowo-radykalnym, biła Żydów w Warszawie pod okiem nieinterweniujących Niemców w marcu 1940 roku. Zwrócił na to uwagę profesor Tomasz Szarota. Zob. Tomasz Szarota, *U progu Zagłady. Zajścia antyżydowskie i pogromy w okupowanej Europie*, wyd. Sic!, Warszawa 2000, s. 54; Por. Carla Tonini, *Czas nienawiści i czas troski. Zofia Kossak-Szczucka — antysemitka, która ratowała Żydów*, Żydowski Instytut Historyczny, Warszawa 2007, s. 123; K. Person, *Pogrom wielkanocny 1940 roku* [online] <https://www.jhi.pl/arttykuly/pogrom-wielkanocny-1940-roku,354> (dostęp: 15.10.2023).
- ¹¹ W dawnej siedzibie Gestapo na Anstadta 7 mieści się dziś XII Liceum Ogólnokształcące w Łodzi.
- ¹² (niem.) Tylko dla Niemców.
- ¹³ (niem.) Dokument! Ale już!

- ¹⁴ Postać historyczna.
- ¹⁵ (łac.) Słodko i zaszczytnie jest umrzeć za ojczyznę.
- ¹⁶ Postać historyczna.
- ¹⁷ Reichskommissar für die Festigung deutschen Volkstums (RKFDV) był głównym urzędem do spraw polityki przesiedleńczej na terenach okupowanych.
- ¹⁸ To bohaterowie drugiego planu moich powieści: *Kurier z Teheranu* (wyd. Lira, 2020) i *Kurier z Tivoli* (wyd. Lira, 2021) — Lalek i Maciej Widłak.
- ¹⁹ Latem 1942 roku Niemcy zorganizowali tam bocznice kolejowe. To Umschlagplatz, skąd warszawscy Żydzi wywożeni byli do obozu zagłady w Treblince.
- ²⁰ Paweł Frenkel (1920-1943) był polskim Żydem, przywódcą Żydowskiego Związku Wojskowego — największej organizacji ruchu oporu żydowskiego w getcie.
- ²¹ Bejtar — wojskowa młodzieżowa organizacja syjonistyczna, założona w Rydze w 1923 roku przez postać wybitną, jaką był Włodzimierz (Zeew) Żabotyński (1880-1940); działała w Polsce oraz w innych krajach Europy. Z uwagi na jej prawicowy i nacjonalistyczny charakter, a także związki z ZWZ/AK jej udział w powstaniu w getcie był pomijany w pracach lewicowych historyków i publicystów. Zob. P. Gontarczyk, „Bejtar” walczy [online] <https://www.rp.pl/plus-minus/art13155451-bejtar-walczy> (dostęp: 17.12.2023).
- ²² Kriminalpolizei (niem.) — policja kryminalna.
- ²³ (niem.) Zrozumiałas?
- ²⁴ Postać historyczna.
- ²⁵ Postać historyczna.
- ²⁶ Postać historyczna.
- ²⁷ Postać historyczna.
- ²⁸ SOE — Special Operations Executive — część wywiadu brytyjskiego organizująca akty dywersji przeciwko Niemcom w okupowanej przez nich Europie.
- ²⁹ Postać historyczna.
- ³⁰ To główna postać z moich powieści: *Kurier z Toledo* (wyd. Lira, 2019), *Kurier z Teheranu* i *Kurier z Tivoli* — bohater przywołany na zasadzie continuum moich powieści wojennych.
- ³¹ Postać fikcyjna.
- ³² Postać historyczna.
- ³³ Postać fikcyjna — jeden z bohaterów przywoływanej już powieści *Kurier z Teheranu*.
- ³⁴ Jan Kryst, pseudonim „Alan” (1922-1943) — postać historyczna.

- ³⁵ (niem.) Z kobietami i niemieckim śpiewem.
- ³⁶ Utwór „pożyczony” ze ścieżki dźwiękowej do czwartego sezonu serialu *Babylon Berlin* (2022), dostępny online: <https://www.youtube.com/watch?v=vrjad-k-eeo> (dostęp: 29.12.2023).
- ³⁷ Rudolf Stefan Jan Weigl, polski biolog, wynalazca pierwszej skutecznej szczepionki przeciw tyfusowi plamistemu. Wszy, umieszczone w małych kłatkach, które nosili przy ciele (i karmili własną krwią) ochotnicy, zarażano riketsjami wywołującymi chorobę. Następnie wypreparowany z organizmów wszy materiał wykorzystywano do produkcji szczepionek.
- ³⁸ Wydarzenia te opisuje moja powieść *Kurier z Teheranu*.
- ³⁹ Postać historyczna.
- ⁴⁰ Geld (niem.) — pieniądze.
- ⁴¹ Chodzi o park Skaryszewski im. I.J. Paderewskiego.
- ⁴² Chodzi o operację „Gomora” przeprowadzoną przez aliantów w dniach 24 lipca — 4 sierpnia 1943 r.
- ⁴³ Postać historyczna.
- ⁴⁴ Postać historyczna.
- ⁴⁵ 24 lutego 1943 roku Armia Krajowa przeprowadziła akcję na dworcu Friedrichstrasse, w chwili kiedy mijały się dwa składy z niemieckimi żołnierzami. Zginęło 14 osób, a ponad 60 zostało rannych.
- ⁴⁶ Patrz: moja powieść *Kurier z Tivoli*.
- ⁴⁷ Od *Aufseherin* (niem.) — nadzorczyńi; chodzi o strażniczki w niemieckich obozach koncentracyjnych podczas II wojny światowej.
- ⁴⁸ Marlene Dietrich od września 1944 roku przebywała w Europie jako oficer US Army w stopniu kapitana.
- ⁴⁹ Całą tę historię oraz postać Goldy Cwajnbium opisałem w powieściach *Kurier z Toledo*, *Kurier z Teheranu* i *Kurier z Tivoli*.
- ⁵⁰ Podaję wiersz w tłumaczeniu Witolda Wirpszy. Cyt. za: <https://milosc.info/bertolt-brecht/wspomnienie-o-marii-a/> (dostęp: 10.10.2023).

© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2024

© Copyright by Wojciech Dutka, 2024

Redaktor inicjujący: Paweł Pokora

Redakcja: Małgorzata Piotrowicz

Korekta: Joanna Dzik

Skład: Klara Perepłyś-Pająk

Projekt okładki: Grzegorz Araszewski/garasz.pl

Zdjęcia na okładce i źródła ilustracji: commons.wikimedia.org, freepik.com, domena
publiczna

Zdjęcie autora: © Maciej Zienkiewicz Photography

Producenci wydawniczy:

Magdalena Wójcik, Wojciech Jannasz





Wydawca: Marek Jannasz

L i R A
W Y D A W N I C T W O

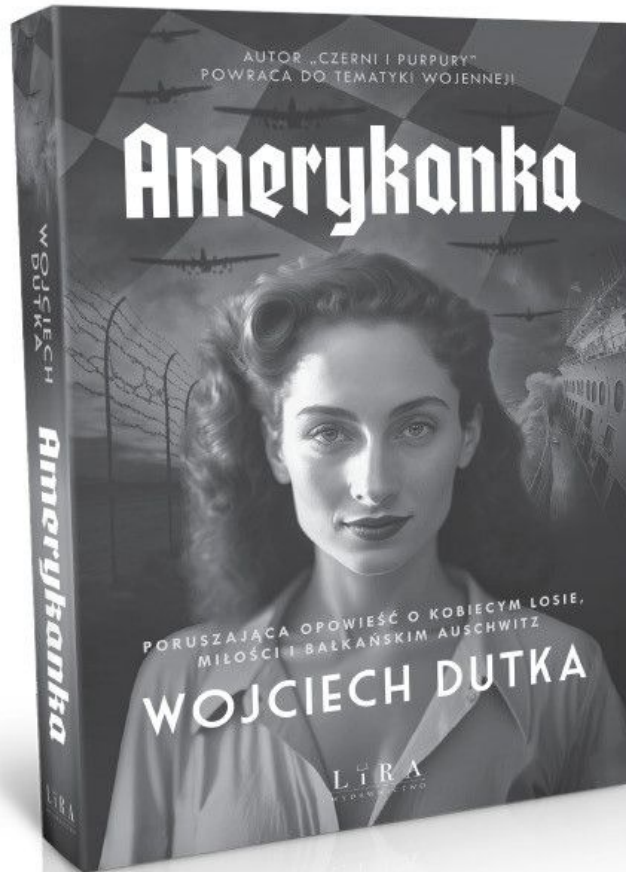
Lira Publishing Sp. z o.o.

al. J.Ch. Szucha 11 lok. 30, 00-580 Warszawa

www.wydawnictwolira.pl

Wydawnictwa Lira szukaj też na:    

JUŻ W KSIĘGARNIACH



Poruszająca powieść Wojciecha Dutki!
Śledząc losy Jane, ważnego świadka zbrodni
w bałkańskim Auschwitz, czytelnicy z całą mocą
poczują, że II wojna światowa była w istocie piekłem.
To zarazem uniwersalna historia o nietuzinkowej
kobiecie i jej dramatycznej walce o przetrwanie.

www.wydawnictwolira.pl

L i R A
WYDAWNICTWO

JUŻ W KSIĘGARNIACH



Burzliwe losy Antoniego Mokrzyckiego – hrabiego, dyplomaty i szpiega – ukazane na tle najważniejszych wydarzeń dwudziestowiecznej Polski i świata. Trzyczęściowy cykl Wojciecha Dutki to doskonałe połączenie powieści historycznej z literaturą sensacyjno-szpiegowską!

www.wydawnictwolira.pl

L i R A
W Y D A W N I C T W O

